

POEZYE
LUDWIKI KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM V.

~~Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne
w Katowicach~~

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1908.

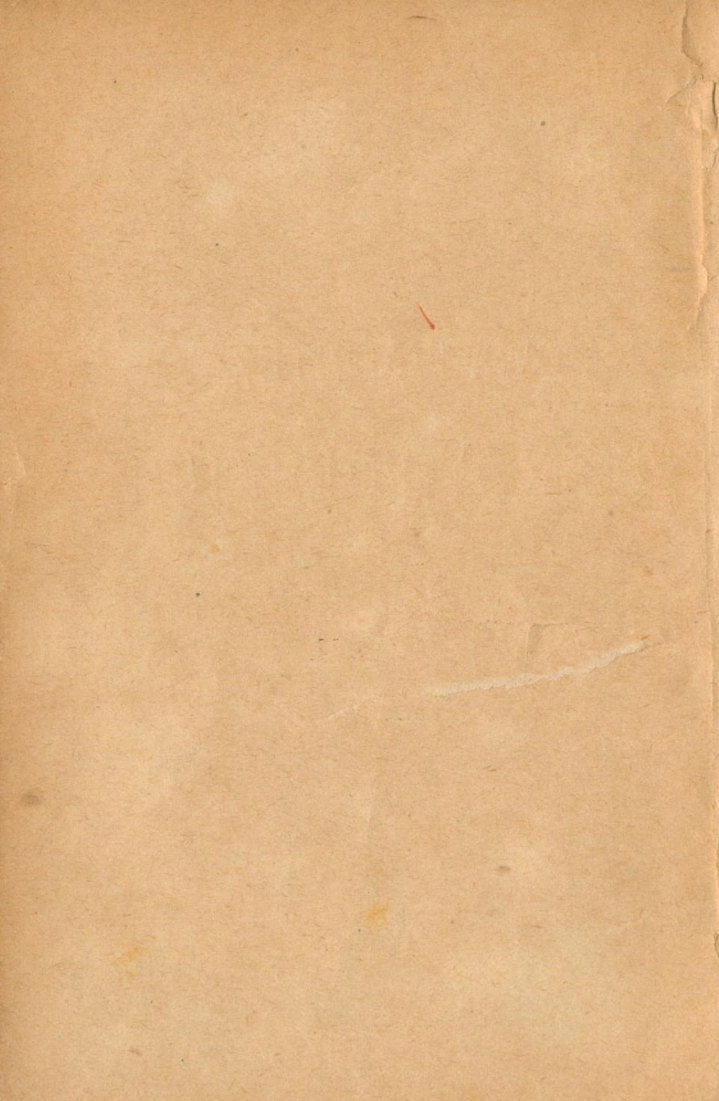


„Wraca Szymon z Ukrainy — Opowiada dziwne dziwy.“

(Illustr. do poematu: „Garść pszenna“ Tom II str. 258).

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH

TOM XVII.





824 162 1-1



S N 10919



2106

UTWORY LIRYCZNE.

DO * * *

Z pałaców sterczących dumnie
Znijdź, piękna, do mojej chatki;
Tylko zabierz swe manatki,
Bo hołotę znajdziesz u mnie.

Święte pustki wszędzie, wszędzie,
Ale nie marz nic o chlebie;
Bo kochanek wierny ciebie
Czułosciami karmić będzie.

Z rana ci wianek uplotę,
Na obiad dam szmer strumyka,
Na wieczerzę śpiew słowika,
A na noc marzenia złote.

A gdy cię dumanie czyste
W niebieskie sfery uniesie,
Przez otwory w mojej strzesie
Obaczysz Niebo gwiazdziste!

1843. Nieśwież.

DO PRZYSZŁEJ ŻONY.

Pani! chcesz wierszy, chcesz wskrzesić ducha,
Którego tak dawno tłumię;
Dziewica każe, poeta słucha,
I spełnia rozkaz, jak umie.

Ale okrutne pani rozkazy!

Nie umiem spełnić tak wiele,
Nie umiem znaleźć na słońcu skazy,
Wady w tak czystym aniele,

Ja tylko wielbić jestem ochoczy,
 Ja tylko umiem być czuły.
 Będę uwielbiał anielskie oczy,
 Choć mi spokojność zatrąły.
 Pani to powie, żem nadto śmiały,
 Że to wyrazy pochlebne,
 I moje szczere dla niej zapaly
 Swą piękność nóżką podepcze...
 1844. Nieśwież.

WSPOMNIENIE NIEŚWIEŻA.

SONETY.

1.

WSPOMNIENIE.

Gdzie po dwuwiecznym gwarze cisza uroczysta
 Zaległa Radziwiłłowskich złotych sal obszary,
 W murach, co pamiętają byt świetny, byt stary,
 Ja włokłem dni powszednie, biedny biuralista.

W starym blaszanym hełmie chowałem cygary,
 A otrząsłszy zbutwiałe malowidła z pyłów,
 Kiedy wiatr bił do okna, zastawiałem szpary
 Obrazami Ostrogskich, Sapiechów, Radziwiłłów!

W grobach, w gruzach, w gawędach i na starem płótnie
 Tylko przeszłość przelotem swój cień zostawiła.
 Czytałem po tych cieniach, bolejąc okrutnie,

Bom widział, że ta przeszłość, choć zmarła, nadgniła,
 Jeszcze przy naszym wieku wygląda butnie,
 Jak wśród wioski nędzarzów rycerska mogiła.

2.

MIASTO.

Małe i liche miasto stoi w rozwalinie,
 Tu i owdzie wśród gruzów nowy mur się błyszczy,

Tu i owdzie wieżyce, klasztory, świątynie,
Póki czas ich nie pożre, burza nie poniszczy.

Małe i liche miasto, co stoi w ruinie,
Czyż komu łzę wywoła, ciekawość obudzi?
Wędrowiec je w przejeździe obojętnie minie,
Jak mijamy podeszłych, pospolitych ludzi.

Lecz ten starzec — to żołnierz, to bywalec może,
W ranach swych męstwa, w zmarszczkach ma długie
Opowie ci swe losy, bitwy lub podróże... [lat dzieje,

Miasto ma swoją przeszłość, swoje przywileje...
Przestarzały pergamin?! — O, pożal się Boże!
Człek go już nie wyczyta i mól nawet nie je.

3.

ZAMEK.

Za szerokiem jeziorem, na krańcu krainy,
Sterczy kamienny starzec — i niekiedy z wieży
Długo, zwolna wydzwania ubiegłe godziny,
Nim ostatnią dni swoich godzinę uderzy.

W piersiach jego, jak w piersiach stuletnich żołnierzy,
Tylko pamięć na dawne zdarzenia i czyny.
Teraźniejszość z przeszłością pogardliwie mierzy:
Znał ojców — jakże śmieszne w jego oczach syny!

Czy odżyje? czy wskrzesi swoje dawne losy
Huczno, po Radziwiłłowsku? — Jeszcze ma nadzieję,
Jeszcze dziad śmiało strzela wieżami w Niebiosy,

Jeszcze herby, obrazy i szpargałów stosy
Strzeże jak świętość... Boże! ta świętość spróchnieje,
Jak słowo bez znaczenia, roślina bez rosy.

4.

GROBY RADZIWIŁŁÓW

w kościele pojezuickim.

Pod ogromną świątynią jest miejsce grobowe,
Jest sklepisko podziemne, w niem ołtarz i krata;
Dalej trumna przy trumnie — wszystkie hebanowe,
Wszystkie z dębu — w nich kości długie leżą lata.

Z trumien zgnilizna wieje, choć arystokrata
Prześląkły balsamami złożył tutaj głowę.
Zgniły pany i panie — tylko trwalsza szata,
Szkielet, herb ci przypomni ich życia osnowę.

Swe imiona to złotem, to krwią nakreślili
W wiecznej pamięci ludów lub na dziejów karcie!
Nie złorzecz... nie błogosław... oni ludźmi byli.

Cóż gdyby oni z grobów powstałi w tej chwili?
Znówby bieżano do nich po łaski, po wsparcie,
Lecz oniby z pogardą oczy odwrócili...

5.

A L B A.

Zwierzyniec Radziwiłłowski.

Ha! jak tu pięknie, miło, cienisto, zielono!
Wnijdź w aleje lip starych, w brzezinowe lasy, —
I myślą pradziadowską orzeźwij tve łono,
I przenieś twoją pamięć w pradziadowskie czasy.

Gdzie modlił się Sierotka, gdzie Karol zapasy
Wiódł ze zwierzem, obaczysz sarnę przepłoszoną;
Gdzie wrzały pełne życia Albańców hałasy —
Sterczy pałac na łące rudera czerwoną.

Wyspa... kanał... tu może... Precz stare wspomnienia!
One ciężkie dla duszy. W sercu zniewieściałem
Może słodsze masz myśli i świeższe marzenia.

Może miłość?... Na trawie, co lipa ocienia,
 Siądź, szczęśliwczu, i lubym nakarm się zapalem,
 I ryj na korze cyfrę kochanki imienia...

6.

ŚWIĘTY KRZYŻ.

Opactwo Benedyktynów i mogiły miejskie.

Krzyż błyszczy poza lasem — daleko od miasta
 Mieszkanie Eremitów bieleje tam w lesie,
 A wysoko na górze, jak oko doniesie,
 Jest kościół — naokoło gęstwina zarasta.

Cisza... zaledwie czasem wiatr po liściach szasta,
 Albo echo od dzwonów po wąwozach rwie się...
 O! tutaj często dzwonią przy śmiertelnych kresie —
 To gród trupi, ludniejszy od żyjących miasta.

Mogiła przy mogile, syny trupich kości,
 Robaki odrażliwe, po ziemi się wleką, —
 Trącasz nogą — to czaszka, w niej gadzina gości.

Smutno ci? zmów pacierze, nie złorzecz nicości,
 Szalony sy lu ziemi! bo dzień niedaleko,
 Kiedy żywy zmarłemu grobu pozazdrości...

7.

DO BOGARODZICY

w Słuckiej bramie.

Bogarodzico! ku litości łatwa,
 Ty, co żrenicą czuwasz niezmrużoną
 W bramie na warcie, aby Twoja dziatwa
 Bezpiecznie spała pod Twoją obroną?

O! strzeż tych świątyń, w których Syn Twój słodki
 Odbiera od nas ofiary codzienne,
 I strzeż te domy, te baszty kamienne,
 Te rozwaliny — dawny gród Sierotki.

NAD NIEMNEM.

Mętny Niemen i płowy,
 Krętym węzem się toczy —
 Bóg ci sprzyjaj, czółnowy!
 Płyn wesoły, ochoczy.
 Lecz on trwożną ma postać,
 Prosty człowiek — wiadomo.
 Och! gdyby mnie się dostać
 Na płaszczyznę ruchomą!
 Gdyby łodzi dać wolę
 I bez steru, bez wiosła,
 Płynąć w mętным żywiole,
 Gdzieby woda zaniósła!
 Między fale mienione
 Puścić czółen jak długi...
 Póki w nurtach utonę,
 Tożbym użył żeglugi!
 Woda czysta, pienista,
 Z moją łodzią się zetrze —
 Człek na fali się chysta,
 Jak ptaszek na wietrze...

1844. Załucze.

ODA Z HORACYUSZA.

(PARODYA).

Quem tu, Melpomene, semel
 Nascentem placido lumine videris...

Komu raz, Muzo, usiądziesz na karku,
 Tego już rozum nie złapie,
 Ten już nie pójdzie hasać po jarmarku,
 Jak cygan na chudej szkapie.
 Już go głos trąby śmiertelnie zatrwoży,
 Sława go z pieca nie zwabi,

Już on w teatrze nie zasiądzie w łoży
Nakształt fircyka lub hrabi.

Za to ulubi gdzieś pod drzewem suchem,
Lub przy kałuży swej wioski,
Ległszy do góry wychudzonym brzuchem,
Układać rymy i zgłoski.

Muzo! co umiesz i na dudce z łyka
Dziwną i słodką pieśń stwarzać,
Ty, która lubisz nawet i indyka
Łabędzim głosem obdarzać.

Tobie winienem mój obiad piątkowy,
Mą sławę, moje uczucie,
Oklaski, pustki kieszeni i głowy,
I łaty w moim surducie...

1844. Załucze.

SŁODYCZ MARZEŃ.

Nim zaświta los szczęśliwy,
Jeden balsam na ranę:
Mądre myśli porzuciwszy,
Puszczając bańki mydlane.
Z niemi zgodnie, niezawodnie
Słodką myśl się rozhula.
Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
O jak słodka cebula!

Los zawistny pędzi, gniecie
Nieszczęśliwy ród ziemian;
Gromy, burze i zamiecie
Uderzają na przemian;
Lecz coś klei myśl nadziei
I pod skrzydła przytula.
Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
O jak słodka cebula!



O witajcie, myśli puste,
 Lube zamki w obłoku!
 Człekby skwaśniał na kapustę
 Bez waszego uroku.
 Przez was miłe nasze chwile
 Lecą szybko, jak kula.
 Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
 O jak słodka cebula!

Gdy mi serce cierń oplata,
 Chmury ciążą u głowy,
 Niedowolen z tego świata,
 Tworzę sobie świat nowy.
 Świat mój zgodny i niegłodny,
 Jakby pszczołki wśród ula.
 Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
 O jak słodka cebula!

Wszędzie kwiaty, wszędzie kłosa,
 Owoc pokrył aż liście,
 Słychać płasy i odgłosy,
 Lud się kocha ogniście;
 Z dobrej woli na swej roli
 I pracuje, i hula.
 Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
 O jak słodka cebula!

O! ten nie zna szczęścia dosyć,
 Kto nie umie radośnie
 Na topieli gmachów wznosić,
 Zrywać gruszek na sośnie!
 To rozkosze, wierzcie, proszę,
 Jak to bawi, rozczula!
 Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
 O jak słodka cebula!

T O I D O S Y Ć.

Dzień po dniu nad głową płynie,
Biegą chwile, biegą lata,
Wraz, przelotny gościu świata,
Legniesz w ciasnej domowinie.
Tam po Niebios wysokości
Twój sierocy duch się zbłąka;
Tu w spróchniałe twoje kości
W pustej trumnie szczur zabrząka.
A po zgonie trup twój błądy
Będą grześć ceremonialnie:
Ksiądz żałobną mowę palnie,
Anioł Pański zmówią dziady.
O na z pięknym płaczem włoży
Czarną szatę, jak do balu;
Druh poeta w dowód żalu
Na nagrobek wiersz ułoży.
Ot i wszystko twemu ciału!
Ziemskie pokryć ziemi bryłą.
Lecz gdzie myśl twa? duch zapału?
O! to zgasło, jak nie było!
Pamięć myśli, pamięć ducha,
Pamięć szczęścia, łez powodzi, —
To nikogo nie obchodzi,
To najprędzej wiatr zadmucha.
Piosnko moja! w tobie tylko,
Co niebieskie, oddam Niebu,
W tobie przetrwam może chwilką
Dzień mej śmierci i pogrzebu.
Będą ciebie w mnogim tłumie
Ci potępiać, ci wynosić;
Lecz się znajdzie, kto zrozumie,
Westchnie ze mną — to i dosyć.

R U I N Y.

Tam na mogiłach szkielet człowieka
Patrzących na się nabawia strachu;
Odwracasz oczy — a tu z daleka
Błyszczy się szkielet starego gmachu.

W szkielecie człeka — pierś pustką stoi;
W szkielecie gmachu — wiatr wieje wszędzie.
Nie żałuj zmarłych — ród ludzki będzie
I w nowe gmachy ziemię ustroi.

Jeżeliś badacz, tego ci mało,
Wyszukuj starca — on ci opowie
I o człowieku, i o budowie,
Chwilkę przeszłości lub przeszłość całą.

Powie, co było z nimi przed wiekiem,
Powie, co z dawnej wieści pamięta.
Kto, kiedy gmachu kładł fundamenta?
Kiedy trup człeka był jeszcze człekiem?

Od kiedy człowiek w mogile leży?
Od kiedy wichry grób jego zniosły?
Od kiedy runął zamek wyniosły?
I bocian złożył gniazdo na wieży?...

Każdy wypadek wiernie oznaczy,
Myśl twą zaniesie w dzieje przed laty,
Mieć będziesz wieści, mieć będziesz daty, —
Wszak tego dosyć dla was, badaczy.

Lecz jeśli, patrząc na pierś szerniałą,
Zapagniesz zbadać pod kością zgniłą:
Gdzie wrzały czucia? gdzie serce biło?
I co się w sercu człowieka działo?

Lub jeśli ciebie kroki zawiodły
W pośrodek stosów strzaskanej cegły,
I zechcesz wiedzieć, jakie tu biegły
Myśli, uczucia, zamiary, modły?

Napróżno słuchasz człowieka baśni,
 Daremnie szperasz w pustej budowie!
 Kość nic nie powie, gruz nic nie powie,
 Sąd Ostateczny chyba wyjaśni.

1845. Załucze.

DUMANIE POETY.

(FANTAZJA).

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
 Na ziemi i na Niebie smutno i ponuro,
 Tak ponuro i smutno, jak w duszy poety,
 Co siedząc przy stoliku temperował pióro.
 On szukał nowych myśli w swej duszy odmęcie,
 Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelnem pieniem;
 Ale myśli, przeczawszy kąpiel w atramencie,
 W ciasnej głowie poety osiadły kamieniem.
 On po sklepieniu Nieba wieszczę oko toczył,
 I pół wieszczego pióra w wieszczę usta włożył,
 I w wieszczym kałamarzu wieszczę nos umoczył,
 I dumał, dumał, dumał, aż spać się położył.

1845. Załucze.

CO SIĘ PRZYŚNI.

Jeszcze chwila, o dziewico!
 Na dobranoc oczkiem błysnij,
 Niech cię słodkie sny pochwycą,
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Może piesek ulubiony,
 Kosz cukierków albo wiśni,
 Może jaśnie oświecony;
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Może jeńcy starej daty,
 Podagryczni, lecz korzystni;

Może kwiaty, lub dukaty;
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Może zbrojny but w ostrogi,
 Może nawet ci się wyśni
 Ten, co drogi, lecz ubogi;
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Bał czy chatka, którą marzą
 Wierszokleci nierozmyślni,
 Lub zwierciadło z własną twarzą;
 Co się przyśni, to przyciśnij!
 Gdy otworzysz piękne oczy,
 Snów z pamięci nie rozpryśnij,
 Bo w nich będzie sen proroczy;
 Co się przyśni, to przyciśnij!

1845. Załucze.

NIE JA ŚPIEWAM!

I.

Nie ja śpiewam, lecz duch Boży,
 Który piosnkę we mnie tworzy,
 Co z miłości swej ogniska
 Promieniami w pierś mi tryska,
 Od którego ciepła miękne,
 Chwytam w serce wszystko piękne,
 Aż te czucia ręką Bożą
 Harmonijnie się ułożą,
 I wydadzą dźwięczne gwary,
 Niby struny u cytary,
 I piersiowa moja deska
 Niby harfa gra niebieska...
 W pierś uderzam się ze skruchą,
 Aż zabrzączą struny głucho,
 Coraz bardziej, bardziej głośno,
 Aż te szmery w pieśń urosną.

II.

Nie ja śpiewam, lecz lud Boży,
 Który piosnkę we mnie tworzy
 I przez serce nitką żywą
 W bratnie wiąże mię ogniwo,
 I udziela, duszy gwoli,
 Czucia doli i niedoli.
 Bratnie szczęście, jęk lub skarga
 Elektrycznie pierś mi targa,
 I napełnia echem łono,
 I rozbudza krew uśpioną.
 Kładę na pierś rękę brata,
 Wnet mi tętno zakołata,
 Wewnątrz tony się rozleją,
 To miłością, to nadzieją,
 Coraz bardziej, bardziej głośno,
 Aż te szmery w pieśń urosną.

III.

Nie ja śpiewam, lecz świat Boży,
 Który piosnkę we mnie tworzy.
 Puls przyrody bije we mnie,
 Jak pluchoce fala w Niemnie,
 Jak w litewskim szumnym borze
 Gwarzą sosny w rozhoworze,
 Jak wiatr kąpie moją głowę
 I kołysze chmury płowe...
 Oko, ucho, myśli moje
 Wrażeniami temi poje,
 I na oścież pierś rozwinę,
 I zapraszam je w gościnę,
 One lecą, w pierś się kładną
 Harmonijnie a bezładno,
 Wszystko żyje, brzęczy, hula,
 Jak gromada pszczół wśród ula,
 Coraz bardziej, bardziej głośno,
 Aż te szmery w pieśń urosną.

P I O S N K I.

Piosnka weseli duszę
 I we śnie, i na jawie;
 A czyż ja milczeć muszę?
 A czyż ja piersi zdławię?
 Słyszę z dziejów oddali:
 Cóżem winien, że piszę,
 Gdy ją spisać kazali?
 Nie wie ptaszek, co kleci,
 Przecież śpiewa co rano;
 Wietrzyk nie wie, gdzie leci,
 Lecz mu lecieć kazano;
 Fala nie wie, co mruczy
 Na swej harfie spienionej,
 I nikt grzmotu nie uczy,
 W jakie ryczeć ma tony.
 Wielki Pieśniarz to zbada,
 Bierze tony z kolei,
 A z nich pieśnię układa
 Groźb, miłości, nadziei.

Niby wiejski mistrz w szkole
 Zbiera drobne pieśniarze,
 Uczy piosnek pacholę
 I powtarzać je każe,
 I rzecze: „Dziatwo drobna!
 Gdy ton pieśni umiecie,
 Każdego z was z osobna
 Porozsyłam po świecie.

Ty, najwięcej natchniony,
 Weźmiesz skrzydła orłowe,
 Chmur przebijesz zasłony,
 Zbadasz światów budowę,
 Zbadasz Niebios oblicze;
 A gdy wrócisz z oddali,

Dam ci tony słowicze,
By cię lepiej słuchali.

„Ty zaś... zapal gromnicę
U niebieskich podwoi,
Idź w grobową ciemnicę,
Gdzie przodkowie śpią twoi,
I przez lata, przez setne
Zanurz oko w przeszłości,
Wszystko wielkie, szlachetne
Zbadaj w prochu ich kości.
A gdy wrócisz z mogiły
Z wielką pieśnią dziejową,
Ja umocnię twe siły,
By słyszano twe słowo.

„Ty przyoblecz kształt ptaka,
Bądź jaskółką skrzydlatą,
I pod strzechą wieśniaka
Skleć gniazdeczko na lato.
Przysłuchaj się, co gwarzy,
Jaką nutą pieśń leje,
I pokrzepiaj nędzarzy
Szczebiotaniem nadzieje.
A gdy złożysz piosenki
O wioskowej zaciszy,
Ja umężnię twe dźwięki,
Że je każdy posłysz.

„Ty, jak motyl barwiony,
Pożycz barwy od słońca,
I rodzinne twe strony
Przeleć z końca do końca:
Spytaj kwiatka, co marzy?
Naucz się szeptów kłosa,
I dowiedz się, co gwarzy
Brzózka zielono-włosa.
Wrócisz z pieśnią do ludzi,
Ja jej nadam głos płynny.

Że się w sercach rozbudzi
Miłość ziemi rodzinnej.

„Idźcie — każdy w swą stronę,
Idźcie, jako wam każe,
Niecić iskry święcone
Na ludzkości ołtarze!
A gdy ołtarz ofiarny
Pięknym ogniem zateleje;
Was zamroczy dym czarny,
Łza żrenicę zaleje.
Przyślę na was szyderce,
Przyślę ludzi złej woli,
I zaboli was serce,
Ciężkim bolem zaboli.

„Lecz te bole minione
Wynagrodzą się hojnie,
Kto cierniową koronę
Będzie nosił dostojnie.
Nie nagrodę człowieczą
Los do ręki wam poda:
Szczęście tych, co złorzeczą,
Będzie wasza nagroda.
Piosnki wsączę w ich treści
W podniebieskie przestrzenie,
A łzy waszej boleści
W jasne gwiazdy zamienię.“

1845. Załączc.

NIEWINNEJ DUSZYCZCE.

Co z losem wieść boje?
Przespałeś, to twoje,
Niech cię sen skrzydełkami przytuli!
Źle wyszli na wojnie,
Śpij, bratku, spokojnie —
Luli, niewiniątko, luli!

Świat nie wie, gdzie śpieszy!
 Kto śpi, ten nie grzeszy,
 Jak dziecię, co w chrzestnej koszuli,
 Spać z dłonią na oczy,
 To słońce nie mroczy, —
 Luli, niewiniątko, luli!

Bo cóż ci do tego,
 Że tam gdzieś łyzy biega,
 Że nędzarz w łachmanach się tuli?
 Od cudzej złej doli
 Serduszko nie boli, —
 Luli, niewiniątko, luli!

O pierwszej godzinie
 Obiadek nie minie,
 Przed obiadem stukniemy wóduli,
 I znowu na łożo
 Twą główkę położę, —
 Luli, niewiniątko, luli!

Ty marzysz, pieszczotko!
 Patrzajcie, jak słodko!
 Widać śni, że kochanka go tuli.
 Sza... cicho... broń Boże,
 Obudzić się może!
 Luli, niewiniątko, luli!

Na nowo coś marzy,
 Jak znacznie na twarzy!
 Pewno śni, że wychylił wóduli;
 Bo usta i czoło
 Igrają wesoło, —
 Luli, niewiniątko, luli!

O! w usta coś bierze,
 Śni widać wieczerzę,
 Patrzajcie, o ludzie nieczuli!
 A ja mu na jawie
 Wieczerzę przyprawię, —
 Luli, niewiniątko, luli!

O wzorze dla wieku!
 O święty człowieku!
 To głupcy, co się ze snu wyzuli,
 I dzielą się z nami
 Radością i łzami:
 Prawa mądrość — to luli i luli!
 I nie dziw, że płaczą,
 Że jęczą z rozpaczą:
 Patrząc na świat, swe szczęście zatruli,
 Bo dziwną szli drogą,
 I usnąć nie mogą;
 Prawe szczęście — to luli i luli!
 1846. Załucze.

NAPOLEONISTA.

(OBRAZEK).

Honorowy krzyż na fraku,
 Wąsy zawiesiste,
 Jedna ręka na temblaku:
 Masz Napoleonistę.
 Babia czułość nieraz błysnie
 Przez rysy junacze;
 Nieraz marsem brwi naciśnie,
 By ukryć, że płacze.
 Nie powie, że bił się tego,
 Że lał krew szeroko;
 Ale wspomnij Lipsk, Marengo,
 I spojrzysz mu w oko!
 Dziś, gdy jego przeszłość cała
 W grobie pochowana,
 Bywa zimny gdyby skała,
 Milczący jak ściana.
 Ale przed nim niespodzianie
 Wyrzecz imię Jego,

On się zerwie, frontem stanie
 I łączy mu pobiegą.
 Krzyż na piersiach; lecz ma drugi
 Pod suknią znak Boski:
 Obok krzyża za zasługi,
 Medal Częstochowski.
 Krzyż i medal miał na łonie
 W dni bitew, jak zbroją;
 Pierś wojaka i po zgonie
 W krzyż, w medal ustroją.
 Z medalikiem zda rachunek
 Przed Najwyższym Panem;
 Z krzyżem — stanie na meldunek
 Przed wodzem kochanym.

26 maja 1846. Załącze.

SPOCZYNEK.

(Myśl ze św. Chryzostoma).

Patrz na źródło wody świeżej:
 To się w wązki strumień ścisła,
 Pnie się w górę, z góry tryska,
 I spienione dalej bieży.

Wiorem kręci się, to wzdyma,
 To się kamień podmyć sili;
 Czysty potok: nigdy nie ma
 Odpoczynku ani chwili.

Patrz w spoczynku woda zgniła,
 Jak zabójczą parę zionie —
 Pleśń zielona ją pokryła,
 A robactwo karmi w łonie.

Myśli ludzka! twa otucha:
 Naprzód, naprzód płynąć wiecznie!
 Świętem życiem wrzeć koniecznie,
 Bo spoczynek — to śmierć ducha.

Bo gdy praca cię unuży,
 Już zgnilizna brzydka wpadnie,
 Już robactwo cię owładnie,
 Uśniesz nakształt wód w kałuży.

1846. Załącze.

BYWAŁO.

Gawęda z samym sobą.

(URYWEK).

Ej! oddałbym, oddał i duszę, i ciało,
 Gdyby się tak rażno jak dawniej hulało!
 Ej, dawniej lubiłem, gdy bratnio i szczerze,
 Zimowym wieczorkiem gromadka się zbierze,
 I na niej uradzą z chychotem i krzykiem
 Daleko... daleko pojechać kulikiem...
 Rząd sanek po drodze jak wicher ucieka,
 I słychać gwar dzwonek z daleka, z daleka...
 A rumak, co leci, nie znając zawodu,
 Gdy stuknie podkową, aż skra tryśnie z lodu.
 A droga po śniegu utarta i gładka,
 A księżyc, z za chmurki patrząc z ukradka
 Na nasze zabawy, na nasze tu życie,
 Puszczą się kulikiem po ciemnym błękiecie.
 Ja wiozę bywało, i strzegę, i tulę
 Milutką istotę, com kochał tak czule!
 Ej słodkoż to jechać, gdy szczęście me przy mnie!
 Jest kogo utulić na wietrze, na zimnie,
 I gwarzyć, i marzyć, i prosić u Boga,
 Ażeby najdłużej przewlekła się droga.
 Wiatr ciepły nas kąpie, a zorza choć blednie,
 Od gwiazdek, od śniegu widniutko jak we dnie.
 My lecim i lecim po górach, po błoni,
 Nasz kulik szeleszcze, tępoce i dzwoni.
 A tam gdzieś w pomroce za milę, czy dalej,
 Czy w chatach wieczorne łuczywo się pali?

Czy gwiazdka błyszcząca? czy wilk okiem mruży?
Czy światło gościnne, cel naszej podróży?

Malutka iskierka, to błysnie, to znikna, —

Hej, prosto na ogień skierować kulika!

Ot zaraz ogniste zwiększają się kreski:

To blaski od okien, to dworek litewski.

Gospodarz nim zaśnie, nim światło zagaśnie,

Hej, żywo przed ganek zajedziem hałaśnie!

Drużyna drużynę serdecznie spotyka,

A gwaruż, tam gwaru! bo radzi z kulika;

A śmiechuż tam śmiechu, a szeptów do ucha!...

Kominek przyjaznem ogniskiem wybucha,

Wieczera na stole, od końca do końca —

Złocieją rzędami kielichy jak słońca...

Wypiwszy, spożywszy z Bożego coś daru,

Na nowo ochota do śmiechów, do gwaru,

Pustota i figle krzyżują się wkoło,

Po prostu, niewinnie, serdecznie, wesoło.

U starców od ruchu orzeźwi się łono,

Dziewicom jagody różami zapłoną,

Ich oczki strzelają niewinnie, lecz śmiało,

A młodzież, och! młodzież — już serce stopniało...

Ej słodkoż to, słodko, oblawszy się potem,

Na wiązce murogu zasypiać pokotem!

Zasypiać, dumając o przeszłej zabawie,

I marzyć toż samo, co było na jawie...

Lubiłem to niegdyś. O Boże mój, Boże!

Dlaczegoż gdy rękę na sercu położę,

Tak bije mi tętno, tak łzy z oczu biegną?...

O! gdyby choć dzionek wesela dawnego!

Ej hulałbym, hulał!... Daremna podniето!

Już nie to wśród ludzi, i w sercu już nie to!

Już kulik na Litwie nudoty nie zgłuszy,

Już sanki i dzwonki nie starczą dla duszy!

O MOIM STARYM DOMKU.

Ich sehe des Dorfes Weiden,
 Des Wiesenbaches Rand,
 Wo ich die ersten Freuden,
 Den ersten Schmerz empfand.

M a t i s s o n .

I.

Ej, za górą za wysoką,
 Stare dęby z lewej strony,
 Za dębami bawi oko
 Nadniemeński brzeg zielony.
 Z prawej strony bagno szlakiem,
 Na bagnisku wierzba wzrasta,
 A na piasku, nad chróśniakiem,
 Szumi sośnina kolczasta.
 W parkanową wjedź ulicę:
 Stary domek w ziemię gnie się,
 Krzywe ściany, a na strzesie
 Mchem zawkitły już dranice,
 Widać niebo z drugiej strony
 Szczerbinami między dranic:
 To mój domek pochylony,
 Lecz nie oddałbym go za nic.
 Tu ostrokół tuż przy ganku,
 Do ogródka mego wnijście,
 A w ogródku, gdyby w wianku,
 Bzy niewielkie, gęstoliście.
 Pod oknami mych rozwalin
 Pstrzeją ziółka i kwiatuszki,
 A od kwiatów idą dróżki
 Do agrestu i do malin.
 Przez ostrokół widzisz pole,
 Lub jak zdala Niemen płynie,
 A przy gęstym ostrokole
 Ul pochyły na darninie.
 To mój ogród — wszystko moje —

Choć ubogo w nim i dziko;
Sam w nim chodzę, piszę, roję,
Kopię rydlem i motyką.
Domek, ogród, wszystko u mnie,
Jakże rzewnie, jak wesoło!
Jak uroczy, i jak dumnie
Stąd poglądam naokoło!
Czy to patrzę po płaszczyźnie,
Czy na łąki, na ostrowy,
Czy się cheiwe oko wśliźnie
Między ciemny bór sosnowy,
Czy to puścić wzrok po Niemnie,
Jak rybaka z jego łódką:
Jak stąd pięknie, jak przyjemnie
Bujać okiem wokolutko!
Mój horyzont, to jak sala —
A te lasy, to ustronie,
Te rybackie chaty zdala
To jak sprzęty w tym salonie.
A tam w górze po lazurze
Pływa sobie chmur ułomek...
O! gdy zbierze się na burzę,
Nie wytrzyma stary domek!
Już gdy burza, zawierucha,
Mało służy dach ochrończy;
Już przez pułap deszcz mi plucha,
A przez śojany wiatr się sący.

II.

Stuka, puka topór w lesie,
Echo wstrząsa cisz gajową,
I mnie wieść żalną niesie,
Że mieć będę chatę nową;
Dach nad dawną moją chatą
Ręka cieśli w próchno zwali,
I że wkrótce, w przyszłe lato,
Będę mieszkał okazalej...

Ach! gdy runą z tą starzyzną
 Każda izba, każdy kątek,
 Gdzież podzieją się, wyślizną
 Tyle wspomnień i pamiątek?
 Czy bywało serce bije
 Uniesieniem, smutkiem, strachem,
 Mnie najlepiej, gdy się skryję
 Pod zakwitłym moim dachem.
 Czy bywało radość wchodzi —
 Ściany echem się odezwą,
 Czy to boleść — znieść ją słodziej,
 Tu i płakać było rzeźwo.

Oto przyzba, oto ganek —
 Stąd słuchamy, gdy z poblizka
 Nadniemeński wychowanek,
 Słowik, świętą piosnkę tryska;
 Czasem tęskną myśl mi poda,
 Czasem rzewność tak głęboka,
 Ani ujrzysz, gdy ci z oka
 Łzy poleją się jak woda.
 Raz... pamiętam... zachwycenie
 Z rzewnym smutkiem serce burzy...
 O! jak błogie i westchnienie,
 Gdy je druga pierś powtórzy!

Ot mój pokój, mój różowy,
 Malowany w kolor cegły, —
 Och! wokoło biednej głowy
 Jakież myśli tu przebiegły!
 Ot na ścianie wieniec żyta,
 Pamięć żniwa i dożynek.
 Oto sofa pyłem kryta —
 Mój po pracy wypoczynek.
 Ot mój stolik, tron potęgi,
 Tam szpargałów leżą roje;
 A to szafa, a w niej księgi —
 Zguba moja, szczęście moje!

A nad stołem, tam, wysoko,
Buja nitka pajęczyny.
W nią wlepiłem moje oko,
W lube dumań mych godziny;
W nią patrzałem, gdyby w tęczę,
Gdy na czole ciężar czułem,
Lub gdy myśli pasmo snułem,
Wątle, słabe, jak pajęcze.
Oto komin — druh wesoły,
Tu wchodziły cygar dymy,
Tu-m fajczane trząśł popioły,
Tu paliłem moje rymy.

A ot druga izba w parze:
Lubo niema w niej przestworu,
Tu bywało co wieczoru
Chodzę sobie i coś gwarzę.
Tu bywało, gdym znużony,
Słodkie wczasu mam godziny,
W uściśnieniu lubej żony
Lub w pieścizotach mej dzieciny.
Tu kobierzec w krasne kwiaty,
Po kanapie rozpostarte;
Tutaj stolik do herbaty,
A na ścianach — Bonaparte.
O! lubiłem w tej izdebce,
W gwarze gości tchnąć weselem,
A najbardziej gdy się szepce
Z ukochany a przyjacielem.

Oto pokój mój do wczasu!
Łoże twardsze niżli cegły —
Stąd daleko od hałasu,
Tędy moje sny przebiegły.
Czasem w lubyh mar osnowie,
Czasem mara myśl przelekła,
Ot wezgłowie — w to wezgłowie
Ej, niejedna iza zasięka!

III.

Chatko! ściany twoje stoją.
 Lecz cię wkrótce proch zagrziebie.
 Jaż przyrosłem tak do ciebie,
 Ty tak wrosłaś w duszę moją!
 Wkrótce wnijdę w nowy kątek,
 Obcy sercu i pamięci;
 Nic z mych wrażeń, nic z pamiętek
 Nowej strzechy nie uświęci.
 Tam przeniosę me cygaro,
 I mój stolik, i wezglowie;
 Łacno wznowić chatkę starą,
 Lecz już duszy nie odnowię.
 Szukać wrażeń już nie sposób
 Zardzewiałemi oczyma;
 A w tym świecie, wśród tych osób,
 Już pamiętek dla mnie niema.
 Już widoki z okien nowe:
 Niemna okiem nie pogonię,
 Lasów k'sobie nie przyzowę,
 Bo te będą w innej stronie.
 I mój ogród... precz te żale!
 Już minęła młodość mglista.
 Cóż po sercu? po zapale?
 Trzeba żyć już jak statysta...
 Było..., przeszło... cóż rozpaczę?
 Daj waletę życiu temu!...
 Chwilka... chwilka... niech zapłaczę,
 Niechaj westchnę po staremu!

15 lutego 1847. Załucze.

 WESTCHNIENIE MAJOWE.

Ot wesoły goniec, pieszczoch Boży — Maj;
 Ziemia z końca w koniec, jak rozkoszy raj,
 Kwitnie, woni, pieje, nosi wieniec z róż,

Rozrzewnienie leje do szczęśliwych dusz.
 Wieszczy syn przyrody przyszedł serce wznieść —
 Cześć ci, gościu młody! uroczysta cześć!

Błękit, ziemia, drzewa, wszystko zrzuca pleśń,
 Świeżą piękność wdziewa, nuci rzewną pieśń,
 Błyszczy gwiazda złota, księżyc blaskiem drga,
 Tu chróściel skrzekota, a tu słowik gra.

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszej, piej, słowiku, piej!
 Przemień serce, przemień, uroń piosnkę twą,
 Nasze serce krzemień, nasze oczy — szkło...
 Bo nad nami pono zimne chmury szły,
 Odrętwiły łono, zamroziły ły.

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszej, piej, słowiku, piej!
 Nuć twój śpiew uroczy, moc twych czarów dwój,
 Wróć mi ły na oczy, wróć mi zapał mój.

Ejże szczęśno było, póki młody szął,
 Oko skrå świeciło, w duszy ogień wrzał!
 Czy skąd pocisk grzmotnie, czy zabraknie sił,
 Człek spłakał ochotnie i cierpienia zmył.
 Jam ły szczęścia zlewał po odejściu chmur,
 Kochał, dumał, śpiewał w twojej pieśni wtór;
 Dziś duch jakiś we śnie wionął we mnie chłód,
 Miłość, ły i pieśnie... skamieniały w lód...

O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej do duszy naszej, piej, słowiku, piej!
 Piej, szczebioc przyjemnie, upajaj mój słuch,
 Rozbudź wtór swój we mnie, rozbudź śpiący duch!
 Bądź mi dobrym wieszczem, wieszczu wiosny ty,
 Niech majowym deszczem z oczu trysną ły!...
 O poeto ptaszy! czarodzieju kniej!
 Piej dla duszy naszej — będzie duszy lzej!

16 maja 1847. Zakucze.

WARYANT Z PIEŚNI GMINNEJ.

Odżyła sosna, zakwitła kalina,
Rozpękła brzoza wiosnę przypomina.
„Wiosno, ty, wiosno! — powtarzają wkoło —
Jak oczom miło, jak sercu wesoło!“
Grzech pozazdrościć, lecz Boże mój, Boże!
Jak ten szczęśliwy, kto wiosnę czuć może!
Bracia, ja wiosnę podziwiałbym z wami,
Ale ja świata nie widzę za łzami;
Chciałbym odetchnąć, lecz zaparte łono,
Jak gdyby piersi kamieniem tłoczono.
Zielone moje łąki i pastwiska,
Krzewiste zboże na morgach połyska;
Lecz w sercu chwasty, żal duszę rozrywa,
Nie bierze chętką do kosy i żniwa.
Poszedłbym w pole świtającym dzionkiem,
By się pomodlić razem ze skowronkiem;
Lecz słaba ręka pługą nie udźwignie,
A w zaschłych piersiach modlitwa zastygnie.
Siadłbym na konia i leciał jak strzała,
Boleścy może z wiatrem uleciała;
Próżna ochota! bo w nieszczęsnej dobie
I koń mój dzielny zesmutniał przy żłobie,
Gdy go dosiędę, zwolna się pomyka,
Jak obciążony trumną nieboszczyka.
Ludzie wy, ludzie! w szczerym rozhowerze
Niech ja się spłaczę, niech duszę otworzę;
Lecz mowa smutna, zgorzkniała i sucha
Odstrasza ludzi, i nikt jej nie słucho.
Ojczy mój, ojczy! poradź mi w niedoli!
O matko moja! jak mi serce boli!

16 lipca 1847. Załącze.

DO NIEMOWLĘCIA.

Lata po latach jak woda płyną,
Czas już do wzrostu twojego blizki;
Czemże ty będziesz, mała dziecino,
Kiedy wynijdiesz z twojej kołyski?
Może ci z czasem służyć Temidzie
I szalę sądu piastować przyjdzie.
Szkoda cię mały — zbrukałbyś rękę,
Albobyś zmazał lub we krwi zboczył
Twoją bieluchną, świętą sukienkę,
W którą cię pleban na chrzcie obłoczył.
Może twe młode i żądne serce
Zapragnie sławy szukać w żołnierce,
I umężniwszy piersi otwarte,
Stanąć jak rycerz w bojowych chwilach,
Żyć, jak Batory lub Bonaparte,
Paść, jak Leonid przy Termopilach.
Lecz dziś rycerstwa zawód nietwardy,
Dziś niepopłatne męzne Bajardy;
A jeśli wierzyć naszej gazecie,
Że wojna zniknie z oblicza ziemi,
Kraje się zwiążą węzły bratniemi,
Więc i rycerstwo zniknie na świecie.
Szkoda cię, mały, jeżeli marnie
Masz nosić pancerz na twojem łonie,
Staczać potyczki — tylko w bostonie,
Napełniać strachem — tylko kawiarnie.
Może twój umysł, Bogu oddany,
Zechce porzucić troski światowe,
I przed ołtarzem między kapłany
Głosem z pod serca chwalić Jehowę.
Lecz nie wiesz, mały — rój mędrców liczny
Poważnie burzy w co wierzyć trzeba,
I pragnie z gruzów starego nieba
Zmurować wszechświat filozoficzny.

Wkrótce (jak piszą) znikną już wszędy
 Nasze świątynie, nasze obrzędy,
 I nasze „Wierzę“, wysrane z mlekiem,
 Wkrótce przestanie rządzić człowiekiem.
 Bo dziś człowieka para oświeca:
 Parowe kotły w wozach, w okręcie,
 Parowe myśli, jak błyskawica,
 Z ludu do ludu lecą w momencie.
 Gdzież ci, dzieciно, szukać swej doli
 Pomiędzy tylu mądremi dziwy?
 Chyba ci szczęście jakie pozwoli
 Być maszynistą lokomotywy.
 Nie, nie, malutki! inna twa droga,
 Ty może pójdziesz wznioślejszą metą!
 Kiedy podrośniesz, proś Pana Boga:
 Niech cię uczyni wielkim poetą.

Z sercem kamiennem, z głową Minerwy,
 Wiek nasz zbezwładnił swe stare nerwy,
 Syty rozkoszy, syty promieni,
 Utracił miłość, wiarę, nadzieję,
 Coraz się karli, coraz drętwieje,
 Wkrótce się, wkrótce w kamień zamieni, —
 Jeno się kładąc w cienie grobowe,
 Złota chce jeszcze sobie pod głowę.
 Śpieszmy go wskrzesić! — Próżna ochota!
 Któż z pod kamienia pierś mu uwolni?
 Kto ją rozgrzeje tchnieniem żywota?
 Kto w próchnie serca ogień roznieci?
 O! wy jedynie ku temu zdolni,
 Uderzcie w struny, wielcy poeci! —
 Nam trzeba wieszczą, wieszczą proroka,
 Coby miał lirę i piersi grzmiące,
 Coby piosenką i strzałem oka
 Umiał oświecać i grać jak słońce.
 Zróż się, poeto! Może w tej dobie
 Już przyszedł na świat spełnić swe dzieło —
 Mała dzieciно! może na tobie

To posłannictwo Boże spoczęło.
 Wskrzесиć wiek martwy!... o jak to pięknie,
 Gdy lód zakipi, skała rozmięknie,
 Ziemia uczuje w swych pulsach drganie
 I serce ludzkie z martwych powstanie!
 Wielkie to dzieło!

Two czoło młode
 Potomność w jasną otoczy tęczę.
 Ale za życia — czy wiesz, młodzieńcze,
 Jaka świat sądził tobie nagrodę?
 Two czoło — w wieniec cierni ustroją,
 I zelżą ciebie hańbą sromotną,
 I w twoje piersi kamieniem grzmotną.
 Lecz wara kwilić! bo te męczarnie
 To gwiazda cześci na twoje łono:
 Wszak świat zabija proroki marnie,
 Wszak i Chrystusa tu umęczono.
 Chyba niekzemny zwolennik świata,
 Zbyt polubiwszy cielesny oków,
 Nie chciałby umrzeć śmiercią Sokrata,
 Umrzeć za prawdę — śmiercią proroków.
 O! tam Duch święty pewno nie świeci,
 Gdzie, gdy się dotknie cierpienia różga,
 Męczennik płacze, przeklęctwy bluzga,
 Jak dzisiejszego wieku poeci.

Gdy boli serce, więc jęki swemi
 Zioną przeklęctwa Niebu i ziemi;
 Kiedy pioruny palą im w głowę,
 Chcieliby wstąpić w ciemno grobowe,
 I hańbią siebie przez płacz niewieści,
 Że się fortuna z nimi nie pieści.
 Więc choć do liry wyścigiem śpieszą.
 Głos słabych piersi przepada w tłumie —
 Mętnej ich pieśni nikt nie rozumie:
 O! tacy wieszczę świata nie wskrzeszą.
 Nie ten cel pieśni — i mistrzom świętym
 Nie taka pieśnia z duszy się darła;

Cudem jej dźwięku kamień był tkniętym,
I wrzała w żyłach krew obumarła.

Ten, lejąc tony bystrym potokiem,
Śpiewał o przodkach wielkimi słowy,
Ten opowiadał wolę Jehowy
I przyszłość orlem przebijał okiem.
I biegły ludy, gdzie wieszcz im kazał:
Były to wielkie wieki na świecie,
I wielcy wieszczce, i wielcy ludzie;
Nikt się nikczemną skargą nie zmazał,
Że go już ciężar do ziemi gniecie,
Że pora spocząć po znojnym trudzie.

Wieszczu! daremnie inny się żali,
Że żadna pieśń ludzi nie wzruszy; —
Ty nam zakończ, przemów do duszy,
Śpiewaj, jak dawni mistrze śpiewali,
A od twej pieśni, jakby od cudu,
Wstąpi duch nowy do serca ludu.
Jako Izajasz zabrzmił ludowi,
Co przez twe usta Jehowa mówi, —
Lub po Homerów stąpając śladach,
Zanuć nam wielką pieśń o pradziadach,
Niech na cześć przodków głos się natęży,
Śpiewaj nam powieść ich cnót i męstwa,
Gwar ich obrady, szczęk ich oręży,
Głos ich modlitwy, błogosławieństwa:
Albo, jak Orfej, rozpierzchłe rody
Idź bratać cudem piosenki twojej!
Wieszczu miłości, śpiewaku zgody,
Cóż się przed siłą twoją ostoi?
Niech jeno niechęć, zemsta, niezgoda
Nie da się słyszeć w cierpkim rozgwarze;
Pan namaszczenia twej lirze doda
I strunom twoim dzielnie grać każe.

Nie dosyć duchem przejęci Bożym,
Wywołać cudu nie dosyć godni,
My, starzy piewcy, lirę już złożym,

Bóg pokolenie nowe odmłodni,
 I lepszą dolę piewcom przeznaczę,
 I da im zdobyć serca słuchaczy.
 Śpiewaj — a ludzie, co dziś jak głązy,
 Słuchać cię będą sercem wzruszonym,
 A zachwyceni uroczym tonem,
 Wszędzie pobiegną na twe rozkazy.
 I pod wielkiego śpiewaka wodzą
 Uderzą serca żądzą zaszczytną,
 I wielcy ludzie znów się odrodzą,
 I wielkie wieki znowu zakwitną.

Oto są wieszczka i pieśni cele:
 Dziecię! piąć będziesz takiemi tony...
 Jeśli odwagi i sił masz wiele,
 Jeżeli Duchem świętym natchniony,
 Spełnisz te cuda, późno, czy rano;
 Lecz jeśli-ć z Nieba głosu nie dano,
 Nie pragnij drzeć się w Parnasu szranki,
 Dostyc już dzisiaj pieją poety —
 Dziś za sonety i tryolety
 Nie zyskasz nawet łask u kochanki.
 Bo próżno śpiewać nadobnym licom,
 Wstrząsać słowiki, wody, zefiry:
 Naszego wieku mądrym dziewicom
 Milszy dźwięk złota nad dźwięki liry.

17 lipca 1847. Załącze.

NA ECHO DZWONU.

(SONET).

Co to za gwar poważny? Boże! co ja słyszę?
 Dzwonią stąd o dwie mile na Zdrowaś Marya,
 Echo święconej spiży w chmurach się kołysze
 I wilgotne wieczorne powietrze rozbija.

Aż wewnątrz mojej piersi, jak puste naczynie,
 Odbija cały odgłos z powagą i mocą;

Znać, że święcone echo, bo do serca płynie,
 Serce drgnęło modlitwą, w oku łzy migocą.
 Boże! któryś poświęcił i dał rozgłos chyży
 Echow twardych metali, żelaza i spiży,
 Poświęć mojego ducha i piosnkę mej duszy!
 A dozwól, niech brzemienna tony święconemi,
 Rozpłynie jak huk dzwonu po szerokiej ziemi
 I serca moich bliźnich ku cnocie poruszy!

1847. Załucze.

DO A. P.

„Wielki pan — piszą w gazecie —
 W tych dniach pożegnał się z ciałem.“
 Ot dalibóg nie wiedziałem,
 Że on kiedy żył na świecie.
 Pany wielmożne i jasne
 Giną w mroku niepamięci;
 A mnie się biednemu święci,
 Że ja niecały zagasnę,
 Że choć dzionek po mym zgonie
 Nie ulegnę czasu ręce,
 Że przeżyję w mej piosence,
 Albo w przyjacielskiem łonie.
 Nie zuchwałęz to nadzieje?...
 Ja coś roję... i być może...
 Wszak my ludzie, wielki Boże!
 Czy kto pracę potem leje,
 Czy kto pędzi dni w weselu,
 Śmierć jest wszystkich wspólną motą:
 Ten piechotą, ten karetą,
 Do jednego dążym celu.
 Ten złoży nieczułą głowę
 W cztery deski jedlinowe,
 A drugi w blasku omamień
 Legnie, by spróchnieć w hebanie...

Tym marmur na piersiach stanie,
 Tym prosty położą kamień...
 Kamień położą przy sośnie,
 Marmur cyprysem otoczą;
 Lecz się marmury zgruchoczą,
 Nim kamień mchami porośnie.

1847. Załucze.

ŚWIĘTA CHATA.

Jakaż święta moja chata,
 Gdy natchnienie nad nią lata,
 Gdy pod oknem w szumie brzoźki
 Daje myśli, stroi zgłoski,
 I z mej piersi cudem dziwa
 Całe piosnki wysnowywa!
 I przez okno jak jaskółka
 Piosnka leci w bratnie kółka:
 Przerwie smutki gdzieś sieroce,
 Lub z wesołym pochychoce:
 Jedne serca natchnie wiarą,
 W drugich wskrzesi miłość starą,
 Lub nadzieję w lepszym jutrze,
 Albo łezkę komuś utrze.
 O! ja wtedy, ja pan świata,
 Jakże święta moja chata!
 Jakże rada moja chata,
 Kiedy wita gościa-brata,
 Kiedy echem swojej ściany
 Głos odbija ukochany,
 Gdy spojony duchem ściślej
 Dzielę z bratem chleb i myśli!
 Brzęk puhara, gwar rozmowy
 Echo stroi w urok nowy,
 I przebywa w mej przestrzeni,
 Każda ściana się promieni;

W każdym oknie, w każdej stronie
Po dwa słońca zda się płonie...

1847. Załucze.

DO BOGA.

I.

Czy w wieńcu z globów, w słonecznej szacie,
Zasiadasz, Panie, w Twym Majestacie,
A tron Twój jasną otoczon tęczą,
A u stóp chóry Aniołów klęczą;
Czy Cię do łona tuli Marya,
Czy dziki grzesznik na krzyż przybija;
Czy w mojem sercu uśmierzasz burze,
Czy się objawiasz w pięknej naturze:
Wszędzie w Twą miłość ku światu wierzę,
Boga i ludu czytam przymierze.

II.

Wnet po Potopie, wielki Jehowo,
Skreśliłeś łukiem wstęgę tęczową,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że przebaczyłeś zbrodnie tej ziemi.
Po naszych grzechach i zbrodniach wielu
Szedłeś nas zbawić, Odkupicielu!
Szedłeś nawiedzić Twoją czeladkę;
Ziemską dziewicę wziąłeś za matkę
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg się brata z synami ziemi.

III.

I jako człowiek w braterskiem kole,
Znosiłeś ludzkie dole, niedole;
W ubogiej szacie, pieszo i boso,
Z chaty do chaty kroki Cię niosą.
I pozdrawiałaś jednemi słowy
Mędrce, książęta i rybołowy.

Rzekłeś do panów i biednej czerni:

„Bądźcie pokorni i miłosierni,
Miłujcie brzemię waszego krzyża,
Będzie podwyższon kto się poniża;
Zdeptajcie węza dumy i pychy,
Błogosławiony ubogi, cichy;
Błogosławiony, kto się u świata
Sprawiedliwości nie dokołata.“

Leczyłeś chorych w solimskim mieście,
Wskrzesiłeś syna smutnej niewieście,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Ze Bóg ukochał nędzarzów ziemi.

IV.

Lecz hardzi mędracy w swej synagodze
Twojej nauki zlekli się srodze
I zawrzeszczeli: Zgroza! ohyda!
Sieje zgorszenie ów syn Dawida.
On chce porównać gmin i bogaczy,
Porównać mędrców i lud prostaczy.
Biada nam możnym!... Próżna obawa:
Ukarzem śmiałka na mocy prawa.“
Oto za miastem między gór szczyty,
Bóg w środku łotrów na krzyż przybity;
Ranią Go włócznią wśród zbiegowiska,
Krew z Jego serca na ziemię tryska,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Ze Serce Boże zlało się ziemi.

V.

Nie tońcie wiecznie we łzach boleści:
Bóg wskrzesnął dla was na dni czterdzieści,
A kiedy ziemską kończy się praca,
Na łono Niebios znowu powraca;
Wraca w Niebiosa własną osobą,
I ciało człecze zabiera z Sobą,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Ze Pan ubóstwił lepiankę ziemi.

VI.

Człeku, uzacnion i spojón żywo
 Z Niebem i ziemią w jedno ogniwo,
 Masz w Niebie Ojca twym prośbom gwoli.
 Gdy ci niedobrze, gdy serce boli,
 Jeno jak dziecię uklęknąć trzeba,
 Ręce na piersi, oczy do Nieba,
 I tak Mu śmiało powiedz tve dzieje,
 Niech się otwarcie dusza wyleje.

VII.

Krzywda nam, Ojczy! bo dłoń zelżywa
 Ocuła usta, ręce skowywa;
 Przyszliśmy w nędzę, w urągowisko,
 Niebo wysoko — a piekło blisko;
 A w sercach przedsię waśń i niezgoda,
 Bliźni bliźniemu ręki nie poda...

1848. Załącze.

DO * * *

Ty mię nie kochaj, będzie nam swobodniej
 Modlić się wzajem, jako przyjaciele.
 Na co nam miłość? jam swobodny od niej,
 Bez zgryzot serca tve losy podzię.
 Chcę ciebie widzieć i cieszyć się głośno,
 Ścisnąć twą rękę, nie drażniąc nikogo,
 Nie jątrząc czyjąś źrenicę ukośną,
 Wyznać otwarcie, że mi jesteś drogą.
 Chcę w twoich chwilach smutku i niedoli
 Czuwać nad tobą i westchnąć głęboko,
 Śmiało zapytać: „Ach! co ciebie boli?“
 I łzy tve otrzeć, i rozchmurzyć oko.
 Na mojej drodze, gdzie cierniska dosyć,
 Kiedy mię zrani latorośl kolczata,
 Chcę głosem pewnym o ulgę poprosić:
 „Śpiesz, przyjaciółko, poratować brata!“

Wtedy się twojem podeprę ramieniem,
 Bez bicia serca, radośnie i zimnie:
 Świat się nie zgorszy, my nie zarumienim,
 Choć ja przy tobie, choć ty będziesz przy mnie.
 Niech drogę życia przy tobie przechodzę,
 A kiedy podróż ukończy się słodka,
 Niech oko nasze na ubiegłej drodze
 Żadnych wyrzutów sumienia nie spotka.
 Dręcząca miłość czyż dla nas zapewni
 Ufnej, niewinnej przyjaźni rozkosze?
 Bądźmy jak bracia, przyjaciele, krewni:
 Na co nam miłość? — nie kochaj mię, proszę!

1848. Załucze.

DO . . .

Odpowiedź na prośbę o napisanie gawędy.

(SONET).

O! przebacz, że mi dzisiaj konceptu nie starczy
 Tworzyć nowe gawędy i nowe obrazy,
 Mój umysł tak nieżyzny, jak grunt gospodarczy:
 Nie rodzi bujnych plonów wciąż po kilka razy.

Ja myśli, jako grunta, na trzy zmiany dzielę:
 Najprzód żyto się rodzi korzystnie, bogato,
 Potem drobna jarzyna, bławatki i ziele,
 Nakoniec myśl na ugór puszczam całe lato.

Ja słyszałem o waszych cudach płodozmianu,
 Ale nie chcąc wysilać mą skibę poparną,
 Wolę staroświeckiego pilnować się planu;

Bo jeśli agronomiąc mądrze i z wysoka,
 I gruntu nie ulepszę, i zmarnuję ziarno,
 Zginie z głodu i pracy pegaz-bronowłoka.

1848. Załucze.

DO J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ty mię wołasz do pieśni, chcesz na moją głowę
 Gwałtem wcisnąć promienie i wieńce laurowe,
 Mówisz o mych wierszykach, że te w swoim czasie
 Dadzą mi znakomite miejsce na Parnasie,
 Że trzeba tylko śpiewać, wołą czy niewołą,
 Choć tam w gardle zachrypło, choć tam piersi bołą,
 Choć słuchacze posnęli, — radzi czy nieradzi,
 Dadzą oklask, co wieszczą na gwiazdach posadzi.

Winienem ci zaiste za balsam różanny
 Dać ukłon debiutanta i rumieniec panny;
 Winienem wyrzec głosem skromnego zachwytu:
 Domine! non sum dignus takiego zaszczytu!

Lecz dzisiaj u nas jarmark, a święty Mikoła
 Trochę miódkiem szlacheckim stuknął mi do czoła;
 A więc ci śmielej powiem, powiem i powtórzę:
 Choćbyście dali patent i na oślejk skórze
 Na wielkiego śpiewaka, wielkiego poetę,
 Jak Homer lub Wirgili, Tasso albo Goethe,
 Ja i wtedy zaiste rozmyślałbym jeszcze,
 Czy warto być poetą i co to są wieszczę?

Poeta rodzi wiersze — ej, boleść zbójceka
 Rozdzierać własne piersi dla porodu dziecka,
 Zakrwawiać biedne serce, wstrząsać nerw po nerwie,
 Rozogniać mózg, co głowy ledwie nie rozerwie,
 Opłukać łzami oczy, znosić trud czartowski,
 Mierzyć długość wyrazów i dobierać zgłoski,
 A tak z rozbitą głową i z rozdartem łonem
 Rzucac się, jak szaleniec, nad brzydkim brulionem!

Oto już wiersz skończony, co-ć dał się we znaki:
 Jest końcówka, średniówka, jest sens siaki taki;
 Lecz idą dalsze trudy, znasz je szczegółowie.
 A po czemu dziś wiersze? niech ci księgarz powie.
 On ci jasno wyłuszczy: że to marna praca,
 Że dzisiaj rymowany towar nie popłaca,

Że teraz pisać wiersze zupełnie nie pora,
 Że się tylko drukują N a k ł a d e m A u t o r a ;
 Że zatem... No, autorze, dopełnij już miarki,
 Trzęś z ojcowskiej szkatuły zakwitłe talarki,
 Będziesz wielkim i sławnym...

O, już dzięki Bogu
 W porządku alfabetu stoisz w katalogu!
 Świat cię porwał i czyta, a krytyk dla cześci
 W kronice literackiej tve imię zamieści.
 Tocz na Parnas twą chwałę, jak kamień Syzyfa:
 Tu spotkasz się z Grabowskim, tam trafisz na Gryfa,
 Tam recenzent z Warszawy, z Poznania, ze Lwowa,
 Ciągnie cię za końcówki, porywa za słowa,
 Jeden woła, że idziesz w liberałnej drodze,
 Drugi krzyczy: „Postępu tutaj nie znachodzę!“

Dobrze ci tak, poeto! Na cóż było, na co
 Stroić lube tve dziecię, jak gminny pajaco?
 Uczucie, to skarb serca, pielęgnuj go w ciszy,
 Myśl twoją miej dla siebie, niech jej nikt nie słyszy.
 Myśl, czucie, to tve dzieci... zdala z niemi, zdala!
 Niechaj się ich niewinność na świecie nie skala,
 Niech ich żaden dowcipniś, niech żaden zabójca
 Nie napoi trucizną na zagładę ojca.

Otóż wierszyk, igraszka, dzieciństwo i kwita,
 Ma nam żółcią i octem przegryzać jelita!
 Jam jeszcze tych przysmaków nie kosztował prawie,
 Lecz z góry nie smakuję w tej cudnej potrawie.
 Gdybym miał talent wieszczca, gdyby mi Jehowa
 Włożył w usta prorocze uroczyste słowa
 I kazał głosić światu, tem słowem przejęty,
 Dałbym się kamienować, jako Szczepan święty;
 Ale dziś w pospolitych wierszokletów kole
 Na co nam nosić guzy daremne na czole?
 Na co mam się zapędzać na pieśni olbrzymie?
 Świat i bez naszych pieśni doskonale drzemie;
 Na co mamy go budzić, kłopotać mu głowę?
 Szczęść mu Bóg w preferansie na asy kierowe!

On je chętniej pojmuje niżli serce nasze;
 Niechaj lirę waletom pikowym przypasze,
 Niechaj treflowym damom swe uczucia niesie.

Piosnko! królowo serca, rządź w swoim zakresie!
 Tu, tu... w kryjówkach duszy, my z tobą cichaczem
 Pośmiejem się, pomyślim, pomarzmy, zapłaczem!

A ty Wiaro! Nadziejo! ty Miłości Boża!
 Czasem ja przyjdę z harfą do twego podnoża:
 Pobłogosław me pieśni, jako wdowie grosze,
 Czy je w ciszy zanucę, czy światu wygłoszę.
 Błogosław, kiedy wielbiąc, co wielkie i piękne,
 Czasem sobie po prostu na luteńce brzęknę!
 Niech w uroczym odbrzęku moja pieśń ulata
 Na chwałę Pana Boga i pożytek świata.

Grudzień 1848. Załucze.

N A T C H N I E N I E.

Są gdzieś w głowie myśli — cacka,
 Są gdzieś czucia w piersiach z gliny,
 Jest coś w świecie, co znienacka
 Targnie czasem te sprężyny,
 I rozbudzi śpiące tętno,
 I wywoła myśl pamiętną.
 Rzadko kiedy gość ten spłynie,
 Krótko bawi i ucieka;
 Ale póki on w gościnie,
 Czarodziejstwo w duszy człeka!
 Człek odchodzi od pamięci,
 Bosko marzy, łąza się kręci,
 Mżą się kręgi przed oczyma,
 Serce bije, włos się wzdyma,
 Krew ukropem w żyłach bieży,
 Twarz w promieniach, czoło w pocie,
 Aż westchnienie pierś odświeży,
 Jako wietrzyk po spiekocie.

Wtedy spojrzysz na naturę:
 W czarującej świat postaci!
 Człekby śpiewał, leciał w górę,
 I uściskał ludzi braci...
 Ach, w tym stanie tak słodziutko
 Wiekuiste żyćby lata!
 Lecz gość miły bawi krótko,
 Lada zimne tchnienie świata,
 Lada mgnienie, lada chwila,
 Pierzcha bystrzej od motyla.
 Głowa zimniej, zimniej marzy,
 Serce słabiej bić poczyna,
 Ustępuje ogień z twarzy,
 Człowiek znowu — kość i glina.

1849. Załącze.

GAWĘDA O BOCIANIE.

I.

Wiatr chłodno westchnął i mgłami kręci,
 Zima już blisko, ej blisko!
 Bocian poważny, stróż sianożęci,
 Rozpuszcza skrzydła, tumani, męci,
 I zwolna płynie na rżysko.
 Siadł, zaklekotał, zwiesił dziób duży
 I zamknął poważnie oko.
 Snadź syn litewski marzy głęboko
 O swej zamorskiej podróży.

II.

Miłoś to lecieć w auzońską stronę,
 Miło coś widzieć i wiedzieć,
 A rozważając trudy minione,
 Plondrować Nilu brzegi zielone,
 Na piramidzie posiedzieć!
 Lecz ach! wiadomo jednemu Bogu,
 Czy ujdę śmierci lub klęski?

Czy wrócę jeszcze w kraj nadniemeński?
Siądź na kupie murogu?

III.

O błonie Litwy! cudneż to błonie!
Tu wszystko szczęściem rozmarzy;
Słonko ciepłuchne, sianożęć wionie,
Dziatwa klekoce, a tam na stronie
Słychać brząkanie kosarzy.
Słodkoż tu było! — Bóg wie co dalej?
Czy wracać już będzie poco?
Może dąb z gniazdem zamieć obali,
Lub kry wiosenne zgruchocą?!

IV.

Lepiejby swemi czuwać oczyma
W miejscu, gdzie szczęścia tak wiele;
Lecz piersi czują, że idzie zima,
Na żółtej łące już żeru niema,
Za chwilę śnieg ją zaściele!
I ptak — opiekun błoni ojczystej,
Wyprężył dziób swój czerwony,
Podbiegł, rozwinął lot zamaszysty...
Uleciał w auzońskie strony.

1849. Załucze.

 S K U T K I.

Kiedy dziewczę wzrok wyteża,
Jakby dostać męża;
Kiedy młodzian stroi postać,
Jakby posag dostać;
Gdy rachuba, potem stuła
Ten związek zasnuła:
Och, poznają po swej klęsce,
Że krzywoprzysięzce!
A gdy sobie nie uwierzą,
Niech spojrzą na dzieci:

Ojciec stworzył, Syn odkupił,
A Duch nie oświeci.

1849. Załucze.

DO A. E. ODYŃCA,

jako redaktora „Kuryera Wileńskiego“, prosząc o umieszczenie
w tymże „Kuryerze“ awizacyi.

Zbliża się wiosna i święty Jerzy:
Niejeden słodkie zamiary tworzy,
Że posiadłości swoje rozszerzy,
Że kapitały swoje pomnoży,
Że swoim złotem skusi hołysze
I dusze bliźnich w wieczność zapisze.
Lecz to nie dla nas, panie Edwardzie,
My nieodrodni synowie Feba,
Ziemską mamonę mamy w pogardzie,
Szerokich włości dla nas nie trzeba.
Byleby strzecha choć niskiej chaty,
Serce przy sercu, szelest strumyka,
Dobre cygarko, kufel herbaty,
To już aż nadto dla śmiertelnika!
Lecz mnie, niestety! na mej dzierzawie
Nie dano zażyć takiej rozkoszy:
Piaszczysta niwa nie rodzi prawie,
Znikomy pieniądz wnet się rozproszy,
Dziedzic majową ratówkę liczy,
W karczmie lichota, na wiosce bieda,
Nawet poważnie grozi leśniczy,
Że na kominek drzewa mi nie da.
Jakże, skłopotan, serce rozdzielię
Kochanym książkom i lubej dziatwie?
Jakże myślami w górę wystrzeleję?
Jakże się z lutnią moją załatwię?
O! gdyby jedna szczupła siedziba!
Nie miałbym losom złorzeczyć poco!

Panie Edwardzie! ty jeden chyba
 Moim zamiarom będziesz pomocą...

Promieniem wieszczów płonie twa głowa,
 W piersiach Apollo złożył piosenkę,
 A na dobitkę, muza dziejowa
 Rylec z tablicą dała ci w rękę.
 Wzrok twój zapuszczasz po całym globie,
 Czy kędy wojna, czy gdzie przymierze,
 Kto się narodził, kto spoczął w grobie,
 Wszystko zamieszczasz w swoim *Kuryerze*.
 Czy kto potwierdzon w jakim urzędzie,
 Czy się stronnictwo w Izbach kojarzy,
 Czy Bonaparte przegląd odbędzie,
 Czy król hiszpański z żoną się swarzy,
 Rozprawy mędrców, wyścigi koni,
 W twojej gazecie jakby na dłoni.

Ale nietylko ważnemi dzieje
 Twojego pisma karta bogata:
 Oto na końcu papier szarzeje,
 I tam już miejsce drobnostkom świata.
 Czy ziomek z ziomkiem procesa wie dzie,
 Czy muzykalna gwiazda błysnęła,
 I Zimmermana angielskie śledzie,
 I u księgarza najnowsze dzieła,
 Peruki, kwiaty, cukry, sardele,
 Na jednej karcie tłoczą się śmieje.
 I cała Litwa przez pismo twoje
 Dwakroć na tydzień wieści odbierze:
 Jednego bawią szwajcarskie boje,
 Drugi smakuje w szwajcarskim serze;
 Tak pośrednictwem twoich arkuszy
 Litwa ma pokarm ciała i duszy.

Otóż niech twoja grzmiąca gazeta
 Trzykroć ogłosi na świat szeroki:
 Że pewny sobie chudy poeta
 Chce kupić ziemi ze cztery włoki;
 Chce kupić strzechę, co go osłoni

Od skwarów lata i wichrów zimy,
 Gdzieby spokojny, z lutnią we dłoni,
 Mógł chwalić Boga i klecić rymy.
 Niechby w widoku z okna mu były
 Wioskowe strzechy, ciche mogiły,
 Kędyby witać sielskie przechodnie,
 Gdzieby zapłakać można wygodnie.
 Niechby serdeczna ciżba wieśniacza
 Była mi rada, gdy ją odwiedzę;
 Niech mię przyroda piękna otacza,
 A dobry sąsiad mieszka o miedzę.
 A gdybym słyszał brzękot kosarzy,
 A gdybym widział, jako żną zboże!...
 O takiej schedzie wciąż mi się marzy,
 Twem pośrednictwem kupię ją może.
 Tam, tworząc mały i skromny świeatek,
 Twojej gazety uczczę D o d a t e k,
 A na K u r y e r a (daj mu Bóg zdrowie)
 Prenumeratę co rok odnowię.

Oto już marzę, marzę z pociechą,
 Uroczą przyszłość widzę w oddali:
 Oto pan Edward pod moją strzechą
 Na przywitanie — Chrystusa chwali...
 Witaj mi, witaj, gościu nad gości!
 Dobrym uczynkiem rozwesel łono!
 Patrz na mój dworek: co tu piękności!
 Jak tu cienisto, jak tu zielono!
 A jaki rzeźwy chłodek na lato!
 Bo ja mam klony i dęby w lesie.
 Tam cię uraczę wiejską herbatą,
 Tam będziem gwarzyć, co myśl przyniesie;
 Będziem śpiewać — słodka pociecho!
 Z lasem na własność kupilem echo,
 Co za pańszczyznę wtórować będzie
 Wesolej pieśni albo gawędzie...

ZAWCZEŚNIE.

Poranek kwietniowy, do wiosnyśmy chętni,
 A ziemia zamarzła chrupoce i tętni;
 Pod murem lodowym śpi Niemna odnoga,
 A wzywa skowronka już praca.
 Wstał, przeczuł, że zima skończyła się sroga,
 Z modlitwą poranną poleciał do Boga,
 Z błogosławieństwem powraca.

Na szarym zagonie, nim ciepło zawionie,
 Skowronku, zatrzymaj swe pieśni!
 Rolnicy z pługami iść jeszcze nie mogą.
 Dla kogo twój śpiewek? zachęta dla kogo?
 Zawcześnie, skowronku, zawcześnie!
 Poeto! napróżno twój zapał cię skłania
 Opiewać i wiosnę, i dzień zmartwychwstania:
 Grób jeszcze Chrystusa opłakać należy
 I całun śniegowy nad wiosną.
 Zachowaj na potem twój śpiewek tak świeży,
 Aż młodsze uczucie w pierś ludu uderzy,
 A kwiaty na łąkach wyrosną.

Aż w skrzepłym ich łonie nim życie zawionie,
 Zachowaj, poeto, twe pieśni!
 Wszak pieśni tryumfu wysłuchać nie mogą.
 Dla kogo twój śpiewek? zachęta dla kogo?
 Zawcześnie, poeto, zawcześnie!

Poeta i ptaszek, śpiewacy rozgłośni,
 Zaledwie uczuli, że w piersiach się wiośni.
 Probują i tężą swój zapał śpiewaczy,
 Choć wichur zadyma im płuca.
 O! śpiewak szczęśliwy, że wiosnę obaczy,
 Niepomny, że zima, że próżen słuchaczy,
 Nadziei i pieśń nie rzuca.

— „Na sercu tak lubo! precz, zimna rachubo!
 „Śpiewajmy, bo przestać boleśnie.“

Czekajcie do chwili, któż maj nam umili?

Zawcześnie, śpiewacy, zawcześnie!

— „Niepłonne śpiewanie, niepłonna zachęta;

„Bo głos Alleluja! zahula na święta.

„Oracze do siejby gotują swe pługi,

„My drogi gotujmy za rano.

„Rozgrzejem tymczasem lodowe szarugi,

„Obudziem, ożywim i serca, i smugi,

„Nam wiosnę ogłosić kazano.

„Gdy znikną już szrony, nasz zawód skończony,

„Ci, co wam wróżyli przedwieśnie,

„Już sami wypoczną, ku ziemi lot skreca,

„I wiosnę, i lato dla siebie poświęca.

„Słowiki! dokończcie ich pieśnie!“

— „Ja mała ptaszyna, mam piosnkę w mem łonie,

„Śpiewam ją z rozgłośnym wyrazem;

„Modłę się do Nieba i jedno wciąż dzwonię,

„By zboże wyrosło na moim zagonie,

„Gdzie domek złożyłem pod głazem.

„Modłę się rolnikom o deszczyk ciepławy:

„Ach! kiedy niegęste i kłosa, i trawy,

„To orzeł me gniazdo spostrzeże!

„Rozbudzam oracza, ten idąc, przy sosze,

„Słucha mej piosenki, wie, o co ja proszę,

„I swoje dołącza pacierze!“

Tak śpiewał skowronek, aż z serca, aż z głębi,

I roił nadzieje szczęśliwe.

Posłyszał piosenkę słuch bystry jastrzębi,

Drapieżca spadł gromem na niwę:

Krew bryzła na trawę, i piórka szarawe,

I życie minęło, jak we śnie.

Już orzą sielanie, lecz głucho na łanie,

Bo zginął skowronek za wcześniej!

— „Na jawie tak rzewnie, a we śnie tak błogo,

„A w piersiach coś iskrzy się, budzi:

„To pieśni przeczucia, co jeszcze nie mogą
 „Przydziać się w kształty, niebieską pójść drogą
 „I w słowach wypłynąć do ludzi.

„Uroczu, radośnie przeczuję przedwiośnie,
 „Lecz sroży się zima straszliwa;
 „Choć serce coś śpiewa, wiatr tony odwiewa
 „I znowu je w sercu skowywa.

„Jam przecię poeta! tchnę przeciw zawiei
 „I słowem ognistem lód skruszę;
 „Zaśpiewam modlitwę — i wnet po kolei
 „I w domku człowieka, i w polu, i w kniei
 „Rozwiośnie i kwiatki, i dusze.

„O! i sam odetchnę dziecinniej i słodziej,
 „I znowu się życiem rozżarzę,
 „Zabłądę w zarośla, popłynę na łodzi,
 „Obejrzę, jak zboże, jak kwiatek mi wschodzi,
 „Z oraczem na polu pogwarzę.

„Tam pasterz w róg brząka, tu słyszę skowronka,
 „Serce się rozmarzy, roześni;
 „Natura, swobodna, natchnienia mi doda
 „I nutę poszepnie do pieśni.“

Tak śpiewak miał wiosnę wywołać zieloną;
 Podśluchał go wicher daleki:
 Wymierzył pęd w głowę, marzeniem ognioną,
 Szarugą i śniegiem uderzył mu w łono
 I zakuł je lodem na wieki.

I oto przy trumnie lud ciśnie się tłunnie.
 I dzwonek kołata boleśnie,
 I w jamę ksiądz tłoczy śnieg z piaskiem na oczy
 Poety, co śpiewał zawcześnie.

W IMIENNIKU

STANISŁAWA MONIUSZKI.

Gdy widzę promienne, natchnione twe oko,
Gdy słyszę twą piosnkę natchnioną, —
Łaskawą Opatrzność uwielbiam głęboko,
Że iskrę skrzesła w twe łono,
Że pamięć o Litwie w Niebiosach się mieści,
Że piewczę pomiędzy nas budzi,
Że twojem imieniem i blaskiem twej cześci
Powiększa cześć naszą u ludzi.
Lecz jeszcze nie tutaj twa wielkość się znaczy,
Tu pełni Opatrzność swe plany.
Bóg natchnął ci twórczość, wlał ogień śpiewaczy,
Ty śpiewasz, boś na to zesłany.
Serdeczniej podziwiać i kochać cię będziem,
Żeś Litwie poświęcił się cały,
Żeś stanął, jak Orfej z muzycznym narzędziem,
Rozmięczać kamienie i skały.
Widziałem po świecie, jak pieśni twej siłą
Zawrzały kamienne umysły,
Jak oko, co dotąd bezmyślnie świeciło,
Poczuło, że łyzy mu wytrysły.
Słyszałem, jak napiew, przez ciebie schwycony
Na polu, lub w chacie rolnika,
Napawa urokiem litewskie salony
I swojskiem uczuciem przenika.
Cześć tobie, pieśniarzu! harmonie śpiewacze
Rozniosą braterstwo — jak cudem:
O! kto raz przy piosnce ludowej zapłacze,
Przestanie się pastwić nad ludem!
Litwini ulegną pieśniowej potędze,
Zbliżą się z rodzinną szczerotą,
I Litwin we złocie, i Litwin w siermiedze
W braterskich uściskach się splecą.

SZCZĘŚCIE.

(Z OKOLICZNOŚCI).

„Szczęścia! szczęścia!“ ludzie krzyczą jedni za drugimi,
Rozebrali wszystko złoto, wszystką chwałę ziemi;
Każdy szuka swego szczęścia, ile tylko może:
I ja staję do podziału... i ja dziecię Boże!
Mnie nie trzeba waszej cześci i waszego złota,
Alem przecię brat wasz, ludzie, nie błędny sierota.
Gońcie zdrowi, co kto złowi, mego nie weźmiecie,
Bo i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Lubię marzyć, lubię bujać, ale marzę skromnie,
Mało trzeba, aby szczęście zawitało do mnie:
Trochę słońca, trochę życia, to mi dusza wskrześnie,
Trochę ciszy, trochę czasu, to ułożę pieśnię;
Trochę serca, coby spoić z mej piersi oddechem,
Czasem łezką, czasem dumką, albo pustym śmiechem.
Skromne cele — ach! niewiele požądam, jak dziecię;
Lecz i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Kładę rękę na me czoło, na mą pierś niebogą:
Nie mam myśli, nie mam uczuć, co rumienić mogą;
W mojej myśli, w słabej myśli, żyje ludzkość sama,
W mojem sercu radbym zmieścić cały ród Adama.
Ale ludzie na me skronie kładą wieniec z cierni,
Jeden myśli me zabija, drugi serce czerni.
Za co? za co tak mi płacą? jam nie winien przecie,
A i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Gdy chcę śpiewać, wnet zahuczy jakiś grom złowieszczy;
Gdy chcę dumać, tłum niesforny ponad głowę wrzeszczy:
Gdy jutrzeńka błysnie sercu, czoło się wygładzi,
Oni karać mię za szczęście, kamieniować radzi.
Tłumy szydzą, żem zaniechał poziomych korzyści:
O! nie pojmie czystych chęci, kto się nie oczyści!
Ja wam w drogę zajść nie mogę, wy idźcie, gdzie chcecie,
Lecz i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Należy mi trochę szczęścia, takiego jak roję,
 Za niewinne pieśni moje, za cierpienia moje.
 Poszanuję moją ciszę, kiedy pieśń sposobie,
 Złoto wasze, chwałę waszą zachowajcie sobie.
 Wierzcie w czystość mojej duszy, nie złorzeczcie tyle,
 Kiedy sercu znękanemu dam folgę na chwilę.
 Zniosłem wiernie wasze ciernie, a gdzież moje kwiecie?
 Wszak i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

1850. Załucze.

KŁÓTNIA I ZGODA.

Z miłej zgody przyszły kłótnie
 Wśród płóchej swawoli.
 Człek żądlastem słówkiem utnie,
 A tu serce boli.
 Szkoda ranić złemi żarty,
 Ale trudna rada:
 Trzeba dowieść, żem uparty,
 Gniewać się wypada.
 U niej także gniew na twarzy,
 Wie, co mię obchodzi,
 I z kim innym niby gwarzy,
 A w serce mi godzi.
 Albo milcząc, myśli w gniewie
 Bóg święty wie o czem.
 Wszyscy patrzą, a nikt nie wie,
 Że my wojnę toczym.
 Ale trudnoż walki znosić,
 Więc mi rękę poda:
 — „Dość tych wojen! dosyć, dosyć!
 Już na zawsze zgoda.“
 I tak wdzięcznie główkę skłania,
 Rumieni oblicze,
 Że dla szczęścia pojednania,
 Znów kłócić się życzę...

HOMEROWA DZIATWA.

Boże mój, Boże! jak to poecie
 Trudno i nudno żyć na tym świecie!
 Każdego kocha, ufa bez granic,
 I w sercach rymu dla serca szuka;
 A dobrzy ludzie mają go za nic,
 Bo zwieść poetę niewielka sztuka.
 Przecież go każdy zwodzić ochoczy,
 My tacy prości, a oni biegli!
 Więc na złość światu zamknijmy oczy,
 Udajmy, żeśmy nic nie postrzegli.
 Niech zwodzi przyjaźń, zwodzi niewiasta,
 Niech szarpie krytyk, lichwiarz odziera:
 Ślepym był Homer, nasz protoplasta,
 Więc bądźmy ślepi na cześć Homera.

1851. Załucze.

PRZEDWIOŚNIE.

Na dworze niby lato, niby jeszcze zima,
 Jeszcze świat, jeszcze serce, jak gdyby pod pleśnią.
 Jeszcze się pierś wiośnianem uczuciem nie wzdyma,
 Ptak się jeszcze swobodną nie rozhulał pieśnią.
 Pora wiośnie i dawno! a skądże to dziwo,
 Że tak źle się rozwija i pączek, i trawa?
 Leniwo biją pulsa, pieśń płynie leniwo,
 Jest wiosna, ale czegoś wiośnie nie dostawa.
 I rzekł mi siwy starzec: „O, wiosna już blizka,
 Znam to, bo kopę wiosen miałem przed oczyma;
 Lecz jeszcze, widzisz aspan, mgła zimowa ścisła,
 Póki grzmotu nie będzie, to i wiosny niema.“
 Ja, kochanek spokoju, trwożę, się i blednę,
 Kiedy burza zawyje, kiedy grzmot zatrzaska;
 Rozedrą się w źrenicach moje oczy biedne,
 Gdy w chmurze błyskawiczna zamży się przepaska!

Mnież się modlić o grzmoty? A jednakże łono
 Tak spragnione odetchnąć w wiośnianej naturze!
 O, jeżeli wam zimę zakończyć sądzono,
 Pośpieszcie czarne chmury i ogniste burze!

1 kwietnia 1851. Załucze.

ORACZ DO SKOWRONKA.

I.

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
 I my ludzie, i wy ptaszki, wszystko dzieci Boże.
 Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,
 Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.
 Tyś, skowronku, mój towarzysz, choć w nierównej doli,
 O kochaniu jeno marzysz twemu sereu gwoli;
 Tyś szczęśliwy i wesoły, gdy jutrznia poranna,
 Lecisz w górę, by z Anioły zaśpiewać: *H o s a n n a!*
 Z twojej piosenki rade Nieba, i Pan Bóg się cieszy,
 Że ptaszkowi mało trzeba i dziękować śpieszy —
 Że, różnemi gwarząc tony, głosisz w kraj daleki:
 „Niechże będzie pochwalony, na wieki! na wieki!“

II.

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
 Lecisz w Niebo, za oraczem pomódl się, niebożę!
 Mów, żeś krążąc wedle sioła, widział biedy nasze,
 W głodzie wiosna niewesoła, jako wiosny ptasze.
 Człowiek świtem ze snu wskrześnie, ale rąk nie dźwiga,
 Chciałby śpiewać świętą pieśnię, głodna pierś zastyga.
 Za nic wiosny widok rzewny i krasna jutrozenka,
 Gdy co rano dzwon cerkiewny po umarłym stęka.
 Działwa jęczy, człek się błąka, z łez świata nie baczy —
 Wiosną życie dla skowronka, a śmierć dla oraczy...
 Módl się, ptaszku! Bóg wzruszony doda nam opieki,
 I niech będzie pochwalony na wieki! na wieki!

10 kwietnia 1851. Załucze.

POGRZEB MŁODEGO ROLNIKA.

SIELANKA.

Wczora, młody Łazarzu, śledząc wzrok twój pilno,
I słysząc w zeschłych piersiach muzykę mogilną,
Tętno, co słabo kołata,
Kłamałem twej rodzinie, i tobie i sobie,
Że cię ręka lekarza podźwignie w chorobie,
Że jeszcze wrócisz do świata.

Dzisiaj — w jodłowej trumnie leży trup młodzieńczy,
Matka, upadłszy na twarz, żałośliwie jęczy,
Głową o trumnę uderza;
Na ławie cudzy ludzie wzdychają przy czarce,
Wzdycha ojciec, że stracił pomoc w gospodarce,
A dzwonnik śpiewa z psalterza.

Promień rannej jutrzemki do chaty się wciska,
I jakby dla zniewagi, dla urągowiska,
Twarz trupią oświeca jaśnie.
Stosowniejsza dla ciebie, o biedny młodzianie!
Lampa, co krwią migoce na szerniałej ścianie,
Buchnie... to znowu przygaśnie...

Biją w dzwonek cerkiewny... to już hasło znaczy,
Że skończona przy grobie robota kopaczy,
Już robak czeka w mogile!

Już przychodzi ksiądz z krzyżem... O, zaczekaj, księżu!
Nim ojciec czarne woły do wozu zaprzęże,
Zostaw nam gościa przez chwilę...

Zakołatała wieko wierna ręka cieśli,
Wóz słomą potrząsnęli i trumnę wynieśli,
Karawan chatę wymija.

Z złotymi gromnicami, w uroczystej parze,
Śpiewając podchmieleni idą gospodarze,
Płacz niewiast Niebo przebija.

Nawet wójt, choć twarz jego tak groźna i dzika,
Uszanował pokłonem trumnę nieboszczyka.
Młodzieńcze! straszno ci w grobie?

W obumarłych źrenicach łza ci pewno stoi,
 Żal sercu rzucać wioskę, gdzie cudzy i swoi
 Tak rzewnie płaczą po tobie?

A jednak ja, przychodzień, co patrzę z daleka,
 Czuję, jak się krew moja pod sercem zapieka,
 Jak mię pot zimny opływa:

To nie po tobie płaczą — o! im tylko szkoda,
 Że zakrzepła na zawsze twoja ręka młoda
 Do sianokosu i żniwa.

Bo twa ręka z siekierą była oswojona,
 Bo już sochę dźwigały twe młode ramiona,
 Już zdobywałeś kęs chleba!

Cóż za dziw, że rodzina, że wójt nawet czuły?
 Bo się twoje ramiona z zaprzęgu wyzuły...
 To żal nie taki, jak trzeba!...

Idzie młoda żniwiarka z zakwieconą głową...
 Może westchnie... wyleje łezkę ukradkową,
 Święte współczucie obudzi.

Gdzie tam? póki zaręczyn nie zapiją starzy,
 Żadne się młode dziewczę kochać nie odważy —
 Płakać po chłopcu... wstyd ludzi!

Ostrożna!... Gdyby świat ten nie był zimnym tyle,
 Smutnoby ci tak młodo zakostnieć w mogile,
 Nie chciałbyś rzucać nas może;

Cierpiałbyś, jakby-ć serce na połowę darto...
 Ale teraz, poznawszy, że i żyć niewarto,
 Pokochasz grób twój, niebożę!

Przy mogile gromadki zbierają się tłumne —
 Słychać, jak garści piasku uderzają w trumnę,
 Już spoczął w ziemi syn kmieci;

I kłodę położyli na jego kurhanie,
 I dzwonek ostateczne zagrał pożegnanie:
 Niech wieczna światłość mu świeci!

Wieczorem, wy umarli, niekiedy umiecie,
 Wziąwszy postać upiora, błąkać się po świecie,
 Odwiedzać rodzinne sioła

I u lubego okna podsłuchywać z cicha,
Czy rodzina pamięta, czy kochanka wzdycha,
Czy kto twe imię zawoła?

Nie chodź, młody upiorze, do lubej, do braci,
Bo ci się twa ciekawość boleśnie odplaci!

Za miesiąc — obaczysz pono
Grób twój w zielsku, a imię w niepamięci ludzi.
Śpij twardo, póki Pan Bóg ze snu cię nie zbudzi,
Zapomnij przeszłość minioną!

10 sierpnia 1851. Załucze.

DO FLETNI.

Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Dość spoczywać nam doma!
Na równinach i w lesie,
Twoja nuta znajoma
Niechaj piosnkę rozniesie;
Ponad braterską strzechą
Niechaj rozbudzi echo,
Niechaj echo rozbudzi,
Niechaj piosnkę rozleje,
Niech przemówi do ludzi,
Słówkiem dobrej nadzieje;
Niech się w sercach rozgości,
Jak zwiastunka miłości.
Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Ten, co strugał cię z drzewa,
Dał ci tonów niewiele:
Jednym głosem się śpiewa
Panu Bogu w kościele,
Drugim ojców ziemica,
Trzecim krasna dziewica.

Dla słowiańskich pieśniarzy
Tego trojga już dosyć;
Co się jeno zamarzy,
Wszystko można wygłosić.
My sobie ludzie prości
Żyjem wedle miłości.

Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Dzisiaj z pieśnią nielada
Nam wystąpić się zdarza;
Bo przybyła gromada,
By posłuchać pieśniarza.
Przyjmiem, przyjmiem brat brata,
Jako chata bogata.
Niech gromada wybaczy,
Że uboga gościna;
Nie postawim kołaczy,
Ani wina węgrzyna;
Lecz zapiejem dla gości
Pieśń słowiańskiej miłości.

Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Bez długiego zachodu
Ujmiem gości najłodziej,
Piosnką starszą od miodu,
Co warzył Piast kołodziej, —
Piosnkę o tem, co czyni
Młoda Lachów kniahini,
Jak dziad stary i ślepy
Zwalczał smoki i źmije,
Jak w kamienne oszczepy
Chrobra młodzież się bije,
Kto jej chwały zazdrości,
Kto umiera z miłości...

1851. Załącze.

LIRNIK WIOSKOWY.

SIELANKA.

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
 Snadź ciebie wyrobiono!
 Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
 Zaraz mi kipi łono.
 Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,
 I smutno, i wesoło;
 Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
 Przechodzę całe sioło!
 Z tobą się nie zapieszczę: i dzień, i noc, i jeszcze...
 Jeszcze grałbym bez końca;
 Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy
 Uderza krew gorąca.
 Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
 Przecię tonów nie zniżę;
 Nie żałuję mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,
 Skonam, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Niebezpieczneś narzędzie!
 Jakby w piekle, jak w Niebie, kto się dotknął do ciebie,
 Wiecznie pamiętać będzie!
 Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
 I tęsknota ogarnie.
 Tyś pokaraniem Bożem! z tobą, jak z ostrym nożem,
 Nie żartować bezkarnie.
 Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
 Jakby ostrzem przenika;
 A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,
 Co tam w duszy lirnika?
 Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
 Że mnie tak chętna bodzie:

Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
 Dobrym ludziom w gospodzie;
 Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
 Niech ją dźwiękiem otoczą,
 Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
 Czy się bawi ochoczo.
 Patrzcie na dziewczę moją! przy niej chłopcy się roją . . .
 Śmieszne, śmieszne ludziska!
 Jeden wążem się chwali, drugi mieczem ze stali,
 Trzeci srebrem połyska.
 Mnie Bóg więcej przeznacza: znaj, co hardość śpie-
 Ja przed nikim nie zniżę [wacza!
 Ani pieśni, ni głowy, — hardy lirnik wioskowy
 Skonam, grając na lirze!

III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Wątle z tobą nadzieje!
 Snadź twe piosnki niepiękne: czy przed Bogiem ukłęk-
 Czy dla ludzi zapieję, [nę,
 Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,
 Serc braterskich nie zjedna;
 Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,
 O doło moja biedna!
 Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
 Ku Bogu głos wyteżę,
 Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
 Smutnym tonem mitręzę.
 Kiedy pójde we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
 Młodzież i starcy w domu,
 Knę, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
 Lub zapłacę kryjomu.
 Dziewczę słucha lirnika, ale duszę zamyka,
 Mnie się serce rozpada!
 Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze
 I z innym płąsa rada.
 Starzec westchnie i powie: Za mych czasów grajkowie
 Toć to grali dla duszy!

Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bezbrody;
 Trąbić mu w róg pastuszy!
 I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani, --
 Kłaniam, kłaniam uprzejmie!
 Otóż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
 Ale serce odejmie!
 Liro! próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
 Z ciebie ciernie i krzyże!
 Lecz tyś promień mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy
 Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Ludzie łzami mię poją!
 Tyś dla mnie ulgą Bożą, a gdy mnie w grób położą,
 Ty będziesz chlubą moją.
 Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!
 Zolbrzymieją me słowa,
 Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
 Do samego Kijowa.
 Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
 Ciekawie zakolata:
 Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
 Lirnik głośny u świata.
 Wtedy z całego siola ciekawość lud wywoła,
 I będą czynić wnioski,
 Szeptać, ściskając plecy: Skąd ci ludzie dalecy
 Znają pieśni tej wioski?
 Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
 Przed ludźmi cudzej ziemi
 Westchnieniem i gawędą słać lirnika będą,
 Co śpiewał i żył z niemi.
 I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,
 Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
 I rzekną, wznosząc głowy: Tu nasz lirnik wioskowy
 Skonał, grając na lirze.

PIEŚŃ ŻNIWIARSKA.

(Z tematu ludowego).

Bór nasz wysoki nad wszystkie bory,
 Dwór nasz bogaty nad wszystkie dwory;
 Na naszym panu strój złotolity,
 Na pani perły i aksamity,
 Służba srebrzyste nosi sukmany, —
 Ej, pan nasz sławien nad wszystkie pany!
 A jego wioska długa pół mili,
 Na jego polach kłos się aż chyli,
 Szerokich morgów oko nie zmierzy,
 Zboże wysokie, jak pułk żołnierzy.
 Ej, była u nas wojna odkryta,
 Wojsko pszenicy i wojsko żyta!
 Zeńcy sierpami ścięli szczęśliwie,
 I kłos nie został na pańskiej niwie.
 Ejże po wojnie idźmy do pana,
 U niego będzie cześć nam oddana:
 Sprawি nam ucztę, jakby wesele,
 Białym obrusem stoły zaściele,
 Przyjmie w gościnę swoje żniwiarze,
 Miodu i wina zastawić każe;
 Przepije czarę za nasze zdrowie
 I dobre słówko swym gościom powie.

1852. Załucze.

 DEDYKACYA GAWĘD GMINNYCH
 LITWINOM.

O bracia moi z nad Wilii, z nad Niemna!
 Gdy wam swojacka gawędka przyjemna,
 Zasiądźcie w kółko, a ja wam pogwarzę.
 Stukniemy w czarki, rozweselim twarze,
 A może prawda wynurzy się na dnie,
 Albo się chwilka smutkowi wykradnie.

Ja czasem wierszyk skleciwszy na prędcę,
 Lubię się wylać w niewinnej gawędce,
 A wy niekiedy serdecznie i czule
 Dajecie ucho sielskiemu gadule;
 Będziem wzajemnie radzi — tak mi właśnie!
 Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,
 Aby snadź jaki panek, czy półpanek
 Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadańek.
 U nas, wiadomo, domowa czeladka,
 Wiersz od siekiery, robota niegładka,
 A słuchacz, patrząc w serce gospodarza,
 Wdzięchen z przyjęcia czem Pan Bóg obdarza.

Łatwiej to z wami wywinać się księdze,
 Bracia w kapocie i bracia w siermiędze!
 Gmin nieuczony łatwiej się pozwoli
 Podkraść, wysłuchać, czy go serce boli?
 Czy własna wina, czy Boża niełaska,
 Czy błoga radość po sercu pogłaska,
 Oblicze gminu błędnie, to się płoni,
 Pierś przezroczysta — widno jak na dłoni,
 Na sercu grają uczucia otwarte, —
 Łatwoż je schwycić i przenieść na kartę:
 A potem w kółku tych samych słuchaczy,
 Któż niedołężnej piosnce nie przebaczy?
 Kto zechce śpiewek nicować dziadowskich
 Z myśli do myśli, ze zgłoski do zgłoski?

Z jasnemi pany nie tak idzie składnie:
 Któż ich oblicza, ich serca odgadnie?
 Jak dla nich śpiewać, kiedy mają narów,
 Że za swój pieniądz chcą dobrych towarów?
 Dla nich się książki w pozłocistych szatach
 Robią w Paryżu w najpierwszych warsztatach!
 Gdzież nam dościgać? nierówna gonitwa, —
 Co insza Paryż, a co insza Litwa.
 Kogo zamorske pachnidło przynęci,
 Cóż mu aromat naszych sianożęci?

Po śpiewie oper jak nudną są rzeczą
 Ranne skowronki, co na Litwie skrzeczą!
 Nie żal mi serca i nie żal mi głowy,
 Dla ciebie śpiewam, gminu szaraczkowy!
 O tobie śpiewam i z tobą zespołę
 Nadzieje, radość, i smutki, i bole;
 Twojem powietrzem orzeźwię oblicze,
 Od twoich ptasząt wyrazu pożyczę.
 Niech się myśl moja z pod serca wygwarzy
 Nutą żniwiarską, w takt brzęku kosarzy;
 Gdzie chata słomą lub darnią pokryta,
 Serdeczny Litwin niech piosnkę przeczyta,
 A gdy swojaka dopatrzy się we mnie,
 Zgrzeszyłbym mówiąc, żem śpiewał daremnie.

1852. Załącze.

DRZEMKA I CZYN.

(Piosnka).

Bo też życie próżna mara,
 Kto zapomnieć się nie stara,
 Kto się dąsa Bóg wie czego,
 Kto nie spoczął ani chwili
 Wśród szczebiotu dziewiczego,
 Wśród dziecięcych krotchwili,
 Kto psuł puhar winem z wodą,
 Kto nie pieścił się przyrodą.
 Drzemiąc, jako Sybaryta,
 Nad rozkoszną książki kartą,
 Sam u siebie człek się pyta:
 Czyż doprawdy żyć niewarto?
 Bo też życie próżna mara,
 Kto rozbudzić się nie stara,
 Kto opuścił gnuśne ręce,
 Kto doświadczyć sam się lęka,
 Co rozkoszy w krwawej męce,
 Kiedy z bólu serce pęka,

Kto nie czuje i nie baczy,
 Jaki olbrzym człek w rozpaczy.
 Kiedy radość tak zdobyta
 Wionie czasem w pierś rozdartą,
 Sam u siebie człek się pyta:
 Czyż doprawdy żyć niewarto?

1852. Wilno.

PIELGRZYM.

Oto z kijem pielgrzymskim, jako ślub mój każe,
 Przewędrowałem miasta, wioski i cmentarze,
 W macierzystych kościołach rozpatrzyłem z blizka,
 Nadpowietrzne wieżyce, podziemne sklepiska,
 I aby się przed ludźmi pochwalić zdobyczą,
 Wziąłem nieco pamiątek w sakwę wędrowniczą:
 Garstkę wody niemnowej i gruz starej wieży,
 Z grobowca kość nadgniłą, z pola kwiatek świeży.

Wzdłuż i wszerek zwędrowawszy nadniemeńskie stro-
 Pod gruszą pól domowych odetchnę znużony; Iny,
 A nim k'dalszej pielgrzymce na siły się wzmogę,
 Rzucę wzrok pożegnalny na przebytą drogę.
 Tam nad sinem jeziorem stary zamek stoi,
 Tam na pagórkach dworek, gdzie rodzice moi,
 Tam chatka, gdzie mię szczęścia zawiodła rachuba,
 Tutaj cmentarz na piasku, gdzie śpi diatwa luba,
 Tutaj Boże świątynie, tutaj bratnie domy,
 Śpiewa znajome ptactwo, huczy wiatr znajomy;
 I wspominać splekany, rozmarzony cały,
 Uczucia, co mi niegdyś piersi zalegały,
 I myśli, które niegdyś paliły mi głowę...

O strony mego serca! o strony domowe!
 Kiedy wicher mię życia daleko wyrzuca,
 Niech na zapas powietrza zagarnę stąd w płuca.
 Niechaj mi wzdyma piersi, niech je w głębi noszę,
 Na westchnienie rzewniejsze by użyć potrosze.

W zamian cóż wam zostawię? czem pamięć oznaczę?
 Chyba błogosławieństwo pielgrzymie, żebracze,
 Ze wzgórza puszcę wiatrem po waszym obszarze,
 A Pan Bóg je przeżegna i spełnić się każe.
 Nad wioskami, nad Niemnem, nad lasem, nad błonią,
 W lepszy czas pieśń głośniejszą ptaszkwie zadzwoni
 I rosa Łaski Pańskiej niech użyźnić raczy lnią,
 Wasze niwy piaszczyste i serca oraczy.
 A na wiosnę, na błoni, przy Niemna zatoce,
 Gdy bocian zmartwychwstania piosnkę zaklekoce,
 Duch pielgrzyma pośpieszy, by cieszyć się z wami,
 Polatać nad wioskami, ponad cmentarzami,
 Gdzie pił wodę niemnową, gdzie miał chleba kawał,
 Gdzie łyzy bolesne sączył, gdzie szczęścia doznawał,
 Skąd odszedł rozpaczliwie, załamawszy ręce,
 I zostawił pamiątkę w znikomej piosence!

1853. Wilno.

DO FELIKSA RUMBOWICZA.

Mój Feliksie! wszak ludzie zaprzeczyć nie mogą,
 Że wszelka linia prosta jest najkrótszą drogą;
 Że gdy pod jedną miarą wykroisz je ładnie,
 To trójkąt do trójkąta najściślej przypadnie;
 Że kwadrat stoi prosto, a trapez pochyło;
 Że koło jest płaszczyzną, a ośmiościan bryłą;
 Że x algebraiczne cyfra niewiadoma:
 Lecz z tego nie wynika, byś miał siedzieć doma,
 Ażebyś cały wieczór (o pożał się Boże!)
 Miał ślęczeć nad rachunkiem, jak kupiec w kantorze.
 O! jemu łatwiej liczyć, gdy grosza nachwytał,
 Niż tobie — idealny, spektorski kapitał.
 „Tysiąc mnożę przez tysiąc!“ co za urok słodki!
 Zda się rosnąć w kieszeni wytarte dwuzłotki,
 Zda się, że szereg cyfer po tablicy szasta,
 Że każde zero w worek dukatów urasta;

Człowiek aż oko pasie, aż ślinkę połyka,
 Patrząc, jak chudy dzwonnik na brzuch Kanonika.
 Ale patrząc na cyfry, mało się skorzysta;
 Chuda w naszych bilansach cyfra rzeczywista.
 Integralny rachunek niewiele się przyda:
 Pięć od czterech nie mogę, pożyczam u żyda;
 Zero od zera — zero; kiedy pustki w kiesie,
 Niemasz na to sposobu i w Pitagoresie!

Więc zostawmy w pokoju rachunki i troski.
 Patrzej, co w swej gazecie napisał Lesznowski:
 Owo na ziemi Franków jest bal u Cesarza,
 Owo Turczyn niewierny już wojną zagraża,
 Owo straszna kometa przychodzi z oddali,
 Drgnie płomiennym ogonem i ziemię zapali.
 Pytam się: czyż nie warto o wieczornej chwili
 Byśmy te wszystkie sprawy głębiej rozważyli?
 Lecz nim groźny padyszach w swej pychy zakresie
 Stolicę ze Sztambułu do Smorgoń przeniesie,
 Nim się Kardynałowie do Paryża zjadą
 Maścić wybrańca ludu święconą pomadą,
 Zbierzmy się w ciepłą izbę i, starym zwyczajem,
 Zróbmy traktat przymierza Jamajki z Kitajem.

Wszak znasz trojańskie dzieje: Eneasze przed laty,
 Zaproszon od Dydony na szklanekę herbaty,
 Niezrażony przestrzenią i morza ogromem,
 Nie sam jeden pojechał, ale z całym domem
 I ze wszystkimi sprzęty własnej gospodarki:
 Włożył Jowisza w kieszeń, a ojca na barki,
 I przewiesił przez plecy posiłek sowity —
 Z Pryamowskiej gorzelni flaszkę okowity;
 A kurząc z krótkiej fajki tabakowe liście,
 Na tyryjskie salony wkroczył posuwicie. [dom —

W dziejach starych i nowych — jeżeliś ich świa-
 Przypatrzysz się do sytu podobnym przykładom:
 Cyrusy, Daryusze, Likurgi, Perykle,
 Których bohaterami nazywają zwykle,

Których sława z przed wieków aż dotąd się nie ćmi,
Szli zawsze na herbatę z żonami i dziećmi.

Raz Pompejusz, Rzymianin rozgłośny u świata,
Zaprosił na herbatę króla Mitrydata,
Lecz, że nie zawsze środki dobrym chęciom służą,
Samowarek maleńki a gości miał dużo;
Ujrzał, że mu przychodzi wstydzić się widocznie,
Struchlał rzymski bohater i rozmyślać pocznie:
O gdyby się z kłopotu wykręcić zwycięsko!
Dałbym chętnie augurom sto wołów na mięsko,
Uczciłbym olimpijskie Junony, Cerery,
Wypiłbym na cześć Bacha kieliszek madery,
Kazałbym — jeśli w Niebie taki ślub przyjęty —
Mojemu fagasowi dać sto kijów w pięty;
Lecz żaden ślub, niestety! i żadna ofiara
Nie zwiększy objętości mego samowara!
Tak gdy biedny Pompejusz w daremnej rachubie
Gładzi jeno czuprynę i swe wąsy skubie,
Wzywa niebieskie siły i piekiel otchłanie,
Nowy koncept do głowy przyszedł niespodzianie;
Więc jak niegdyś Archimed wykrzyknął: Eureka!
I list do Mitrydata posyła przez Greka,
A w liście były takie wyrażone myśli:
Chcesz pić u mnie herbatę, to samowar przyślij!
Więc śladem Pompejowym ozwać się ośmieję:
Przyjdźcie do nas na wieczór, dobrzy przyjaciele!
By zaś chińskim nektarem uweselić życie,
Jak niegdyś Mitrydates — samowar przyślijcie.

1853. Wilno.

DO STANISŁAWA SZCZEPANOWSKIEGO.

Pod Niebem płomiennem, gdy miną dnia skwary,
Gdy z morza chłodnawy wiatr dmucha,
Kochanek przed lubą chcąc wylać głąb ducha,
Powierza to strunom gitary.

Pod wzniosłym balkonem lud ciśnie się w tłumie,
 I słucha śpiewaka wśród ciszy,
 I każdy podziwia, kto jeno go słyszy;
 Lecz jedna go tylko rozumie.

Och, bo też gitara to dziwne narzędzie!
 Czy tęskni, czy wzdycha, czy płacze,
 Choć z piersi tysiąca westchnienie dobiedzie,
 Nie każdy cię pojmie, śpiewacze!

Nie każdy cię pojął, o nasz Stanisławie!
 Lecz oczy są, z których łzy biega;
 Nic ciżba nie doda, ni ujmie twej sławie,
 Kochanka rozumie lubego.

Pojęła twą pieśnię niemała drużyna:
 Nie żałuj twych trudów i pracy,
 Nie rzucaj przekleństwa na gród Gedymina,
 Że cię nie pojęli swojacy.

Bo ciche Litwiny topnieją i miękną
 Przed wszystkim nadziemskim i wieszczem;
 Pojęliśmy w tobie natchnienie i piękno,
 Choć ci nie klaskamy, nie wrzeszczym.

Cześć tobie, śpiewaku! cześć tobie i dzięki,
 Żeś do nas zagwarzył tak cudnie,
 Żeś ludziom z nad Wilii, z nad bystrej Wilenki,
 Dał poznać gorące południe.

26 kwietnia 1853. Wilno.

NIEPIŚMIENNY.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Ja nie zazdrozczę, chowaj mię Boże,
 Nic i nikomu na Bożym świecie;
 Jednego tylko zazdrozczę może,
 Że wy, panowie, pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,
 Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
 Tożby latało, tożby latało,
 Jak błyskawica po ciemnem Niebie!
 Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
 Co sam obaczę, co mi kto powie,
 Wszystkoby wiernie kładł na papierze,
 Dumkę po dumce, słowo po słowie.
 Spisałbym widok Bożego świata,
 Każdy tak piękny, każdy odmienny;
 A teraz wszystko marnie ulata,
 Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym najprzód piękne sny moje,
 Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy,
 Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
 Albo Aniołów o jasnej twarzy.
 Spisałbym potem ptasząt słoweczka,
 Ranne skowronka Zdrowaś Marya;
 Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
 Gdy się w kamykach pianą rozbija?
 Co mówi z wiatrem kłosisista niwa?
 Co ryczą woły, jak beczą stada?
 Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
 A potem, mrużąc, sam z sobą gada?
 Jak kowal młotem bije w kowadło?
 Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny?
 Wszystkoby wiernie spisać wypadło —
 Pożał się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
 Umieć wypisać słowo po słowie,
 Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
 Karta zrozumie, piórko wypowie!
 Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
 Nie rozumieją, serce ci zrania;

A czasem dumka przychodzi taka,
 Ze i słów żadnych nie znaleźć na nią.
 Jabym po prostu, jak serce puka,
 Takbym i pisał na białej karcie.
 Pukania serca złowić nie sztuka,
 Ludziom nie można mówić otwarcie.
 Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
 A papier milczy, jakby mur ścienny...
 Dumki - gołąbki, bywajcie zdrowe!
 Ja was nie chwycę — jam niepiśmienny.

IV.

Łatwiejże panom, łatwiej żydowi,
 Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:
 On swoje dumki na papier złowi,
 A potem z ludźmi co chce dokaże.
 Ja — daj mi piórko, naucz niem władać, —
 Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
 Gdy moją nędzę pocznę powiadać,
 To twarde serca skruszyłbym może.
 Spisałbym z tego bez żadnej zmiany
 Książkę modlitew taką, jak kramną,
 A tam i Chrystus ukrzyżowany
 Możeby łezkę uronił za mną.
 Gąsko, ty gąsko! ja latem paszę,
 Ja ciebie karmię w porze jesiennej!
 Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze!
 Toż to polecę, człek niepiśmienny!

1853. Borejkowszczyzna.

HYMNY DO MSZY ŚWIĘTEJ.

KYRIE ELEJSON.

Przy świętych Tajemnic straszliwej Ofierze,
 Gdy lud Twój z modlitwą przed ołtarz się zbierze,
 Wysłuchaj serdeczne wołanie,
 Zlituj się nad nami, o Panie!

CHRYSTE ELEJSON.

Niech nasze westchnienia i modły w świątyni
 Twa łaska godnemi przyjęcia uczyni;
 Daj myśli, daj serca nam czyste,
 Zlituj się nad nami, o Chryste!

GLORIA.

Chwała Panu na Syonie,
 Niech się zleje, niech zespoli!
 Pokój święty niech owionie
 Wszystkich ludzi dobrej woli!

GRADUALE.

Powstańmy z cześcią, bo Zbawca sam
 Prawdy żywota objawi nam,
 Swego zakonu wyłuszczy treść,
 I przykład poda, jak życie wieść.
 Zlej na nas, Zbawco, naukę, zlej!
 Niech grzeszne serce odżyje w niej!
 Niechaj na prawdę zakipi już
 Miłością Boga i bratnich dusz.

CREDO.

Wierzymy w Boga, co światy tworzy,
 Wiemy, że Chrystus prawy Syn Boży,
 By zetrzeć głowę piekielnej żmii,
 Przyszedł na ziemię z łona Maryi.

ET INCARNATUS.

I Bóg stał się Człowiekiem, i w ludzkiej postaci
 Dał się przybić do krzyża za grzechy współbraci;
 I czoło Mu zranili, i przebodli serce,
 I skonął, błogostawiając Swe ślepe morderce.

ET RESURREXIT.

I zmartwychwstał uroczyście,
 I w Niebiosa ulata!
 I zapewnił Swoje przyjście,
 Czynić sądy ze świata.

OFFERTORIUM.

Niech z ręki twojej, kapłanie,
 Bóg przyjmie świętą Ofiarę;
 A Słowo Ciałem się stanie,
 I cud obaczym przez wiarę.
 Gdzie chleba, wina istota,
 Bóg znajdzie ku dziatwie Swojej;
 Nakarmi Ciałem żywota,
 Krwią Swojej Łaski napoi.

SANCTUS.

Święty! Święty! Święty Boże!
 Któż podola Cię zmierzyć?
 Człowiek tylko klęknąć może
 I w proch czołem uderzyć!

BENEDICTUS.

Hosanna, hosanna! w potęgi ogromie
 Na ołtarz ofiarny Bóg zstąpił widomie!
 I ciało, i duszę, i krew Swoją bierze,
 I mękę odnawia w niekrwawej ofierze.
 Niedarmo, niedarmo, o Zbawco! o Chryste!
 Przelane Krwi Twojej potoki rześiste:
 Dla żywych w niej zdrowie i szczęście się mieści,
 Dla zmarłych ochłoda czyścowych boleści.

AGNUS.

Niech się na sercu nie trwoży,
 Kogo sumienie przygniata,
 Gdyż oto Baranek Boży,
 Który gładzi grzechy świata!
 Wy, którzy czyści jesteście,
 Kogo żal omył i skrucha,
 Do Stołu Bożego śpieszcie,
 Bo dana uczta dla ducha.

BENEDICTIO.

Powstańmy wszyscy gromadnie,
 Bądźmy szczęśliwi i prawi;

Tu kapłan na nas krzyż kładnie,
A w Niebie Bóg błogosławi.

1854. Borejkwoszczyzna.

DO WIKTORA KAŻYŃSKIEGO

z powodu jego „Śpiewnika.“

Graj, dudarzu, graj!

Więcej piosnek daj!

Niech się wsłucha w twoją pieśnię,

Niech litewska dusza wskrześnie

I polubi kraj!

Graj, dudarzu nasz!

Dziewkom nutę wskaż,

Niech się w chłopcach duch odzowie,

Niech zapłaczą staruszkowie

I wyjaśnią twarz.

Graj, dudarzu, piej!

W głębi naszych kniej,

W głębi serc — pod naszą strzechą

Znajdziesz, grajku, znajdziesz echo

Dla piosenki twej!

1854. Wilno.

PIEŚNI DO MUZYKI W. KAŻYŃSKIEGO.

1.

WLAŻŁ KOTEK NA PŁOTEK.

Żarcik.

Włazł kotek na płotek i mruga,

Piękna to piosenka, niedługa.

My temu chytremu kotkowi

I sami odmrugnąć gotowi;

A żaden nie zgadnie, nie zoczy,
 Co sobie powiemy przez oczy.
 Tak mrugniem figlarnie i zdradnie,
 Że człowiek sam siebie nie zgadnie;
 W tem sekret, w tem cała zasługa:
 Włazi kotek na płotek i mruga.

Ej kotku, ty kotku filucie!
 Czy mruga w twych oczkach uczucie?
 Czy zdrada głęboka a słodka,
 Zwyczajnie, jak w oczach u kotka?
 Czy mrugasz nieszczerze, czy szczerze,
 Ja zawsze kotkowi uwierzę,
 I wzajem odmrugnę tak ładnie,
 Że kotek nic a nic nie zgadnie.
 W tem sekret, w tem cała zasługa:
 Włazi kotek na płotek i mruga.

A kiedy kotkowym zwyczajem
 Zawiedziem i zdradzim się wzajem,
 Niech żadne się na to nie żali,
 Bo myśmy oboje mrugali.
 Na zręczne mruganie z ukradka
 Nikogo nie znajdziem na świadka;
 Kto widział, nie zgadnie co znaczy,
 Bo coraz mrugamy inaczej!
 W tem sekret, w tem cała zasługa:
 Włazi kotek na płotek i mruga.

2.

KRAKOWIAK NA LITWIE.

Choć w Krakowskiem lepiej żyją,
 Ja-ć i Litwę chwale:
 Bo nad Niemnem, nad Wilią
 Lud niezgorszy wcale.
 Choć w gospodzie kiedy skacze,
 Mniejszą ma ochotę,

Choć czarniejsze tam kołacze,
Ale serce złote.

U nas zboża, u nas trawy
Zieleniejsze wokół,
U nas chłopiec taki żwawy,
Jak karpacki sokół.
Tu jak dęby chłopcy duże,
Pozwieszali głowy,
Ale za to w ich naturze
Widać hant dębowy.

Każda nasza Krakowianka
Śmieje się radośnie,
Do chichotek czy do tanka,
To aż serce rośnie!
Tu poważnie i powolnie
Dziewczę słówka waży,
Jasnym oczkiem kiedy kolnie,
Aż się człek rozmarzy!

Nasza piosnka żwawiej hasa,
Tam powolniej wcale,
Coś jak echo z poza lasa,
Jak wiślane fale.
Kiedy patrzysz na tych ludzi,
Gdy się w Litwie gości,
Coś takiego w sercu wzbudzi,
Jakhy płacz z radości.

3.

PIEŚN MYŚLIWSKA.

Zagrajcie pobudkę! już dnieje, szarzeje,
Trop łatwo na rosie zobaczymy;
Ruszajmy na bory, ruszajmy na knieje,
Potykać się z leśnym kudłaczem!

Dwururka przez plecy, a trąbka u pasa —
 Niech krew się rozigra w nas żwawiej,
 A psiarnia ze smyczy niech sobie pohasa,
 Niechaj się do pola zaprawi!

W dębowym, sosnowym ostępie, czy borze,
 Pociesmy się dobrą nadzieją!
 Nie idźcie za nami, pudlarze i tchórze,
 Was lasy litewskie wyśmieją!
 Bo z dziadów, z pradziadów, tu echo borowe
 Strzał celny rozeznać jest w stanie;
 Kto trąbił w tych lasach, kto pił pogrzebowe,
 Ten zuchem odrazu zostanie!

Tu każdy powinien domowe znać knieje,
 I każdy znać pole od dziecka.
 Zagrajcie pobudkę! już dnieje, szarzeje;
 Ozwij się, drużyno strzelecka!
 Niech głosy po rosie zagrają, popłyną,
 Aż echo drzemliwe zatrzęście! . . .
 O rozbudź się krasna, o luba dziewczyno!
 Daj rączkę na drogę, daj szczęście!

4.

KORALE.

Dumka kozacka.

Gdym z Kozaki szedł na boje,
 Moja Hanna rzecze:
 Niesiesz, luby, życie swoje
 Pod tatarskie miecze!
 Lecz modlitwa, płacz dziewczyny
 W boju cię ocali;
 Ty mi za to, mój jedyny,
 Przywieź sznur koralu.
 Bóg kozaczej szczęścił braci:
 W jednej boju chwili

Han tatarski wojsko traci,
A my gród zdobyli.
Gdy wyparto krzepkie wrota,
Gdy się miasto pali,
Inszy srebra, inszy złota,
Jam szukał korali.

Wśród rabunku los mi służy,
Pan Bóg zdobycz poda:
Sznur korali krasny, duży,
Jakby wiśnia młoda!
Pochwyciwszy zdobycz drogą,
Już nie czekam dalej,
Śpieszę stanąć przed niebogą,
Dać jej sznur korali.

Pędzę stepem, pędzę błonią, —
Oj daremna praca!
W naszej wiosce dzwony dzwonią,
Lud z mogiłek wraca.
Dobrzy ludzie śpieszą ku mnie
I wołają z dali:
— Twoja Hanna leży w trumnie,
Nie trzeba korali!

Zapłakałem, zajęknąłem
I roztrącam rzesze,
I przed cerkwią padam czołem,
I przed obraz śpieszę.
Do najświętszych stóp Maryi
Niosę smutne żale,
I zawieszam u Jej szyi
Czerwone korale!

5.

K R U K.

Piosnka litewska.

Z ponad lasu, z ponad chmury,
Na dolinę siola
Kruk się spuścił czarnopióry,
Na żer dziatwę woła.
Ej! żerował gdzieś na grobie
W pośród bojowiska:
Krwawą rękę trzyma w dziobie,
Na niej pierścień błyska!
— Czarny kuku! z jakiej strony
Burza cię przywiała?
Skąd ten pierścień pozłożony
I ta ręka biała?
— Za górami, ej dziewczyno!
Był tam bój nielada!
Krwii młodzieńczej rzeki płyną,
Głów tysiącem pada!
Zakopuje lud roboczy
Bohaterskie głowy;
Na mołojców orle oczy
Sypie żwir surowy.
Po kurhanach, jak kopacze,
Wyją wilków stada,
A niejedna matka płacze,
Na grób pierśmi pada!
Dziewczę jękiem pierś rozrywa,
Twarz we dłonie chowa:
— Dolaż moja nieszczęśliwa!
Biednaż moja głowa!
Wiem już teraz, kto zabity,
Czyja to dłoń biała:
Jam ten pierścień złotolity
Lubemu oddała!

6.

DOLA.

Waryant z pieśni litewskiej.

W oczach ciemno, serce boli,
I zapłakać chce się!
Pójdę hukać, lepszej doli
Wywoływać w lesie.

Przyjmie chlebem, przyjmie solą
W szczerzej uprzejmości:
Odezwi się, lepsza dolo,
I przyjdź do nas w gości!

Między wzgórki, między drzewa
Wołam w leśnej ciszy;
Ale słowa wiatr odwiewa,
Dola nie posłyszysz!

Piosnko moja! ej nie tobie
Przebić wicher burzy!
Wracaj jęczeć sama w sobie,
Kiedy serce wtórzy.

1854. Borejkowszczyzna.

DO * *

Kiedy w ojczyźnie, pomiędzy swojemi,
W cudze krainy twa dusza ulata;
Wzdychasz bluźnierczo do auzońskiej ziemi,
Kreślisz obrazy germańskiego świata;
Złorzeczysz matce wśród dzikich uniesień,
Że nadto brzydka kiedy się rozsłocha,
Że na jej twarzy wiekuista jesień,
Że nie tak piękna, jak obca macocha.
Ptaku przelotny! co w wiosnie żywota
Pod obce niebo poleciałeś w gości,
Spytaj jaskółki, co w oknie szczebiota,

Czemu kolibrom słońca nie zazdrości?
 Czemu, u obcych pogościwszy zimą,
 Wraca na lato pod strzechę rodzimą? —
 Szczęśliwe ptaszki, trzykrotnie szczęśliwe!
 Szczęśliwi ludzie nie czują jak błogo,
 Że raz wybiegłszy za domową niwę,
 Znowu, gdy zechcą, powitać ją mogą.
 Lecz zapytajcie ranionego ptaka,
 Co nie mógł z braćmi powrócić na Litwę,
 I zapytajcie w obczyźnie biedaka
 O jego dumkę, o jego modlitwę;
 Spytajcie, czego zesmutnieli oba?
 Jak się im piękny Neapol podoba?
 Od błoń auzońskich, gdzie lasy mirtowe,
 Czemu do sosen wrywa się dusza?
 Tamto powietrze, i lekkie, i zdrowe,
 Czemu im piersi pali i osusza?
 Niejeden może z nieszczęsnych tułaczy
 Błuźnił tak samo rodzinnej zagrodzie;
 Dzisiaj, poznawszy, co dym swojski znaczy,
 Czuje zgryzotę, co mu piersi bodzie.
 Zna, że bluźnierstwem znieważył Niebiosy,
 I wzięwszy sakwę pielgrzymską na ramię,
 Szedłby na Litwę odarty i bosy,
 Przebłagać Matkę Bożą w Ostrej-Bramie,
 Przebłagać góry i rodzinne bory,
 Którym się niegdyś tak srodze zawinia...
 Zdrowie swej duszy odzyskałby chory,
 Od szklanki wody z Niemna lub Horynia.

1854.

GRAJEK WIOSKOWY.

I.

Ubogi odzieżą, lecz myślą bogaty,
 Siadł grajek wioskowy na przyzbie u chaty,
 I wierną skrzypicę wziął w ręce;

A w głowie snadź ważna toczy się narada:
 Coś brząka, coś mruży — bo w myśli układa
 Strój nowy ku nowej piosence.
 I błądzi spojrzeniem ku niebu, ku ziemi,
 Nad polem zielonem, nad strzechy sielskimi,
 Spogląda ku lasom, ku rzeczce.
 Wnuk przy nim trzyletni, ciekawy a żywy,
 Znalazłszy we drwalni dwie szczepy łuczwywy,
 Grał niby na drugiej skrzypeczce.

II.

Uśmiechnął się stary, podumał i milczy:
 — Już tropisz do lasu, o synu ty wilczy!
 Poczekaj! nic z tego nie będzie.
 To brzydka zabawka! to gra nic do rzeczy!
 Rzuć, chłopcze, tę trzaskę, boć ręce skaleczy —
 Skrzypica — zakłete narzędzie!
 Gdy raz ci do duszy przyrosną jej tony,
 Już będziesz zgubiony, na zawsze zgubiony,
 Młodości i sił twoich szkoda.
 Snu tobie nie będzie, tem gorzej im dalej,
 Gorączka pragnieniem twą duszę rozpali,
 — A gdzież tu na świecie ochłoda?

III.

Weź inną zabawkę — ja krzyżyk ci zrobię,
 I będziesz po dworze przechadzał się sobie,
 Śpiewając o remus księdzowski;
 Jak kiedyś zostaniesz rozumny i duży,
 To może ci dola życzliwa posłuży,
 Że będziesz plebanem tej wioski.
 Czy ludzkość żalobą, czy kwieciem pokryta,
 Wesele czy pogrzeb — ksiądz Brewiarz czyta,
 I cóż go zasmuci, rozrzewni?
 Czy piękny urodzaj na polach rolnika,
 Czy Pan Bóg pomorem i głodem dotyka,
 Plebani dziesięcin swych pewni.

IV.

Lub baw się w żołnierza, weź kij mój sękaty,
I hasaj dokoła stodoły i chaty,

Ja-ć szablę wystrugam z łuczywy;
Gdy pójdziesz do wojska, ej! będąc do twarzy:
Twój mundur, twój kaszkiet od złota się żarzy,

A rumak — kasztanek lub siwy!
Szablica, ostroga błyszcząca ze stali,
A wąsik runieje, a oko się pali,

Dziewczęta ci z całej lgną włości;
W gospodzie, czy w domu, na każdej zabawie,
Ty jeden rej wieszysz i głośno, i żwawie,
A każdy ci z chłopców zazdrości!

V.

Cóż z liry za korzyść? Ot marnie zaginie;
Ubogi syn pieśni, w ubogiej wioszczynie,

Daremna zamęczy się pracą.
Tu rzadkie obsiewki, dożynki, wesele,
Tu chleba niewiele i zabaw niewiele,
Niewiele grajkowi zapłaca.

— Ej, dziadku mój, dziadku! — odpowie mu wnuczę —
Ot ja cię dobrego sposobu nauczę:

Rzuć wioskę, gdzie żyją nędzarze;
Weź skrzypkę i pytaj, gdzie ludzie bogaci,
Tam każdy posłucha i hojnie zapłaci,
I drogę do inszych pokaże.

VI.

Ja kiedy wyrosnę, gdy skrzypkę mi kupią,
Tak pójde na świecie — to wcale niegłupio;

Obaczysz, jak mi się poszczęści.
— O dziecię! — rzekł starzec — nie bluźnij w ohydzie,
Niech raczej z pieśniami zaniemieć ci przyjdzie,
Niż o drzwi bogaczów tłuc pięści!

Gdy nędzarz w tej wiosce wyprawia biesiadę,
To serce grajkowi życzliwe i rade,
Gospodarz najwyżej go mieści;

I grajka obsiada, słuchają z rozkoszą,
 I czarke najpierwszą ku niemu przynoszą —
 Tu pieśnia w pożytku i cześci.

VII.

Na uczcie bogacza nie szukaj dusz bratnich,
 Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
 U progu ci chyba grać każą.
 Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny,
 Westchnienia nie wzbudzisz, bo duch u nich zimny,
 Z szyderczą słuchają cię twarzą.
 A kiedy na uczcie zapieni się wino,
 Sto razy słuźalcy pieśniarza pomina,
 Nim puhar podadzą ci hardo.
 Gdy czasem bogacza napadnie szaf pusty,
 On każe, byś zagrał piosenkę rozpusty,
 I rzuci garść złota z pogardą!

VIII.

Tu starzec złagodniał i wnuka pogłaska.
 — Tak, chłopcze... bądź grajkiem!... O Boże! Twa la-
 Niech zawsze na pomoc mu przyjdzie! [ska
 Nim kiedyś mą skrzypkę powierzę ci w ręce,
 Przeżegnam ją najprzód, w kościele poświęcę,
 Byś pieśni nie podał k'ohydzie.
 Choć czasem chleb suchy pożywać się zdarzy,
 Bądź grajkiem pocziwych wioskowych nędzarzy,
 Jak ja sam przebyłem lat tyle.
 Chłopczyzna wysłuchał, co stary dziad gdera,
 Podumał, zapłakał, i oczka ociera,
 I pobiegł uganiać motyle.

16 października 1854. Borejkowszczyzna.

DO IGNACEGO CHODŹKI,

przesyłając na chów zimowy konie, do fortuny pana M. K.,
 autora znanych „Gawęd z Ambrożewiczem.“

Gdy pan mulski znudziwszy litewskimi syny,
 Odjeżdżał hajdamaczyć w stepy Ukrainy,
 Pomiedzy dzikie jary, czahary, burzany, —
 Zostawił skarb na Litwie, och! skarb nieprzebrany,
 Skarb, który Pan za ledwie swym wybrańcom nada,
 T h e s a u r u m s u p e r a u r u m — dobrego sąsiada;
 I tak mówił, prawicę podając mu czułą:
 — Bądź stróżem mych penatów, a czuwaj nad Mula,
 Na ciebie moją władzę przelewam najszczerzej;
 Kto jeno w imię moje czołem ci uderzy,
 Spełniaj wszystkie żądania, jakie słusznie rości,
 Hetman z mego ramienia w mojej posiadłości.
 Tak mówiąc ostateczne pożegnalne słowa,
 Przyrzekł o k o tytuniu przysłać z Berdyczowa,
 I słowem w palemońskiej ziemicy nieznanem
 Mianował go najwyższym mulskimi atamanem.

Ten, co przedtem jednoczył już zaszczytów wiele,
 Którego cenią bracia, współobywatele,
 Co, sam służąc krajowi zaszczytnie a długo,
 Wyższą jeszcze u ziomków wślawił się zasługą.
 Kiedy ująwszy pióro, jak pendzel uroczy,
 Szereg O b r a z ó w L i t w y stawił nam przed oczy,
 Ten, u którego w sercu święta prawość kwitnie,
 Co przywykł wielkim trudom podolać zaszczytnie,
 Temu sił nie przeciąża, humoru nie drażni
 Ni buńczuk atamański, ni prośba przyjaźni:
 Nieobecnego druha zastępując świetnie,
 Równie troskliw o Mule, jak o swe Dziewietnie.

Lecz, jak zwykle, kłopoty nierozdzielne z władzą:
 I tutaj suplikanty spokoju nie dadzą.
 Ważne są s i a d a M u ł y przerywając prace,
 O to natręt przybywa i do drzwi kołace,

A czolem uderzywszy, że przybył nie w porę,
Przekłada swoją prośbę in eo tenore:

Pan mulski — jak świadoma o tem miłość wasza —
Do swojej posiadłości, słyszę, mię zaprasza,
Bym lares et penates spakowawszy razem,
Przybył z lutnią pobitą i chudym pegazem.
O! zaprawdę, rozrzewnia jego przyjaźń czuła!
Ale tutaj mię niemoc do łóżka przykuła,
Pierś, kiedy właśnie tonów trudniejszych dochodzę,
Wyśpiewana, zachrypła, dolega mi srodze;
Tu dręczą mię gorączki i bolesne kaszle,
Tu bezwzględny Hippokrat swych potomków naszle.
Tak więc przybyć do Muły nie mając sposobu,
Posyłam darmożjadów do mulskiego żłobu;
I oto przywieziono przed wasze podwoje
Odstawną pegazicę i pegaziat dwoje.

Gdy mię przyjął Apollo w czeladkę parnaską,
Z taką szczególnych względów oświadczył się łaską.

Śpiewaj, a ja ci nadam wieszczów przywileje,
Na twojej drodze kwiatki obficie posieję,
I rozkażę strumykom brzęczeć z całej siły,
I rozkażę słowikom, by pięknie nucily;
Aby ci przedmiot w oczy nie wpadał znikomy,
Nie dam ci na dzierżawie ni ziarna, ni słomy;
Na twych łąkach, byś serce rozrzewniał radośnie,
Niechaj brzęczą koniki, a siano nie rośnie;
Dla twoich wieszczych myśli daruję świat cały,
Pozwalam ci obrywać niebieskie migdały,
A na ziemi, gdy na nią zestąpisz na chwilę,
Możesz dopędzać wiatry i łapać motyle.

Tak przyjęty, zasiadłszy hardo na Parnasie,
Nie dbam o ziemską szkapę — niech się trawką pasie;
A gdy trawkę na łące mróz zimny powarzy,
Niechaj idzie na łaskę lepszych gospodarzy.

Oto treść mojej prośby. Jakiż koniec w liście?
Jak tu się submittować pięknie, uroczyście?
Jakim uczcić afektem mulskiego sąsiada?

Oto utnę po prostu, jak mi serce gada:
Jam twój rodak, a u nas na całej przestrzeni
Któż Chodźki nie uwielbia? nie kocha? nie ceni?

1854. Borejkwoszczyzna.

DO ALEKSANDRA ŻELEŹNIAKA

po pierwszym spotkaniu.

Znamy się z sobą od niedawnej chwili,
Ale już więcej znać się nie potrzeba:
Ledwieśmy kasek rozłamali chleba,
A zda się heczkę już soli spożyli.
Dałeś mi poznać duchowe rozkosze
I błogi podział uczucia i myśli;
Bóg i czas dalszy połączą nas ściślej, —
Kocham cię, bracie! pokochaj mię, proszę.

1855. Mińsk.

TOAST DLA TEODORA NARBUTTA,

autora „Dziejów Litwy.“

Zasnęła się pomroką przeszłość tajemnicza,
Zgasło w Litwie ognisko poświęcone Znicza,
Zmilkła pieśń wajdelotów, — w uroczystej mowie,
Któż nam przeszłość wyświeci? kto przyszłość prze-
[powie?

O! jest człowiek od Boga przysłany tej stronie,
W jego piersi ognistej Znicz litewski płonie,
Jest mąż, co, z rylcem dziejów stojący na straży,
Starą i nową Litwę wspomnieniem kojarzy,
Co, jak dawny ofiarnik, prawnukom wspomina
Bogów i bohaterów ziemi Gedymina,
Jak stary burtynikas, co podawał hasła:
Jeszcze auszra życzliwa nad Litwą nie zgasła!

I dzisiaj ten dostojny wróżbita przeszłości
Jak ojciec w gronie dziatwy, między nami gości.

Zbierzcie się, dzieci Litwy i młodsze, i starsze,
 Wydajcie uroczysty okrzyk patryarsze,
 W róg bawoli starego ałusu nalejcie:
 W cześć kapłanowi Litwy! w cześć krywe-krywejciel!

1855. Wilno.

W IMIONNIKU

SYDALII ŚWIDOWEJ.

Tutaj dni moje spokojnie płyną,
 Mam chleba, soli, kwiatów do syta,
 I dobry człowiek czasem gościną
 Do mnie zawita.

W cichej ustroni żyćby niezgorzej
 Wród gęstych dębów, jabłoni, gruszy, —
 Och! gdyby tylko jeden dar Boży:
 Spokojność duszy!

O ludzie dobrzy! o ludzie bozi!
 Westchnijcie czasem za mną k'Jehowie:
 Niechaj gorące myśli zamrozi
 W zboląlej głowie.

- A wyobraźnia moja skrzydłata
 Z chłodnym rozumem niech idzie w parze;
 O szczęściu własnem, o szczęściu świata
 Niechaj nie marzę.

1855.

DO KS. WACŁAWA HUNDIUSA.

Mój bracie wedle serca, mój ojciec w Chrystusie!
 Szlę ci obraz kapłana, zacny Hundusie.
 Jako stary Bernardyn był swej wiosce wzorem,
 Ty dla naszego Wilna bądź definitorem.
 Gdy w nasze twarde głowy biją dogmatyści,

Twój głos niech nasze serca od grzechu oczyści.
 Objąwszy Święto-Jańską po Skardze ambone,
 Ty jeden możesz działać na serca skruszone.
 Płacz, sróż się, jako Chrystus płacze lub się sroży:
 Litwini w twoich słowach odgadną głos Boży.

1855.

H A S Ł O.

(DO WINCENTEGO POLA).

Gdy Polsce jeszcze gwiazda świeciła Rejowa,
 Sławny Jędrzej Trzycieski w te pisał doń słowa:
 Rej bowiem, jako mówią, ty sam w Polsce wodzisz,
 W naszym polskim języku ty sam przodkiem cho-
 ldzisz.

K'wam, mistrzu, te wyrazy zwróczę, jeśli wola:
 Tyś jest Pol — bard jedyny sarmackiego pola;
 Tyś przestronny, jak pole, od brzegu do brzegu,
 A twa pieśnia sarmacka górą się rozlega.
 Z echem jej obeznane Lechitów krainy,
 Od Karpat i Powiśla do Dniepru i Dźwiny.
 Odbiło się twe imię i piosenka sama,
 W lasach Litwy, co pieśniom wtórzyły Adama;
 Na stepach Ukraińskich, w dzielnicy Bohdana,
 Rozpływa się, stepowym wiatrem kołysana;
 Nad Newą, aż do krańca lapońskiej rubieży —
 Słowem: wszędy znajoma, codzien dank ma świeży.

My mieszkamy pod starym Palemońskim lasem,
 Gdzie wiatr mroźny piosenki zagłusza nam czasem,
 Lub odwiewa ich echo, a cóż więc za cuda,
 Że nie zawsze, nie wszystko dosłyszeć się uda?...
 Więc dzisiaj kołatamy do twej dobrej woli:
 Zaśpiewaj co wyłącznie naszym lasom gwoli,
 Naszym karlim pagórkom i piaszczystej niwie,
 A spragnione ich echo zawtórzy chętniwie.

7 lipca 1855. Borejkowszczyzna.

CZULI A CNOTNI, BĄDŹMY OCHOTNI.

Seh't wie die Tage sich sonnig verklären!
 Blau ist der Himmel und grünend das Land,
 Klag' ist ein Misston im Chore der Sphären,
 Trägt auch die Schöpfung Trauergewand.

S a l i s.

Patrz, jak się niebo rozjaśnia uroczo!
 Majem oddycha i trawka, i świat,
 Aż grzmi powietrze, aż ptaszki szczebiocą, —
 Nie pora wdziwać całunowych szat!
 Płyńcie mi w duszę radość i wesele!
 Tyle jest piękna — chwytajmy je w czas!
 Cnota i radość — to mądrego cele,
 Niechże nakoniec opromienią nas!

Otwórzcie dusze! wszędzie radość płuży —
 Łówcie w powietrzu jej piosenki strój,
 Łówcie oddechem, bo jest w woni róży;
 Patrzcie: radością kołysze się zdrój!
 Bierzcie ją w usta w soku winogrona,
 W owocach jabłka i soczystych grusz.
 Wszędy jest radość — niech wnijdzie do łona,
 Czas, aby chmury rozwiały się już!

Patrz w jasne oczy twojego Anioła,
 Radosnem tętnem niech ci serce gra;
 Miłość cnotliwa w Niebo cię powoła,
 Smutek uleci i pierzchnie, jak mgła.
 Uczujesz wtedy olbrzyma w twej duszy,
 Poznasz dostojny twojej drogi szlak,
 Poczujesz siłę, co głązy poruszy.
 Iskrę do walki — to zwycięstwa znak.

O bracia moi! skąd te lzy niewieście
 Szpecą jagody bohaterskich lic?
 Czyliż to życiem znużeni nareszcie
 Nad miękką trumnę nie widzicie nic?

Ach! tyle wielkich i szlachetnych rzeczy,
 Tyle zostało obowiązków znieść!
 Niechaj sumienie nasz grób zabezpieczy,
 A wtedy umrzeć — i sława, i cześć.
 Nieraz się troska, nieraz przyboleje,
 I łza na oku, i na sercu żal;
 Użyj na serce balsamu nadzieje,
 Zażyj cierpliwość, jak pancerną stal.
 A gdy mgła smutku twą głowę otoczy,
 Wyteżaj oko do niebieskich zórz!
 I nie brnąc w ścieżkę występnych uboczy,
 Dobrą otuchę w Opatrzności złóż.
 Dajcie kielichy! niechaj wino tryśnie,
 Pokrzepmy siły — i z losami w bój!
 Aż póki ręka strudzona nie zwiśnie,
 Póki się z czoła nie poleje znój!
 Słodkoż zaśniemy! sumienie zaświadczy,
 Żeśmy spełnili, co należy z nas.
 O! w tem świadectwie jest balsam zaradczy,
 Co zgoi w piersiach najdotkliwszy raz.
 Odważnie, bracia! choć duszę zraniono,
 Choć wieniec cierni przygniata nam skroń:
 Boleść potrzebna, bo orzeźwia łono,
 Jak ciepły wietrzyk obumariał błoń.
 Żniwiarze Pańscy! i śpiewajmy szczerze,
 I pracowicie związujmy nasz snop:
 Pociecha duszy — któż ją nam odbierze?
 Ona różami otoczy nasz grób.

1855. Borejkowszczyzna.

GŁOS UBOGICH

DO OBYWATELI GUBERNII WILENSKIEJ,
 zebranych na wybory w Wilnie.

O goście szlachetni! i cześć wam, i zdrowie!
 W czas dobry witajcie nam w mieście!

I groszem, i duchem bogaci mężowie,
Co czołem krainy jesteście!
Gdy wasze dostojne obrady i prace
Z wysoka przeżegnał Jehowa,
Otwórzcie swe serca! bo do nich kołace
Ubogi, sierota i wdowa.

Na polach we żniwa plon chybił żniwiarza,
Złe wieści latają żałośnie;
I wioskom, i miastom głód smutny zagraża,
Truchlejem, gdy wspomnim o wiośnie.
Gdy waszą troskliwość zajmuje tak szczerze
Po wioskach niedola ludowa,
Niechajże i w mieście jałmużnę odbierze
Ubogi, sierota i wdowa.

Gdy płacąc społeczne zasługi i czyny,
W szlachetne zbieracie się grona,
Gdy uczy dajecie wybrańcom krainy,
Wołając ich zacne imiona:
Niech stara gościnność, stosownie do chwili,
W słusznej się granicy zachowa!
Mniej kilku toasty, a już się posili
Ubogi, sierota i wdowa.

Tam, w domach — rodziny modlą się za wami,
By sprawy szczęśliwie się wiodły;
A cóż wam zaszkodzi, że z rodzin modłami
Ubodzy połączą swe modły?
Gdy szczodra dłoń wasza ich nędzę unmiejszy,
Bóg ziści dziękczynne ich słowa;
I może wymodlą urodzaj plenniejszy
Ubogi, sierota i wdowa.

1855. Wilno.

WARYANTY STARYCH TEMATÓW.

I.

Mogłem być znaczny na świecie
 I bogatszy w mym powiecie,
 Ale cel mego żywota
 Nie był: zbierać siła złota.

Mikołaj Kochanowski, *Rotuła XI.*

To papką, to czapką, to prośbą, to siłą
 Zhołdowałbym losy, zhołdowałbym ludzi,
 Jużby się i złota, i cześci dobiło. —
 Lecz chciwość i pycha żądź moich nie budzi;
 Zgasiwszy ich ogień w najpierwszej iskerce,
 Wybrałem ubóstwo, piosenkę i serce.

Lecz biada wśród ludzi, kto żądź ich nie dzieli!
 Ze skronnem rojeniem ukrywać się każą,
 Ubóstwo wyśmieli, przy pieśni zasnęli,
 A święte uczucie okryli potwarzą;
 I lecąc przed ołtarz Mamona i Pychy,
 Zburzyli mój uchron, zburzyli mój cichy!

O! czemuż w mych modłach nie było modlitwy
 Do cielca Baala, do bożka czezej chluby!
 Z ich własnym orężem stanąwszy do bitwy,
 Podeptałbym pysznych i starł samoluby;
 Silniejszą przewagę uznawszy w pokorze,
 Znieważać me serce przestaliby może.

1855. Wilno.

II.

Niepodobnym obyczajem,
 Nie poczwawczy, żyć przestajem.

Jan Kochanowski, księga X, pieśń 15.

Codzień głosim piękne słowo,
 Codzień wiem żywot trupi,

Codzień mamy żyć na nowo,
Wznieść się sercem, wznieść się głową,
Aż nas wkońcu Czyn odkupi,
Aż nas wkońcu Duch oświeci.
Ale starym obyczajem
Słowo szumi, a czas leci,
Nie począwszy, żyć przestajem.

W polach naszych perz i ziele
Potrzebuje rolnej sochy:
W myślach kwitną piękne cele,
Czujem w sercu chwastów wiele,
Które zasiał żywot płochy;
Prędko z gruzów starej nędzy
Mamy wioski stworzyć rajem;
Lecz śmierć idzie jeszcze prędzej,
Nie począwszy, żyć przestajem.

Jak ów pielgrzym w Palestynie,
Świat na drzemkę legł złowrogą,
I godzinę po godzinie
Czeka, woda aż przepłynie,
By przejść rzekę suchą nogą.
I na ziemi sakwy kładzie:
Niech wypiję, niech się najem!
I znów drzemka po biesiadzie;
Nie począwszy, żyć przestajem.

1855. Borejkowszczyzna.

ORSZAK POGRZEBOWY.

Głowę do trumny złożę w weselu,
Jeżeli pójdą za moją trumną
Ci, co kochałem... to nazbyt tłumno,
Bo ja kochałem wielu... och, wielu!
Ja śmiałych chęci nie puszczam dalej:
Niech tylko przyjdą, co mnie kochali!

Co mnie kochali wiernie a szczerze,
 Niewielka liczba — dwoje czy troje.
 Niechajby poszli i wrogi moje,
 I tych się może ze trójka zbierze.

Tak na pokładzin moich obrzędzie
 Summa summ arum sześć osób będzie,
 A siódmy pójdzie kapłan życzliwy,
 A ósmy dzwonnik, — czegoż potrzeba?
 Dziewiąty — wietrzyk z rodzinnej niwy,
 Dziesiąty — deszczyk z naszego nieba.

W takim orszaku niechaj mię żwawo
 Wilgotnej ziemi pościel otuli;
 Niech mię pokropią kropelką łzawą
 I zaśpiewają łaćńskie luli!
 Ukołysany, rad z mojej doli,
 Boleści życia wyśpię powoli.

1855. Borejkowszczyzna.

MODLITWY NA OBRAZKACH.

I.

HYMN DO NAJSW. MARYI PANNY OSTROBRAMSKIEJ.

Królująca z wysoka
 Nad murami naszymi!
 Rzuć promienny blask oka,
 Spójrzij Matko ku ziemi!
 Tu w błagalnym rozgwarze
 Płynie modła w przestrzeni;
 Tu sieroty, nędzarze,
 Tu na duszy strapieni:
 Ich nadzieja jedyna,
 Twoja litość matczyna.
 Znasz, co w myślach się mieści,
 I co w sercach nam pała;
 Znasz tajniki boleści,

Boś Ty sama bolała!
 Wiesz, kto ulgi udziela:
 Niechże Syn Twój, Bóg-Człowiek,
 Choć promykiem wesela
 Łzy osuszy nam z powiek;
 Niech się wstawi do Syna
 Twoja litość matczyna.

II.

HYMN DO PANA JEZUSA NA ŚNIPISZKACH W WILNIE.

Z Ojcem Przedwiecznym stolicę dzieli,
 Na twarz padają przed nim Anieli,
 Na Jego Imię piekło się trwoży:
 Oto Syn Boży.

Obarczon krzyżem, w koronie z cierni,
 Dreńczą Go ludzie niemiłosierni,
 Krew płynie z czoła, łza tryska z powiek:
 Oto jest Człowiek!

Ty, który ludzkość wzięłeś w Twą pieczę,
 Na krzyż przybity Boże-Człowiecze!
 Wnijdź nam do serca, niech się w niem zbudzi
 Miłość dla ludzi.

A gdy w naszego życia zawodzie
 Krzyż nas obarczy, a cierń ubodzie —
 Godnie przebywać drogi cierniste
 Pomóż nam Chryste!

III.

HYMN DO ZBAWICIELA W KOŚCIELE KATEDRALNYM
W WILNIE.

Niechaj się, Chryste, w Twem sercu zmieści
 Modła, co niesiem ufni a prości,
 Bolejącemu — słowa boleści!
 Bogu — cierpienia ludzkości!

Dotkliwych ciosów, co spadły rojem,
 Bez Twojej pomocy nie zniesiem sami;
 Nawiedź nam serca świętym pokojem,
 Jezu, zmiłuj się nad nami!

Którego głowę przebodły ciernie,
 Pośpiesz się ku nam z Boską osłoda:
 Cierniste myśli, spraw miłosiernie,
 Niechaj nam głowy nie bodą.

Któremu serce włócznią przebodli,
 Któryś sam płakał krwawemi łzami,
 Gdy człek zboleał Tobie się modli,
 Jezu, zmiłuj się nad nami!

Któryś nakarmił ludzi tysiące,
 Błogosławiwszy chlebów siedmioro,
 Spraw niech i dzisiaj rzesze łaknące
 Chleb Twojej łaski odbiorą.

Gdy u stóp krzyża mą boleść złożę,
 Niech mnie nadzieja prózna nie mami:
 Boże cierpienia! pociechy Boże!
 Jezu, zmiłuj się nad nami!

 IV.

 HYMN DO ŚWIĘTEJ WERONIKI.

Gdy się nad Zbawcą ciżba okrutna,
 Prowadząc na śmierć, pastwi jak może, —
 Tkliwa niewiasta ze szmatem płótna
 Pośpiesza otrzeć oblicze Boże.
 Starłszy znój z czoła i pot, co płynie,
 Chrystus niewiastę pamiątką darzy:
 Oto na białej płótna tkaninie
 Odbija obraz Swej Boskiej twarzy.
 Duszo w miłości Bożej ognista,
 Coś otrzymała cud znakomity,
 Módl się za nami! niech obraz Chrysta

Na naszych sercach mamy odbity!
Śladem Chrystusa, gdy cierpiąc srodze,
Dźwigamy krzyże na smutnej ziemi,
Uproś nam cnotę wytrwania w drodze
I miłosierdzie nad cierpiącymi.

V.

HYMN DO ŚWIĘTEGO KAZIMIERZA.

Dostojny Patronie Litwy,
Pokrewny z ciała i ducha!
Przygarnij nasze modlitwy,
Niech je Pan Niebios wysłucha.
Módl się za nami do Boga,
Niech grunt nie chybia swych plonów,
Niech głód, pomorek, pożoga
Nie dotknie ziem Palemonów.
Twa modła ludu niech strzeże
I ziemię dobrze Ci znaną;
Błogosław miast naszych wieże
I wiosek strzechę słomianą.
Coś sławił rzewnemi hymny
Świętą Dziewicę Maryą,
Rozgrzej nam wiarą duch zimny,
Niech serca pobożniej biją.
Niech wiary będzie zapłatą
Przeżegnanie Pańskiej dłoni,
Niech nas Opieki swej szatą
Bogarodzica osłoni.

VI.

HYMN DO ŚWIĘTEJ FILOMENY.

Dziewico, której wdziękami
Monarcha rzymski ujęty,
Próżną nadzieją się mam!

Uwikłać w ziemskie ponęty:
 Lecz w Twojem sercu ukryty,
 Chrystus swą miłość rozżarza:
 Wzgardziłaś ziemskie zaszczyty,
 Wzgardziłaś miłość cesarza!
 Gdy go zajątrzył Twój opór,
 Pod miecz katowski Cię bierze;
 Ochoczo poszłaś pod topór
 Dopęlić z Niebem przymierze.
 Swej Męczenniczki wyrazy
 Chrystus ochoczo wysłucha:
 Wybłagaj nam czystość ducha,
 Broń nasze myśli od skazy!

 VII.

 HYMN DO ŚWIĘTEGO KAJETANA.

O Kajetanie! święty Patronie!
 Coś Bogu zlecał Twoje potrzeby,
 A ufna wiara, coś nosił w łonie,
 Hojne z Niebiosów sprowadza chleby!
 O! my wierzymy w te cuda wiary,
 Ale się troski pozbyć nie możemy:
 Nie dla nas cudów przywilej stary,
 Bośmy bluźniercy w obliczu Bożem!
 Gdy Pan w swym gniewie albo przestrodze
 Tak wielu klęski ziemię dotyka,
 My, potrzebami dręczeni srodze,
 Wzywamy Ciebie na pośrednika.
 Oto na polach nieurodzaje!
 Oto kalecy do prac niezdolni!
 Oto sierota głodu doznaje!
 Któż wyrobnika z nędzy uwolni?
 Gdy nasza troska nic nie pomoże,
 Święty Patronie, w Tobie otucha:
 Módl się za nami o dary Boże,
 O wiarę w sercach i pokój ducha.

VIII.

HYMN DO ŚWIĘTEJ ZOFII.

Zofio święta, Matko pobożna,
Coś dała przykład w gronie Twej dziatwy,
Jak chrześcijance wielką być można,
Jak zgon dla prawdy słodki i łatwy!
Gdy współ z Tobą na śmierć otwartą
Wiedli Twą dziatwę srodzy morderce,
Choć serce matki najsrożej darto,
Lecz nie uległo potężne serce.
O bohaterek wzorze jedyny!
Patronką matek zostań na ziemi:
Niech wzorem waszym córki i syny
W obliczu Niebios będą świętymi.

IX.

HYMN DO ŚWIĘTEJ ANIELI.

Święta Anielo, dostojna Wdowo!
Gdy śmierć stargała Twe ziemskie śluby,
Ty'wzięłaś inszą szatę godową:
Habit zakonu ciężki a gruby.
Wyższa nad żądze ziemskich korzystek,
Grosz Twój ubóstwu oddałaś wszystek.
Oto my ludzie ziemscy, cieleśni,
Brzydka namiętność serca nam miota;
W głębinach duszy zdradnie się cieśni
Żądza rozkoszy i chciwość złota.
Niechże za Twoją czystą przyczyną
Nam ziemskie żądze z piersi wyginą.

X.

HYMN O CHRZCIE CHRYSTUSA.

I poszedł Chrystus w nadjordańskie strony,
I został w rzece od Jana ochrzcony;

Stało się wielkie przymierze na ziemi,
Sakrament złączył Boga z śmiertelnemi.
Brzmiały weselem niebieskie krainy,
I głos był słyszany: To mój Syn jedyny!
I wodzie chrzestnej udzielona siła,
By grzechy z duszy człowieka zglądziła.
Wodą chrztu kapłan zlewając nam głowy,
Dał białą szatę czystości duchowej;
Błogosławiony ten po tysiąc razy.
Kto ją do grobu przechowa bez skazy!
Lecz kto nieszcześnie a winą swej duszy,
Kurzawą świata jej białość przyprószy, —
Chryste! Izy żalu, które wylewamy,
Niech z białej szaty oczyszczą te plamy.

XI.

HYMN DO ŚWIĘTEGO TADEUSZA.

Zaniechaj, wdowo, tęsknoty,
Bóg widzi boleść twej duszy;
W niebo spojrzycie, sieroty,
A Bóg Izy wasze osuszy!
On ciernie waszego czoła,
On oczy zalane łzami
W opiekę zdał Apostoła:
Tadeusz czuwa nad wami.
Gdy z myślą bolesną w głowie
Opadną ręce bezwładnie,
Kiedy sierocie i wdowie
I chleba łaknąć wypadnie,
Bądź Tadeuszu na straży!
Niebo Twych modłów wysłucha,
Chlebem nakarmi nędzarzy,
Łaską umocni ich ducha.

XII.

HYMN DO ŚWIĘTEJ HELENY.

Święta Heleno! o Matko cesarza,
 Co nowe światło nad Rzymem rozżarza,
 Dał chrzestny chryzmat pogańskiemu światu,
 Namaścił czoło ludu i senatu,
 A karty dziejów ropoczawszy nowe,
 Na Kapitolu wznosił godło krzyżowe!
 Tyś chrześcijaństwa dała skarb jedyny:
 Krzyż, krwią przesiąkły Baranka bez winy,
 Zarzucon gruzem i nasypem ziemi,
 Dał się odkopać rękami Twojemi.
 Przez Cię ludzkości, co Chrystusa wyzna,
 Wrócona po Nim najdroższa puścizna.
 Naucz nas, Święta, kochać Krzyż ten stary
 Duchem miłości i duchem ofiary.
 Do ramion jego wołamy w niedoli:
 Niech nas przygarną, gdy nas serce boli!

1855—1858. Borejkwowszczyzna i Wilno.

NA UROCZYSTE OTWARCIE
 MUZEUM STAROŻYTNOŚCI

w Wilnie.

Kiedy przeszłość litewska ze swojemi dzieje,
 Wiekami poczerniała, w gruzach popieleje,
 Gdy stare jej zabytki czas niszczy i zmienia,
 Pokrywszy bryłą ziemi lub mgłą zapomnienia, —
 Ten, co berło Mendogów i Witoldów trzyma,
 Przychylnemi obrócił w tę stronę oczyma,
 Kazał ratować każdy tej przeszłości szczątek,
 Dźwignąć w grodzie Jagiełłów świątynię pamiątek.
 W tej dla Litwy pamiętnej dawnych nauk sali
 Poświęcić ów przybytek gdyśmy się zebrali,
 Schylamy wdzięczne głowy, jak powinność każe,

Przed Bogiem, co myśl piękną zlewa na mocarze,
 Przed monarchą, posłusznym głosowi natchnienia,
 Co nowym naszą stroną blaskiem opromienia,
 I nasz hold dostojnemu mężowi oddajem,
 Co z ramienia Monarchy zarządza tym krajem.

Kolejno — cześć wam, goście, którzyście w tej chwili
 Podzielić uroczystość naszą pośpieszyli!
 Cześć wam, stare zabytki, dni ubiegłych szczęty,
 Nad któremi bierzemy dług czuwania święty!
 Cześć nareszcie i tobie niech złożą Litwini,
 Zaczny zakładco naszych pamiątek świątyni!
 Za którego staraniem i przy czujnym sterze,
 Jak wzięła swoje życie, tak wzrostu nabierze.
 Tyś ją wypielegnował w głębi twego łona,
 Tyś zarzucił osnowę, Bóg wątku dokona.

Za szczupłość naszych zbiorów nie wstyd nam u świa-
 Bo jeszcze ziemia nasza w pamiątki bogata, [ta,
 Bogate serce naszych współobywateli,
 Co się każdym nabytkiem ochoczo podzieli.
 Więc wsparta ich współczuciem pocziwa mozoła
 Co rok większem bogactwem pochłubić się zdoła,
 Co rok może z tych gruzów nowa myśl zaświeci
 Korzyścią dla nauki i dla naszych dzieci.

Dostojni urzędnicy i goście łaskawi!
 Niechże wasze współczucie nas pobłogosławi;
 A jeśli trudy nasze warto mieć na względzie,
 Niech ku nam wasze serce z pomocą przybędzie!
 Nie chcą bogatych darów tej świątyni ściany:
 Rdzawy kawał żelaza w polu wyorany,
 Stara miedziana drachma, grynszpanem pokryta,
 Albo karta odwieczna, co nikt nie wyczyta,
 Lub staroświecki obraz z odwiecznemi plamy:
 Oto cała jałmużna, jakiej pożądamy!
 Jeśli z takimi dary pośpieszyć ochota,
 Między święte pamiątki umieścim te wota;
 A może wśród tych szczątków najlichsza okrucza
 Posłuży do zbadania dziejowego ducha,

I kartę historyczną oczyści od baśni,
I przeszłość nam odsłoni, i przyszłość rozjaśni.

Za czasów starożytnych, jak nam piszą dzieje,
Zawieszano w kościołach wojenne trofeje:
I dzisiaj toczy walkę i zwycięstwa szuka
Z czasem i niepamięcią dziejowa nauka;
A te stare żelastwa, te spróchniałe karty,
To łup w inię nauki czasowi wydarty.
Zawieszamy go z chlubą w pamiątek kościele,
Ale walka trwa ciągle, zdobyczy jest wiele.
Wspomóżcie nas w tej walce, dodajcie nam siły,
Kto szanuje pradziada, komu prawnuk miły!
A da Bóg, może plony zjawią się bogate,
Przeszłość weźmie uczucie, a przyszłość oświatę.

17 (29) kwietnia 1856. Wilno.

ARCHEOLOGIA.

(DO REDAKTORA GAZETY WARSZAWSKIEJ).

Wpiszuj mi z serca, mości redaktorze!
Człowiek radością dzieli się, z kim może.
U nas świątynię pamiątek odkryto,
A od soboty jestem w niej lewitą.
Mam tedy dzisiaj prawo niewątpliwe
Nosić baldachim, dzwonić na wotywę,
Ubierać ołtarz na dni uroczyste
I odpowiadać: Laus Tibi, Christe!
Dobry-ć to urząd; ale kto wie wreszcie?
Może wy innych przekonań jesteście;
Powszechny przesąd i was może mami,
Że starożytność — zabawka z trupami,
Że z dawnych gratów nic się nie wyklei,
Że w dziejach trzeba żywotnej idei.
Otóż, chcąc prawdy odsłonić oblicze,
Z całą szczerotą wam się wyjęzyczę;

A gdy me słowo zważycie na szali,
Może i w innych przesady obali.

Naukę dziejów nazwałbym najprościej
Lekarzem chorób naszej społeczności:
Ona ulecza od zamętu głowę,
Odświeża serca już zwątpić gotowe,
Zna puls ludzkości, co najciszej szepta,
I przepisuje zbawienne recepta.
Archeologia, którą mam na względzie,
Jeśli tak chcecie — niech już trupem będzie.
A czegoż warta lekarza porada,
Który praw życia na trupie nie zbada?
Który nieświadom prostych wiadomości,
Gdzie biją tętna, gdzie nerwy i kości?
Któż się takiemu powierzyć ośmiela,
Co nie próbował na trupie skalpela?
Starożytników udział taki samy:
Zamiast skalpelów, my rydlem władamy.
W trupie przeszłości, jakże piękna praca,
Gdy się nerw jeden nieznany namaca,
Gdy się wykrzyknie, rozjaśnwszy twarze:
Patrzajcie na to, ludzkości lekarze!
Zbadać to pilno żaden się nie poleń,
Bo tu jest zdrowie dla przyszłych pokoleń!
A może drobiazg, znalezion w przestrzeni,
Naukę dziejów od razu przemieni:
Gdzie mądrych potów, gdzie sił było szkoda,
Klucz do przeszłości od razu wam poda,
A zapomocą tych cudownych kluczy
Jaśniej na przyszłość poglądać nauczy;
A że z przeszłości i przyszłość coś bierze,
Doli potomków przysłuży się szczerze.

A więc nie szydźcie, jak uliczne chłopię,
Ze ktoś po starych cmentarzach się kopie,
Ze mały kłosek ze swojego żniwa,
Jak coś wielkiego, świata obwoływa.
Sznujcie rydel: bo to jest rzecz droga

W rękach rolnika, czy archeologa, —
 Czy na żniwiarskiej, czy na dziejów roli,
 Okruczę chleba zawsze wymozoli.

1856. Wilno.

Z O Z U L A.

O! nieblizkie drogi niebo
 I niełatwy lot orłowy!
 Gdy mu serca, gdy sił trzeba,
 Orzeł leci do dąbrowy.

Nim do lotu pierś rozwije,
 Nim w powietrzne ruszy harce,
 Król błękitu czołem bije
 Bałamutce i wróżbiarce.

Bo zozula, chociaż młoda,
 Zna filutka sądy Boże;
 Wróżbą sercu dopomoże
 I olbrzymiej siły doda.

„Kuku! kuku! niby nie wie,
 Że wyrocznią jest orłowi,
 Że on, skryty gdzieś przy drzewie,
 Każde „kuku“ sercem łowi.

W jego piersiach zakipiało,
 Poczul w sobie orle ramię,
 Pod niebiosą wzbił się śmiało,
 Siwe chmury pędem łamie.

I uderzył w chmury siwe,
 Aż wytrysły deszczu strugi;
 Świat mu wdzięczen tej przysługi,
 Że wywołał deszcz na niwę.

Spada, pierśmi w chmurę trąca,
 Pierzchła gęstych chmur przepaska;

Świat orłowi w ręce klaska,
 Że odsłonił widok słońca.

Ludzie dziwią się nieczuli:
 Skąd się tyle siły wzięło?
 To wróżbiarki leśnej dzieło —
 Cześć zozuli! cześć zozuli!

1856.

DO WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

(Przy wydaniu „Czem chata bogata“).

Idź, młody piewco! leć, młody ptaku!
 Niech się twój zapał co chwila budzi:
 Śpiewać w litewskich piewców orszaku,
 To znaczy śpiewać dla dobrych ludzi.
 Kochać tych ludzi — serca nie szkoda,
 Śpiewać — nie szkoda piersi młodzieńczej;
 Bo każda nuta, co się im poda,
 Zaraz w ich sercach mile oddźwięczy.
 Ja znam te serca! trafisz najprościej
 W duszę słuchacza, sąsiada, brata,
 Jeno kołataj w imię miłości,
 Postaw: czem chata twoja bogata.
 A nie pogardzą twoją chudobą,
 Przyjdą gromadnie do twego stołu,
 I chleb duchowy rozłamią z tobą,
 I Iżę wyleją z tobą pospołu.
 Śmiało się, grajku, spuść na ich serca!
 Nie ogadają twojego chleba,
 A choć się znajdzie jaki oszczerca,
 To się i o to troszczyć nie trzeba;
 Bo ten lud Boży tak go zasyczy,
 Że sam odwoła słowa goryczy.

O serca Litwy, jakby o ścianę,
 Krzepko oparty, przypatrz się nieco,
 A piosnki twoje, wiatrem rozwiane,

Lotem jaskółki nasz kraj oblecą;
Nad każdym oknem strzechy Litwina
Będzie twe gniazdo — twoja gościna.

Dla twoich pieśni szerokie echo,
Szerokie pole dla twego trudu.
Patrz na te wioski: pod każdą strzechą
Żyją gromadki Bożego ludu.
Zajrzyj w ich serca, jak tam bogato!
Niechże te skarby piosnka rozświeci.
Spójrzysz na dymy nad każdą chatą, —
Z niemi pod niebo niech myśl poleci
Niechaj wybląga o łaskę Nieba,
Czego tym chatom, tym sercom trzeba.
Grusze na polach, krzyże z mogiły,
Wieże kościelne, swojskie powietrze!
Jakież to barwy na twej paletrze!
Jakież z nich obraz stworzy się miły!
Jakże myśl każdą zamkniesz tu zwięźle!
Śmiało, malarzu, bierz się za penzle.

O dobrzy ludzie litewskiej włości!
Przyjmijcież piewcy dar niebogaty.
I ja przyszedłem do was przed laty
Beż żadnych zasług okrom miłości;
Mnie spotkał uśmiech waszego oka,
Waszem współczuciem dotąd się pieszczę, —
Wszak niwa piosnek taka szeroka,
Tyle zostaje wyśpiewać jeszcze,
Na tyle taktów piosnka się klei,
To o cierpieniach, to o nadziei...
Och! nie zawadzi! och! nie zawadzi
W struny rodzinne zagrać goręcej!
Wy, jako tuszę, będziecie radzi,
Że jeden pieśniarz przybędzie więcej:
Przyjmijcież sercem braterskie dźwięki,
Odbijcie w sercach echo piosenki!

Patrz za górami na przestrzeń mglistą:
Świat promienieje albo się chmurzy.

Przygotuj czoło, młody lutnisto,
 Na wieniec cierni i wieniec róży, —
 I wyśpiewujac, co serce mieści,
 Umiej być wesół, kiedy wesele,
 Płacz z bolejącym w chwilę boleści,
 Ukazuj braciom ich wyższe cele.
 Nie zginie piosnka w piosenek tłumie:
 Bóg cię nagrodzi, a kraj zrozumie.

1856. Borejkowszczyzna.

SZUM BRZOZKI.

SIELANKA.

Pod oknami mojej chaty
 Biała brzoзка smukło rośnie,
 A odarta z letniej szaty,
 Chwiejąc warkocz swój kudłaty,
 Pomrukuje coś żałośnie,
 Wyśpiewywa pieśń niedoli,
 Że, słuchając, dusza boli.

Chłodny wietrze! sroga zimo!
 Szklany lodzie! śniegu biały!
 Wyście ledwo przeszły mimo,
 Już ozdobę mą rodzimą,
 Moje liście oberwały,
 Rozrzuciły po przestrzeni,
 Zamroziły sok w mej rdzeni!

Na gałązkach ciężką bryłą
 Lód kropliste zakuł deszcze.
 Biały śniegu! poco było
 Wiać na głowę, na pochyłą,
 I obciążać bardziej jeszcze,
 Że wierzchołki wysokimi
 Giąć się muszę aż do ziemi?

Nie na długo wicher głuszy,
 Ciepły wietrzyk włosnę szepce,

Wiosna idzie, lód pokruszy,
 Ona warkocz mój osuszy,
 Ciężkie śniegi w błoto wdepce;
 W mojej piersi znów widocznie
 Siła soków krążyć pocznie.

Z młodych pączków trysną liście,
 Liście wonne i majowe;
 Ale nawet wiosny przyjdzie
 Nie podniesie uroczyście
 Skaleczoną moją głowę!
 Dzięki ludów ciężkiej bryle.
 Już wierzchołka nią odchyle.

1857. Borejkwoszczyzna.

ZŁOTO, KADZIDŁO I MYRRA.

(Westchnienie).

1.

Gdy niedostatki nas gnioła,
 Gdy zbytki zgubić nas mogą,
 Chryste, zrodzony ubogo,
 Ty pobłogosław nam złoto!
 Gdzie wieśniak ginie bez chleba,
 Gdzie jęczą w łachmanach chorzy,
 Tam złota wiele potrzeba,
 Tam się niech złoto przysporzy.
 Kiedy występku ohyda
 Ma złota ile zamarzy,
 Królu! potomku Dawida!
 Daj go na chleb dla nędzarzy.
 Gdzie niemasz pola do pracy,
 Gdzie wątłe siły żywota,
 Błagamy, jako żebracy:
 Daj złota, Boże! daj złota!

2.

Kadzidło — to symbol chwały,
 Należy tylko Jehowie,
 A przecież w człowieczej głowie
 Dymy aromat rozlały.
 Bogactwo, wziętość lub władza
 Piętno zatarły w nas Boże;
 A dym kadzidła przeszkadza,
 Że człek być człkiem nie może.
 Złącz nas w braterskie ogniwo,
 O Chryste! o Boże z Nieba!
 Daj nam zasługę prawdziwą,
 Której kadzideł nie trzeba!
 Gdy piekiel pycha obrzydła
 Z Tobą się mierzy zuchwale,
 Przeżegnaj garstkę kadzidła,
 Niech służy ku Twojej chwale!

3.

Myrra — to symbol cierpienia,
 W niej pobłogosław ły nasze!
 Gdy cierń nam serce opasze,
 Niechaj się wiara nie zmienia,
 Niechaj nadzieja pokrzepi,
 Niech miłość wskrzesi nadzieję,
 Że jutro będzie nam lepiej,
 Że się nam słońce zaśmieje.
 Ośmiel nas, że mamy prawo
 Zaufać Tobie jak ojcu!
 I Tyś w Oliwnym ogroju
 Pocił się łzawo i krwawo.
 Gdy cierpień wpiją się miecze,
 Gdy pęka serce sieroce,
 Chryste! zbolały Człowiecze!
 Błogosław myrry owoce!

KRZYŻE WIOSKOWE.

Dawnemi laty, w pocie swego czoła,
Mnich sprawy ludzkie na pergamin leje;
W mowie łacińskiej, w języku Kościoła
Kreśli poważne, rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tem więcej uczczono.
Słowo, na kartę wpisane w ten sposób,
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasu i osób.
Takim wspomnieniem gdy dziejopis wspomni,
Przeszłość na zawsze staje na widoku,
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekną potomni.

Swoje wspomnienia w postaci odmiennej
Pisze dla wnuków wieśniak niepiśmienny.
Gdzie mu mieć kartę? gdzie pióro i rylec?
A jednak w sercu potrzeba się budzi,
Aby syn własny lub obcy przybylec
Znał dawne czasy i dawniejszych ludzi,
Aby na wieki zbawić od zatury,
Co się w tej wiosce trafiło przed laty.
Więc zamiast karty bierze grunt z pod wioski,
A zamiast pisma krzyż z drzewa wyciosa,
I cichych dziejów niezmasane głoski
Na tle błękitnem odbiją niebiosą.
A w wiosce nie brak zgrzybiałego dziada,
Który o kiju pod krzyż się przywlecze,
I hyleś ciekaw, przechodni człowiecze,
Krzyża i wioski dzieje ci wygada.
Dziejopis umrze, pergamin zbutwieje,
Młodzi przestaną trudnić się łaciną;
Ale krzyżami zapisane dzieje
Z pamięci ludzkiej niełatwo zaginą.

Jeden krzyż zgnije, drugi się postawi,
 Jeden dziad umrze, to drugi się zdarzy;
 A młodzi zawsze powieści ciekawi,
 Więc zawsze gotów słuchacz u bajarzy;
 I takim kształtem powieść o rodzinie
 Z krwią pokolenia w pokolenie płynie.

Czasem się zdarzy, ktoś z opowiadaczy
 Dat nie pamięta, imię przeinaczy.
 Więc słucha mędrzec i ramiony wzruszy:
 Podanie pismu nie jest odpowiednie;
 Śmieje się tedy i myśli w swej duszy:
 Brednie dziadowskie, nic więcej, niż brednie!
 Ach! to nie brednie, chwycone z ulicy!
 Ręczy krzyż Pański, jako świadek niemy;
 Lecz winneż dzieje, że my piśmiennicy
 Prawdy w podaniu znaleźć nie umiemy?

Krzyż na swej niwie stawia kmieć ubogi,
 Krzyżem swe imię niepiśmienny znaczy,
 Krzyżem rozstajne rozchodzą się drogi,
 W krzyż idą sakwy na piersi żebraczej,
 Jęczym przybici na krzyż naszej doli,
 Krzyżem nas żegna, krzyżem Bóg wyzwoli;
 Krzyże stawiamy, by uczynić zadość
 Pamiętce zmarłych drogich sercu braci,
 W krzyżu nadzieja, łzy, i krew, i radość,
 Krzyż nas podniesie i krzyż nas zatraci,
 Przed krzyżem serce strapione się modli,
 Jeden się zacni, a drugi upodli.

Czy na rozstajnej, czy na życia drodze,
 Krzyżu Chrystusów, wszędzie cię znachodzę.
 Tyś zawsze godłem, tyś życia obrazem!
 Czy cierpi serce, czy szczęście nam służy,
 Zawsze i wszędzie tyś jest drogowskazem,
 Ażebym pielgrzym nie błędził w podróży.
 A jeśli pielgrzym w obłędu godzinie
 Krzyż Chrystusowy niebacznie pominie,
 I zamiast drogi manowce obierze,

I straszną przepaść znajdzie na uboczy;
 To, byle sercem pożałował szczerze,
 Znów, krzyżu Pański, staniesz mu przed oczy,
 I ojcowskiemi twojemi ramiony
 Wskażesz błędnemu gościniec stracony.

Wielcy i mądrzy zapomnieli może,
 Lub na krzyż Pański dziś patrzą inaczej;
 Lecz prosty wieśniak każde swe rozdroże,
 Każdą pamiątkę krzyżykami znaczy;
 Każdą pamiątkę, choć tysiąc lat mija,
 Krzyżem, jak gwoździem do serca przybija.
 Dziwne te krzyże, dziwne te mogiły,
 Po naszej ziemi rozrzucone wszędzie!
 Plemiona zmarły, wieki się zmieniły,
 Lecz pamięć żyje i długo żyć będzie.
 I gdy ci bajać pocznie dziad brodaty
 O tym krzyżyku, o królowej Bonie,
 Nie wierzysz w ścisłość historycznej daty,
 Lecz sercem czujesz, że to prawdą wionie,
 I bardziej trafi do twojego łona
 Gawęda starca, niż książka uczona.

1857. Borejkwoszczyzna.

STARY ZEGAR.

Oto kunszt staroświecki majsterskiego dzieła:
 Dłoń ludzka w małej skrzynce bieg czasu zamknęła,
 I dzwonek dała mu w rękę;
 W małej mosiężnej skrzynce żyje myśl nielada,
 Coś porusza wskazówkę, coś szypi, coś gada,
 Coś dzwoni jedną piosenkę.

Zegar! — ileż on zmierzył i minut, i godzin,
 Ile wydzwonił biesiad, śmierci i urodzin,
 I różnych doli człowieka!

A w zimnem jego sercu żelazna sprężyna
 Nieubłaganym taktem ciągle przypomina,
 Że życie ciągle ucieka.

Przemierzając wskazówką długich lat ogromy
 Na krótkie mgnienia oka, na czasu atomy,
 Mruczy i zrzędzi, jak stary:
 Nie gońcie za motylem, nie próżnujcie gnuśnie!
 Do roboty! do czynu! bo hańba kto uśnie,
 Kto swej nie spełni ofiary!

Długo stare zegary, odwieczni nudziarze,
 Nad głową waszych ojców biły w ekscytarze,
 Budząc ich myśli i czyny.
 Brzęk puharów, gwar śmiechów tłumił ich gderanie,
 Aż Pan kazał zegarom jęknąć niespodzianie,
 Aż pękły rdzawe sprężyny!

Znów waga naciągnięta, wskazówka popchnięta,
 I szybko nowej ery pobiegły momenta,
 Ale zegary już inne:
 Ciszej biją sprężyny, ciszej puls kołata,
 Aby nie przerwać dumań myślącego świata,
 Szanując drzemki dziecinne.

Co też mędrzec wyduma? co też dziecko wyśni?
 Jak garstkę swoich minut ludzkość ukorzystni?
 Wielkie dziejowe zadanie!
 Świat ocknął się, zakipiał, jak wsiadł na sto koni,
 Już jego szybkich pulsów zegar nie dogoni,
 Już nad nim gderać przestanie.

Czas idzie zółwim krokiem, postęp orlim lotem,
 Poprzedzon świstem pary i machin łoskotem,
 Podniósł tytańskie ramiona!
 A pragnąc glob podźwignąć z jego starej osi,
 Zaledwie zaczął walkę — już zwycięstwo głosi,
 Że fałsz i ciemność pokona.

Boże! kiedy się puści w swe drogi sokole,
 Niech nie zapomni krzyża położyć na czole!
 Nawiedź go myślą poradną!
 Dopomóż jego śmiałej a poczciwej chęci,
 Niech mu się z wysokości głowa nie zakręci,
 Ani ramiona opadną!

Niechaj w górę wzniesiona drużyna skrzydłaczy
 Zbożne, prawdziwe cele postępu zobaczy,
 Niech światu prawdę wyśledzi.
 A potem bądź miłościw dla starych szermierzy,
 Gdy stary zegar czasu godzinę uderzy
 Wielkiej, dziejowej spowiedzi!

Zegar bije sekundę — to rodzi się dziecko,
 Zegar bije sekundę — ktoś umarł na świecie,
 Świat być w spoczynku nie może;
 Wciąż nowe pokolenia snują się po ziemi,
 Z nowymi dążeniami, z myślami nowymi,
 Idą Twe dzieci, o Boże!

Trzeba mistrzów, co pilno badając puls młodzi,
 Mówiliby: To godzi, a to się nie godzi!
 I strzegli starych cnót ziarna.
 Wzbudź ich! a który spełnił swoje powołanie,
 Wedle sprawiedliwości błogosław mu, Panie!
 Bo ich zasługa nie marna!

1857. Borejkowaczczyna.

KWIETNIOWY MOTYL.

Młody chłopaku, porzuć swawole:
 Kwietniowy motyl wyleciał w pole,
 Radosna chwila!
 Nie psuj radości swoją pustotą,
 Niech mu na skrzydłach migoce złoto,
 Nie goń motyla!

Niech sobie lata, niech sobie lata,
Przez kilka godzin użyje świata,
Co się przymila.
Skrzydółka płoną, oczki mu płoną,
Chce się pocieszyć trawką zieloną, —
Nie goń motyla!

Dla niego wieczność, co dla nas chwilka,
Chce w jednej wiosnie mieć wiosen kilka,
Główkę pochyła,
I z każdej trawki, z każdego kwiatka
Chciałby słodczyce ssać do ostatka, —
Nie goń motyla!

Marząc o różach, pije cykute,
Jemu nie szkodzą krople zatrute,
Niech je wychyla!
Dopóki wierzy w balsamu kwiecie,
Jeżeli spłoszysz, grzech tobie, dziecię!
Nie goń motyla!

Gdyby żył tyle, co my żyjemy,
I gdyby, wiedząc to, co my wiemy,
Ssał miód z badyła —
Niech nie doczeka przyszłej jutrzeńki!
Skradnij się, dziecię, nie żałuj ręki,
Zabij motyla!

1857. Borejkowszczyzna.

PROCEDENCYE SZKLANICY MIODU.

I.

Stary miód w szlacheckiej chacie
To rzecz święta, panie bracie!
Bo nim niegdyś swoje zdrowie
Pili nasi pradziadowie.
No, a pijąc, jużci gwarzą,

Otwierają wzajem duszę,
Przy nim rady i sojusze
I zrywają, i kojarzą.
Miód był uczy towarzyszem,
Hart nadawał sercu, pięści;
Co dziś gwarzym, co dziś piszem,
To nie warto setnej części
Owoczesnych zgód i sporów,
Gdy roziskrzy miodek oczy,
Kardyalnych rozhovorów,
Co przy miodzie szlachta toczy.
Szkoda tylko, że w mogile
Słowa, czyny, sława zgasła...

Więc pamiątki tylko tyle?
Więc do czegoż szumne hasła?
Więc dlaczegoż, panie bracie,
Ten miód świętym nazywacie?
Że opleśniał? — pleśń nie święta!
Że dawniejszy czas pamięta?
Że, jak niegdyś szumiał w tłumie,
Opowiedzieć sam nie umie?

Gdy świętości tylko tyle,
Że w nim niegdyś ludzie mokną,
Dajcie pokój ich mogile,
A wylejcie miód za okno!
Gdy się z niego ulotniła
Starodawna moc i siła,
Gdy ma służyć za napitek,
To-ć nie pijcie ludzie młodzi!
Dziś za drogi taki zbytek
I na głowę wam zaszkodzi.
Słabe głowy waszych gości
Niechaj raczy napój świeży.
Co inszego, kto w świętości
Widzi świętość, jak należy,
Z myślą ojców kto się spotka
Kiedy spełnia ich wiwaty,

Kto w kropelce starej daty
Pije duszę swego przodka,
Temu chyba ucztę sprawcie,
Lecz profanów od niej zdala!
Stary miodek przed nim stawcie.
On świętości nie pokala.
Gdy mu miód zaszumi w głowie,
A rumieńcem skrasi lice,
Ze czcią patrząc na szklanicę,
On wam przeszłość jej opowie,
I oświeci nas, prostaki,
Ot mniej więcej w sposób taki:

II.

Przed latami, przed wiekami,
Na tej samej co my ziemi,
Żyli ludzie tacy sami,
Tylko z pierśmi gorętszemi;
Na wojacze męże chrobrzy,
Między swymi bracia dobrzy,
A choć jeszcze bałwochwalce,
Żywszą wiarę mieli w łonie,
I w ołtarzy swych obronie
Byli radzi umrzeć w walce.
Grunt, co dzisiaj sochą orzem,
Grobowcami ich usiany;
W górach, lasach, ponad morzem,
Wszędzie znajdziesz ich kurhany:
A z ich piersi to snop żyta,
To wzorzysty kwiat wykwiata.
Bo za życia ludzie czyści
Wciąż na myślach mieli plony:
Jak najwięcej dać korzyści?
Jak ozdobić kraj rodzony?
I niepłonno męże prawi
Byli myślą tą zajęci,
Bo im Pan Bóg takie chęci

I za grobem błogosławi.
Gdy ich czyny, słowa, pieśni
Na pożytek szły współcześnie,
To-ć i z grobów, z nad ich ciała
Nie pokrzywa wyrastała.
Gdy potomek kwiaty zżyna,
Ani sobie przypomina,
Że to z kości pra-pradziada;
Ani zgadną ludzie ślepi,
Co im nowych sił udziela,
Że w tym chlebie — to ich krzepi
Wigor z piersi rodziciela.
A dziewczyna ani marzy,
Gdy się w kwiaty ozdobiła,
Czemu chłopcom taka miła?
Czemu kwiatek tak do twarzy?
Och! bo w skromny polny kwiatek
Czarodziejstwo Nieba wlały:
On wyrasta z serca matek,
Co swą dziatwę tak kochały,
Co z Niebiosów wysokości
Patrzą na nią pieśczeniwieli!
Tak ku starej swojej niwie
Przeszłość dyszy w potomności,
Żyje zawždy między swemi,
Jest w powietrzu, w wodzie, w ziemi.

III.

W tem naczyniu, mchem nawisłem,
W starym miodzie pra-pradziada
Jest zaklęta myśl nielada!
Pij go ze czcią i rozmysłem
I dopij się, co tam w duchu,
Co tam za treść uroczysta:
Bo iż może lat ze trzysta
Wisiał w sklepie na łańcuchu,
Tego jeszcze nam nie dosyć,

Aby stągwiom ołtarz wznosić.
A czyż myślisz, że ci starzy
Już w Niebiesiech zbyt weseli,
Gdy potomek się podchmieli
I o przeszłych czasach gwarzy?
Gdy odgadnąć stare pleśnie
Serce nie da ci sposobu,
Starożytność z głębi grobu
Tylko śmieje się boleśnie.
Gdy niezręcznie jej dotyka
Świątokradzka dłoń badacza,
To mu przeszłość z oczu znika,
Więszem ciemnem się otacza.
Gdy się mrokiem raz otoczy,
Już mozoła nadaremna!
Uzbrojone szklami oczy
Nie przebodą wieków ciemna.
Chyba sercem zaklnij święcie,
Przeszłość stanie na zaklęcie.

IV.

Patrz na ciemny obszar puszczy:
Jak tych dębów postać święta!
Ten bór wiele snadź pamięta,
Może on nam coś wyłuszczy.
Patrz: przy starej, gęstej lipie
Jakiś kopiec, drugi, trzeci;
Czyjaż ręka tu je sypie,
Gdzie dziś ptaszek nie doleci,
Gdzie dziś wąż się nie dociśnie
Za gęstemi krzewin sploty?
Czy sypano je umyślnie?
Jaki cel był tej roboty?
Dąb na kopcu tajemniczy
Wzrósł, by jakieś widmo wieszczce;
Kilka wieków sam dąb liczy,
A więc kopiec starszy jeszcze!
Starszy jeszcze, bardzo stary,

Wgniecion w ziemię do połowy,
Kędzierzawe, siwe mszary
Obwisają pień dębowy.
A nad mszarem, wyżej nieco,
W piersi dębu już nadgniłej,
Skrzętne pszczołki, co tu lecą,
Ul dla siebie założyły.
Patrz: z nasypu tego wzgórza
Ludzka czaszka się wynurza...
Więc to cmentarz starej daty,
Z przed dziesięciu wieków chyba.
Patrzaj! — zagon — znaczna skiba...
Więc orano grunt przed laty!
Więc tu niegdyś było pole,
Potem ludzkie grobowiska;
Więc to drzewo się wyciska
Z piersi ludzkich, więc w ich czole
Swe korzonki dąb zanurza,
I ssie stamtąd swoje soki,
I tak wzniósł się pod obłoki,
Jakby jaka chmura duża,
A gałęźmi ponad darnie
Ze sto kroków cień ogarnie.
Toż to piersi być musiały
Tego człeka, co tam leży,
Kiedy dały żywot świeży
I wzrost drzewu tak wspaniały!
A w tych piersiach, a w tej głowie
Być musiała myśl życzliwa:
Niech tu przyszli potomkowie,
Niech tu ludzkość odpoczywa,
Niech przygarne na mem łonie,
Niech prawnuków mych osłonie!
I konary z dębu wzrosły
Jakby ręce — ze swobodą
Ku Niebiosom się podniosły,
Błogosławiąc ludzkość młodą.

Ta krzewina, z razu licha,
 Czyjeż kształty ma na sobie?
 To praojca, co śpi w grobie,
 Co do wnuków się uśmiecha.
 Ze swych piersi w piersi drzewa
 Zapożyczył dobrej treści;
 Jego myślą dąb szeleści,
 Kiedy wietrzyk weń powiewa.

Drugi z ojców dał wzrost lipie,
 Co rozrasta się krzewiście,
 W młode, bujne szumi liście,
 I już kwieciem się osypie.
 I już ludzi plemię młode,
 Kiedy znojem znuży głowę,
 Szło do gaju po ochłodę,
 Przytulenie brać ojcowe.
 A znęcone wonnym kwiatem
 Które gaik bujnie rości,
 I wonniejszym aromatem
 Rodzicielskiej życzliwości,
 Przyleciały pszczołek roje,
 Zakrzętała się gromada.
 Dąb otworzył piersi swoje,
 Kędy pszczołka ule składa,
 Lipa kwiatów nie zazdrości,
 Bóg przeżegnał pszczoł zachody, —
 I już były w plastrach miody;
 Znów na korzyść potomności
 Z ojcowskiego plony czoła
 Dla prawnuków brała pszczoła.
 A w tej lipie, skąd miód bierze,
 I w tym dębie, gdzie go składa,
 Była dusza pra-pradziada,
 Co prawnuki kochał szczerze;
 Każda kropla była święta,
 Jego myślą przesiąknięta.

V.

Dobrze wiedząc, czyjej głowie
Podziękować winni czule,
Szli do gaju potomkowie
Opatrywać pszczelne ule,
I wynieśli dobre plony,
I warzyli miód sycony.
Gdy się potem w kółko zbiorą
I podchmielą się biesiadnie,
To zaledwie kto odgadnie:
Skąd te myśli w głowach gorą,
Skąd ten zapach serce bodzie
Ku wielkiemu, cnotliwemu?
I odgadli, jak i czemu
Dusza ojców mieszka w miodzie?
Gdzie z ramienia bohatera
Rosła lipa, stąd miód wzięto, —
Od szklanicy krew się wzbiera,
Czujesz dzielność niepojętą.
A gdzie z piersi u pieśniarza
Wzrosły dębu miodne barcie,
Tam od kropli już otwarcie
Rzewna dumka duch rozżarza,
I piosenka płynąć rada,
Sama w uściech się układa.
I szczęśliwi ci, co pili,
Bo nie znali ducha nędzy;
Stare myśli odrodzili
I jak starzy byli tędzy.
A doznawszy, jak te myśli
Czarodziejsko sercu służą,
Strzęśli gaje jak najściślej,
Nasycili miodu dużo,
I schowali dla swych dzieci,
W nim zakławszy ojców dusze,
Mając w dobrej płyn otusze,
Ze pocziwą myśl podnieci,

Że skarłałą pierś ożywi,
 Serce pocznie grać ochoczo,
 Że gdy usta w nim umoczą,
 Będą prawi i cnotliwi.

VI.

Z dawnych piwnic gdzieś zakątka
 Taki spadek nam się dostał,
 Aby wiek nasz dawnym sprostał.
 To coś więcej, niż pamiątka!
 W tej szklanicy przeszłość cała
 Jeszcze dyszy aromatem,
 Czuć lipowym starym kwiatem,
 Myśl dawniejsza nie zwietrzała,
 Kto, jej treścią dość przejęty,
 Chowa w sercu cnoty stare,
 Godzien brzęknąć czarą w czarę
 I wychylić płyn zaklęty.
 I obaczy po tym płynie,
 Jak pokrzepi się nieznacznie,
 Ciepło w piersiach się rozwinie
 I już zdrowie plążyć zacznie.

1857. Wilno.

DO KS. WACŁAWA ŻYLIŃSKIEGO,

Biskupa wileńskiego, Arcybiskupa mohylowskiego i Metropolity rzymsko-
 katolickich kościołów w cesarstwie rosyjskiem.

Kiedy kornie schylamy chrześcijańskie czoła
 Wobec Arcypasterza Pańskiego Kościoła,
 Gdy wiara naszych ojców szczerą i głęboką
 Przy jego przeżegnaniu łzę ciśnie nam z oka,
 Gdy dusza chrześcijańska świętych wrażeń syta, --
 Niechże Litwin swą chlubę rodzinną powita!
 Od czasu, jak chrzest święty omył Litwy dzieci,
 Stara katedra nasza liczy pięć stuleci;

Szereg swoich pasterzów liczyła dostojny
Imionami Holszańskich, Radziwiłłów, Wojny.
Ale żaden z tych mężów, choć cześć ich mogile,
Matki świątyń litewskich nie uświetnił tyle;
Żaden, arcybasterską władzą obieczony,
Nie rzucił tyle blasku na rodzinne strony.
Nie dziw tedy, że Litwa, jak jedna rodzina,
Chłubi się z posiadania dostojnego syna,
Że miłością ku swemu pasterzowi pała,
Że wszystkie jego chwile weselićby chciała.
Oto wita cię, gościu, uprzejmym wyrazem
Kraina twoich przodków i naszych zarazem!
Wstępuj w stolicę Litwy, gdzie łączy tak żywo
Arcybasterza z trzodą rodzinne ogniwo;
A namaszczonej dłonią, jak Litwin życzliwy,
Przeżegnaj nasze domy, przeżegnaj nam niwy.
Przeżegnaj nasze serca, bo w każdym się mieści
Wielki ku tobie zasób miłości i cześci;
Bo tu jednym okrzykiem cały naród woła:
Niech żyje chluba Litwy i filar Kościoła!

1859. Wilno.

W DZIEŃ IMIENIN
IGNACEGO CHODŹKI.

Któryż z Litwinów mnie nie zazdrości
Fortunnej doli, zem pieszczoch jedyny?
Wśród miłych sercu litewskiemu gości
Dziś obchodzimy Chodźki imieniny.

Chcemy ci wszyscy życzyć najgoręcej,
Ale tu na nic oratorskie chryje!
Sto lat ci życzyć — ty żyć będziesz więcej,
Będziesz żyć póty, póki Litwa żyje.

Wedle O b r a z ó w coś wysnuł z twej duszy,
Niechaj się kształci i mąż, i pachole;

Niech wzrasta, mimo ulewy i suszy,
Ziarno, coś rzucił na litewskie pole.

Z twojego ziarna doczekawszy chleba,
Gdy się dla Litwy bratnia ucza sprawi,
Błogosławieństwa ojca nam potrzeba:
Niech stary Chodźko nas pobłogosławi!

31 lipca 1857. Wilno.

DO DEOTYMY.

Odpowiedź na jej traktat, w imieniu Litwinów.

I góra z górą niekiedy się zbieży,
I rzeka z rzeką się spłynie:
Oto u Wisły dalekiej wybrzeży
Lirnicy Litwy w gościnie.

Widzimy imion najpiękniejszych grona,
Co się wokoło nas cieśnia;
Wy nas witacie ze szczerego łona
Chlebem, i sercem, i pieśnią.

Bóg-że wam zapłać! nad taką gościnę
Niemasz rzewniejszej na świecie...
Może nawzajem i w naszą krainę
Kiedyś zawitać zechcecie.

Twardsza piosenka, chleb u nas czarniejszy,
Mniej imion głośnych u świata;
Lecz w sercu zasób miłości nie mniejszy, —
Przyjmiem, czem chata bogata.

1857. Warszawa.

OSTROKRZEW.

(Kwiat przyjaźni).

Kwiatku przyjaźni! dlaczegoś wszystek
Taki ciernisty, taki kolczaty?

Zbrojny cierniami każdy twój listek,
 Krwawe jagody, krwawe masz kwiaty.
 Bo ty wyrażasz ów związek wielki:
 Ręka do ręki, łono do łona;
 Bo cóż jest przyjaźń? bratnia obrona
 Aż do ostatniej krwawej kropelki.
 Takiej przyjaźni nic nie rozdzieli,
 Czy zła, czy dobra nastanie doba;
 Gdy nam wesoło, bądźmy weseli,
 Gdy mamy cierpieć, to cierpmy oba.
 U nas, potomków starych rycerzy,
 Biada, gdzie taka iskra nie gore!
 Biada, kto w taką przyjaźń nie wierzy,
 Gdzie piersi w piersiach mają podpore!

1857. Warszawa.

W IMIONNIKU

TYTUSA MALESZEWSKIEGO

PASTELISTY.

Pyłkiem tak lekkim, jak puch brzoskwini,
 Albo jak puszek skrzydeł motylka,
 Kiedy twa ręka mój obraz czyni,
 Kiedyśmy dzionków spędzili kilka,
 Dobrze się wyrzył w kontur wieczysty
 W sercu modelu obraz artysty...
 Cóż ci, żegnając, twój model doda?
 Niech się w pamięci twojej zachowa
 To, coś malował: czoło, nos, broda,
 Dłoń, co cię bratnio ścisnąć gotowa,
 Szara kapota, spięta pod szyję,
 I... proste serce, co pod nią bije.

1857. Warszawa.

MAURYCEMU KRUPOWICZOWI,

Członkowi Bractwa

ludzi statecznych, trzeźwych i pracowitych.

Ty, coś nie spleśniał w archiwowej pleśni,
 Ty, coś uczony nie samem imieniem,
 Żyjesz tym duchem, co wszyscy współcześni,
 Tylko bogatszy dziejów doświadczeniem!

Jako twój patron, rycerski Maurycy,
 Dosiadł rumaka nie raz, nie sto razy;
 Tak ty, doszedłszy wieszczów tajemnicy,
 Po bajronowsku siodłasz swe pegazy.

Choć pogadanką nie gardzisz swawolną,
 Lubisz pogwarzyć wśród gwaru młodzieży;
 Ale wiesz dobrze, z czego śmiać się wolno,
 Nad czem koniecznie zapłakać należy.

Wielki pijaczu jałowcowej wody!
 Spirytualnie-ś nasze serca okuł:
 Przyjmij braterskiej miłości dowody,
 W swojego serca zapisz je protokół.

I my muzeum w naszej duszy mamy,
 Kędy się bratnie pamiątki rozwiesza:
 Tam, bracie, znajdziesz kątek taki samy,
 Jak sławna głowa i czapka Bekiesza.

22 września 1857. Wilno.

S O S N A.

Na wioskowych mogiłach
 Rosła sosna borowa,
 Pień jej krzepnął na siłach,
 Wybijała jej głowa.
 Poglętemi konary

Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca,
Každy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca;
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna...
Wkońcu — jeszcze przed zimą —
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
— Biedna sosno z mogiły!
Czyś ty gromem przebita?
Czy-ć robaki stoczyły?
Czy ci żeru nie było
W żółtym piasku z poblizka?
Albo kamień swą bryłą
Twe korzenie naciska?

Och! mnie nie tknął grom z burzą
I robaki nie toczą;
Ziemia soków ma dużo
I mnie karmi ochoczo;
Gdzie kamienie i głazy,
Szłam z korzeńmi z daleka;
Wrosłam — gorzej sto razy!
W trumnę złego człowieka!
Trumna zgniła na próchno,
Zgniły w piersiach mu błonki,

W serce trupa leciuchno
 Zapłaciłam korzonki.
 Chłód mię przebiegł grobowy,
 Gdym possała zeń trocha;
 Bo to człek był takowy,
 Co nikogo nie kocha!
 Pierwsze z piersi swej soki
 Dał cmentarnej choinie;
 Czułam, jak z tej opoki
 Brzydki we mnie jad płynie.
 Z jadem śmierci w mem łonie
 Byłam smutna, milcząca...
 Każdy wietrzyk, co wionie,
 Więcej kolców mi strąca.
 Próżno w ziemię rodzimą
 Nowe rzucać chcę ziarna...
 Ziarna zeschły — przed zimą
 Ginie sosna cmentarna!

1857. Wilno.

PAJĘCZYNA.

Pająk jestem, pająk,
 Snuję sobie nici,
 Puszczam je w powietrze,
 Każda gdzieś się chwyci.
 Śpiewak jestem, śpiewak,
 I piosenki snuję,
 Puszczam je po świecie,
 Każdą ktoś odczuje.
 Nitka jedna, druga,
 Wpoprzek, wzdłuż przeleci,
 Tak sobie powoli
 Zasnowiąwam sieci.
 Piosnka jedna, druga,
 Z wsi do wsi przeskoczy,

Rozwiązuje serca,
Porozwidnia oczy.
Jak z tysiąca nitek,
Tak z tysiąca pieśni.
Coraz lepsza siatka
Zawężli się cieśniej.
A pająk bezpieczen
Pod siatką swych nici,
I z wichrów żartuje,
I muszkę pochwyci.
Pod siatką piosenek
My żywi i zdrowi,
I złego człowieka
Ta siatka ułowi.

1858. Wilno.

POWINSZOWANIE
AFISZERA WILEŃSKIEGO.

Chrystus wskrzesnął! armat grzmoty
Zakończyły postną ciszę;
Nastał dla nas czas roboty,
Czas roznosić wam afisze.

Gmach teatru, nie kolumny,
Lecz trzymają afiszery;
A więc człowiek trochę dumny,
Że w publicznej służbie szczerzy.

Proboszcz piękne miał kazanie,
Łez wywołał rzewne strugi;
Ale dzwonnik dzwonił na nie,
To i on ma coś zasługi.

My po palmę nie sięgamy —
Dla artystów są oklaski;
Lecz komedye, farsy, dramy,
Wszystko żyje z naszej łaski.

Czy w świątyni Melpomeny
 Dramat serce wam rozedrze,
 Czy komiczny głos ze sceny
 W Rewizorze lub Don Pedrze;

Czy Karliński z armat pali,
 Czy Elżbieta wyrok pisze,
 Wszystko my wam zwiastowali
 Wczesnym rankiem przez afisze.

Czy w Ernanim nuty śpiewne
 Bierze para rozkochana;
 Wszak śmiech pusty i lży rzewne
 My pod pachą nosim z rana.

Publiczności! w tobie życie,
 W tobie naszych prac podnieta;
 Więc do serca dłoń ściągnijcie,
 A przy sercu — portmoneta.

1858. Wilno.

PIERWSZE MYŚLI

W DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA.

Chrystus zmartwychwstał! chrześcijańskie dzwony
 Radosną światu ogłosiły wieść;
 „Chrystus zmartwychwstał! śpiesz, duchu strapiony,
 Zmartwychwstać z Bogiem, do Nieba się wznieść.

Grobowy kamień, co-ć serce naciska,
 Odwal z twych piersi i żyw z martwych wstań!
 Anioł zwątpienia, co strzegł grobowiska,
 Cofnie się z trwogą, gdy blask padnie nań.

Chrystus zmartwychwstał, a z Chrystusem razem
 Słońce z zimowych zmartwychwstanie chmur;
 Błysnęło ciepłem — za jego rozkazem
 Stopione śniegi polały się z gór.

Zimna pierś ziemi ocieplała z wolna,
Wre życie w trawkach i w korzonkach zbóż;
A czyliż dusza człowieka niezdolna
Raz wyziębiona ocieplić się już?

Wstań, biedna duszo, z pościeli Łazarza,
Orlego oka w ciemności nie mrocz,
I niech lód zimny, co serce zamraża,
Łzami ciepłymi poleje się z ocz.

Niechaj się głowa na światło odsłania,
Niech nowych myśli wysnowywa nieć;
Niech serce nasze od dnia zmartwychwstania
Nowego życia pocznie takty bić.

Wiosna przed nami! do pług, do pług,
Kto jakim pługiem orze zagon swój!
Pan Bóg da żniwo — i plon, i zasługa,
Miodu i mleka wytryśnie nam zdrój.

Z Chrystusem brzemię dźwigaliśmy krzyża,
Bok nam przebito, pochowano nas;
Chrystus zmartwychwstał, do Nieba się zbliża,
U bram niebieskich oczekuje nas.

Lecz niemasz Nieba bez czynu, bez woli,
Bez łez, bez trudów, bez ofiar i strat;
Och! nieraz krwawo serce nas zaboli,
Nim się w nadchmurny uniesiemy świat!

Nieraz ku sercu się pochyli głowa,
Krople krwi, potu posączą się z niej;
Ale choć rani korona cierniowa,
Po zmartwychwstaniu już dźwigać ją lżej.

Pogańin pada wśród życia katuszy,
Pomimo wielkich stoicyzmu cnót;
Boleść jest skrzydły chrześcijańskiej duszy,
Na których orli bierze w górę lot.

Mamy u ramion skrzydła promieniste,
 Mamy przed sobą nadpowietrzny kraj...
 O słońce nasze, Zbawicielu Chryste!
 I oczom naszym orlą siłę daj!

Tam na przestworzu szerokiego nieba
 Są mgły, są chmury i huragan dmie:
 Bystrego oka lecącym potrzeba,
 Abyśmy słońca nie stracili w mgle...

1858. Wilno.

HULAJ DUSZA!

Czarka w czarce! pal go kaci!
 Od waszeci do waszeci!
 Czy ubodzy, czy bogaci,
 Jakoś wszyscy Boże dzieci.
 A gdy czarka się wysusza,
 To i w myślach nowa zmiana:
 Hulaj dusza bez kontusza,
 Szukaj pana bez żupana!

Grunt nie rodzi... wielkie święto!
 Ha, bo susza... ha, bo deszcze!
 Gdy na morgu kopę zżęto,
 To i czegoż trzeba jeszcze?
 A gdy dziedzic w gwałt przymusza
 Kilka złotych płacić z łana,
 Hulaj dusza bez kontusza,
 Szukaj pana bez żupana!

Wieśniak głodny na przednówek,
 Głodne woły jego płuźne,
 Chcę go cieszyć; lecz ze słówek
 Grzech podawać czczą jałmużnę.
 Boleść braci choć cię wzrusza,
 Choć społeczna boli rana,
 Hulaj dusza bez kontusza,
 Szukaj pana bez żupana!

Ojciec chory, matka chora,
Złe nadzieje... złe nadzieje!
Niema płacić czem doktora —
I tak chory pozdrowieje.
Swych receptów kartelusza
Nie da lekarz bez kubana...
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Zmarli... zmarli... moi mili!...
Gdzie tam?! — żyją! — lecz w nich pusto:
Swoje serca upodlili
Egoizmem lub rozpustą.
Kłamstwo... kłamstwo... czart pokusza!
Odżyj, wiaro niezachwiana!
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Chwytam książkę w mej rozpaczy:
Daj mi prawdę w słowie ścisłem!
Co to znaczy? co to znaczy?
Ja tu czytam fałsz z rozmysłem!
Ale wierzę w geniusza,
Bo to książka drukowana...
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Boże, Boże! piosnkę złożę;
Lecz z tej piosnki cóż przybędzie?
Trochę wiary, albo może
Rozpaczliwych snów narzędzie.
Nie chcę piosnki — ból mię skrusza;
Lepiej padnę na kolana...
Po modlitwie — hulaj dusza,
Szukaj pana bez żupana!

Już niegłupim, abym wierzył
W jakąś ziemską przyszłość błoga,

Abym czołem tam uderzył,
 Gdzie potrzeba kopnąć nogą.
 Człeka wyższy cel porusza...
 Przebolała w sercu rana:
 Hulaj dusza bez kontusza,
 Szukaj pana bez żupana!
 Są tam insze światy Boże,
 Gdzie nie bawi czcze mamidło;
 Ile tutaj czynów stworzę,
 Tyle piór mi wrośnie w skrzydło.
 A gdy skrzydła wiatr napusza,
 Już mi dalsza droga znana:
 Wolna dusza niechaj rusza
 Najwyższego szukać Pana!

1858. Wilno.

HYMN
 DO NAJSWIĘTSZEJ PANNY
 W OSTREJ BRAMIE.

Maryo, Bogarodzico,
 Matko cierpiących nędzarzy,
 Co nad Jagiełłów stolicą
 W bramie stanęłaś na straży!
 Spójrzij na tłumy skruszone,
 Co klęczą u stóp tej bramy:
 Matko! pod Twoją obronę
 Z pokorą się uciekamy.

Niebiosów wysokich Pani!
 Spójrzij na rodzaj człowieczy:
 Oto na sercu znękani;
 A któż ich boleść uleczy?
 Tyś miała serce zranione,
 I twój żal nie miał swej tamy.
 Matko! pod Twoją obronę
 Z pokorą się uciekamy.

Oto kalecy i chorzy
Żebrają litości Twojej.
A któż im siły przymnoży?
A któż im rany zagoi?
W Twej łasce, cudem natchnione,
Uzdrowiające balsamy.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

W litości Twojej matczynej
Głodnych nakarmiasz z rozkoszą:
Oto ubogie rodziny
O chleb powszedni Cię proszą.
Otwórz im wsparcia skarboneę,
Błogosław pracy ich samej.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Oto grzesznicy skalani,
Co się rozstali z nadzieją,
Na święte oblicze Pani
I oczu podnieść nie śnieją.
Rozpal ich serca zziębione,
Niech grzechu oczyszczą plamy!
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Kiedy nas klęska dotyka,
Wstaw się do syna życzliwie,
Błogosław pracy rolnika,
Błogosław plonom na niwie,
Błogosław litewską stronę
Z wysokiej baszty Twej bramy!
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

1857. Wilno.

TANIEC FORTUNY.

WARYANTY KANTYCZKOWE.

O jak często u fortuny odmiana.
To gliniana, to żelazna, to szklana!

Fortuna siedzi opięta na koło,
Na swej skrzypicy gra piosnkę wesolą;
A pod jej takty w pracowitym trudzie
Płasają ludzie.

A tutaj strojne w tęczone kolory
Latają w kółko błędne meteory;
A mądra ludzkość, rozpuściwszy pasa,
Za niemi hasa!

Tam gore światło, do niego się garnij,
Jako niebaczny ptaszek do latarni,
Jak płochę dziecię, gdy gwiazdka daleka
Przed niem ucieka!

Lecz rajskie światło, co migąło jasno
Nim-eś doleciał, już całe zagasło;
Cóż z garncarskiego zostało komina?
Popiół i glina!

Na przezroczystym a twardym granicie
Budujcie gmachy na bezpieczne życie!
Lecz to nie granit, to lodu posłanie
Na morskiej pianie.

Oto już padasz, przeciążon bez miary
Wymarzonemi twych gmachów obszary:
Pluchniesz z twym gmachem, marzycielu szybki,
Pomiędzy rybki.

Z jasnemi skrzydły, z promienistą głową,
Oto ptak leci, co go Miłość zową;
Leci wysoko, lecz się spuści może
W ziemskie bezdroże!

Gońmy bezdrożem, choć nam oddech pęknie,
 Choć zranim stopę, niech żaden nie jęknie:
 Lecz zniknął ptaszek, co-ś gonił w zawody, —
 Napij się wody!

Zdobywać szczęście śpieszmy pracowicie,
 Ważmy dla niego pracę, krew i życie;
 A kiedyś ujmiem w ręce spracowane
 Szkło, wiatr i pianę.

Śmiało! bo tutaj nagroda nielada:
 Za myśl bolącą, co się w czoło wjada,
 Za pracowity bieg bez wypocznienia,
 Dogonim cienia.

1858. Wilno.

DO FAUSTYNA ŁOPATYŃSKIEGO.

Faustynie, który zwiedzasz macierzyste kraje
 I badasz naszą Litwę i jej obyczaje!
 Najprzód, wyznam otwarcie, byłem zadziwiony,
 Że w słotnym listopadzie przybyłeś w te strony.
 Lecz przyznaję ci trafność, pomyślawszy dłużej:
 Dziś dla badacza Litwy właśnie czas podróży.
 Późna jesień przychodzi z darami swojemi,
 Szare chmury na niebie, a błoto na ziemi,
 Wiatr elegicznie szasta w obnażone drzewa,
 Szlachta gra w preferansa, lub śpi, lub poziewa;
 Ludzie siedzą po domach, jak przykuci więźnie,
 Chyba chłopska furmanka gdzieś po blocku grzęźnie;
 Gdy twój powóz wędrowny brnie w mętnej kałuży
 Nos wędrowca opadnie, oko się zachmurzy,
 W głowie smutnie się roi dumka tajemnicza,
 A serce sennym taktem sekundy odlicza.
 Wszędzie smutno, gdziekolwiek powiedziesz oczyma,
 Życia niema w naturze, to i w nas go niema.
 Lecz jeśliś wprawny badacz i bystre masz oko,

Dojrzysz niemało ruchu pod smutną powłoką.
 Jesień, to nasze gody — teraz mianowicie
 Wstępuje w łono Litwy niesłychane życie.
 Widzisz te pańskie dwory z pomiędzy bezdroży?
 Tu mieszka pan marszałek, tu pan podkomorzy,
 Tam jaśnie oświecony, tu jaśnie wielmożny,
 Owdzie sędzia graniczny lub deputat drożny;
 Każdy na swej stolicy rozparł się wspaniale,
 Każdy rzemiennem berłem sprawnia swe wasale.
 Wejdz na jego dzielnicę i z pozorów zgadnij,
 Jak tu z ojcowskich rządów cieszą się podwładni?
 Zrzucili barbarzyńskie kozuchy i świty,
 Każdy w bluzę strzępiastą z paryska okryty,
 Każdy błąd, snadź duma, lub pobożnie pości,
 Każdy wesół odwiedza klub wstrzemięźliwości.
 Miasto wzorem niemieckim — zwiedz ten gród bogaty,
 Płyn po błocie gondolą od chaty do chaty.
 Wędrowcze! z takich rysów dostrzeżesz dobitnie,
 Że tu mody nie braknie i pietyzm kwitnie.

1858. Wilno.

ZE WSPOMNIENIŃ GÓR.

Z pośród wąwozów przedtatrzańskich wzgórzy,
 Z nad gajów brzozy, z nad świerków wierchołka,
 Cicha wioszczyna czasem się wynurzy,
 Lub dwór szlachecki, lub wieża kościołka.
 Mignie na chwilę i znowu się schowa
 Za stromy wzgórek, gdzie żyto jak złoto;
 Cienista lipa i gałąź dębowa
 Znów przed oczyma zasłonę uplotą.
 I znów rozwiną jak czarowną kartę
 Nowych widoków ciąg długi a długi:
 Drewniane chatki, do wzgórków przyparte,
 Małe jeziora albo wązkie strugi.

Spadasz w dolinę — choć piękna, bogata,
 A jednak inniemasz, żeś sto sążni w ziemi;

Wchodzisz na górę — jesteś panem świata,
Sto gór się korzy pod stopy twojami.
I myślisz w duchu: Ot z tej wyższej góry,
Już mi się wszystko odsłonić powinno;
Oprę się czołem o urwiste chmury,
I moją Litwę zobaczę rodzinną!
W białej z obłoków promienistej szacie,
Głośnie gór echo mając ku posłudze,
Otóż zdumienie na Litwie obudzę,
Gdy huknę do nich: jakże się miewacie?

Nateżą ucho i patrzą dokoła,
Co jeszcze głosu mojego pamiętni:
Czy to z obłoków ich brat na nich woła,
Czy to w ich piersiach znajomy głos tętni?...
Wchodzę na górę, chcąc dopełnić dziwa,
Patrzę na północ — lecz tam pomrok szary,
Znow się dla oczu pasmo gór odkrywa,
Góry jak fale — jak nasze Ponary.
Tylko doliny coś nie tak się kwiecą,
Coś nie tym taktem grzmi struny w opoce,
I powiew wiatru zimniejszy tu nieco,
I leśny ptaszek inną pieśń świergoce.

Próżno w złudzenia bawić się, jak dzieci,
Albo z cieniami puszcząć się w gonitwy:
Okiem nie dojrzę, jakże głos doleci?
Piersi rozedrę... sto mil stąd do Litwy!
A choćbym włożył moje pozdrowienie
W chłodną pierś wiatru, lub na ptaszka ramię,
To nim przeleci ogromne przestrzenie,
Wiatr się unuży, ptak skrzydła połamie.
Oto błysnęło, zagrzmiało nad głową,
Chmura karpacka w tamte strony płynie;
Ale czyż można chmurą piorunową
Głos pozdrowienia posyłać rodzinie?
Czyż wolno dziecku, kiedy się zamarzy,
Nad strzechą ojców rozciągać postrachy,

Coby powinno stać przy nich na straży,
Własnymi pierśmi osłaniać ich dachy?

Nie wolno... nie chcę gromów za narzędzie.
Litwo! nad tobą czuwa oko Boże!
Z moich pozdrowień nic ci nie przybędzie;
Raczej je w głębi serca mego złożę,
A potem... potem, gdy się pora zdarzy.
Gdy puls gorący uśmierzy się nieco,
Wyszepecz z cicha u stopni ołtarzy, —
Stamtąd skuteczniej i prędzej doleczą.
Chrystus je prześle, jak tylko się dowie —
Promieniem słońca, jutrzeńką lub rosą;
Na starą Litwę Pańscy Aniołowie
Błogosławieństwo najpewniej doniosą.

1858.

TOAST W PIOTRKOWIE.

(U R Y W K I).

Nie mnie ten zaszczyt, co dzisiaj spotyka,
Nie mnie należy, ale wspólnej sprawie.
We mnie, ziomkowie, chcieliście łaskawie
Uczcić piśmiennej niwy pracownika.
Czy źle, czy dobrze moją niwę żąłem,
Wy mnie dlatego witacie życzliwie,
Żem szczerem sercem, z zapoconem czołem,
Jak Bóg nauczył, pracował na niwie.
Gdy moje żniwo zaledwie w połowie,
Gdy się południe zaledwie rozżarza,
Wam się spodoba, serdeczni ziomkowie,
Pod snopem żyta dać ucztę żniwiarza.
Pięknaż to uczta, co serce napawa,
Co duszę karmiąc, dodaje zachęty!
A choć do uczty nie mam jeszcze prawa,
Bo widzę jeszcze mój łan niedożęty;
Alem się znużył... O dzięki wam, dzięki

Za pokarm, dłonią podany życzliwą!
 Z nowemi siły, chwyć sierp do ręki
 I do wieczora może skończę żniwo.
 A jeśli żniwo pracowitej ręce
 Pan Bóg dozwoli dokonać zawczasie,
 Do was przyniosę dożynkowe wieńce
 I wam zanucę dożynkowe pieśnie.

Żniwo pieśniarza, to żniwo nielada,
 Bo serca ludzkie jak kłosa pożywa;
 Zawsze go słuca uprzejma drużyna,
 A on jej łzami, on sercami włada.

.....

Słuchacze moi, ziomkowie współcześni!
 Czułem tę prawdę w mym zawodzie całym:
 Ze strachem szedłem do ołtarza pieśni,
 Ze strachem w struny serc waszych trącałem.
 Choć niedołężne, ile siły mogą,
 Lecz czyste chciałem wydobywać tony.
 Śpiewałem najprzód moją Litwę drogą,
 Jej pola, wioski i jej lud rodzony,
 Jej uroczyste i powszednie chwile,
 Jej ciche dworki, kościołki, cmentarze;
 Chciałem się wpatrzeć w jej praojców twarze,
 Wsłuchać się w serca, co już śpią w mogile.
 Co oko zajrzy, co ucho podsłucha,
 Brałem do serca widoki i dźwięki;
 Potem z krwią serca, z ogniem mego ducha
 Rzucąłem na świat w postaci piosenki.
 Bóg ją przeżegnał, Litwa wysłuchała,
 Wszędzie jej w Litwie dano dach ochronczy...

.....

Z N I C Z.

Znicz zgasnął na wieki z litewskich ołtarzy,
Nie smuć się, narodzie nasz stary!
Bóg Znicza nowego w twej piersi rozżarzy —
Ognisko miłości i wiary.
Twa jutrznia różowa, twa jutrznia promienna,
Choć ciemnym się mrokiem pokryła,
Nie smuć się, narodzie! jest światłość odmienna,
Co z Nieba Duch święty posyła.
Na miejscu Perkuna, co gromem się gniewał,
Piorunem roztrącał wam głowę,
Masz Boga, co za cię krew Swoją wylewał
I ręce wyciągał Ojcowe.
W ojcowe ramiona, ugiąwszy kolano,
Litwini, rzucajcie się radzi!
W chrześcijan i ludów społeczność wybraną
On znakiem krzyżowym prowadzi.
Nad miasty waszemi dzwon niechaj uderza
Z modlitwą do Pana nad pany;
Niech w falach rzek waszych szmer cichy pacierza,
A w wietrze hymn będzie słyszany.
Gdzie żyli bożkowie, co chat waszych strzegli,
Niech Pańscy latają Anieli;
Krzyż stawcie na kopcach, gdzie ojce polegli,
A będzie im w grobach weselej.
W Kiernowie nie palą dziś krwawej ofiary,
Stargano z bogami ogniwa;
Kościółek Chrystusa drewniany i stary
Pod swoje sklepienia was wzywa.
Pobożnie na tacy połóżcie grosz wdowi,
Zmurujcie tu ściany i wieże,
Niech ręka ochocza podźwignie, odnowi
Ołtarze ku świętej Ofierze.
Nie krwawej ofiary, lecz cichej modlitwy
Chce Ojciec, — wysłucha Swe dziecię.

Tu, dobrzy Litwini, o dobry los Litwy
Skuteczniej się modlić możecie.

1858. Wilno.

DO NIEMNA.

PARODYA.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Zgubne dla Słowian Teutońców szeregi:
Zaarendują twoje piękne brzegi;
Dęby i sosny obetną z ich wianków;
Pociągną zyski z gorzałek i z miodów;
Co warto szeląg, przedadzą za złoty;
Wszystko zagarną; poróżnią kochanków;
Z kijem i z torbą puszcza wajdeloty;
Groszem, postępem lub wymową zdradną,
Jak Kopernika — wszystko nam ukr....

1858. Wilno.

STAROPOLSKIE RORATY.

I.

Rorate, coeli! Górne Niebiosa!
Niech z was wytryśnie zbawienna rosa;
Z górnych obłoków na ziemskie niwy
Niechaj się spuści mąż sprawiedliwy;
Niechaj się ziemska otworzy bryła,
Swojego Zbawcę by porodziła!
Tak z Izajaszem ród ludzki woła,
Takim brzmia hymnem mury kościoła,
Kiedy nadchodzi kres wielkich godzin,
Dzień uroczysty Bożych Narodzin,
Gdy ma się życie rozpocząć nowe,
Panna węzowi ma zetrzeć głowę,
Kiedy na wschodniej Niebiosów stronie

Nieznana gwiazda wkrótce zapłonie,
Gdy stara przeszłość czeka w pokorze,
Kiedy ją wezwą na Sądy Boże.

II.

W świątyniach Pańskich, przed świtem, nocą,
Blaski jarzących światel migocą,
A w złotogłowy strój przyodziani
Pańscy lewicy, Pańscy kapłani,
Jak każe obrząd, swoją koleją,
Ołtarze kadzą i hymny pieją, —
I uroczyście, jako w dni święta,
Ofiara Pańska już rozpoczęta.
A przy ołtarzu, w ofiarną porę
Siedem jarzących świeczek zagore.
Lud, co ofiary niekrwawej słucha,
Prosi o dary świętego Ducha,
By stały w sercach, jako pochodnie,
By Zbawiciela powitać godnie:
Mimo radości — straszno w tej porze,
Czy jest gotowy na Sądy Boże.

III.

O Wiaro święta, Chrystusa wiaro!
Ty przodków cnotę budziłaś starą:
Bo ci przodkowie, ci nasi starzy,
Brali hart ducha od twych ołtarzy.
Rozumni w radzie, bitni na wojnie,
Cały swój zawód wiedli dostojnie;
Bo swoje sprawy o każdej chwili
Bogiem poczęli, Bogiem kończyli.
Siedem cnót Ducha człowiek posiadał,
A kraj ze siedmiu stanów się składał;
A w każdym stanie ziemica cała
Szczególną cnotą wygórowała.
Bo o dar cnoty ziomkom przydatnej
Błagała Boga we Mszy roratnej;

A gdy swe wota przed Panem złoży,
Gotową była iść na Sąd Boży.

IV.

Od Bolesława, Łokietka, Leszka,
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed Mszą roraty
Siedmioramienny lichtarz bogaty.
A stany państwa szły do ołtarza,
A każdy jedną świeczkę rozżarza:
Król, który berłem potężnem włada,
Prymas — najpierwsza senatu rada,
Senator świecki — opiekun prawa,
Szlachcic, co królów Polsce nadawa,
Żołnierz, co broni swoich współbraci,
Kupiec, co handlem ziomków bogaci,
Chłopek, co z pola, ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb ich mozoli, —
Każdy na świeczkę grosz swój przyłoży,
I każdy gotów iść na Sąd Boży.

V.

Ten, co przodkuje nad wszystkie stany,
W świetny dalmatyk król przyodziany,
Szedł do ołtarza, zapalał świecę,
I kraj polecał Boskiej opiece:
Tyś Król najwyższy, Tyś Królem króli!
Boże! pierś Twoja niech nas przytuli,
Niechaj nie dozna bicza Twej chłosty
Senat, rycerstwo i naród prosty.
Czy przeciw wrogom oręż wymierzę,
Czy z obcem państwem zawrę przymierze,
Dostojnych królów niech idę śladem,
By się mój jasny nie ćnił dyadem.
Chociaż mi złoto uwieńczy skronie,
Noszę, jak Chrystus, ciernie w koronie;
Lecz jeśli Chrystus sił mi przymnoży,
Gotowy jestem na Sąd Twój Boży!

VI.

Po królu przyszedł pierwszy z poddaństwa,
 Pasterz gnieźnieński i prymas państwa;
 Zapalił świeczkę na lichtarz drugi:
 — Boże, co wspierasz Twe wierne sługi!
 Pasterz pasterzów Twojego ludu,
 Błagam Twej łaski i Twego cudu.
 Czy się w pasterskiej ukażę szacie,
 Czy wezmę pierwsze krzesło w senacie,
 Czy pójdę walczyć na różnowierce, —
 Umacniaj, Boże, zwątlone serce!
 Daj mi odróżnić białe i czarne,
 W kogo uderzę, kogo przygarnę;
 Niech z moich piersi iskra wystrzeli
 W kmiotków, w kapłanów, w obywateli;
 A gdy Twa łaska wzrok ich otworzy,
 Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.

VII.

Potem senator najpierwszy w radzie
 Na czoło, na pierś znak krzyża kładzie,
 Idzie przed ołtarz, przed lichtarz trzeci,
 Na trzeciej świeczce ogień roznieci,
 I w myślach taką modlitwę mówi:
 — Boże! gdy będę radził królowi,
 Niech godnie spełnię radę i władzę,
 Niech powinności mojej nie zdradzę.
 Czy jak senator dam zdanie moje,
 Czy jako hetman pójdę na boje,
 Niech każda bitwa i każda rada
 Na dobro ziomek moich wypada.
 Czy jak marszałek nad braci głową
 Będę podnosił łaskę sejmową,
 Czy się kanclerską pieczęć przyłoży,
 Niech będę gotów na Sąd Twój Boży.

VIII.

Potem szedł szlachcic najpierwszy z ziemian,
 Co plóg i statut dzierzył na przemian,

Co opuściwszy sochę i bronę,
 Na skronie królów wkładał koronę.
 Szlachcic-ziemianin kląkł u ołtarza,
 Na czwartej świeczce płomień rozżarza,
 I ze schyloną modli się głową:
 — Boże! strzeż moją wolność sejmową!
 I w oczach Twoich, i w oczach ludzi
 Niech czarna plama jej nie zabrudzi!
 Czy w imię kraju albo Kościoła
 Król pospolite ruszenie zwoła,
 Czy na elekcyę starsi powiodą,
 Pragnę oddychać braterską zgodą;
 A bratobójczych brzydząc się noży,
 Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.

IX.

Potem szedł żołnierz w zbroi ze stali,
 I piątą świeczkę na ołtarz pali:
 — Dałeś, nam, Panie, w rękę pałasze,
 Dałeś pancerze na piersi nasze;
 Naszym orężem, pierśmi, ramiony,
 Jak gdyby murem kraj ogrodzony.
 Lecz gdy nas Twoje nie wzmocni ramię,
 Wróg najmocniejsze mury przełamie,
 Najkrzepszy hufiec podda się snadnie,
 Najwarowniejsza baszta upadnie.
 Czyśmy w obozie, czyśmy w pochodzie,
 Niech Twoja wiara serca nam bodzie;
 Czy po wygranej, czyśmy na leży,
 Chroń nas od ducha brzydkiej łupieży.
 Gdy mię nie przeklną słabi i chorzy,
 Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.

X.

Potem przychodzi przed ołtarz Pański
 Sławetny kupiec z rzeszy mieszczańskiej,
 I stawiając szóstą na ołtarz świecę,
 Stan swój porucza Bożej opiece:

— Boże, coś nasze zaludnił miasta!
 Przez Ciebie handel i przemysł wzrasta,
 Przez Ciebie pieniądz zyski nam dawa,
 Ty nam przez królów nadałeś prawa.
 Ty się opiekuj wagą i miarą,
 Krzew w naszych sercach poczciwość starą.
 Sam kieruj skutą albo wiciną,
 Gdy polskie zboża w kraj cudzy płyną,
 A gdy za moją obrotną pracę,
 Bogacąc siebie, kraj mój bogacę,
 Kiedy mój pieniądz zysk mu przysporzy,
 Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.

XI.

Potem przychodził rolnik w sukmanie,
 I z siódmą świeczką przed ołtarz stanie:
 — Boże! już kraj mój karmię od wieka,
 I ja mam prawo do nazwy człeka;
 Lecz głód, pomorek, wojna, niewola,
 Brudzą nam serca, pustoszą pola,
 Bogacim drugich, a sami biedni, —
 Dajże nam dzisiaj nasz chleb powszedni!
 Bez Twojej łaski ziarno nie rodzi,
 Łąka kwiecista zginie w powodzi,
 Grad nasze kłosa wyniszczy w ziarnie,
 Albo stodołę pożar ogarnie.
 Dajże nam, Panie, chleba dostatek,
 Miłość do serca, zgodę do chat;
 A gdy pocziwie zagon wyorzę,
 Gotowy jestem na Sąd Twój, Boże.

XII.

Tak siedem stanów z ziemicy całej
 Siedmiu płomieńmi jasno gorzały,
 Siedem modlitew treści odmiennej
 Wyrażał lichtarz siedmioramienny,
 Lecz roratnego całość lichtarza
 Wspólną modlitwę kraju wyraża.

A na ten lichtarz — komuż to dziwno,
 Że Pan Bóg spuszczał rosę ożywną?
 Królowie — dobrzy i chrobrej mocy,
 Pasterze Pańscy — duchem wysocy,
 Senatorowie — w radzie niezłomni,
 Ziemianie — w sejmach na prawo pomni,
 Żołnierz — jak olbrzym szedł jeden na stu,
 Kupiec — przynosił bogactwo miastu,
 Swobodny kmiołek jak las miał zboże, —
 Gotowi byli na Sądy Boże.

XIII.

Ale zmądrzała Rzeczpospolita,
 Siedmiu świeczkami ołtarz nie świta,
 Siedmiu modlitew już zapomnieli,
 Stary obyczaj Piastów wyśmieli;
 Szli na roraty przed dniem do fary
 Tylko niewiasta lub dziadek stary.
 Zardzewiał lichtarz siedmioramienny,
 Los siedmiu stanów został odmienny:
 Na królów — twarde włożono pęta,
 W pasterzach — znikła gorliwość święta,
 Senatorowie — poili braci,
 Szlachta — się ciągle konfederaci,
 Żołnierz — jał gnębić tych, których bronił,
 Kupiec — przez lichwę bogactwa strwonił,
 Kmiołek — niewolnik, zmarniał we dworze, —
 Anioł zatrafił na Sądy Boże.

1858. Wilno.

WIGILIA SIEROTY.

(Wiersz poświęcony pannie J. St.)

Bracia, bądźmy gotowi
 Przyjąc łaskę w pokorze!
 Anioł pasterzom mówi:
 Narodzenie dziś Boże!

Wielki czas się poczyna
I na ziemi i w Niebie:
Wita ludzka rodzina
Zbawiciela wśród siebie.
Na chrześcijańskiej ziemi
Wszyscy w rodzinnem kole,
Każdy chciałby ze swemi
Uczcić Boże Pacholę.
I rodzice wśród dzieci,
I druhowie, i krewni
Łamią święty opłatek,
A łza oczy im rzewni.
Wszędzie gwarna wieczerza
Radość zlała na czoło,
Z okien światło uderza,
Promienieje wesoło.

Tylko w jednym okienku
Tęskny płomyk migota.
Głowę wsparłszy na rękę,
Płacze młoda sierota.
W obcej stronie, wśród świata,
Co nie przyszedł z opieką,
Myślą ku tym ulata,
Co daleko... daleko!...
W grobie wszyscy jej mili,
W grobie dobra jej matka:
Niemasz, niemasz w tej chwili,
Z kim podzielić opłatka!
Niema dla niej na ziemi
Z kim się pośmiać, weselić;
A tu z ludźmi cudzemi
Nie chce łzami się dzielić.
Oni pełni ochoty,
Każdy troskę osłodził;
Tylko dla niej, sieroty,
Chrystus się nie narodził.

Matkę sercem i duszą
 Woła z ciemni grobowej;
 Święteż słowa być muszą
 Tajemniczej rozmowy!
 — Jam tu pastwą złych losów,
 Jam tu pastwą męczarni:
 Przyjdź tu, matko z Niebiosów,
 Popieść, ulżyj, przygarnij!
 Och! sieroto! w tej ciszy
 Święciej, niżli nam w tłumie:
 Twoja matka cię słyszy,
 Chrystus boleść rozumie.
 On ma sierot na względzie,
 Duchem zleci tu matka,
 I stróż Anioł przybędzie
 Dla dzielenia opłatka.
 Przyjmij z okiem wesołem,
 Daj cześć, jak im należy;
 Z matką, z Stróżem Aniołem
 Siądź do skromnej wieczerzy.

24 grudnia 1858. Wilno.

DO BOLESŁAWA NOWIŃSKIEGO.

Cny panie Bolesławie, co też myślisz sobie?
 Ze cię Jacek za króla ubrał w garderobie,
 I żeś był do Zygmunta podobien z oblicza,
 I żeś wziął za kanclerza Karabanowicza,
 I że ci, na złość ceniom Zygmunta Augusta,
 Odyniec końcówkami napakował usta, —
 To sądzisz, żebyś shańbił twą koronę złotą,
 By pod dach wierszoklety przytrześć piechotę?
 Nie, najjaśniejszy panie, to pycha junacka!
 Korony i purpury — wszystko w ręku Jacka!
 Jak on kurtę wykroi, fałdy poprzymierza,
 Pachołka zrobi z króla, a szewca z kanclerza.

Schylmy głowy przed jego nożyczek wszechmocą;
 Nie wdawajmy się w spory, kiedy niema o co.
 Z przed twego majestatu każ ustąpić straży,
 A słuchaj: Czepielewska kielbasy nam smaży!
 Z twego serca zrzuc pychę wielkowiedców hardą:
 Lepsza jest od korony kielbasa z musztarda,
 Albo, jak pewien mędrzec historycznie zbadał,
 Że Jagiełło kielbasy z kapustą zajadał;
 Musztarda czy kapusta, co będzie ci w guście, —
 Idź śladem Jagiellonów, Zygmuncie Auguście!
 Bo smutne panowanie, kiedy król nic nie je —
 Co powiedzą Tarnowscy, Maciejowscy, Reje?
 Co pomyśli Barbara? O, postępuj dzielniej!
 Słyszysz? kuchmistrz koronny skwarzy na patelni;
 A gdy poda dar Boży, zmiataj go z półmiska,
 Jakbyś hufce Tatarów zmiatał z bojowiska
 A po dobrem śniadaniu, w blasku twej korony,
 Będzie czas barbarzyńskie śpiewać antyfony.

1859. Wilno.

KAMIENNE BOŻYSZCZE.

Starzec z kamienia ciosany,
 Długo-brody, straszno-licy,
 Siedział przyparty do ściany
 W progu pogańskiej bożnicy.
 Na jego brodę, na głowę,
 Zamróz zawieszał swe igły,
 Z brwi zwisły sople lodowe,
 Ręce jak trupie zastygły.
 Na silnych barkach u dziada
 Śnieg złożył ciężar niemały,
 Na szacie, co z nóg mu spada,
 Fałdziste pręgi białały.

Młodzi, swawolni duchowie,
 W wesołej a pustej chwili,

Siadając na jego głowie,
Żarty ze starca stroili:
— Cóż z twoim stało się duchem?
Czego się trzymasz pochyło?
Rzeźbiarz chciał ciebie mieć zuchem,
Lud chce uklęknąć przed siłą.
Tyś zziębły, tyś cały w lodzie,
Coś nakształt ziemskich nędzarzy;
Lodu nie zgarniesz na brodzie,
Śniegu nie otrzesz z twej twarzy.
Patrz tylko na nasze czoła!
Krew w całej uderza sile,
Na sercu dumka wesola,
U ramion skrzydła motyle!
A gdy, latając szczęśliwi,
Trafim na mroźne powietrze,
Ruch skrzydeł krew nam ożywi
I śniegi z piersi nam zetrze.
Zakrzepną czasem rączęta,
Przyjdzie zapłakać, jak dziecię,
Bo i duch czasem pamięta,
Że są zawieje na świecie;
W duchu wre życia potęga,
Co bole z serca rozproszy:
Kuty z kamienia ciemęga
Nie dozna takich rozkoszy!

Z kamiennej otchłani łona
Dziad uroczyście odpowie:
— Dziatwo, ty dziatwo szalona!
Starej urągasz się głowie!
Głowa, co wieki przeżywszy,
Zakamieniała w zadumie,
I w myślach uczuć ruch żywszy,
I chłody wytrzymać umie.
Wiekowe dumań mych cele
Nie jednodniowa pogoda!
A więc się troszczę niewiele,

Ze lodem skrzepła mi broda.
 Kiedy, latając wśród ludzi,
 Straciecie życia mamidła,
 Gdy się wasz zapał ostudzi,
 A chłód zawarzy wam skrzydła, —
 Siądźcie na głąz, co was ziębi,
 Ufając jego pociesze:
 Z kamiennej piersi mej głębi
 Ciepłą wam iskrę wykrzeszę.

1859. Wilno.

M Y Ś L.

W braci, w przyjaciół tłumie
 Życ tak błogo, przyjemnie!
 Lecz jeden nie rozumie,
 A drugi szydzi ze mnie.
 Uściska w samej rzeczy,
 Lecz okiem wnet pokaże:
 — Oto jest syn człowieczy,
 Tego chwytajcie, strażę!
 A tak ci służąc wiernie,
 Na urąganie wyda;
 Świat cię ustroi w ciernie,
 Jako Syna Dawida.
 Zginie twoja swoboda
 W sądach, przesądach świata,
 U Annasza, Heroda,
 Poncyusza Pilata.
 Jam doznał tych katuszy,
 I chcę ufać najśmielej,
 Że Pan Bóg mojej duszy
 Insze słońce udzieli.

Zwisły chmury na skroni,
 Zwisły ręce bezwładnie,
 Zaschło pióro w mej dłoni,
 Na spoczynek je kładnę.

Mówią bracia najszczerzy,
Że i dusza już chłodna,
Że zdrój uczuć w mej piersi
Wyczerpany aż do dna,
Że już wyschły łzy z oka . . .
O nie, bracia! krew czuła,
Tylko lodu powłoka
Pierś pancerzem zakuła.
W głębi skryłem roztropnie
Miłość, wiarę, nadzieję,
A jak zamróz roztopnie,
A jak słońko przygrzeje,
Jak uczuję weselej,
Że nic piersi nie ścieśnia, —
Toż to z duszy wystrzeli
Łza, i dumka, i pieśń!
Myśl ku ziemi przybita
Wzniesie się razem z głową.
Jak po deszczu kłos żyta,
Odżywiony na nowo.
A tymczasem — Bóg ze mną!
Z wiarą w mego Anioła,
Szukam słońca dokoła . . .
Ale wszędy coś ciemno.
Jeszcze przybrać się gotów
W śmiech serdeczny, w śmiech złoty;
Lecz tu niemasz przedmiotów
Do niewinnej pustoty!
Rzecz do żartów gotowa
Z głupstwa, zbrodni, lub grzechu;
Lecz od takiego śmiechu
Niech mię Pan Bóg zachowa!
W urąganiu, w dowcipie
Błuźnić światu otwarcie,
Takich żartów nie sypię,
Moje szczęście nie w żarcie.
Niech szyderstwo świat zgłuszy,

Niech się śmieją weseli:
Pan Bóg dla mojej duszy
Insze słońce udzieli.

Pióro, moja ty socho!
Twe pole wielkie, żyzne,
Czyż się zapiszesz płocho
W tygodniową pańszczyznę?
O nie! nikt cię nie zmusza
Stanąć w szereg rozumny,
Pod sztandarem arkusza
Gazeciarskiej kolumny,
Gdzie najmita z kolei
Wychodzi strzelać baśnie:
Nie zastrzeli idei,
Ale serce zadraśnie.
Czemuś nie napawała
Pióra żółcią z posoką?
Dziś rozbita ich strzała
Już nie wzleci wysoko.
Niech się łamie, niech kruszy,
Kiedy chmur nie przestrzeli!
Pan Bóg dla mojej duszy,
Insze słońce udzieli.

1859. Wilno.

Ś W I Ę C O N E.

Nie to Polka, którą grały
Powolniej, to prędzej;
Lecz to Polka, co chleb biały
Wypieka dla nędzy.

Nie to Mazur, co swe ruchy
Na klawiszach brzęczy;
Lecz to Mazur, pulchny, kruchy
Co święcone wieńczy,

Zacnych matek zacne córny
Wystąpcie w tej porze:
Takie Polki i Mazury
Ródź nam, Panie Boże!

1859. Wilno.

DO LUMINARZÓW MOJEJ PARAFII.

Nie lubię ciebie, księżę prałacie,
Gdy się uczenie łeb twój najeża,
Gdy dogmatycznie nam rozprawiacie
O nieomylnej władzy pasterza.
Lecz kiedy w cichym wiejskim kościele
Wznosisz Sakrament w Pańskiej ofierze,
A lud się wierny pomostem ściele
I w grzeszne piersi bije się szczerze,
Gdy w sutej kapie albo ornacie
Grzmisz Święty Boże! starą piosenkę, —
Tak cię uwielbiam księżę prałacie,
Że chciałbym szczerze całować w rękę!

Nie lubię ciebie, bazgraczu płonny,
Gdy się czepiając obcego wzoru,
Kreślisz na płótnie rzymskie Madonny
I bez rysunku, i bez koloru.
Lecz gdy twój obraz widzę w kościele,
Choć pendzel gruby, a postać krzywa,
Lecz naród przed nią na twarz się ściele.
Z piersi pobożny jęk wydobywa;
Gdy Opatrzności kreślisz nam oko,
Bogarodzicę lub Bożą Mękę, —
Tak ciebie kocham, tak czczę wysoko,
Że chciałbym szczerze całować w rękę!

Nie lubię ciebie, mój organisto,
Gdy przy gitarze, wśród dziewic grona,
W niedzielnym stroju, z miną rześistą,
Fałszywym głosem śpiewasz Filona.

Ale gdy w cichym kościółku slysze,
 Jak intonujesz ku Bozej chwale,
 Kiedy popsute gnieciesz klawisze
 Na Allelujja lub Gorzkie Zale,
 Wiernego ludu sto głosow razem
 Kiedy powtarza twoja piosenke, —
 Łza wzrok mój pali, jakby żelazem,
 Chciałbym cię, mistrzu, całować w rękę!

Msza święta, pendzlem czy antyfoną,
 Wiejskich kościółków pierwsze potęgi,
 Wydobywajcie nutę rodzoną
 Z pod serc, z pod piersi, z pod szmat siermięgi!
 Przez was się ziszczą Boże zamiary!
 Nie wolno tracić ni jednej chwili,
 Bo to nasz kościół, nasz kościół stary,
 Gdzie się ojcowie nasi modlili.
 Wam nie mędrkować — tylko po prostu
 Wzywać z kantyczek Ranną Jutrzenkę;
 Bóg porozdziela kwiaty od ostu,
 A my was będziemy całować w rękę.

W dzień Wniebowstąpienia 1859. Borejkwoszczyzna.

PIOSNKA WIEŚNIACZKI LITEWSKIEJ.

Kiedy smutno roję,
 Kiedy cierpię wiele,
 Gorzkie dumki moje,
 Z kim ja was podzielę?
 Któż mój ból uleczy? . . .
 Próżno głos swój trudzę:
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Czy się matce zwierzę?
 Lękam się jej złości . . .

Powiem siostrze szczerze —
 Siostra pozazdrości...
 Brat nie pojmie rzeczy...
 Próżno głos mój trudzę:
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Gdy mi duch upada,
 Kiedy ła się leje,
 Sąsiadka ogada,
 A sąsiad ośmieje.
 Któż się śmiać zaprzeczy?
 Próżno głos mój trudzę:
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Luby mój, jedyny,
 Cała ma otucha;
 On dumkę dziewczyny
 Zrozumie, wysłucha!
 On mój ból uleczy,
 Głosu nie utrudzę...
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

1859. Borejkowszczyzna.

JESZCZE LIRNIK.

Deszcz, to wicher, to pogoda,
 Już nastąpiła jesień święta,
 Rozpłakana, uśmiechnięta,
 Jak do ślubu panna młoda;
 To posępna, to wesola,
 Jako dumki mego czoła.

Pieśń dożynek naród śpiewa,
 Echo płynie uroczyście,

Ponad pola, ponad drzewa,
Ponad krzewy żółtoliście;
Rzewna nuta gra dokoła,
Jako dumki mego czoła.

I nastały ciemne noce —
Strach ogarnia tajemniczy,
W okna chatki wicher grzmoce,
A na dworze pies skowyczy,
Puhacz z mogił smutnie woła,
Jako dumki mego czoła.

A jednakże — lirnikowi
Dziś swobodniej niżli wiosną:
Jego bracia żywi, zdrowi,
Jego piosnki grzmią rozgłośno,
Lecą z końca w koniec sioła,
Jako dumki mego czoła.

W takt skowronka i słowika,
W cieniu leszczyn, wedle źródła,
Śpiewał wiosnę, która znika,
Śpiewał miłość, co zawiodła;
Krew mu kipi, ledwie zdoła
Wysnuć dumki z swego czoła.

Dziś, skąpany we łzach szczerze,
Zimniej snuje swe piosenki,
Spokojniejsze takty bierze
Pod jesiennych wichrów jęki;
A nie zgadli ludzie zgoła
Zmiany w dumkach jego czoła.

Lecz on czuje ton swój zmienny,
Bicia serca bacznie słucha,
I przeraża go kamienny,
Martwy spokój jego ducha:
Wróćcie do mnie! wróćcie, — woła —
Wrzące dumki mego czoła!

Zawiedziony od współbraci,
 Nie o siebie on boleje,
 Lecz się lęka, że utraci
 Miłość, Wiarę i Nadzieję;
 W nich miał stróża, w nich anioła
 Pięknych dumek swego czoła...

1859. Borejkowszczyzna.

ŚMIERĆ SŁOWIKA.

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
 Zamknęli słowika;
 Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
 Że pierś mu przenika.
 Och! niemasz tu cieniu w olszniaku, w leszczynie,
 Co głowę osłoni!
 Och! niemasz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
 Ze szmerem po błoni!
 Och! niemasz tu lubej, dla którejby warto
 Choć skonać wśród pieśni!
 Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą,
 Bo klatka lot cieśni.
 Tu zamiast wietrzyka o bruk koła grzmocą,
 Aż trzęsą się ściany;
 Tu kurzem osypie jadący karocą
 Pan w złoto przybrany.
 Tu zamiast strumyka tłum, płynąc jak woda,
 I tętni, i wrzeszczy:
 Gdzie tutaj zacisze? gdzie tutaj swoboda,
 By wydać głos wieszczy?
 Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
 Kurzawa aż dusi;
 Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
 Ten śpiewać już musi.
 Poczyna piosenkę, w tonach się rozpada,
 Wygłasza swe żądze,

Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.

Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze
Przemagać poczyna.

Wóz tętni po bruku... O, ja go przekrzyczę!
Tak myśli ptaszyna.

I nutą wciąż wyżej a wyżej wystrzela,
Góruje głos młody!

Przypomniawszy swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody.

Przypomniawszy swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną;

Przypomniawszy serdeczne, długie rozhowy
Ze swoją jedyną, —

Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannej lał trele,

I głosem królując nad ptactwa tysiącem,
Był zawsze na czele!

Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
Pomimo hałasu!

Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!
Tak myślał syn lasu.

Lecz hardziej a bardziej łoskotów grzmiać krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;

A jakby na przekór, w ulicznej ciasnocie
I ludniej, i ludniej.

Ów, drugi przechodzień swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza;

Pochwałał tem bardziej pierś jego rozdyma
I zapał rozżarza.

Niebaczny! twój tryumf opłacasz zbyt drogo, —
Cóż ciżby brukowe?

Zdobędziesz ich oklask, lecz płakać nie mogą
Ich oczy matowe.

Słuchaczów, co płaczą łezkami rozkoszy,
Potrzeba ci właśnie;

Tyś nie znał oklasków, bywało cię spłoszy
 Kto w dłonie zakłaśnie.
 Już ból wysilenia rwie piersi ptaszęce,
 Skrzydełka omdlały...
 On tego nie czuje, bo w swojej piosence
 Utopił się cały.
 Całego słowika ogarnął szal pieśni,
 Aż echem drga klatka;
 Tem śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,
 Z sił swoich ostatka.
 A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
 Ci sobie, on sobie;
 Aż pęknął od pienia gardziołek słowicy
 W ostatniej swej probie.
 Daremnie w drobnouchne skrzydełka szeleszcze,
 Chwieje się i ślania;
 Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
 Lecz taktem skonania.
 I ten, co pieśniami górował nad knieją,
 Tu zerwał swe siły;
 A koła po bruku szyderczo się śmieją,
 Że ptaszka zabiły!

1859. Wilno.

Z W I E R Z Y N A.

Obrazek z miasta.

— Strzelcze! hej, panie strzelcze! co chcesz za kwiczo-
 Na rynku małe chłopię tak na strzelca woła, lla?
 Dogania go z pośpiechem, a strzelec wąsaty
 Popatrzał na twarz chłopca, na odzieży szmaty,
 I pomruknął niechętnie: — Ha, piękna mi przedaź!
 Co ja chce, to chcę, malcze, ty mi pewno nie dasz.
 Dwa złote!... nie dla ciebie, to zwierzyna droga.
 — Dwa złote! dobry strzelcze! bój się Pana Boga,
 Mam dwuzłotkę, to prawda, lecz mi reszty trzeba,
 Idę kupić dla braci mleczywa i chleba,

I zanieść do apteki ten przepis doktora,
 Bo widzisz, panie strzelcze, moja matka chora.
 Na dzień dwie łyżki strawy za pokarm jedyny,
 Pan doktor kazał warzyć rosół ze zwierzyny,
 Mój ojciec stary cieśla — a my niebogaci,
 Przedaj mi za złotówkę, a Bóg ci dopłaci!

— Jak żyję, nie słyszałem — rzekł strzelec wesoły, —
 Aby pani cieślowa miała jeść kwiczoły.

Na chorobę jest u mnie recept doskonały:
 Powiedz matce, niech palnie kieliszek gorzały.
 Ja za złoty nie strzelam ptactwa dla biedaków,
 Nabój drożej kosztuje, nie licząc już kłaków.

— Hej, strzelcze! zbliż się tutaj! co chcesz za kwiczo-
 Tak z błyszczącej kolaski jasny pan zawoła. [Ia? —

— Pięć złotych, jasny panie... i groszy dwadzieścia;
 Teraz strasznie zwierzyna podróżowała w mieście,
 A wyszukać, a zabić, wielką miałem pracę.

— Strzelcze! ja ci półtora, ja ci dwa zapłacę,
 Oddaj mi!... — mówił chłopak bolejącą mową, —
 Sam mówiłeś dwa złote!... a gdzież twoje słowo?

— Czego chce ten ulicznik? — rzecze pan z kolaski.

— Łaski! wielmożny panie! proszę małej łaski!
 Pozwólcie mi u strzelca kupić tę zwierzynę,
 To mojej chorej matki lekarstwo jedyne,
 Doktor kazał!...

— Doprawdy! czy masz młynka w czubie?
 Uważasz, mój kochany! ja kwiczoły lubię,
 Teraz w jesieni tłuste, przewyborne jadlo!
 I bardzo mię to cieszy, że kupić wypadło.
 A wam na co kwiczoły? czy wy smak ich znacie?
 Oszczędność w waszym stanie, oszczędność, mój bracie!
 Dla chorej matki klejek... niech doktora spyta,
 Można trochę osolić, to rzecz wyśmienita,
 Zdrowa i niekosztowna... wyzdrowieje stara.

To mówiąc, pan strzelcowi zapłacił talara,
 Wziął kwiczoła i skinął swem pańskim obliczem.

Dziecię w płacz — stangret spojrział i smagnął je bi-
 Kolaska się po bruku potoczyła żywo, lczem,
 A strzelec do gospody wyruszył na piwo.
 A ubogie pacholę z dwuzłotówką w dłoni
 Stoi, jak skamieniałe, i łyzy ciche roni.
 Ostąpili je wkoło uliczni krzykacze:
 Patrzajcie, jak on płacze . . . jak on śmiesznie płacze!

* * *

Coś w tydzień... na mogiłki trzy trumny przynieśli:
 W jednej leży w łachmanach biedna żona cieśli;
 W drugiej wąsaty strzelec, co w podpiłej dobie,
 Przypadkiem trącił w strzelbę i pierś strzaskał sobie;
 W trzeciej trumnie wspaniałą karawaną jedzie
 Pan, co kostką kwiczoła zdławił się w obiedzie.

Nędzarzy zakopali do ziemi koleją,
 Panu stroją katafalk i psalmy zań pieją;
 A tam... w krainie duszy, Archanioł już woła
 Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła.

1859. Wilno.

SERCE, ROZUM, ŚWIAT I OWSIANKA.

SERCE.

Wzbiję się lotem jak moge,
 Gdzie gwiazd się iskrzy gromada.

ROZUM.

A włóż futerko na drogę,
 Bo tam w obłokach śnieg pada.

SERCE.

Sam chyba w powłoki odziej
 Twoją postać nieudolną.

DOZORCA.

Lecieć, widzi pan dobrodziej,
 Że bez paszportu niewolno.

SERCE.

Skrzydło me w chmury uderzy,
Ścisnę nadziemskich współbraci!

JANKIEL.

A któż mi na święty Jerzy
Sześćdziesiąt rubli zapłaci?

SERCE.

Jak motyl, błoni poeta,
Lilią nakarmię się polną.

DOKTOR.

Dyeta, panie, dyeta!
Nic, prócz owsianki, nie wolno!

SERCE.

Pójdę się spytać na niebie,
Czy moja gwiazdka nie zgasła?

DOKTOR.

Owsianki można w potrzebie
Filiżaneczkę bez masła.

SERCE.

Owies to ziemskich żer koni,
Mnie co innego posila,
Gdzie róży oblicze płonie,
Gdzie narcyz główkę nachyla.

ROZUM.

Ja do porady ci służę,
I rzecz ci powiem nieznaną:
Narcyzy i polne róże
Już pokosili na siano.

SERCE.

Jak tu przekonać tę tłuszcze?
Materyaliści! lichwiarze!

DOKTOR.

Ja krwi ci za to upuszczę
I bańki postawić każe.

ROZUM.

Ja ci zabraniam pić rosę,
Bom ja doradca twój stary.

JANKIEL.

A ja wnet protest zaniosę
O moje ruble, talary!

1859. Wilno.

 W IMIONNIKU ***

Wspólna mowa, kraj i wiara,
Łzy, modlitwa i ofiara,
Święta miłość ojców ziemi —
To nas czyni znajomemi.
Po tych cechach, jak po nici,
Duszę brata Litwin chwyci,
Pozna swego nieomylnie,
Czy w Pekinie, czy to w Wilnie.

1859.

*

*

*

Gdym pisał w tej książce, choć jeszcze nieznany,
Odczułem rodaczkę w tej chwili;
Dziś, kiedym ją poznał, dzięki wam, Birsztany,
Sprawdziłem przecucie tem milej.
Chwil kilka, słów kilka, szerokie już pole,
By zgadnąć, co człeka porusza:
Zbadałem myśl wzniosłą, co mieszka w tem czole,
I piękno, co kryje ta dusza.

30 czerwca 1860. Birsztany.

 ZAMIEĆ.

Czy ty słyszysz, matko?
Sądny dzień na świecie!

Jak nad naszą chatką
Miecielica mieciel!

Już usnęła w wiosce
Wszelka żywa dusza,
A wiatr szumi w brzoźce,
I śnieg ją przyprósza.

Sypie śnieg, jak piasek,
Niesie wiatr żałosny,
Obwiał cały laszek,
Pozaśnieżał sosny.

Dalej, dalej jeszcze
Rozwiał się po błoni...
Czy to wiatr szeleszcze?
Czy to dzwonek dzwoni?

Śnieg zasypał drogę,
Sanie rzną po grudzie...
Och! ja spać nie mogę —
Biedni jacyś ludzie!

Och! ja skoczę żywo,
W piecu żar jest właśnie,
Zaświecę łuczywo,
Okienko rozjaśnię;

Wśród śnieżnej zamieci
Blask drogę ogarnie,
Podróżny tu wleci,
Jak wróbel w latarnię.

— Ej, córko! śpij cicho,
Nie prosi nikt ciebie;
Niech sobie to lichu
W zamieci się grzebie!

Lecz córka nie słucha,
Powstaje co żywo,
Iskierkę wydmucha,
Zapała łuczywo, —

I w ścianę je wciska
 Pomędzy bierwiona,
 Aż łuna z ogniska
 Trysnęła czerwona, —

I w złotem pasemku
 Gdy szybę przebodzie,
 Iskrzy się po ciemku,
 Na śniegu, na lodzie...

1860. Borejkowszczyzna.

CO JEST POETA?

Nie poeta, kto śpiewa i patrzy,
 Czy słuchają, czy patrzą słuchacze;
 Lecz kto piersią do ziemi przypadłszy,
 Sam dla siebie śmieje się i płacze.

Nie poeta, co stojąc na górze,
 Z pychą stroi pieśniarskie narzędzie;
 Struny porwą, rozszarpią mu burze,
 I nic z pieśni sławionej nie będzie.

Lecz poeta, co klął po cichutku,
 Jak pokutnik światowy i Boży,
 Co łzę swojej radości i smutku
 Na wilgotnej swej ziemi położy.

Bo z łez gorzkich wyrośnie, wykwitnie
 Piołun gorzki, co służy na zdrowie;
 Uśmiech w kłosa przemieni się żytnie,
 Z których chleb swój wypieką wnukowie.

Szczątki ojców, co mieści ta gleba,
 On westchnieniem wywoła, wyświeci,
 Aby, oprócz powszednich brył chleba,
 Chleb duchowy szedł z ojców na dzieci.

1860. Wilno.

TRZY PIOSNKI.

I.

Piosnka francuska — wpół myśl, wpół czyn,
 To wystrzał korka szampańskich win,
 Uderzy echem do głębi dusz,
 Rozpali serca i znikła już.
 Tą samą pieśnią, w ten samy ton,
 Marsylczyk zburzy Burbunów tron,
 Huknie z Maratem: „Bogaczów zduś!”
 I z Bonapartem pójdzie na Ruś,
 I z nuty w nutę, i z tropu w trop
 Do orleańskich przypadnie stop.
 Sam tylko zamrok, sam tylko szum, —
 O! taką piosnkę układa tłum!

II.

Piosnka germańska — to eins, zwei, drei,
 Mierzone czucia i takty w niej,
 Co kiedy oczy rozplakać chce,
 Najprzód chemicznie rozłoży lę,
 Co jeśli w sercu ma stopić lód,
 Kładzie do piersi termometr wprzód.
 Gdy z Göthe'm w górny wzbije się szlak,
 I kiedy gwiazdy przybiera znak,
 To ani zgadniesz, czy zorza łask,
 Czy to cmentarny fosforu blask;
 Gdy Heine świętość obraca w żart,
 Znać, że tę pieśnię układał — czart.

III.

Piosnka słowiańska — to ostry miecz,
 Z ucha do ucha ogniście siecz,
 W serce, jak włócznią, serdecznie grzmoc,
 A wypróbujesz piosenki moc;
 Szorstko, lecz silnie do braci piej,
 Jak Czarnolaski, jak stary Rej,

Czy tam na dworze słońce, czy deszcz,
 Nie zmieni nuty sarmacki wieszcz;
 Sarmacka piosnka nie zmieni tła,
 I pierwiej pęknać, niż zgiąć się da,
 I bierze sercem to prym, to wtór,
 Idzie z modlitwą w bojowy chór,
 Płaci i ziemi, i Niebu dług:
 Taką nam piosnkę naszepnął — Bóg.

1860. Wilno.

CZY JESZCZE GAWĘDY?

Jeszcze książeczka rymów, gawędy i baję!
 Czyż wam innej osnowy i wątku nie staje?
 Wypłowiął stary kubrak u waszego Feba,
 Pal je kaci gawędy, nam czynów potrzeba!

Tak powiada czytelnik i ramiony ściska,
 A krytyk, z wysokiego patrząc stanowiska,
 Siedząc, jak na trójnogu, na arkusza szpalcie,
 Woła: „Zniszczcie G a w ę d y, a R y m y popalcie!“
 Autor jednak nie zważa i tonu nie zmienia,
 Bo wiele rzeczy z braćmi ma do gawędzenia.

Jeszcze przy szumnem piwku i ciepłym kominie
 Przyjacielski rozhovor jak dawniej popłynię;
 Bo nasze wspólne myśli, wspólne serca bicie,
 Ja was kocham serdecznie, a wy mnie wierzycie!

O! nastał wiek postępu, daj Boże mu zdrowie!
 Już nam teraz obecność i przeszłość nie w głowie!
 Telegraf nas wprowadza na postępu drogę,
 Wiąże do Europy, jak wróbla za nogę.
 Już myśli naszej głowy i serca uczucie
 Będziemy w świat daleki posyłać na drucie;
 Trzeba tylko rachunek zrobić gospodarczy,
 Czy nam myśli i uczuć na posyłkę starczy?
 Bo w oczy śmiać się będą zamorscy współczesni,
 Jeśli drut elektryczny rdza litewska spleśni.

Parowóz popchnie zboże niesłychaną siłą,
Byle tylko na polu żytko zarodziło,
Byle wzrosła pszenica, cośmy sieli w trudzie,
To już nawet żniwiarzkę wynaleźli ludzie.
Do gazet już paromłyn urządzają, słyszę,
Co bez ręki autorskiej artykuły pisze;
Wstrzemięźliwość, jak Hebe, olimpijska dziewa,
Dary Bacha skromniejszym kufelkiem nalewa;
A co stary ekonom nie słyszał od wieka,
Nawet w chłopie wypadnie uszanować człeka.

Jest o czem pogawędzić przy piwku lub winku,
Jakby ten sławny postęp schwytać na uczynku,
I wyzwąć go po prostu na szlacheckie słowo,
Czy nam szczęście gotuje, czy klęskę domową?

Krzyż po krzyżu wyrasta z darniny cmentarzy,
Wymierają przeszłości zwolennicy starzy;
Czemuż młodzi do ojców po radę nie biega,
Czy tam u tronu Niebios nie słyszeli czego,
Jak zadość obowiązkom uczynić wypada?
Bo tu bez wyższych natchnień niepodobna rada;
Bo jasnych myśli naszych gdy duch nie oświeci,
Pająk gęste a brzydkie pozasnuwa sieci,
Mgła starego przesądu pozakrywa oczy,
A robak samolubstwa serce nam roztoczy.

Przestała rodzić niwa, niegdyś tak bogata,
Posłania się ku ziemi wyrobnicza chata,
Już kwieciami staroświeckim nie kraśnieje łąka,
A smutny duch zwątpienia po piersiach się błąka.
Gdzież rada? wielkie życia tajemnice drzemią
Tylko w błękiecie niebios i w grobach pod ziemią.
Tam Litwin niech pobożnym spojrzeniem potoczy!
A jeśli łza popłynie, to zdrowiej na oczy;
A jeżeli się serce pokajaniem wzruszy,
Niech ryknie głośnym jękiem, to zdrowiej dla duszy.

Oto wszystko, co miałem na dzisiaj wygłosić,
Szanowny czytelniku! wszak tego już dosyć.
Gdy błysną nowe prawdy z jutrzejszym świtaniem,

Znów może po staremu do gawędki staniem.
 A w daremnej gawędzie aby duch nie skonał,
 Może pokutnem czołem grzmotniem w konfesyonał,
 Pójdziem na miedze polne ojcowskimi ślady,
 Wybadamy wieśniaka, czemu taki błądy?
 Naszych dziewic i niewiast zapytamy szczerze,
 Skąd się na pięknych ustach na uśmiech dziś bierze?
 Glebę litewskiej ziemi, zwyczajnie, jak młodzi,
 Ogrzejem ciepłem sercem, to bujniej zarodzi.
 A choćby zamiast pióra trzymał piorun w dłoni,
 Takich nam pogadanek krytyk nie zabroni.

1860. Wilno.

SEN I KABAŁA.

I.

Morfeuszul sklej mi oczy,
 Niechaj jaki kraj uroczy
 Zobaczę!
 Siedzi sobie ponad Nilem
 Ptaszek, zwany krokodylem,
 I płacze.
 Bieży sobie ciche jagnię,
 Co się wody napić pragnie,
 I pyta:
 — Krokodylku! co to znaczy?
 Na twym dzióbku łza rozpaczy
 Tak świta?
 — Synu owcy i barana!
 Twemu sercu litość znana,
 Daj uszko.
 W mej boleści ulżę może,
 Gdy do głębi ci otworzę
 Serduszko!
 I baranek dał skok chyży,
 Ze współczuciem doń się zbliży,
 I rzecze:

Ulżyj sercu, co pod głazem,
Pozwól, niechaj z tobą razem
Zabeczę.

I poufnie uszko schyla,
Aż się paszcza krokodyla
Zaśmieje.

Klapnął paszczą — bez zachodu
Pożarł baraniego rodu
Nadzieję!

II.

Stara babka sny tłumaczy:
— Powiedz, babko, co się znaczy
Sen taki?

Babka na stół kładzie karty
I zażywa po raz czwarty
Tabaki.

— Dzwonka!... czerwień!... sens się splata,
Że nie z sercem idź do świata,
Lecz z wiedzą;

Zamknij serce, niech się studzi,
A unikaj czułych ludzi,
Bo zjedzą.

Tuz... król... kralka... dama... walet...
Kto chciał szukać z serca zalet,
Był skaran!

Krew serdeczną wyssą tobie,
I napiszą na twym grobie:
Żeś baran!

1860. Wilno.

POD
OBRAZEM UZBROJONEGO RYCERZA.

Dawniej złoty hełm migota
Na rycerskiej dzielnej głowie,

Dzisiaj cienką blaszką złota
Owinęliśmy mózgowie.

Dawniej rycerz chrobre piersi
Chronił w pancierz z kutej stali;
Dziś żelazem ludzie szczerzi
Chłodne serca zakowali.

Rycerz nosił miecz przy boku,
Dzisiaj miecze pordzewiały;
My nosimy sztylet w oku,
A w uśmiechu — żądło strzały.

Gdy się zbroi ciężar zmniejszy,
Czy to lepiej? czy to gorzej?
Rycerz dawny, czy dzisiejszy
Więcej trupów u nóg złoży?

1860.

ŚWIĘTY PIOTR.

Sielanka.

Nizka chatka, nizka,
Nędza nas uciska,
Szczupła nasza miedza,
Głodem Bóg nawiedza.
Pszenica niesiana,
Żyto po kolana,
Sianożątka licha
Bez deszczu usycha,
Kąkol rodzi z żyta,
Wilk owieczki chwyta,
Grad wybija pola:
Czarnaż nasza dola!

Mój Boże! mój Boże!
Człek czyni, co może;
Kto radę poradzi?
My i słuchać radzi,

I pieśni śpiewali,
I na Msze dawali,
Na każde półmili
Krzyżyki stawili;
Z chorągwią czerwoną
I z wodą święconą,
Ksiądz w komżę ubrany
Błogosławił łany...
Insza Boska wola:
Czarna nasza doła!

Chyba jedna rada:
Posłuchać wypada,
Co przyśnił wójt stary
W noc świętej Barbary.
Mówił mu Piotr święty,
Jasnością przejęty:
— Ej, dosyc wam, dosyc
Taką nędzę znosić!
Pozbyć się jej trzeba,
Zginiecie bez chleba!
Ja mam Niebios klucze,
Sekretu nauczę,
Że ustąpi z pola
Czarna wasza doła.

Wszyscy gospodarzel
Kto ma woły w parze,
Kto ma konie w bronie,
Kto ma zdrowe dłonie,
Wszyscy idźcie tłoką,
Zaorzcie głęboko
Tę drogę od brzożki,
Do gospody z wioski.
Zabronujcie końmi,
Zagrzebajcie dłońmi,
Niech ślad i nazwanie
Drogi nie zostanie,

A zarodzi rola,
Pojaśnienie dola!

1860. Borejkowszczyzna.

PIOSNKA LUDOWA

z okolic Wilna.

Pojechał Jasio wyszukać żony,
Lecz się nie kłaniał matce rodzonej,
I przywiózł żonę, ale niebożę
Teści do serca trafić nie może.
Więc stara teścia kłopotą głowę,
Jakby ze świata zgładzić synowę.
I jadowite gotuje zióła,
Gorzka trucizną by ją zatrula.

Spotyka syna winem zielonem,
A jego żonę zielskiem truconem.
Syn wina nie pił, lecz matki zdrowie
Trucizną z żoną pił po połowie.
— Ej, matko, matko! w nieszczęsnej dobie
Nie chciałaś, byśmy służyli tobie.
Umiesz ze świata zgładzać bez winy,
Umiejże pogrześć swoje dzieci.

Więc grzebią syna wedle ołtarza,
Grzebią synową w rogu cmentarza;
I wyrósł jawor nad syna głową,
A biała brzózka ponad synową.
I rośnie brzózka biała, pochyła,
I do jaworu pierś przytuliła.
Ej, czyż nie znacie? ej, czyż nie wiecie,
Że jest kochanie na tamtym świecie?

1860. Borejkowszczyzna.

CO UMIEM NAKREŚLIĆ.

Kiedy biore ołówek (chętko dzisiaj rzadka),
I nie wiedząc co kreślić, błędne stawię kreski,
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościółek wioskowy, lub dworek litewski.

Nic innego nie umiem kreślić na papierze,
Tylko to, com ukochał z całej mojej duszy;
Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze,
Chciałem kreślić gmach pański — ołówek się kruszy.

Bogdaj to wiejska chata! Tu prostymi sztrychy
Dach słomiany, bierwiona, okienka wywiode,
A w środku wyobrażam, że mieszka lud cichy:
Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode:

Młodość, co kochać, wierzyć, spodziewać się umie,
Starość, co starych wspomnień wygrzebuje zgliszcze;
Oni serdecznych dumek nie zgubili w tłumie,
Choć im wicher przez szpary piosnkę nędzy świszczce.

Bogdaj to wiejski kościół! Dzwonnicę pochyłą,
Z dranic skleconą wieżę zrysować tak łatwo!
Wewnątrz księdza plebana wyobrażać miło,
Jak pszenne ziarno cnoty sieje między dziatwą.

Lub stary organista, gdy kantyczki złoży
I na pacierz wieczorny uroczyście dzwoni,
To słyszysz wyobraźnią, jak leci Duch Boży
W drganiu echa świętego po zielonej błoni.

Bogdaj szlachecki dworek z ogrodem, stodołą!
Sam zdaje się z pamięci pod ołówek bieży
Dąb przed gankiem, co zwiesił pochylone czoło
Nad szczepy dębowemi chocimskich rycerzy.

Ot i wszystek mój talent wyczerpał się marny,
Nie mam z czego być kunsztem rysowniczym dumny...

Ot jeszcze umiem skreślić wiejski krzyż cmentarny,
Pod jakim chciałbym spocząć obok ojca trumny.

1860. Borejkowszczyzna.

PAMIĘCI

FABIANA SEBASTYANA ACERNA

(KLONOWICZA).

Nasz staroświecki, nasz słodki Acernie!
Któryś nam Flisa wyśpiewał tak wiernie,
Jak na swej szkucie, w wesolej drużynie,
Do Gdańska płynie.

Tyś nam opisał, tak dobrze ci znane,
Piękne wybrzeża, miasta nadwiślane,
Flisi obyczaj, wśród żeglownej wody
Różne przygody.

Do twego flisa z mazurskiej galary
Nasz flis litewski niech idzie do pary;
Wszak oni właśnie pomimo przestrzeni,
Bracia rodzeni.

Nie wiążąc gęśli na strój Nazonowy,
Prostemi flisa opisałem słowy.
Maluczka praca niechaj się poświęci
Twojej pamięci.

Nie tylko Polska na żyznym zagonie
Usiadła, jako u Boga na łonie;
I leśną Litwę, matka nie macocha,
Opatrzność kocha.

Za łaską Bożą rodzi nam obfity
Z pól nowogródzkich pszenica i żyto;
Na świętej Żmudzi wywdzięczą uprawę
Lny kędzierzawe.

W poleskiej puszczy, ciemnej a bezdennej,
Rośnie sośnina i dąb sturamienny;
Można z nich ciosać wyniosłej budowy
Maszt okrętowy.

I mniejszych darów leśnego Sylwana
Nieskapą ręką obfitość nam dana:
Smolna żywica, budowlana kłoda,
Grzyb i jagoda.

Nasz stary Niemen bystro i wspaniale
W gardziel Bałtyku leje swoje fale;
Więc nasze plony, flisakom roboczym
Jest spławiać po czem.

Siekiera cieśli, ostra gdyby kosa,
Spławną wicinę misternie wyciosa;
Potrafi utkać córa wiejskiej chaty
Żagiel skrzydlaty.

Uczony sternik na naszej wicinie
Spłaszczonym rudlem jak piórkiem wywinie;
Uczenie robi, czy wiosło, czy prysa,
W rękach u flisa.

Chleb nasz u Niemca wzdry ma swoją chwałę,
Więc żeglujemy, by karmić zgłodniałe;
A w tej żegludze przez całe pół roku
Nie brak uroku.

Gdy wiatr po temu, gdy pogoda służy,
Jest czem nakarmić żrenicę w podróży:
Bóg porozrzucił z obu Niemna boków
Siła widoków.

Owdzie się Niemen jak modry wąż kręci
Zieloną smugą pól i sianożęci;
Owdzie się bystro wrzezał w bór ponury
Lub w żebro góry.

Owdzie, osłonię wierzwą lub olszniakiem,
Swym staroświeckim przesuwa się szlakiem;
Owdzie gwałtownie nowej drogi pyta,
Rwie swe koryta.

Albo spotkawszy kamień po swej drodze,
Bije weń piersią i pieni się srodze,
Lub się na piasku, gdy złość przeminęła,
Miętko rozściela.

Na brzegach jego, to krzyż z Bożą Męką,
Albo napotkasz kapliczkę maleńką,
Lub cichą wioskę, lub dworek poziomy
Z dachem ze słomy.

Czasem na górze dziwnego nazwiska
Sterczą starego rudery zamczyska.
Lub stary kurhan, gdzie śpią, jak na straży,
Rycerze starzy.

A jakież święte przepływa on grody!
Owdzie Lubcz stary, jak dziad siwobrody,
Gdzie omył święty chrzest prawego Boga
Głowę Mendoga.

Owdzie obiega, w swoich wirach skorych,
Odwieczne Grodno Witoldów, Batorych;
Do stóp ich zamków pokornie przypadłszy,
W majestat patrzy.

Tam stare Kowno, raj litewskiej strony,
Duchem Kiejstutów jeszcze przesycony;
I tam obwija miłosnemi sploty
Błoń Wajdeloty.

Owdzie Wielona, gdzie pocisk z moździerza
W Gedyminową chrobrą pierś uderza,
Gdzie Litwa, patrząc na zwłoki książęce,
Łamała ręce.

I któż policzy te grody i miasta,
 Gdzie Niemen coraz rozszerza się, wzrasta,
 Niesie do morza wicinę i płyty
 Kilku koryty?

Taką flisówkę, chociaż nie w piosence,
 Śpiewaku Flisa, twoim cieniem święcę!
 Tyś bliżej Boga, proś niech się powodzi
 Flisom i łodzi.

Mazur na szkucie, Litwin na wicinie,
 Do swego portu niech szczęsno zawinie;
 Na naszych masztach wždy niechaj jaśnieje
 Gwiazda nadzieje.

1860. Borejkowszczyzna.

N I E M E N .

Flumina magna vides parvis
 ex fontibus orta. Ovidius.

Płyńcie strumień, płynię mały,
 Z grzędawiska lub z pod skały,
 Płynię w lewo, płynię w prawo,
 Między kwieciami a murawą,
 I na szmaty ziemię kraje,
 I sąsiednie ssie ruczaje;
 A wezhrany u łożyska
 Z wartkiej fali pianą pryska,
 I rybackie pędzi łodzie,
 I górzysty brzeg przebodzie;
 I otworzy przepływ łatwy
 Dla wiązanej z drzewa tratwy,
 I w wesołe puszcza tany
 Statek zbożem ładowany.
 A gdziekolwiek trąci falą,
 Pana Boga ludzie chwalą,
 Bo bogatszem być poczyna

Ich miasteczko i wioszczyzna,
 I zieleniej rosna drzewa,
 I weselej ptaszek spiewa,
 Niebo usmiech ma w blękiecie,
 Wszędzie żywiej kipi życie,
 Bo falista woda rzeczna
 To krainy krew serdeczna.

1860. Borejkowszczyzna.

BOREJKOWSZCZYŻNA.

Nie mój to domek, nie moja gleba,
 Choć chleb mi rodzi przez lato;
 Moim jest tylko ten błękit nieba,
 Co się unosi nad chatą.

Pod skrzydłem chmury, pod cieniem strzechy
 Miałem i ciernie, i róże;
 Prędkoż me bole, moje pociechy
 Ojcu ziemskiemu wynurzę?

W poblizkiej wiosce, w cmentarnej głuszy,
 Zacny się starca proch mieści:
 Boże! daj pokój zmarłego duszy,
 A żywym — mądrość boleści.

1860. Borejkowszczyzna.

F R A G M E N T.

... Starzec podumał, westchnął i pokiwał głową,
 I nam dzieciom powiedział przypowieść takową:
 — Widziałem, raz po Niemnie płynęła łódź duża,
 Wtem na niebie straszliwa zerwała się burza,
 Wichur z pod czarnej chmury gwizdnął rozhukany,
 Szerniała wodę Niemna poskręcał w bałwany,
 Co, pieniając się i kipiąc piersią nienawistną,

Łódź to wzbiją do góry, to w głębiny cisną.
Przerażeni flisacy nuż walczyć z przemocą!
Rozpaczliwemi wiosły, jak umieją, grzmocą;
Ale burza silniejsza, bez pomocy wiosła,
Sama czółno na chwilę do brzegu przyniosła.
Wtedy, widząc, że klęska ponad głową wisi,
Szybko na brzeg skoczyli najmężniejsi flisi;
Innym nie było czasu czepiać się krawędzi,
Bo huragan uderzy i znowu łódź pędzi,
A więc radzi nieradzi w łodzi pozostali,
By być nowem igrzyskiem szturmującej fali.

A owi, patrząc z brzegu, jak się łódź kołysze,
Jako walczą ze śmiercią tamci towarzysze,
Mówią jeden drugiemu: Patrzcie, jak ich miota!
A jakże niedołąźnie idzie im robota!
Zamiast szybować prosto, oni łódkę wiodą
Jeden raz przeciw wodzie, a drugi raz z wodą!
A widzicie, jak czółno trzyma się pochyło!...
Ot!... grzmotnęli o kamień... ale z jaką siłą!
Sądziłem, że się łódka na trzaski rozprysnie.
Już mówcie mi co chcecie, a to naumyślnie.
Zła wola... nie inaczej... oczywista zmowa:
Oni chcą łódź zatopić — niech Pan Bóg zachowa!
A na prawo!... a w lewo!... a wprost przeciw fali!
Ot bez naszej przestrogi rady by nie dali.

Tak jedni płyną z burzą, ile siły zmogą,
A drudzy idą lądem bezpieczniejszą drogą,
I to jeden, to drugi na płynących ciska
Złorzeczenia, szyderstwa i urągowiska.
Gdy wiosłarze pracują, aż się wiosło kruszy,
Ja sobie pomyślałem w głębi mojej duszy:
Kiedy burza ucichnie, gdy się rozpogodzi,
Jabym lądowych flisów nie przyjął do łodzi.

NIEDZIELA.

Sielanka z niedawnej przeszłości.

Macie cztery pieśni
 Z niedzielnego dzionka.
 Czasem głowa nie śni,
 Co lira wybrzaka.
 Och! tak nienawistnie,
 Och! tak brzmi niemiło,
 Czasem w struny piśnie,
 Jak po sercu piłą!
 Lira odpowiada:
 — A pocóż mam duszę?
 Co mi wiatr nagada,
 To wybrzakać muszę.

I. PORANEK.

Spuściła się z góry
 Święta Niedziela,
 Z za różowej chmury
 Słonko wystrzela.
 Wiatr kołysze kłoski
 Zielonej niwy,
 Lata wkoło wioski
 Anioł życzliwy,
 I łąkom, gdzie kwiatki,
 Wieści udziela:
 Radujcie się, dziatki,
 Dzisiaj Niedziela!

Trawka pełna rosy
 Czeka na stada,
 Ryczy w niebogłoso
 Oborka rada.
 Sute, dzięki Bogu,
 Pastwisk obszary!

Trąbi w trąbkę z rogu
Pastuszek stary;
Za wsią sterczy z drzewa
Krzyż Zbawiciela,
Ptaszek na nim śpiewa:
Dzisiaj Niedziela!

Przed Jankową chatą
Skrzypi kolasa;
Dziatwa, czując lato,
Po dworze hasa.
A Janek otwiera
Zamek śpichlerza,
Na targ się wybiera,
Zboże odmierza.
Już i żniwo blisko...
To go ośmiela
Jechać w targowisko,
Bo dziś Niedziela!

Licha gospodarka:
Grosza potrzeba,
Nie zostało ziarenka
Na bochen chleba.
Żona nie ma soli,
Suszy mu głowę;
Drobna dziatwa woli
Książeczki nowe.
Toć to gościńcami
Ich poobdziela!
Dzieci! Pan Bóg z wami,
Dzisiaj Niedziela!

Na wóz Janek wsiada,
Konia zacina;
Bieży za nim rada
Dzieci drużyna.
Minął sielskie wrota,

Minął krzyż kłusem . . .
A dziatwa szczebiota:
Z Panem Jezusem!
Mówią pięć pacierzy
Do Zbawiciela,
Modły idą szczerzej,
Bo dziś Niedziela!
Gdy dzieci łyż ronia,
Schyliwszy czoła,
Anioł Pański dzwonią
Z wieży kościoła;
A jak dzwon uderzy
Świątym wyrazem,
To i puhacz z wieży
Jęczy z nim razem.
Kto nocną brzydotę
Jęczeć ośmiela?
Świeci słońko złote,
Dzisiaj Niedziela!

II. POWRÓT JANKA Z TARGOWISKA.

Jestem sobie podpiły:
Jedna czarka dla siły,
Druga z ręki sąsiada,
Czy odmówić wypada?
Poszła trzecia i czwarta,
Ot zebrała się kwarta,
Ot i w głowie już świta,
Hej, pał koniu z kopyta!
Na bok pany, bom pijany!
Wstyd wam mojej sukmany;
Lecz Jankowa sukmana
Nie bywała skalana,
Wy o waszej sajecie
Czyż to samo powiecie,
Kiedy Pan Bóg was spyta?
Hej, pał koniu z kopyta!

Stoi karczma przy drodze,
Pyknąć lulkę zachodzę;
Człowiek węgle roznieca,
A tam szatan z za pieca
Daje znaki wciąż głową:
Wypij! będzie ci zdrowo!
Posłuchałem i kwita, —
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzycz czy nie krzycz tam żono,
A jeść będziesz niesłono!
Niechaj cierpi nieboga!
Sól być musi za droga.
Coś mi z głowy wyleci
Kupić książkę dla dzieci:
Co tam dziecko wyczyta?
Hej, pal koniu z kopyta!

Choćby umiał czytanie,
Toć chłop chłopem zostanie;
Sześć dni pracy gnie szyję,
W siódmy dzień się upije.
Więc za przykład pokuty
Zdadzą chłopą w rekruty,
Kapral pleców dopyta.
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzyż przy drodze... tu stanę...
Nogi chwieją się pijane...
Przebacz, Chryste! jam ciemny,
Bój z szatanem daremny!
Któż mi głowę oświeci?
Kto zapewni los dzieci?
Przyszłość ciemna, zakryta...
Hej, pal koniu z kopyta!

Grzmi... błysnęło w oddali...
Piorun w sosnę gdzieś pali...
Czemuż karczmy oszczędza,
Z których grzech nasz i nędza?

Ej, urosło ich tyle,
Ze aż dziesięć na milę,
Krwia płacimy ich myta...
Hej, pal koniu z kopyta!

Ot i wioska... snadź nasza;
Konia nęci już pasza,
Targnął wozem tak srodze,
Żem się zwałił na drodze.
Trudno powstać, bo ciemno,
A czart stoi nade mną,
Klaszcze w dłonie i zgrzyta...
Koń sam pobiegł z kopyta.

III. LAMENT PANA ARENDARZA.

Janek!... spił się jak bela...
Jak zabity śpi w rowie.
Prawda, dzisiaj Niedziela!
Czarka, druga, na zdrowie.
Tobie zdrowia przybędzie,
Ja mieć będę grosz w zysku...
Lecz ty, zamiast w arendzie,
Spił się na targowisku!
Tyś mi ukradł, co moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czy nie złodziej? no proszę!...
A ja z czego żyć będę?
Jan z kieszeni skradł grosze,
Przecież płacę arendę:
Tysiąc złotych gotówki,
Głowę cukru z napaści;
Muszę karmić dwie krówki,
Żonę, dzieci dwanaście;
Czyż ja poły okroję?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Konie, kozy, barany,
Sztuk dwadzieścia się zbierze...

I mam kontrakt pisany,
Na kosztownym papierze.
Kontrakt pisze w tem słowie,
Węzłowato a krótko:
Wszyscy moi chłopowie
Tu upiją się wódką...
Jak pijanych napoję?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Pisze dalej tak srogo:
Niechaj każdy pamięta,
Nie wyjmując nikogo,
Baby, chłopcy, dziewczęta,
Żaden z chłopów, broń Boże,
I to w żadnym już względzie,
Pić gorzałki nie może,
Tylko w swojej arendzie,
Bo zapłaci we troje.
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czytaj, co tu pisano!
Lecz chłop głupi nie czyta...
Jadąc na targ dziś rano,
Miałeś miarki dwie żyta,
Miałeś jeszcze ćwierć grochu,
Warto złotych dwadzieście...
Jużci, pijąc po trochu,
Mogłeś przepić coś w mieście,
Już ja o to nie stoję,
Choć to gwałty, rozboje!

Ale resztę... to znowu
Przepij u mnie na zgodę;
Ja wydzwignę cię z rowu
I do karczmy zawiodę.
Wstawaj, zbierz się na siły,
Pokaż kieszeń!... No, proszę...
Ach, ty chłopie opity!...
Ukradziono mu grosze!

Toż ja liczył jak moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!

No!... co robić? przygoda...
Jużby lepiej to przepić...
Mnie samemu cię szkoda,
Warto ducha pokrzepić.
Janek! Janek! ty słaby,
Wypij kwarty z połowę;
Nie idź do swojej baby:
Naturbuje ci głowę,
Ty jej oddasz za swoje,
Będą gwałty, rozboje!

IV. WIECZÓR.

Opuściwszy głowy,
Kwiatki już drzemią;
Wieczorek różowy
Pieści się z ziemią;
Słońce, nim zapłynie
Za chmurną ścianę,
Złotem wprzód owinie
Strzechy słomiane:
Błyszczą ognie z chatek,
Krąży lud w bieli:
Taki jest ostatek
Świętej Niedzieli.

Powracają trzody...
Dzielne ich harce!
Pasterz siwobrody
Gra na fujarce.
Polny konik brzęczy
W podskoku chyżym,
A niewiasta jęczy,
Padłszy pod krzyżem.
Ej, jak cierpi srodze,
Ludzie widzieli;

Bolesny niebodze
Wieczór Niedzieli!

Skrzypek podchmielony
Na taniec zowie, —
Grzmia w kapliczce dzwony
Po czyjejs głowie...
Dziś mnie, jutro tobie,
Janku niebożę!
Dziś hulaleś sobie,
Przedawszy zboże;
A wieczorem człeka
Na mary wzięli...
Nie wie, kto doczeka
Przyszłej Niedzieli.

1861.

NIEMASZ NIEWIAST NAD SARMATKI.

Miłe dziecię, póki w kwiecie,
Póki oczki ogniem płoną,
Dziewczę z serca troskę zmiecie,
Twarz rozjaśni zachmurzoną,
Czy szybkimi biega kroki,
Czy szczebiocąc zbiera kwiatki...
Bo choć cały świat szeroki,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Gdy w dziewicę dziewczę wzrośnie,
Gdy swawola minie płocha,
Już w szesnastej życia wiośnie
Krasawica kogoś kocha.
W tej miłości skromne roki,
Tylko z lubym pragnie chatki...
Bo choć cały świat szeroki,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Tą miłością świat otoczy,
Ojca, matkę, dawne dzieje;
Kto w jej zacne spojrzy oczy,
Sam na sercu pozacnieje.
To kochania są uroki...
Cud po innych krajach rzadki...
Bo choć cały świat szeroki,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

W domu męża się zasklepi,
Już jej wszystko na tym świecie;
W bojach życia męża krzepi,
Własną piersią karmi dziecię;
Niemowlęce stawiać kroki,
Miłość kraju wpaja w dziatki...
Bo choć cały kraj szeroki,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Czy w boleści, czy w radości,
Nie zlatuje myślą z Nieba,
Miłem słówkiem wita gości,
A żebraka kęsem chleba.
Czy to pogrzeb, czy wesele,
Wspiera ludu niedostatki...
Bo choć niewiast w świecie wiele,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Gdy podeszłe przyjdą lata,
Czy to w domu, czy w świątyni,
Do pacierza ręce splata
I za wnuków modły czyni;
Zacną postać krzyżem ściele
Za pomyślność swej gromadki...
Bo choć w świecie niewiast wiele,
Niemasz niewiast nad Sarmatki.

NAGROBEK OBYWATELOWI.

D. O. M.

Bił chłopów pałą,
 Poił gorzałką,
 Miał sto chat z górą,
 Jadł barszczyk z rurą,
 Popijał piwo,
 Zbierał grosiwo,
 Czasem od święta
 Ciął się w karcięta.
 Miał arendarza,
 Z którym rozważa:
 Czy będą wojny?
 Czy czas spokojny?
 Zjadł na śniadanie
 Udo baranie
 I witych w cieście
 Kołdunów dwieście.
 Tak z niestrawności
 Doszedł wieczności,
 I w ciemnym grobie
 Spoczywa sobie.
 Nim wieki zbiegą,
 Tnie chrapickiego,
 Aż głos Anioła,
 — Wstawaj! — zawoła —
 Bo już gotowa...
 Pieczeń wołowa.

1861. Borejkowszczyzna.

OWIDYUSZ NA POLESIU.

August Cezar, co niegdyś dla pańskiego tonu
 Posprowadzał do Rzymu muzy z Helikonu,

Nie szcędząc hojnych darów i sutych przyrzeczeń,
Wirgilich i Horacych zapraszał na pieczęń, —
Dostrzegł, że z etykiety straszliwą obrazą,
Bałamuci mu córkę Owidyusz Nazo.

Był to poeta, dworak przy wielkim Auguście,
A pannie były jego pentametra w guście...
Julka to, panie, była hoża czarnobrewka,
Rzymianka, krew nie woda, spirytus nie dziewczka...
Dyabeł nie śpi w tych rzeczach, może być nieładnie...

.....
Tak myślał Cezar August...
.....

Więc się radzi przyjaciół, nie zwlekając chwili.
Agyppa i Mecenas tak mu poradzili:
Trzeba zaraz ostudzić te zapały wieszcze.
Szkoda, że nikt Kajenny nie wymyślił jeszcze,
Lecz, jak można w tych czasach, zaradzając biedzie,
Niech nad morze Euksyńskie poeta pojedzie;
A tam, jeśli się gadać nie nauczy prozą,
Niech go na szuhalei do Pińska zawiozą.

Jak się rzekło, tak stało: znękany i chory,
Już Nazon w pińskich lasach zbiera muchomory,
Łowi wjuny i raki Cezarów dworaczek
I z łuku sarmackiego pudłuje do kaczek,
A co poczta przyjaciół swemi listy nudzi:
Jak mi tęskno do Rzymu, do tamecznych ludzi!
Proście, niechaj mnie Cezar uwolni od kary,
Bo tutaj mnie poleskie zagryzą komary.
Przyjaciele, zwyczajnym torem przyjacieli,
Przyrzekli uroczyście, potem zapomnieli.
Julia! — puchu marny! istoto kobieca! —
Do junkra pretoryańskiej straży się zaleca...

.....
A poeta, wygnaniec, z głodu i ze smutku,
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.

Choćbyś został Newtonem, domyślać się snadno,
 Że tutaj żadne myśli z jabłkiem ci nie spadną.

Powracam do komnaty, do cichej komnaty,
 Kędy człowiek pracował i marzył przed laty,
 Gdzie były stopy książek, mój pokarm młodzięczy, —
 Dzisiaj echo samotne pod stopami jęczy...

1861. Borejkwowszczyzna.

JUTRZENKA.

Gawęda z sobą.

Widzę mospanie, jutrznię różową,
 I kiwam głową!

Porwał śmiech pusty, komedia szczerą
 Serce rozdziera!

Jam stary wróbel i nie dziś przecię
 Żyję na świecie;

I wiele, wiele w życiu mem całym
 Jutrzni widziałem.

Na jasnym niebie, na ciemnej ziemi,
 Z barwy złotemi,

Lub w siedmiorakich kolorach tęczy
 Jutrznia się wdzięczy;

I wiele rzeczy dobrych przyrzeka,
 Chcąc zdurzyć człeka.

Ej! to zalotna tylko niewiasta,
 Kłamie i basta!

Młodzian mię cieszy, żeśmy w tej chwili
 Biedę przebyli:

Wkrótce nie będzie, zobaczysz, dziadu,
 Nędzy ni śladu!

Znów obietnice, znowu nadzieje,
 Serce się śmieje;

Ale ich czekać kolej tak długa...
 Najniższy sługa!

Już zawstydzona przeszłość surowa
W ziemię się chowa;
Przyszłość przychodzi w tęczowej szacie,
Wierz, panie bracie!
Dla zbolełego serca osłoda
Jutrzenka młoda,
Lecz jasne słońce ze swą opieką
Jeszcze daleko!

Ha! znam ja tęczę... pogodę wróży!
Wierzą niektórzy!
Chociaż nad górą ściele się nisko
Czarne chmurzysko.
A jak się wróci chmura burzliwa
(Co często bywa),
Grzmotem zahuczy, deszczem zaleje,
Ot i nadzieje!

A tu wyraźnie kalendarz pisze:
Mieć będziem ciszę.
Błogosławiony kto dziś ma wiarę
We wróżby stare!
Co to!... nie tylko bredzą bezkarnie
Nasze drukarnie,
I w Berdyczowie kalendarz, słyszę,
Androny pisze.

Ej, doloż moja! przyszło mi dosyć
W życiu przenosić!
Słońca mi trzeba, i powiem szczerze,
Gwiazdom nie wierzę...
Niech sobie widzą niewinne dusze
Na wierzbie grusze,
Niech sobie zefir przebiega błonie,
Ja go nie gonię!

MELODYE Z DOMU OBLĄKANYCH.

I.

Ja jestem panem całego świata!
 Co chodzi, pływa, czołga się, lata,
 Niebo i ziemia — to wszystko moje!
 Ja się ich stracić nie boję! . . .
 Bo jasne Niebo kluczem zamknąłem,
 A ciężką ziemię sznurami spiąłem;
 Klucz do kieszeni — a końca nici
 Już z mojej ręki nikt nie wychwyci.
 Ludzie i duchy! siedźcie jak w norze!
 Ani mi pisnąć, broń Panie Boże!
 Bo tak się skrzywię, tak tupnę nogą,
 Że popadacie, przejęci trwogą!
 Niech będzie cisza! — bo mię sen mroczy,
 Przygaście słońce, bo kole w oczy,
 A gdy za wiele blasku w przestrzeni,
 To mu ogólcie głowę z promieni,
 Jak ogolono mnie moją głowę
 Za to, żem rzucał światło różowe.

II.

Patrzajcie! szatan wskoczył do pieca!
 Jak się masz kumie?
 I skrzydełkami ogień podnieca,
 Jak tylko umie.
 Jakąś miksturę gotuje światu
 Z opium i maku;
 Dodał krwi trochę dla aromatu
 I łez dla smaku!
 Z francuskich gazet dodał musztardy,
 Z niemieckich — kwasu,
 A z nadtybrowych — trochę pogardy
 Dla ducha czasu.

Zlał do butelki, zatknął miksturę,
 By nie uciekła, —
 I pozasmolał całą jej górę
 Smołą aż z piekła!

Dał sygnaturę — na jej papierze
 Píše te słowa:
 W sto lat trzy razy niech ludzkość bierze,
 A będzie zdrowa.

III.

LIST PRZY ODESŁANIU KSIAŻEK.

Dzięki tobie, panie bracie,
 Za poważne twe księgi!
 Lecz ja w świecie i w mej chacie
 Dość mam mitręgi!

Jak poważnie czoło mroczy
 Rozwieszona wskroś chmura!
 Jak poważnym chodem kroczy
 Pan urzędnik do biura!

Ja chce dziewic orszak liczny
 Dać powagi oznakę!
 Jak poważnie stróż uliczny
 Sypie z różka tabakę!

Ptak indyjski spuścił skrzydła
 I spowaźniał u płotów...
 Ta powaga tak mi zbrzydła,
 Żem przeklinać ją gotów!

Okazałość uroczystą
 Tak dziś wszystko przybrało,
 Że już wolę łąy na czysto,
 Niż tę nudę wspaniałą.

Bógże wie, co będzie dalej?
 Smutna dola jest nasza!

Łza przynajmniej serce pali,
A powaga je skwasza.

Patrz, jak śmiesznie naokoło
W ludziach, w celi, na dworze!
Przyślij książkę mi wesołą,
Co się uśmieć pomoże.

Aby myśli zbić sieroce,
Co mi wieją po głowie,
Jak szalony pochichoce,
To mi będzie na zdrowie!

Śmiej się każdy bez różnicy,
I pismaki, i ptaki!
Śmiej się stróżu na ulicy
Z twoim różkiem tabaki!

Niech się w świecie śmiech rozbudzi,
Wszak nie braknie sposobów!
Śmieście się, mogiły, z ludzi, —
Ludzie śmieście się z grobów!

Śmiej się, góro! śmiej się, chmuro!
Niech zahuczy swawola.
Lesie! nie płacz tak ponuro,
Śmiej się z łąki i z pola!

Jedni z drugich — wszystkim, wszędzie,
Niechaj śmiech się udzieli!
Niech wysoko słychać będzie,
Jak my tutaj weseli!!

IV.

Chodź, panie doktorze! wszakże was uczono
Mineralogii!
Patrz na te paciorki, co mi zawieszono
Na chorej mej szyi!
Twarde jak dyament, a błyszczą jak słońce,
A czyste jak woda,

Odblasków tęczyowych tysięcy tysiące
 Co chwila się doda.
 A w środku paciorki kropelka czerwona,
 Jak główka od szpilki,
 Przelewa się, błyszczy i mieni się ona
 Od chwili do chwili.
 Od każdej paciorki woń płynie tak dzielna,
 Że jesteś, jak w Niebie;
 Do ust jej nie kładnij, bo gorycz piekielna
 Zatrzałaby ciebie!
 No! . . . cóż to za kamień? odpowiedz, doktorze!
 Ha! . . . rzecz to niełatwa!
 Nauka wszystkiego zrozumieć nie może,
 Coś zawsze ją gmatwa!
 Co? . . . nie wiesz? — objaśnię — nie moja w tem
 Mnie serce pomaga: [wina,
 To łza zasuszona biednego Murzyna,
 Plantator gdy smaga.

V.

Kot się w płasach wywija,
 Snadź niegłodna bestya!
 Kocie, moje kochanie,
 Jakie miałeś śniadanie?
 Możeś chodził na łany,
 I pod kamień schowany,
 Wyszpiegował ptaszynę,
 Co nam dobrą nowinę,
 Co wiosnę przepowiada!
 Sama z jutrzeńki spada,
 A pełna jej promieni,
 Gdy je w pieśnię zamieni,
 To tak tryska, szczebiota,
 Że aż płakać ochota,
 Że aż serce sieroce
 Obertasa zagrzmoce!

Najprzód ptaszek z ukosa,
Potem leci w niebiosą,
I w błękitne sklepiska
Ostrze pieśni swej ciska,
I znać daje do Nieba,
Że tu ludzie bez chleba,
Że nam łaski potrzeba.
A gdy Niebo rozczuli,
Spada na dół w lot kuli,
I nad głową oracza
Rzeźwe kręgi zatacza.
Na „dzień dobry“ mu rzecze:
— Uśmiechnij się, człowiecze!
Bóg rozjaśnił swe lica,
Siej, a będzie pszenica!
O! to anioł, nie ptaszę!
O! to szczęście on nasze!
O! to kapłan tej niwy!
To poeta prawdziwy!
W jego słówku i treści
Dobrodziejstwo się mieści.

A ty, kocie! swe szpony
Może w piersi natchnionej,
Może w sercu śpiewaczem
Zatopiłeś cichaczem?
Mów! czy żyje skowronek?
Czy wydzwoni nam dzionek?
Czy da siewcy nadzieję,
Gdy ten, potem się zleje?

Kot tak spojrział zuchwało,
Że odgadłem rzecz całą:
Legł rozszarpan na szmaty
Bogomódlca skrzydlaty!

*

*

•

Kot się drapie po ścianie.
 Kocie! dziki tyranie!
 Powiedz: krwawe twe gardło
 Co na obiad dziś żarło?
 Możesz chodzić na łowy
 W młody gajk liściowy,
 Gdzie leszczyna cienista,
 Kędy wierzba się chysta.
 I gdzieś w ciemnej leszczynie
 Śmierć zadałeś ptaszynie,
 Co swą pieśnią wieczorną
 Spędza troskę uporną,
 A w jej miejsce — nadzieje
 Zdrowia, życia naleje?
 Pieśni jego ciekawa
 I leszczyna, i trawa;
 Księżyc przy jego śpiewie
 Własnej drogi już nie wie:
 Zatrzyma się, i słucha,
 I westchnieniem wybucha,
 I łza, co leje z duszy,
 Na ziemię rosą prószy...
 Mów, potworo! mów, dzika!
 Czy zabiłeś słowika?

Zbrodniarz siadł przy ognisku,
 Krew wymywał na pysku;
 To krew była — niestety!
 Gajów naszych poety.

*

*

Kot się bawi, jak dziecko,
 Wzrok mu patrzy zbójcko.
 Powiedz, straszne ty zwierzę,
 Jaką miałeś wieszczę?
 Może za swą zdobyczą

Wpadłeś w strzechę rolniczą,
Gniazdo jaskółcze zdarłeś
I piskłęta pożarłeś?
Przyleciała z daleka,
Zdała w ręce człowieka
Swoje gniazdo z piskłęty —
Skarb swój drogi i święty!
Onaż nasza gosposi,
Ona lato przynosi,
Ona w ciepłe już lato
Nad stodołą, nad chatą
Pływa długim skrzydełkiem
I szczebioce ze zgiełkiem;
Pędza czeladź leniwą:
— Do roboty co żywo!
Jedno lato jest w roku,
Zwóźcie zboże do toku!
A gdy obłok się brudzi,
Lata nisko wśród ludzi
I przestrozę swą kwili:
— Deszcz! deszcz będzie w tej chwili!

Słyszysz?... jęczy tak głucho!...
Ponad gniazdka okrucną;
Wpośród gruzów się świeci
Krew i piórka jej dzieci!
Nieszczęśliwa ptaszyna
Nas i siebie przeklina;
Bije pierśmi o ścianę,
Woła dzieci kochane.

Gdy tak mówię do zwierza,
Kot się na mnie najeża
Ze strasznemi oczyma...
Wątpliwości już niema!
Zgubił w całym jej losie
Strzech litewskich gosposię!

* * *

Kot z mruzeniem zdradzieckiem
 Usnął w ciepłe za pieckiem;
 A ja, myśląc niedługo,
 Jak go skropię maczugą!...
 Aż się zerwie, zapieni
 I wyskoczy do sieni,
 Na dziedziniec, do sadu,
 I już kota ni śladu...
 Ha!... na drzewie!... ja za nim...
 My go prędko dostaniem!

Pan dozorca szpitala
 Wyszpiegował to zdala;
 Kazał ściągnąć mię z drzewa,
 Zimną wodą oblewa,
 Sadzi w ciasną zagrodę:
 — Trzy dni na chleb, na wodę!
 Za co? żem mścił się czynnie
 Krwi przelanej niewinnie,
 Krwi ptaszęcej, śpiewaczej?
 Czyż być mogło inaczej?

Pan dozorca!... ej, biada!...
 Pewno ptaszki zajada,
 Więc pogląda przez szpary
 Na pobite ofiary!
 A toż mamy już przecię
 Dziewiętnaste stulecie!
 Nadaremnie się trudzi:
 Nie poprawi już ludzi!
 Cóż ja pocznę? mój Boże!...
 Chyba spać się położę.

VI.

Śmieszne snuły się postacie
 W tej komnacie:
 Coś się miasto, coś wioszczyna
 Przypomina.

Tam na kurzej nóżce chata
Wichrowata;
Tam przymila się gospoda
Siwo-broda;
Pałac zerka na uboczu
We sto oczu;
A kościółek skrzypi w stronie,
Gdy wiatr wionie.
Na drewnianych szrudłach wsparty
Dach podarty;
Ktoś założył tam kwieciarnię,
Mchy i darnie!
Ludzie chodzą, gwarzą, siedzą
I nie wiedzą,
Gdzie skierować senną postać?
Iść czy zostać?
Tak śmiesznego nic na świecie
Nie znajdziecie.
Dzwon szczerbaty kaszle z wieży:
Do pacierzy!
Czterech dziadów w szmatach, bosu,
Trumnę niosą;
Cztery babki szpitalnice
Niosą świece;
A na czele organista
Aż się chysta.
Musiał zażyć dla zapału
Kordyału,
Bo z zapałem bierze tony
Antyfony.
A gdy huknie: Dies illa!
I Sybilla!
Requiescat kiedy palnie
Kapitalnie,
To aż, czując radość błogą,
Tupnie nogą.

Trumna prosta — a za trumną
 Niezbyt tłumno:
 Idą sobie ludzie prości
 Z ciekawości,
 Potem bieży tłum pacholi
 Dla swawoli;
 Dwóch przyjaciół nieboszczyka
 Z drogi zmyka.
 Mówią sobie: — Szkoda, szkoda!
 Dusza młoda!
 Serce wulkan, co z ogniska
 Lawą tryska!
 Aż się samo własną siłą
 Przepaliło.
 I cóż teraz? — niech kto spyta:
 Trup i kwita!

 — Po kim becysz tak nieczysto,
 Organisto?!
 Trup, jak widać i po zgonie,
 W dobrym tonie.
 Musiał cierpieć — w ustach znaczny
 Jęk rozpaczny.
 Są na czole myśli znaki...
 Kto to taki?
 Tak zapytał pan z natłoku
 Z szkiełkiem w oku.
 Organista tak mu rzecze:
 — Ja nie becę:
 Po łacinie śpiewam z nuty
 Psalm pokuty.
 A nieboszczyk, co widzicie,
 Sterał życie:
 Po obłokach się kołysał,
 Wiersze pisał;
 Czytał w książkach w noc i we dnie
 Jakieś brednie;

Dał każdemu wieść się w pole,
 Jak pachole;
A jeżeli rzec nawiasem,
 Płakał czasem.
Krasawica sercu miła
 Go zdradziła;
Przyjaciołom nic nie wierzy —
 Bo nieszczerzy;
Wiersze zgryźli z dobrej chęci
 Recenzenci,
A pokrewni gdzieś tam z dali
 Wieść zabrali!
I tak szło mu nieciekawie
 W każdej sprawie.
Wziął na rozum za głęboko,
 Spuścił oko,
A jak w drodze spotka człeka,
 Precz ucieka.
I poczęto mówić w mieście,
 Że nareszcie
W jego głowie — złe nadzieje,
 Kogut pieje!
Zachorował, była zima,
 Jeść nic nie ma!
Na kominku dogorywa
 Kłódka drzewa,
A on nie wie nic o świecie,
 Wiersze plecie.
Albo jęczał jak w malignie,
 Gdy już stygnie:
— Kiedyż w piasku głowę złożę?
 Mocny Boże!
Jam tak kochał! . . . za co? za co
 Tak mi płacą! —
Głodną śmiercią literata
 Zszedł ze świata;

My go musim grześć coprędzej
Bez pieniędzy!

A na świece do karbony?
A za dzwony

Kto zapłaci?... czy bogaci
Literaci?

A, doprawdy, boli gardło
Śpiewać darmo!...

Ha!... cóż począć?... Dziady, baby!
Głos nasz słaby;

Ej! hukniemy u mogiły
Z całej siły

Requiescat! — daj mu, Panie,
Spoczywanie!

Wieczna światłość — krzyczcie dzieci —
Niech mu świeci!

1861. Borejkowszczyzna.

CUPIO DISSOLVI.

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowała?
Skowała w pancerz, ciśnie i gniece,
I zatrzymuje na ziemskim świecie.
Ja jestem duchem... duchem, nic więcej...
Poco mam chodzić w szacie zwierzęcej?
Moje radości, moje katusze,
Na dzwonku serca wydzwaniać muszę,
A nieśmiertelnych myśli osnowa
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedyś mię stworzył wolną istotą
Między występkiem a między cnotą,
Czyż grzech i cnotę przed okiem Nieba
Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?

Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,
Czyż tylko ciało braterstwo spleta?
Czyż tortur ducha nie masz w twych rękach?
Czyż nie rozumiesz bólów bez jęku?

Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
Czyż choć cień myśli mej wytłomaczy?
Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
Każdy ułomny, każdy z nich słaby,
Każdy kłamliwy w swojej osnowie,
Żaden mi ścisłej prawdy nie powie.
W uchu i w oku, w smaku i woni,
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczej,
By doskonalej pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciało i kości
Spada korona niezależności;
Duch musi stawać na ziemskiej mierze,
Ziemska namiętność swe prawa bierze,
Wysokie żądze giną bezpłodne,
W zamian rozkoszy, co mnie niegodne.
Głód i pragnienie, zimno i spieka
Dają poczucie nędzy człowieka;
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,
Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca, co było Boże.
Tak... nawet miłość — uczuć królowa,
Tutaj świętości swej nie dochowa.

A zawsze bolem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje;
Ja, moje ziemskie spłacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!
Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,
Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże;
Ale już dusza nie będzie młoda,

Już jej przeminie dawna swoboda,
 Bo ją bolesna pamięć przygniata
 Grzechu i cierpien ziemskiego świata.

1861. Borejkwoszczyzna.

DO GOŚCI.

Czem was przyjąć, goście mili,
 W zamian soli i chleba?
 Goście duchem tu przybyli,
 Duchem przyjąć ich trzeba.
 Wprawdzie wszystek nieskupiony
 Do tej chatki poziomem:
 Częsteczkami, w różne strony
 Rozesłałem go z domu.
 Często szukam — nie znachodzę,
 I sam jeden być muszę,
 Po ciernistej życia drodze
 Rozproszyłem mą duszę,
 Wszędzie serca część oddartą
 Mnie zostawić sądzono:
 Coś nad Niemnem, coś nad Wartą,
 Coś nad Wisłą spienioną.
 Reszta poszła w inny sposób,
 Aż się splanuje, przeboli
 Na mogiłach drogich osób,
 Albo własnej mej doli.
 Jeden tylko duch skrzydlaty
 Został w sieni u wchodu,
 Opiekuńczy duch tej chaty —
 Gościnności narodu.
 Więc i z niego bądźcie radzi:
 On tu pełni swą strażę,
 On do domu was wprowadzi,
 On me serce pokaże...

24 sierpnia 1861. Borejkwoszczyzna.

PRZEBUDZENIE.

Błogosławione zimy doświtki
Dawnom zapomniał w szarej omroczy;
Dziś moje ranki dręczy sen brzydki,
A trupie spanie zasklepia oczy.
Nie tak bywało w dawniejsze lata,
Gdy z Bogiem, z książką, o cichym ranku,
Ciało ochocze a myśl bogata
Snuły poczciwy trud przy kaganku.
Nie brakło strunom śpiewnego dźwięku,
Nad głową jasność snuła się biała,
Spokój był w duszy, a pióro w rękę,
Piosnka kaskadą z duszy tryskała.
Jeszcze w błękitie mojego nieba
Ostatnie czarne chmurki się wloką,
Łzami wzrok jeszcze omyć potrzeba,
Ażebym słońce dojrzał wysoko.
Jeszcze niesforne jakieś rozgwary
Wydają śpiewne mej piersi strony,
Puls mego serca nierównej miary,
To przyśpieszony, to opóźniony.
Ale już w sercu jest, Bogu dzięki,
Najświętsza wiara z nadzieją błogą:
Spokój do duszy, pióro do ręki
Już może wkrótce powrócić moga.
Piosnka szła na świat w skromnej postaci,
Ale szerokie miała swe echo;
Czuje, że grałem na sercach braci,
Że mnie słuchali moi z pociechą.
Ale dni smutnych, czarnych dożyłem:
Kamień zwątpienia piersi zawałił,
Książki się grubym pokryły pyłem, —
Jużem w doświtki lampy nie palił.
Myśli promienne, jak brzask jutrzeńki,
Już się czarnemi, jak chmura, stały,

I spokój z duszy, i pióro z ręki
 Zda się na zawsze już odleciały.
 Całunem jednych marzeń spowity,
 Torturą jednych wspomnień łamany,
 Straciłem z oczu syońskie szczyty,
 Przestałem kochać świat mój kochany.
 Gdy się przebrała już cierpień miara,
 Gdy sercu pęknać było najslodziej,
 Wśród burzy na mnie zleciała wiara,
 By uratować rozbitka w łodzi.
 Znowu się do mnie uśmiecha praca,
 Znow czuję w piersi pieśni oddźwięki...
 Boże mój, Boże! czuję, że wraca
 Spokój do serca, pióro do ręki.

1861. Borejkowszczyzna.

NOWE ABECADŁO.

B, a, ba, b, e, be, b, i, bi, —
 Nagroda za pracę nie chybi!
 Uczyła się dziatwa czytania,
 I czego katechizm zabrania,
 I kiedy duszeczka szczęśliwa,
 I jak się ta ziemia nazywa,
 I jacy tu byli królowie, —
 A wszystko — by rozum mieć w głowie,
 By w oczach mieć jaśniej, weselej,
 By w sercu mieszkali Anieli.
 Bóg dziatki przytulał na łono,
 Lecz jeszcze nie wszystko spełniono;
 Bo myśląc o własnej potrzebie,
 Uczyły się tylko dla siebie.
 O! jeszcze niewielka w tem sztuka,
 Nie takie ma cele nauka.
 Kto siebie na pierwszym ma względzie,

Ten jeszcze zbawionym nie będzie,
 Bo celom Najwyższym uchybi.
 B, a, ba, b, e, be, b, i, bi, —

C, a, ca, c, e, ce, c, i, ci, —
 Kto ziarnko nauki pochwyci,
 Niech zaraz tem ziarnkiem wzbogaci
 Wioskowe siostrzyczki i braci.
 Ich ojciec, co z sochą we dworze,
 Nauczyć swych dzieci nie może,
 A matka, robotą zajęta,
 Zaledwie Ojczę nasz pamięta,
 A szkoła daleko od wioski,
 A szczupły jest grosik ojcowski.
 Więc, dziatwo! choć iskrę oświaty
 Zanieście do ciemnej ich chaty,
 Nauczcie wieśniaków czytania,
 I czego katechizm zabrania,
 I kiedy duszyczka szczęśliwa,
 I jak się ta ziemia nazywa,
 I jacy tu byli królowie,
 Niech każde, co umie, rozpowie,
 A dojdziecie kłębka po nici!
 C, a, ca, c, e, ce, c, i, ci!

Pod brzozą cienistą lub gruszą
 Podzielcie się sercem i duszą;
 A gdy im rozjaśni się oczy,
 Nauka was z kmiotkiem zjednoczy;
 Już wtedy w niebiańskim zachwycie
 Na waszą książeczkę spojrzycie,
 A widząc raj ziemski otwarty,
 Całować będziecie jej karty,
 Bo Anioł wam w sercu zagości
 Za wasze zasługi w ludzkości.
 A kiedy ziemica rodzona
 Was wszystkich powoła do grona,

Czyż dusza nie będzie ci rada,
 Gdy obok zobaczysz sąsiada?
 Gdy blaskiem talentu zaświeci
 Wyuczony przez ciebie syn kmieci,
 Przypomnisz książeczkę twą młodą;
 Siądziecie z braterską swobodą:
 D, a, da, d, e, de, d, o, do!

1861. Borejkowszczyzna.

WSTĘP DO KALENDARZA WILEŃSKIEGO.

NA ROK 1862.

..... novi incipiunt menses.

Virgilius.

Witajcie, nowej epoki czasy,
 Was spotykamy z chlebem i z solą!
 Idź, stara nędzo, na suche lasy,
 Idź na dno piekieł, stara niewolo!

Kmiotek litewski, co orząc łany,
 Żył i umierał na cudzej grzędzie,
 Dziś uroczyście został wezwany
 Zająć swe miejsce w społecznym rządzie.

Aż poświetlało w ubogiej chacie,
 Poweselało na polu zboże,
 Gdy mu rzeczono: Rolniku bracie,
 Ziemia twych ojców twoją być może!

Szlachcic ją zdobył krwią swego przodka,
 Ty ją zdobyłeś trudem mozolnym;
 Jeszcze zdrój potu... nagroda słodka...
 Rzeczysz do syna: Ty jesteś wolnym!...

Ale do tego trzeba ofiary,
 Przez nią do szczęścia jedyna droga;
 Potrzeba nałóg porzucić stary
 I trzeźwą myślą czcić Pana Boga.

Starą nienawiść do starszej braci
 Niech zapomnienie wieczne przygniecie;
 Trzeba przebaczyć, że są bogaci...
 Dziś bogatymi zostać możecie!

Promienie światła, nauk mozoły,
 To tajemnica bogactwa cała:
 Do szkoły działwę ślijcie, do szkoły!
 Już dziś ciemnota wam nie przystała!

Dziady szlacheckie z dziady waszemi
 Przeżyły wieki doli, niedoli;
 Wnuki z wnukami na tejże ziemi
 Obywatelska miłość zespoli.

Tak siła z siłą dwoiście zлана
 Dzielniej społeczną wesprze budowę;
 Śmielej będziemy prosić u Pana
 Błogosławieństwa na naszą głowę.

1861.

W IMIONNIKU
 MICHALINY SZELUTÓWNY.

Nieznany z twarzy, tylko z piosenki,
 Co czasem w polskim brzmi domu,
 Wezwany jestem ślad mojej ręki
 Złożyć do pani albumu.

Z tego zadania najlepsze chęci
 Jakże uiścić się mogą?
 Rodak rodaczce chyba poświęci
 Jakaś piosenkę ubogą.

*

*

*

Wężem się zwija kręta Wilia,
 Słucz płynie z bagien wśród ziała,

Rzekę od rzeki przestwór daleki
Zdaje się wiecznie rozdziela.

Jednak zmierzone w tę samą stronę,
Pomimo wielkiej oddali;
Jedno marzenie, jedno dążenie
Kipi zarówno w ich fali.

A gdy kolejną z sobą się zleją
Kędyś w bałtyckiej powodzi,
Znajdą się snadno, i zaraz zgadną,
Że jedna ziemia je rodzi.

Podbiorą tony piosnki rodzonej,
By bratnie rzeki przybyły;
Strach dla wybrzeży, gdzie pęd uderzy,
Gdzie żwawe skupią się siły.

13 marca 1862. Wilno.

MILCZENIE POETY.

Czy prawda, moja pieśni, mój ty skarbie cały,
Że mi w duszy zastygło, myśli postarzały,
Że już wkrótce ulecą z piersi lodowatej,
Jako ów motyl z chwastu, co stracił swe kwiaty?
Czyż sercu już mojemu pozostać należy,
Jak kościół opuszczony, gniazdem nietoperzy?
Zdać się na łaskę świata — och! wiem co to łaska:
Zimnym gromem uderzy i w gruzy roztrzaska,
A potem, nagradzając, że męczył tak srodze,
Uczyni mię szczęśliwym, jak kamień przy drodze.
O! niech się takie szczęście i wrogowi nie śni.
Ja chcę żyć, czuć i cierpieć, jak wojownik pieśni;
Zbrojny potęgą ducha, chcę czuć całą siłą,
Czy co bólem doskwiera, czy co sercu miło;
Czy mię kwiatek przynęci, czy mię cierń ubodzie,
Chcę się rzucać na świecie, jak ryba na lodzie.

Bojować?... Już minęły młodociane chwile...
To fałsz! wszak w duszy mojej jeszcze ognia tyle!
Skąd wiecie, żem postarzał? Z nachmurzonej twarzy?
Nie wierzcie, bo to wulkan w popiele się żarzy;
Że mi harda ku ziemi schyliła się głowa?
To była tylko dumka, czy drzemka chwilowa;
Że pieśń moja zacichła? — o! gmin tego nie wie,
Że dla echa potrzebny przestanek we śpiewie.

Oni ruchliwą rzeszą wybiegli na drogę,
Wołają, żem ja stary, że śpiewać nie mogę:
Mogę jeszcze — nie dopuść, o pieśni skrzydlata!
Abym przyszedł na hańbę przed obliczem świata!
Nie opuszczaj mię, pieśni! — wszak ja wrę zapaleł,
Wszak godności śpiewaczej nigdzie nie sprzedałem:
Ręka, co grała w struny, wszak złota nie liczy,
Nie poniżył mej głowy pokłon niewolniczy,
Nie poplamilem szaty świętego wesela,
I oko śmiało jeszcze ku Niebiosom strzela,
A myśl, niepokalana w pospolitym tłumie,
Z Bogiem się i naturą jeszcze porozumie...
Przed Jehową nie zbłuźnię, przed cielcem nie klękne,
Nienawidzę co czarne, uwielbiam co piękne:
Za cóż miałby się karać, co Zakonu słuca,
Niemotą grzmiących piersi i starością ducha?

Ja czuję, żem nie stary, ani jeszcze niemy:
Do mnie, pieśni! ej, huczno jeszcze zapiejemy!
Zadnę w płuca — o! jeszcze grają pieśni moje;
Gęśl, prawda, że niestrojna — jeszcze ją nastroje.
Zapiejem, że aż echo rozgłośnie rozbudzi
I na polach, i w lasach, i we wnętrzu ludzi.
Niechaj zahula w górach, zahula w równinie:
O! z przestarzałych piersi taki głos nie płynie.
A ludzie muszą przyznać, że silnie przenika,
Że tu nie znać starości i płuc suchotnika.

Ale nie dosyć młodość, nie dosyć mieć zdrowie:
Trąba w dzień ostateczny i piewęc przyzowie,

Gdzie przed całą ludzkością przeszłą i potomną,
Jak hojnie odmierzono, hojnie się dopomną,
I rzekną: Zdajcie liczbę, służebniki Boże!
Siewcy! gdzieście rzucili waszej siejby zboże?
Czy na niwę uprawną, czy na skałę zsiadłą,
Gdzie ją susza spaliła i ptastwo wyjadło?
Czy płonem waszych pieśni zabujało pole?
Czy tam kłosa wyrosły, czy chwast i kąkole?
Czy gdzie kamień zapłakał czuciem waszych pieśni?
Złożyłyż jad gadziny i węzowie leśni?
Gdzie i przy jakim zdroju, łamiąc dzikie prawa,
Wilk i cichy baranek razem się napawa?
Pieśń ludzka to nie marne świergotanie ptasze:
Dano wam tworzyć cuda — a gdzież cuda wasze?
Nie łukiem Nemrodowym, nie grotem strzelistym,
Ale Pan was uzbroił słowem uroczystem,
Co dzielniejsze od miecza i stalnej pawęży,
Co nigdy serc nie chybia, a zawsze zwycięży.
Pan was posłał na ziemię we świętym zamiarze,
I promieniami cześci ozdobił wam twarze,
I duchem czarodziejskim tchnął na wasze łono.
O! póki posłannictwa jeszcze nie spełniono,
Pan nie pozwala spocząć ani jednej chwili:
Uwolnił was od czynów, byście czyn spełnili.
A wy, słudzy, celowi waszemu niewierni,
Używaliście cudu na zabawę czerni,
A ziarno waszej siejby roztrwoniwszy marnie,
Święty chleb pracowitych jedliście bezkarnie!...
Niewierne najemniki! o, zdala stąd, zdala!
Pójdźcie w ogień, gdzie wnętrze zgryzota wypala!

Och, czuję w mem sumieniu tych słów przepowiednie,
Twarz moja gore wstydem i przestraczem błednie.
Straszno być pieśnio-twórcą, bo sąd na nich srogi:
Boże! oddal ode mnie ten kielich złowrogi,
Tę ochotę do pieśni, te dumki, co marzę!
Pójdę na grunt ojcowski orać na poparze,

Pójdę jarzemne byki wypasać na błoni,
Pracowity jak oni, bezmyślny jak oni!...

Co ja rzekłem! zbluźniłem w przerażenia chwili!
Biada, kto pod brzemieniem swoim się uchyli!
Raz wziąłem się do gęśli, wyteżyłem płuca,
Przyjmę sąd, chociaż srogi — niech mnie nie porzuca!
Ja nie chcę żyć bez pieśni, tęskno i jałowo, —
Duchu Boży! bądź ze mną — ja śpiewam na nowo!

Duchu mój cudotwórczy! pieśni moja, pieśni!
Tyle celów przed nami — nie drzemajmy w pleśni;
A dopóki nie zgaśnie żar naszego ducha,
Strzeżmy go, strzeżmy pilnie, niech ogień wybucha,
Choćby miał nasze piersi rozrywać okropnie,
Niech bucha — w sercach bliźnich może lód roztopnie.

Mieć piękno w uwielbieniu, mieć złe w nienawiści,
To głos się upotężni i cuda uiści;
A choć nas w środku dzieła Pan k'Sobie przyzowie,
Pięknież stanąć z koroną zasługi na głowie!

1854. Borejkowszczyzna.

OSTATNIA MYŚL POETY.

Czujny grajek przy lutence,
Z czeczotkowym kijem w ręce,
Od komina do komina
Swą wędrówkę rozpoczyna.
Czy w karpacki szczyt Łomnicy,
Czy w podolski łąn pszenicy,
Czy w kijowskiej starej łąwrze
Ze świętymi w grób się zawrze...
Czy u Gopła stojąc toni,
Po Kujawach okiem goni...
Myślą goni jeszcze dalej...

.

Zawsze bardon ma strojony,
 Wedle czasu, wedle strony,
 Gdzie pogościć pragnie dłużej,
 Gdzie z sandałów pył okurzy...

1862, przed zgonem. Wilno.

WARYANT ZAKOŃCZENIA

„WYROKU JANA KAZIMIERZA.“

HELENA.

Ojcze! daremnie swą ranę jątrzycie,
 Jest jeszcze pora... zaradzić się zdoła:
 Tu król przed nami... wyblągamy życie.

GNOIŃSKI.

Ale mu hańby nie omyjem z czoła,
 Nie, moja córko! z sakwami i kijem
 Pójdziem stąd zaraz w jaki kraj daleki,
 Sponiewierane nazwisko ukryjem,
 Obcą mi ziemią zasypiesz powieki.
 Widzisz, król pisze, wyrokuje o nim,
 Podpisał hańbę naszego nazwiska!
 Uciekaj, córko... pod ziemię się schronim...
 Patrzaj, lud na nas kamieniami ciska,
 Tętnią siekiery, wznoszą rusztowanie...
 Kat się urąga... opatruje ostrze...
 Wnet winowajca pod pręgierzem stanie,
 Na radość ojcu, na chlubę swej siostrze...

(Król, skończywszy pisać, klaszcze w dłonie. Wchodzi dworzanin).

KRÓL.

Oddać to pismo dozorczy więzienia.
 Śpieszaj! tu niemasz chwili do stracenia.

(Dworzanin odchodzi).

KRÓL (do Gnoińskiego).

Najmilszą gorzkich dni naszych osłoda
Jest lzy ocierać, łagodzić niesnaski.
Dziś, za obecnych senatorów zgoda,
Naszej królewskiej chcemy użyć łaski.
Dzisiaj nie wolno, by ktoś lżę miał w oku,
Kiedy król wraca, a kraj żyć poczyna.
Panie kanclerzu, powiedz treść wyroku,
Jakiśmy dali w sprawie jego syna.

KANCLERZ.

Syn wasz w tej chwili swobodnym zostanie,
Król piętno hańby z jego czoła ściera.
Niech w obce kraje idzie na wygnanie
I tam niech obce nazwisko przybiera:
A gdy się dowie, że te nasze kraje
Przestanie miotać wojenne igrzysko,
Śmiało przed króla majestat niech staje,
A król mu wróci łaskę i nazwisko.
Więc hańba zdjęta.

GNOIŃSKI.

I wy to mówicie,
Strażnicy prawa, wielcy dygnitarze!...
Królu! tyś mocen podarować życie...
Lecz zmasać hańbę... i Bóg jej nie zmaże.
Piętno jej, czoło gdy zhezczęści czyje,
Gdy twarz wykrzywi podłości wyrazem,
Już w krew przechodzi, w pulsach serce bije,
Już jej nie wydrzeć, chyba z sercem razem.
Charakter hańby, jak sakrament piekła,
Z pohańbionego nie daje się zmasać.
Pogardzie ludzkiej, gdy swój sąd wyrzekła,
Sam król milczenia nie zdoła nakazać.
W dniu wiecznej mego imienia zakały
Niewczesne, królu, twoich łask dowody.
Nie proszę łaski, jak w dniach mojej chwały
Nie przychodziłem prosić o nagrody.

KRÓL.

Błuźniesz, Gnoiński.

GNOIŃSKI.

.....

Lza w twoich oczach, najjaśniejszy panie!
 Nie płacz — kraj wszystek to twoja rodzina.
 Żem ja leż moich powstrzymać nie w stanie,
 Och, bo ja tylko jednego mam syna!
 Lecz dziś się, panie, czułości wyrzeczem,
 Naszą powinność spełnić bądźmy w sile:
 Tyś król — w zbrodniarza uderz kary mieczem;
 Ja ojciec — skonam na jego mogile.

KRÓL (do wchodzącego dworzanina).

Cóż tam o więźniu? czy zdjęto kajdany?

DWORZANIN.

Nie mogłem zdążyć do więzienia jeszcze,
 Gdy wyrok śmierci został przeczytany.
 Więźnia śmiertelne ogarnęły dreszcze,
 Pobledniał, upadł, szarpiąc swe okowy,
 Oczy się dziko po ścianie powiodły,
 Krew do zwieszanej uderzyła głowy...
 Umarł ze strachu...

GNOIŃSKI.

O, jeszcze raz podły!

Nie umiał umrzeć — ale już nieżywy,
 Toporem hańby niedotknięte zwłoki.

KRÓL.

Wielkie są Nieba!... Boże sprawiedliwy!...
 O! Ty i królów przesądzasz wyroki.

GNOIŃSKI.

Ocalił imię shańbione sromotą, —
 O! wesół pójdę po zebranych chlebie.
 Chodź ze mną, córko! chodź, biedna sieroto!
 Niebo mi jedną zostawiło ciebie.
 Na grobie jego odmówim pacierze...

Nie! on niegodzien ojcowskiej modlitwy:
 Złamał poczciwość starej ojców wierze,
 Nie umarł z mieczem i na polu bitwy.
 Przeklinać nie chcę, bo by głos ojcowski
 Nazbyt potężną ugodził go władzą.
 Idźmy! choć nasze popalone wioski,
 Chleba i soli dobrzy ludzie dadzą.

CZARNIECKI.

Kraj się odradza, Szwed pierzchać poczyna,
 Jutrzenka błyska nad królewską głową.

GNOIŃSKI.

Boże mój, Boże! a ja nie mam syna,
 Aby go posłać na służbę krajową!

KRÓL (powstawszy z tronu, podchodzi do Gnoińskiego).

Ja dam ci syna, podporeę rodziny,
 Którym się ojciec pochłubi z rozkoszą,
 Co z młodu pełni bohaterskie czyny,
 Jak o tem jego wodzowie donoszą.

GNOIŃSKI (osłupiały).

Syna! co słyszę! w głowie mi się kręci!...
 Gdzież ten syn, królu?

KRÓL.

Oto Jerzy Lacki.

(Obraz. Król łączy ręce Heleny i Lackiego. Gnoiński rzuca się
 Lackiemu na szyję).

(Zastona spada).

1880. Wilno.

WARYANT Z PIEŚNI GMINNEJ.

W oczach gryzie, serce boli,
 I zapłakać chce się;
 Pójdę szukać lepszej doli,
 Wywoływać w lesie.
 Hop! hop!

Hej! z doliny aż do wzgórk
 Bieży głos donośny,
 Jak ptaszyna, jak wiewiórka
 Po gałęziach sosny.

Hop! hop!

Może jękiem w leśnej ciszy
 Zawtóruje echo,
 Może dola jęk posłyszysz,
 Odhuknie pociechę,

Hop! hop!

Boże, Boże! nie pomoże
 Ni echo, ni drzewa:

Wiatr zahuczał w głuchym borze
 I mój głos odwiewa.

Hop! hop!

Boli serce, cóż za dziwy?

Niech już sobie boli:

Zerwiesz piersi nieszczęśliwy,

A nie zhukasz doli.

Hop! hop!

Piosnko moja! ej, nie tobie

Stłumić głos niebieski!

Wracaj jęczeć sama w sobie

Z pod piersiowej deski.

Hop! hop!

1850. Załączc. _____

FRAGMENTA Z KSIĄG HIOBA.

ROZDZIAŁ I.

Vir erat in terra Hus nomine Iob, et
 erat vir ille simplex, et rectus ac timens
 Deum, et recedens a malo.

W krainie wschodniej, co się Hus nazywa,
 Mieszkał mąż Hiob za dawnego wieka;

A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się Pana, od złego ucieka.
Miał siedmiu synów i trzy córki hoże,
A swego mienia policzyć nie może:
Siedem tysięcy owieczek w swej trzodzie,
Trzykroć po tysiąc wielbłądów gromadzi,
Pięćset jarzm wołów i siła czeladzi.
Był to mąż wielce bogaty na Wschodzie.

A każdy z synów wyprawiał biesiadę,
Kiedy na niego kolej dnia przypadła;
Trzy siostry do nich przychodziły rade,
I było dosyć napoju i jadła.
Gdy dni biesiadnych kolejka minęła,
Ojciec ich wzywał do świętego dzieła,
A rano wstawszy, wiódł ich do świątyni
I za każdego modli się z osobna,
Ofiarę Bogu całopalną czyni.
Bo mówił w sobie: — Do prawdy podobna,
Że któryś z młodych grzechem się zaproszy,
Nie błogosławił Panu w swojej duszy.
Tak się znaczyła Hiobowa cnota
Przez wszystkie chwile długiego żywota.

Pewnego razu, kiedy syny Boże,
Złożywszy ręce, uchylwszy głowy,
Stały przed Panem w uroczystym chorze,
Zjawił się szatan u tronu Jehowy.

— Skąd to powracasz? — Przedwieczny go spyta.
Odpowie szatan: — Chodziłem po ziemi,
Przebiegłem całą oczyma mojemu,
Żadna jej częśćka przede mną nie skryta.
I rzekł Jehowa: — Czyś widział w podróży
Tego, co z ludzi najlepiej mi służy?
Mieszka w Hus ziemi, Hiob się nazywa,
Niemasz na ziemi równego mu człeka,
Bo dusza jego prosta, sprawiedliwa,

Lęka się Pana, od złego ucieka.
Odpowie szatan: — Znam serce Hioba,
Czyż on za darmo tak Boga się boi?
Nie zna, co losów jakakolwiek proba,
Ogrodzon murem łaskawości Twojej;
A Twoje oczy najtroskliwiej strzegą
I domu jego, i majątku jego.
W błogosławieństwie ma dobytek, dziatki,
Jego majątność przysparza się wszędzie;
Ściśnij go nieco, odejmij dostatki,
Obaczym, jak ci błogosławić będzie?
I rzekł Jehowa: — Krom jego żywota,
Oto-ć Hioba majątność oddana;
Doświadczaj, czem jest sprawiedliwych cnota.
I szatan odszedł od oblicza Pana.

Syn pierworodny w oznaczonej chwili
Przyzwał na ucztę i siostry, i braci.
Gdy brali pokarm, kiedy wino pili,
Przybieżał goniec przelęklej postaci,
I rzekł: — Hiobie! o biada nam, biada!
Cały dobytek marnie ci przepada.
Twoje oślice pasły się w dąbrowie,
A twoje woły na polu orały;
Wtem przyszli srodzy sabejscy mężowie
I zagarnęli twój dobytek cały.
Wyrznęli czeladź straszliwi ciemiężce,
Jam ledwie umknął zwiastować o klęsce!
Jeszcze nie skończył — drugi goniec wpada,
I rzekł: — Hiobie! o biada nam, biada!
Piorun niebieski uderzył w owczarnię,
Pobił twe trzody i twoje owczarze,
Wszystkie budowy poszły z dymem marnie,
Jam ledwie umknął donieść o pożarze!
Jeszcze nie skończył — trzeci goniec wpada,
I rzekł: Hiobie! o biada nam, biada!
Chaldejczykowie trzema hufy wpadli,

Wzięli wielbłądy, gdy pędzono w pole,
 Sług twych pobili wrogowie zajadli,
 Jam jeden umknął zwiastować niedolę!
 Jeszcze nie skończył — czwarty goniec wpada
 I rzekł: — Hiobie! o biada ci, biada!
 Syn twój najstarszy dzisiaj ucztę czyni,
 Orszak twych dzieci był wszystek zebrany:
 Wtem dziki wichur przypadł od pustyni,
 Zatrząsnął domem i zgruchotał ściany,
 A dzieci twoje, zwalone na ziemi,
 Legły, pobite bierwiony drewnami.
 Jam ledwie zdołał przybieżeć ku tobie,
 By twe nieszczęście zwiastować, Hiobie!

Więc Hiob powstał i rozdarł swe szaty,
 Ogolił włosy, co zdobiły ciemię,
 A święcąc Panu poniesione straty,
 Uczynił pokłon, upadłszy na ziemię:

— Nago powrócę do mogiły łona,
 Jak nago wyszedł z łona mojej matki.
 Pan dał, Pan odjął znikome dostatki,
 Niech wola Jego będzie pochwalona!
 Uczynił ze mną wedle Swojej chęci,
 Niech Imię Jego na wieki się święci!
 Tak mając duszę ku Panu gotową,
 Nie zgrzeszył Hiob niedorzeczną mową.

ROZDZIAŁ II.

Factum est autem, cum quadam die venissent filii Dei et starent coram Domino.

Stało się tedy, kiedy syny Boże,
 Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy,
 Stały przed Panem w uroczystym chorze,
 I szatan przyszedł do tronu Jehowy.

Skądże powracasz? — Przedwieczny go spyta.
Odpowie szatan: — Chodziłem po ziemi,
Wzdłuż, w szerz przebiegłem oczyma mojemu,
Żadna jej częśćka przede mną nie skryta,
Rzekł Pan: — Czy byłeś gdzie Hiob przebywa?
Niemasz na ziemi równego mu człeka,
A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się Pana, od złego ucieka;
Choć go dotknęła niedola surowa,
Jeszcze niewinność swego serca chowa.
Tyś mię pobudził, bym szukał w nim winy,
Abym go trapił bez żadnej przyczyny.
Odpowie szatan: — Niewielkiec to próby,
Człek się dla duszy na wiele zdobędzie;
Dotknij go tylko boleścią choroby,
Obaczysz, jak Cię błogosławić będzie.
Odpowiadając, rzekł Pan do szatana:

Oto ci władza nad Hiobem dana:
Czynić z nim wszystko prawa ci udzielię,
Jeno zachowaj duszę w jego ciele.
I szatan odszedł z oblicza Jehowy,
I oto druga zaczęła się próba:
Jątrziwym wrzodem zaraził Hioba
I ciężkim bólem od stóp aż do głowy.
I usiadł łazarz na kupie śmiećka,
Wrzód jadowity skorupą wyciska.
Przyszła doń żona i gniewliwie rzecze:

Czyś jeszcze gotów błogosławić Bogu?
Wytrwaj w prostocie, niebaczny człowiecze,
I błogosławiąc, umrzyj na barłogu!
Odpowie Hiob: — Szalenie zbluźniła!
Bezbożnej mowy nie przedłużaj dalej;
Przyjmujmy klęski, które Pan przysyła,
Jakośmy dary Jego przyjmowali.
Tak mając duszę ku Panu gotową,
Nie zgrzeszył Hiob niedorzeczną mową.

A trzech miał wiernych sobie przyjacieli, —
 Ci o nieszczęściu jego usłyszeli
 I przyszli k'niemu: Eliph z Temanity,
 Baldat Suhitczyk i Sophar z Namaty,
 Gdzie leżał nędzarz ranami okryty.
 Chcieli go cieszyć wśród cierpień i straty.
 Lecz gdy nań oczy podnieśli z oddali,
 Nie mogli poznać wśród choroby świeżej;
 Więc zakrzyknęli, ręce załamali,
 I darli, płacząc, kraj swoich odzieży,
 I padli na twarz z żalem i popłochem,
 I przysypali swoje głowy prochem.
 Siedem dni całych siedzieli na ziemi
 I siedem nocy — nie rzekli ni słowa,
 A poglądali oczyma łzawemi,
 Jak ciężka była boleść Hiobowa.

ROZDZIAŁ III.

Post haec aperuit Iob os suum et maledixit.

Otworzył usta, i złorzeczając mówi:
 — Przeklęty trzykroć ów dzień i godzina,
 Gdy się kazano rodzić człowiekowi,
 Kiedy swą drogę życia rozpoczyna!
 Dzień, w którym światłość błysła mi do oka,
 Niech z grobowego nie wyświta ciemna.
 Niech się Bóg o nim nie pyta z wysoka,
 Niech będzie czarny, jak otchłań podziemna!
 Noc mych urodzin — niechaj burza grzmiąca,
 Niech zniszczy wicher ciemny, tajemniczy,
 Niechaj nie idzie w liczbę dni miesiąca,
 W liczbę dni rocznych niechaj się nie liczy,
 Dzikim pustkowiec niech stanie ze szczętem,
 Dobre jej imię niech będzie odjętem,
 Od jej ciemności niech gwiazdy pogasną,

Niech jej jutrzeńka nie oświeca złota,
Iż nie zawarła dni mego żywota,
Iż oczom moim dała widzieć jasno!
Czemu mię w łonie matki nie zabili?
Czemu nie umarł w urodzenia chwili?
Na co mię brano na ręce, na łono?
Na co mię pierśmi do życia karmiono?
Teraz, śpiąc martwo, spoczywając błogo,
Mieszkałbym wobec i książąt, i króli,
Co wielkie państwa w pustyniach zasnułi,
Co złota, srebra przeliczyć nie mogą,
Gdzie nie drży strachem drużyna bezbożna,
Kędy odpocząć spracowanym można,
Gdzie niegdyś skuci więzy społecznemi
Dzisiaj poborców nie słyszą wołania,
Gdzie równi słabi i potężni ziemi,
Gdzie niewolnika żaden nie pogania...
Na co jest światło dla oczu nędzarza?
Na co jest życie wśród gorzycy ducha?
Czekają śmierci, a śmierć się nie zdarza,
Wołają zgonu, ale zgon nie słucha...
Szukając skarbów, mąż cieszy się w duszy,
Kiedy odkopie grobowisko stare;
Lecz widok grobu weselej poruszy
Tego, kto cierpień dopełnił już miarę,
Którego drogi sterały się marnie,
Kogo Bóg wcześniej ciemnością ogarnie.
Nim pożywienie zakosztuję nieco,
Pierwej westchnienie z mych piersi wychodzi,
Jęki z ust moich tak gwałtownie lecą,
Jak gdyby łoskot szumiącej powodzi.
Strach, com się lękał, już przede mną stawa,
Już się sprawdziła bolesna obawa.
Bywało dusza żalom się nie poda,
Pokorniem milczał, póki serce może,
A za mój spokój — toż moja nagroda,
Że przyszło na mnie zagniewanie Boże?

ROZDZIAŁ IV.

Respondens autem Eliphaz Themanites, dixit . . .

Na takie słowa Eliph z Temanity,
 Odpowiadając, mówił do Hioba:
 — Może-ć się mowa moja nie podoba,
 Ale głos w piersiach nie może być skryty.
 Tyś uczył ludzi, tyś goił ich ranę,
 Tyś nieraz krzepił ręce spracowane,
 I niejednemu twe słowo pomaga,
 Że się utwierdzał na swej ciężkiej drodze;
 Teraz, gdy przyszła i na ciebie plaga,
 Otoś na sercu zatrwożył się srodze.
 Gdzie bojaźń Pańska? gdzie twe mocne czyny?
 Gdzie jest ślad twoich dróg doskonałości?
 Proszę cię, wspomnij, kto zginął bez winy?
 Gdzie są zgładzeni cnotliwi a prości?
 Widziałem nieraz duszę niecnotliwą:
 Boleść jej siejba i boleść jej żniwo;
 Straszny gniew Pański głowy ich dosięga,
 Jednym podmuchem z siły ich wywłaszcza,
 • W proch się obraca dzikich lwów potęga,
 Srogi ryk lwicy i jej szczeniąt paszcza,
 Piastunów lwicy rozproszą się stada,
 A krwawy tygrys bez żeru przepada.
 Słyszałem do mnie tajemnicze słowo,
 Szeptanie jego słyszałem z wieczora,
 Gdy człowiekowi ponad senną głową
 Zwykły ulatać widziadło i zmora.
 Strach mię do kości przejął uroczysty,
 Stanęły włosy, drżałem nieprzytomnie,
 I głosem cichym, jakby wiatru świsty,
 Ktoś nieznajomy tak przemawiał do mnie:
 Azali człowiek uniewinnion będzie,
 Co do Niebiosów równa się Mocarza?
 Czyliż maż ziemski w jakimkolwiek względzie

Zdoła być czystszym, niż Ten, cò go stwarza?
 Ci, co mu służą, jakże są niestali!
 W Aniołach znalazł nieprawości ziarno;
 Ludzie, w glinianych domach zamieszkali,
 Co orzą ziemię błotnistą i czarną,
 Daleko więcej do grzechu gotowi,
 Dają się zepsuć brzydkiemu molowi.
 A od poranku do wieczornej zorzy
 Będą wycięci, polegą w ruinie.
 A kto pojęciu serca nie otworzy,
 Kto nie rozumie — wiekuiście zginie.
 Będzie od niego bracia odłączona,
 A w swej głupocie zmarnieje i skona.

ROZDZIAŁ V.

Voca ergo, si est qui tibi respondeat,
 et ad aliquem sanctorum convertere.

Wołajże tedy — niech wybrany który
 Na twe pytania odpowiedź uisci.
 Zabija głupca jego gniew ponury,
 Maluczki ginie od własnej zawiści.
 Widziałem w świecie potęgę zbrodniarzy
 I zlorzeczyłem ozdobie ich głowy;
 Lecz niech syn jego o szczęściu nie marzy,
 Być na proch startym niech będzie gotowy.
 Chleb jego żniwa rozjedzą zgłodniali,
 Bogactwa jego rozplyną się rzeką,
 Przyjdzie mąż zbrojny, w bitwie go obali
 I uprowadzi w niewolę daleką.
 Pewna przyczyna dla wszystkich jest rzeczy,
 A żadna boleść nie wyrasta z ziemi.
 Na znój i pracę zrodzon syn człowieczy,
 Na lot stworzone ptaki skrzydlatemi.
 Pójdę do Pana i mowę przełożę,
 Niech mi objaśni miłosierdzie Boże.

On dziwne rzeczy, On tworzy co chwila
Niewybadane, niezliczone w mowie,
On ziemię deszczem rześystym zasila,
Podniósł pokornych, a słabym dał zdrowie,
Rozchwiał złośliwych wszelką myśl złowrogą,
Rozbroił ręce, że szkodzić nie mogą.
On wikła chytrych w ich siდეł narzędzie,
Radę przewrotnych uczyni daremną;
Zbrodniarz w dzień biały omackiem iść będzie,
Jakby go nocne otaczało ciemno.
Ale słabego od gwałtu zachowa,
Uciśnionemu udzieli otuchy;
Ani mu ostra zaszkodzi obmowa,
Miecz jej stępieje i stanie się kruchy.
W dzień uciśnienia błogo człowiekowi!
Nie szemraj w duszy, gdy jesteś karany;
Niemasz co jęczeć, bo Pan cię uzdrowi,
Ręka, co rani, uleczy twe rany.
Siedm ciężkich ciosów ominie twą głowę
I siódma plaga od ciebie uciecze,
Czy głód pustoszy, czy wojenne miecze,
Czy złego człeka sykanie węzowe.
Będiesz stał krzepko, gdy klęska uderzy,
Śmieszna ci będzie najsroźsza niedola,
I głód, i pomór, i ryk dzikich zwierzy,
I zawrzesz sojusz z kamieniami pola.
W twoim przybytku ujrzysz spokój błogi,
Czysty na sercu zakwitniesz w ozdobie,
Twego potomstwa rój piękny a mnogi,
Jak wonne ziółka, uśmiechnie się tobie.
Wnijdziesz do grobu bogaty, wesoly,
I chlubny w życiu z swoich plonów wiela,
Jako sноп pszenney wniesion do stodoły,
Który żniwiarzów serce uwesela.
Tegośmy doszli, stroskany Hiobie!
Pomnij te słowa i rozbieraj w sobie.

ROZDZIAŁ VI.

Respondens autem Iob, dixit: Utinam appenderentur peccata mea, quibus iram meruit, et calamitas, quam patior, in statera.

Na to mu Hiob na odpowiedź rzecze:

— Możem zaprawdę wywołał gniew Boży!
 Niechże cierpienia i nędze człowiecze
 Z memi grzechami na szalę położy.
 Szala mych cierpień, och! cięższa sto razy,
 Niż piasek morski, co przesiąknął wodą!
 Gdy strzały Pańskie moje piersi bodą,
 Bolesne idą z ust moich wyrazy.
 Żądła pocisków duch mój wypijają,
 A strachy Pańskie obsiadły mię zgrają.
 Czyż osieł leśny jęk żaloszny wyda,
 Kiedy ma trawy dostatek przy sobie?
 Czyż będzie ryczał wół przy pełnym żłobie?
 Czy w strawie naszej smakuje ohyda?
 Czy można przełknąć, gdy jadło bez soli?
 Czyliż w truciźnie jest zdrowie i siła?
 Do czego dusza dotknąć się brzydziła,
 Tem się dziś karmić muszę po niewoli!
 O któż w nadziei umocni mi ducha?
 Kto mi uczyni, że mię Pan wysłucha?
 Kto pocznie karcić, niech karci dotkliwie,
 Wyciągnie rękę i niech mię uderzy,
 Bolesnym ciosem niech boleść uśmierzy,
 A mowom świętym ja się nie sprzeciwię.
 Cóż moja siła? jam steran przez nędzę,
 Trudno cierpliwie znosić mą pokutę:
 Jam nie kamienny w swoich sil potędze,
 A ciało moje nie z miedzi wykute!
 Duch mój sam w sobie wspomóżenie traci!
 Gdzież moi krewni? gdzie powinowaci?
 Kto z przyjacielem cierpienia nie dzieli,

Ten bojaźń Pańską zlekceważył podle;
A bracia moi ode mnie zniknęli,
Jaki szybki potok, co nie stoi w źródle:
Boją się szronu, by nie zmroził zdradnie,
A oto na nich ciężki śnieg przypadnie.
Bóg ich rozproszy niedługą godziną,
Gdy śnieg roztaje, marnie się rozplyną.
Uciekać będą, ale chód ich słaby,
Bo powikłali swe ścieżki na ziemi:
Patrzcie na drogę Themy albo Saby,
A obaczycie, co stanie się z niemi!
Przyszli tu do mnie, wstydem się okryli,
Zem miał nadzieję w mej bolesnej chwili!...

Wy, co mej doli świadkami jesteście,
Strach was ogarnia, i czemuż was straszę? —
Czyżem ja prosił: Dary mi przynieście!
Dajcie mi bracia, majątności wasze!
Czyżem ja wołał: Dajcie krew w ofierze!
Z nieprzyjacielskich szponów mię wyrwijcie!
O jedno proszę: Bym kierował życie,
Czego nie umiem, nauczcie mię szczerze!
Czyż słowom prawdy wy uwłaczać warci?
Ja będę milczał, kto chce niech mię karci.
Lecz wasze słowo na wiatr tylko idzie,
Miota zelżywe połajania śmiecie;
Wy na sierotę targnąć się w ohydzie,
Wy przyjaciela obalić umiecie.
Obaczym, kończcie, jakeście zaczęli.
Słuchajcie pilno, czy ja kłamstwo baję,
Mówcie bez kłótni, co się wam wydaje,
Niech sprawiedliwość wyroku udzieli.
Dróg nieprawości ominąłem zdala,
A słowo głupstwa ust moich nie skala.

ROZDZIAŁ VII.

Militia est vita hominis super terram, et
sicut dies mercenarii, dies ejus.

Zycie człowieka jest to walka cicha;
Dzień jego życia to dzień najemniczy.
Niewolnik w pracy do drzew cienia wzdycha,
Najemnik chwile do zachodu liczy.
Tak się i u mnie zdarzały do syta
Miesiące drzemki, lub noc pracowita.
Do snu się kładąc, pytam: Kiedy wstanę?
Czyliż mam czekać i boleć do zmroku?
Ciało zgnilizną prochu przyodziane,
Jam próżen wszelkiej nadziei widoku!
Dni moich pasmo prędzej się roztacza,
Niż zwój płócienny pod nożycą tkacza...
Życie jest wiatrem, takeś stworzył, Panie!
Nie umiem oczu wznieść ku dobrej rzeczy;
Ty spojrzysz na mnie, i już mię nie stanie,
Już mię nie zdoła znaleźć wzrok człowieczy!
Jak białe chmury znikną i przebiegą,
Tak znika człowiek, — tu był, tu go niema;
Już nie powróci do domu swojego,
Ani go ziemia obaczy rodzima...
Niech biedna głowa marzyć rozpoczyna,
Pogwarzę z sobą, gdy mną boleść miota.
Czyż ja wieloryb? czy morska głębina?
Za cóż mię straszna otacza ciemnota?
Niechaj mię łoże moje uweseli,
Niech się rozmówię sam z sobą w pościeli.
Ale Ty, Panie, nastraszasz mię we śnie,
Wstrząsasz mą duszę widziadłem zwodniczem!
O życiu mojem zwątpiłem zawczasie,
Przebacz mi, Panie! bo życie jest niczem...
Bo cóż jest człowiek? uzaćniasz go! pocóż?

Za co Twa dusza ku niemu wylana?
 Zaledwieś Łaską nawiedził go z rana,
 A już go zaraz doświadczasz Twą Mocą!...
 Długoż bolesną mam przebywać drogę,
 Że w piersiach przełknąć oddechu nie mogę?
 Stróžu ludzkości! jam grzeszny! cóż zrobię?
 Na coś mię stawił naprzeciwko Tobie?
 Dlaczego grzechu mego nie zmazano?
 Codzień mi z sobą ciężej i nieśmieiej...
 Ja w prochu spocznę, poszukasz mię rano,
 Ale już zginę, bo mię proch spopieli...

 ROZDZIAŁ VIII.

Respondens autem Baldat Suhites, dixit...

Baldat z Suhity na odpowiedź mówi:
 — Czyż długo będziesz mówił tak niejasno?
 Czyż Pan jest sprzeczen własnemu sądowi?
 Czyż On obala sprawiedliwość własną?
 Synowie twoi, gdy przy nim zgrzeszyli,
 Dał je na pastwę ich własnych bezprawii;
 Lecz ty, w porannej gdy się ockniesz chwili,
 Gdy Wszchemocnemu modła się odprawi,
 Gdy będziesz czysty, gdy duch się uprości,
 I Pan się ocknie w swej sprawiedliwości.
 Jeśli początki tve były za małe,
 On wyolbrzymi koniec twoich chęci.
 Uważaj wieki dawniejsze, zbutwiałe,
 Spytaj usilnie swych ojców pamięci,
 (Bo my jesteśmy ludźmi wczorajszezi,
 A życie nasze jest cieniem na ziemi);
 A głos twych ojców z pod serca odpowie,
 Gdzie siła życia spoczywa ukryta.
 Czyż bęz wilgoci zakwitnie sitowie?

Wzrośnie bez wody oczeretu kita?
Patrzaj na zeszlą wśród upalnej suszy:
Zda się łodyga zielona i w kwiecie, —
Otoć umarła, spróchniała już przecię,
Dotkniesz jej ręką, a w rękę się kruszy.
Tak obłudnicy wejdą na bezdroże,
Bo jeden wigor — to jest prawo Boże.
Bóg żądze głupich zniszczy do ostatka,
A ich nadzieja, to pajęcza siatka.
Choć ściany domu podeprze plecami,
A przecię razem ze ścianą upadnie;
Ssać pokarm z ziemi napróżno się mam,
Stosy kamieni przytłoczą go zdradnie.
Pan wyrwie z ziemi pasożytne ziele,
I rzecze k'niemu: Nie znam cię za syna!
Bo w drogach Pańskich tam większe wesele,
Gdzie korzystniejsza wykwita roślina;
Bo Pan Bóg mieszka, gdzie szczerzy a prości,
Nie da ich w szpony ludzkich nieprawości.
On wargi twoje do śmiechu wykrzywi,
Krzykiem powitasz bezbożnych bożyszcze;
Wstydić się będą twoi nieżyczliwi,
Gmach nieprawości upadnie na zgliszcze.

ROZDZIAŁ IX.

Et respondens Iob, ait: Vere scio, quod ita sit,
et quod non justificetur homo compositus Deo.

Odpowie Hiob: — Toć prawda wymowna,
Będzie potępion, kto się z Bogiem równa;
Kto z nim szermierzyć puści się na słowa,
Ten na słów tysiąc jednego nie powie;
Kto był mu sprzeczen, a spokój dochowa,
Wielką miał mądrość i w sercu i w głowie!
Bo Pan, ockniony w zapalczwym gniewie,

Zdolen wstrząść ziemią a góry przenosić,
A człowiek, sądząc, że przemądry dosyć,
Spełnia wyroki, o których sam nie wie.
Pan gwiazdom pieczęć przykłada swą siłą,
Pan każe słońcu, aby nie wschodziło,
Nad firmamentem rządzi Jego władza,
Po falach morskich On sam się przechadza;
On gwiazd gromady na niebie rozmieścił,
On w liczbie — dzieła niezliczone streścił.
Nie wiem, gdy do mnie skieruje swą drogę,
A gdy odchodzi, ja zgadnąć nie mogę.
A jeśli pyta, to któż mu odpowie?
Kto Go zagadnie: czemu to lub owo?
Nikt się Bożemu nie oprze gniewowi,
Choćby krąg świata dźwigał nad swą głową.
I któż ja jestem, abym memi słowa
Dawał odpowiedź na słowa Jehowy?
A choćbym sądził i słusznie, i szczerze,
Mego sędziego najprzód się poradzę.
Kiedy mię słucha — ja jeszcze nie wierzę.
Och! bo mi przy nim braknie na odwadze!
Bo w mgnieniu oka zawichrzy powietrze,
Boleść pomnoży i we proch mię zetrze!
Pytasz o siłę — Pan treścią jest siły,
A w sądach Jego któż za mną poświadczy?
W głębi mej duszy skona głos doradczy,
Własne mię usta przed Nim potępiły.
Nie uniewinnią starania mię żadne,
Czy ja mam słusność? — sam tego nie zgadnę.
Jedno, co dusza wyznać się odważy:
On sam cnotliwych, On niszczy zbrodniarzy.
Lecz kiedy chłoszcze, niech zabije raczej,
Niżby miał szydzić z niewinnych rozpaczy.
Posiada ziemię ręka niegodziwa,
Oblicze ziemi rój sędziów przykrywa;

Lecz jest nad sędziów wielki Sędzia przecię, —
Jeśli go niema, to któż jest na świecie?...

Dni są jak goniec, co pośpiesza nagle:
Przeszły i dobra zgoła nie widziały,
Śpieszą, jak okręt, co rozwinie żagle,
Lecą, jak orzeł na żer między skały...
Rzekłem: Zaniecham bluźnierczych bezprawii;
Lecz twarz się zmienia, a boleść mię dławi.
Mych własnych czynów byłem w duszy trwożny,
Bo wiem, że grzechy zwykleś karcieć srodze;
A jeśli jestem mimo to bezbożny,
To cóż po pracy? to cóż po mej trwodze?
Choćbym się omył — do czegoż mi służy?
Choćby mi ręce białością się lśniły,
Ty mię pograżysz w ohydnej kałuży,
Będą mną szaty moje się brzydziły.
Bo Ty masz wszystką potęgę nade mną,
Bośmy nierówni i z ciała, i z ducha;
Ciebie przed sądem stawić nadaremno,
Który nas obu zarówno wysłucha.
Gdy żaden sędzia nie znajdzie sposobu
Ręki swej kary położyć na obu,
Niechże przynajmniej na mą słabość zważa,
Odejmie różdkę swojej gniewnej chłosty,
Swoim postrachem niech mię nie przeraża,
Będę doń mówił na mój sposób prosty;
Bo póki groźno po mem licu śledzi,
Jakże mam dobyć słowa odpowiedzi?

ROZDZIAŁ X.

Tædet animam meam vitæ meæ, dimittam
adversum me eloquium meum...

Tęskno mej duszy na świecie, jak w grobie,
Brzydzą mię życia mojego koleje;
Więc będę mówił sam przeciwko sobie,

Gorycz mej duszy przed Panem wyleję.
I rzeknę Panu: Nie karz, niech nie ginę,
A jeśli sądzisz, to powiedz przyczynę!
Czyliż, o Panie! dobrem Ci się widzi,
Że mię uciśniesz? jam Twe dzieło, Boże!
Gdy się Twój sługa sromotnie zawstydzi,
Toć się bezbożnik na siłach wspomóż.
Czyż Twoje oko, co wszystko przenika,
Patrzy cielesnem spojrzeniem grzesznika?
Alboż dni Twoje to człowiecze chwile,
A lata Twoje jako ludzkie lata,
Abyś miał badać moich grzechów tyle,
Jako mię własna nieprawość przygniata?
Łacno Ci wiedzieć, żem dusza bezbożna,
Wszak z Twojej ręki wyrwać się nie można.
Sameś mię stworzył, a dziś ciosem młota
Niszczysz, co własna utworzyła praca.
Wszak byleś skinął, a moja istota
Upada w błoto i w proch się obraca.
Jako mleczarka z dojnych wymion krowy
Wyciska mleko i ma ser gotowy,
Takeś mię stworzył — oblokłeś mię ciałem,
Kośćmi i ścięgny utrwalon zostałem.
Dałeś mi życie, dałeś miłowanie,
Strzegła mię Łaska wśród żywota burzy.
Pocóż to taić zdało Ci się, Panie?
Alboż ja nie wiem, że Ci pamięć płuży?
Jeżelim zgrzeszył — oplakuję zbrodnie;
Czemuś mi cnoty zatamował drogę
Dla chwili grzechu? — Dziś sprawiam się godnie,
A przecież podnieść mej głowy nie mogę.
Że byłem pyszny jako leśna lwica,
Wzięłeś mię w sidła między leśne drzewy;
A Twoja pomsta dzisiaj się nasycy,
Nad mą słabością wywiera swe gniewy.
Przyzwałeś świadki, żem się puszył marnie,
I nad mą głowę pomnażasz męczarnie.

Wyjść z łona matki Ty mi dałeś siły,
 Na coś na słońce otworzył me oczy?
 Byłbym jak nie był! — z życia do mogiły!
 Kiedyż mię ciemno grobowe otoczy?
 Puść mię ze świata! a nim dni ulecą,
 Kilka dni moich na tej ziemi łonie,
 W mojej boleści niech popłaczę nieco;
 Potem niech ciemno grobowe owionie
 W krainie nędzy, śmierci i ciemności,
 Gdzie bez porządku, jeno przestrach gości.

 ROZDZIAŁ XI.

Respondens autem Sophar Naamathites, dixit . . .

Rzekł na odpowiedź Sophar z Naamithy:
 — Kto wiele mówi, niechże przecię słucha!
 Człowiek, w szerokie wyrazy obfity,
 Usprawiedliwić nie potrafi ducha.
 Tobie się zdaje w pysze twego serca,
 Że ci zuchwale chlubić się wypada,
 Że kiedy innych ośmieje szyderca,
 To już szyderycy żaden nie przegada.
 Rzekłeś, Hiobie: — Czyste moje słowa!
 Jestem niewinien przed Pańskim obliczem!
 Bogdaj do ciebie przemówił Jehowa!
 By cię oświecił słowem tajemniczem,
 By cię objaśnił w swej mądrości drodze,
 W drodze Zakonu by ci dowiódł jasno,
 Że chociaż cierpisz, lecz cierpisz mniej srodze,
 Niżliś zasłużył nieprawością własną.
 Myślisz, jak widzę, śledzić Pańskie kroki
 I zbadać Wszechmoc że ci siły stanie;
 Lecz On wysoki . . . nad Niebo wysoki,
 Głębszy niż piekiel głębokie otchłanie,
 Dłuższy niż ziemia, a szerszy niż morze, —
 Jakże Go zdołasz ogarnąć, nieboże?

Jeżeli wszystko do gruntu obali
 Lub ściśnie w garści wszechświatów ogromy,
 Jacyż się jemu sprzeciwią zuchwali?
 On zna człowieka, On grzechów świadomy.
 Mąż jeno próżny podnosi się w pychę,
 Aby tajemnych dróg Pańskich dochodził;
 Leśnej oślicy jeno źrebię liche
 Mówi do siebie: — Jam się wolnym zrodził! —
 I ciebie myśli zajęły dziecięce,
 Przeciwno Niemu wyciągnąłeś ręce.
 Gdy cię odstąpi wszelka myśl nieprawa,
 To zniknie razem twój strach i obawa;
 Jako nie myślisz o ubiegłej wodzie,
 Zapomnisz cierpień, co ci serce bodą;
 Gdy będziesz myślał o życia zachodzie,
 On ci jutrenkę rozpromieni młodą;
 Weźmiesz do serca otuchę nieznaną,
 I będziesz krzepki, jakby cię wkopano.
 W twoim spoczynku już strach nie przenika,
 Zbiegną się patrzeć, jak ci twarz jaśnieje,
 Kiedy się zaćmi oko bezbożnika
 I pierzchną jego obrzydłe nadzieje...

 ROZDZIAŁ XXXVIII.

Respondens autem Dominus Iob de turbine, dixit . . .

A z szmeru wichrów Pan rzekł do Hioba:
 — Ktoś jest przede mną, marny synu ziemi?
 Czemu się skarżysz? przecz ci się podoba
 Wikłać wyroki słowa niebaczniemi?
 Przepasz tve biodra, ja będę cię badał,
 Odpowiedz, mędrcze, co twa myśl spamięta!
 Gdzie byłeś wtenczas, gdym ziemię zakładał,
 Kiedym jej trwałe ciosał fundamenta?
 Kto jej budowę i ciężkość obliczy?

Kto ją rozmierzył pod sznur budowniczy?
Kto jej podstawę ugruntował trwale?
Kamień węgielny kto pod nią położył?
Czy byłeś wtenczas obecny mej chwale,
W obliczu ludzi i porannej zorzy?
Kto fale morskie, jak drzwiami lub kratą,
Zamknął w łożysku, uczynił brzeg suchy,
Okrył je chmurą, jakby mglistą szatą,
Osłonił mrokiem, jak dziecię w pieluchy?
Jam te granice wskazał niedościgłe,
I do wrót morskich przyprawiłem rygle,
I rzekłem morzu: Tu przyjdą twe wały,
A tu się fala burzliwa rozpryska.
Czyż twoje myśli ukazać zdołały
Porannej zorzy miejsce stanowiska?
Czyż ty, trzymając za ziemne krawędzie,
Z oblicza ziemi otrząsałeś zbrodniarze,
Światłość niezbożnych że odjęta będzie,
A silne ramię złamaniem się skarże?
Wnijsć w morskie głębie czy zdolna twa władza?
Po dnie przepaści wiesz jak się przechadza?
Czy uchylileś straszne śmierci wrota?
Czy oglądałeś czarne drzwi otchłanie?
Szerokość ziemi jako jest osnuta?
Daj mi odpowiedź na me zapytanie!
Gdzie jasna światłość, a gdzie ciemność mieszka?
Jakie są cele tych obojga rzeczy?
Jakie ich prawa i jaka ich ścieżka,
Czyś wyrozumiał, o synu człowieczy?!
O twych urodzin czy wiedziałeś dobrze?
Liczba dni twoich czy znajoma tobie?
Czy byłeś w skarbcu, kędy śnieg się chowa
I kędy gradu tajemne schowanie?
Na nieprzyjaciół jaka broń gotowa,
Kiedy dzień walki morderczej nastanie?
Czyś zbadał drogi i światła, i słońca?
Albo podziały i stopnie gorąca?

Wiesz jak deszczowa ulewa się wzbudzi?
 Obliczysz drogę piorunowej siły,
 Aby w pustyni, kędy niemasz ludzi,
 Z deszczem się trawy lepiej zieleniły?
 Kto ojcem deszczu? skąd rodzi się rosa?
 W czym żywocie poczęły się lody?
 Kto białym szronem przysypał niebiosą?
 Kto spoił w kamień wirujące wody?
 Kto grzbiety rzeczne jak gdyby szkłem zalał?
 Kto wierzch topoli bryłami zawalał?
 Rozpierzchłe gwiazdy czyś policzyć w stanie?
 Czy zerwiesz łańcuch, którym je spojono?
 Czy wyprowadzisz poranne świtanie
 Lub brzask wieczorny na niebiosów łono?
 Czy na twój rozkaz z obłoków czeluści
 Deszcze popłyną lub piorun się spuści,
 I przed obliczem twem się zastanowi,
 I rzecze tobie: Otośmy gotowi!
 Kto wielką mądrość wlał w serce człowieka?
 Kto drobne kury rozmyśłem obdarza?
 Na kogo Niebo albo ziemia czeka?
 Kogo uznają za swego mocarza?
 Kto wyprowadza kamienie i bryły?
 Kto każe prochom, aby się zlepiły?
 Powiedz, człowiecze, czy cała twa władza
 Zdoła nakarmić wygłodniałe lwiąta,
 Kiedy ich matka na żer się zasadza?
 O kruku leśnym, powiedz, kto pamięta?
 Czy twoja mądrość zaspokoi kruka?
 Czy go nakarmi w przyzwoitej chwili,
 Gdy się tułając pożywienia szuka,
 A głodna dziatwa w niebogłoty kwili?...

1854—1856. Borejkowszczyzna.

URYWKI I PARAFRAZY.

Z EKLEZYASTYKA.

Rozkosze mi niegdyś płynęły nawałem,
 W młodzieńczych mych piersiach wrzał ogień namię-
 Lecz przeszło złudzenie, została tęsknota, [tny;
 I kwiaty uwieźły, i pękła nić złota,
 Blask oka zardzewiał, — znudzony, niechętny,
 Rozkosze marzeniem nazwałem.

Jam później bił czołem przed pychy obliczem,
 Wielkością, bogactwem i sławą się pieszcę;
 Lecz szczęścia nie było, duch czegoś chciał jeszcze,
 I wielkość nazwałem niczem.

Zechciałem być mądrym, chwyciłem za księgę,
 Dróg prawych wyszukać pragnąłem,
 I we dnie, i w nocy, z męczarnią, mozołem,
 Badałem mądrości potęgę.
 Śledziłem, czytałem, lecz było mi mało,
 Chęć nauk została mi piekłem;
 Mądrości-m nie pojął, a szczęście skonało:
 Mądrość jest próżnością! wyrzekłem.

*

*

*

Na co mi władza, siła olbrzyma,
 Gdy nie mam władzy nad sercem mojem?
 Jakże obdarzę ludzi pokojem,
 Gdy w duszy mojej pokoju niema?
 W złotym pałacu, na miękkim puchu,
 Na lubyh dziewic rozkosznem łonie,
 Jam nudził życiem, marzył o zgonie:
 Szczęście dla ducha jest tylko w duchu!
 Kiedym opływał uciech zapasem,
 Wszystko mym żądzom było w usługę,

Podły niewolnik dziwił się czasem,
Czego ja tęsknię, czego się nudzę?

Rzekłem: Poznać ludzi muszę, —
Poznałem — i zapłakałem!
Pod jak pięknem kryją ciałem
Złe i nieszczęśliwe dusze!
Czy dni smutku, czy wesela,
Ich się dusza dzika, sroga
Wiecznie w dzikich myślach grzebie;
Człowiek — wróg swojego wroga,
Wróg swojego przyjaciela,
Wróg najstraszliwszy dla siebie.

*

*

*

O! nic pod słońcem, nic nowego!
Co jest, to było i nie minie:
Dawniej łyzy biegły, jak dziś biega,
I krew płynęła, jak dziś płynie.
I dawniej człowiek biegł za zyskiem,
I dawniej bywał po kolei
Smutną ofiarą i igrzyskiem
Losów, słabości i nadziei.
I wnuki nasze może srodze
Wyśmieją prochy naszych kości, —
I będą iść po naszej drodze
Nieszczęścia, marzeń i słabości,
Płacić wiek łez radości chwilką,
Marzyć o świetle, brodzić w ciemnie,
I łyzy, i krew toczyć wzajemnie,
I pomrą ludźmi — ludźmi tylko.

Z POEZYZI TYCHONA BRAHEGO.

NA DREWNIANE

NARZĘDZIE PARALAKTYCZNE WYNAŁAZKU I ROBOTY KOPERNIKA.

Is, qualem non terra per saecula multa Procreat . . .

Is ille, qui coelo genitus, coelestia terris Progenuit . . .

Takiego męża ziemia przez wiekowe chwile

Wydać nie w sile . . .

Niebo go urodziło uczyć ród człowieczy

Niebieskich rzeczy . . .

On zachwiał całe niebo prawami wiecznemi,

Słońce zdołał zatrzymać i kazał biedz ziemi,

Księżycowi ukazał, gdzie mu być potrzeba,

Przekształcił oblicze nieba.

Kopernik na to dzieło iść się nie zachwiewa,

Z laską tylko kunsztownie ustruganą z drzewa.

Pisze prawa niebiosom jego mądra władza,

Pod wymiar lichej trzaski gwiazdy podprowadza,

Zatrzymywa ich biegi, z niebem spaja duszę.

Nikt jeszcze ze śmiertelnych od początku świata

Nie był tak wszechmogącym — cóż nad geniusze?

Niegdyś olbrzym, gdy w niebo wysokie kołata,

Sklada góry na górach, głaz na głazy wali,

Ossę, Pelion, Etnę, zgromadza na stosy, —

Przecież silni na ciele, ale duchem mali,

Nie mogli olbrzymowie wedrzeć się w niebiosy.

A ten, ten wielki mędrzec, schylony nad księgą,

Wąty ciałem, lecz silny umysłu potęgą,

Nie wsparty żadną mocą, z małą trzaską drzewa,

Wszedł na szczyt firmamentu, skąd słońce dogrzewa.

O! to pamiątka mędrca — ze wszystkimi blaski

Złoto jeszcze niegodne okupić tej trzaski.

ADAMA SCHRÖTERA

URYWEK Z POEMATU „O ŻUPACH SOLNYCH WIELICKICH.“

Gdym solne lochy rozpatrywał chciwie,
Dobry Koszyński, mając mię na pieczy,
Rzekł mi: — Adamie! dowiesz się o dziwie,
Trzeba mu wierzyć jak doznanej rzeczy.
Kiedy z gór naszych woda się zakradnie,
Zaleje lochy i wsiąknie do jamy,
Od wody proszek wyrabia się snadnie,
Co my saletrą w Polsce nazywamy.
Wtenczas się zdarza, że idąc, kopacze,
Lampą na ciemnej przyświecają drodze,
Płomień od lampy aż na ściany skacze,
Jaskinia buchnie, zadymi w požodze.
A wzdęty płomień przelatuje wszędzie
I nie wprzód zgaśnie aż saletrę wyje.
A biada temu, kto w ognisku będzie!
Płomień go spali, a wyziew zabije.
Ale bywałych doświadczenie uczy:
Kopacz z pośpiechem na ziemię się kładnie,
A ogień wierzchem przelatuje, huczy,
Spala saletrę i zgasa bęzwładnie...

PIOSENKI J. P. BERANGER'A.

KRÓL ĆWIECZEK.

(PARAFRAZA).

Był sobie niegdyś król Ćwieczek,
Z dziejów nie wielce go znano:
Wstawał późno, kładł się rano,
Unikał wojen i sprzeczek;
Zamiast korony na czoło,
Stroił się prostą szlafmycą;

A naród krzyczał wesoło:
 — Takiego króla wokoło
 Nie znajdziesz nawet ze świecą!
 Nie znajdziesz, próżne gadanie!
 Taki wyborny człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwiczek!

Jadł cztery razy na dobie;
 A wesół i dobrej daty,
 Siadał na osielka sobie
 Objeżdżać swoje powiaty.
 Przy jego królewskiej mości
 Pies zamiast rycerskiej straży;
 A naród pełny radości,
 Wiedzie go z włości do włości.
 Wołają młodzi i starzy:
 — Zdaje się, choć w pańskim stanie,
 Zuch, wesół, dobry człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwiczek!

On się na puhar nie skrzywi,
 Od kufła się nie zakrztusi;
 Bo gdy poddani szczęśliwi,
 I królże przecię żyć musi!
 U stołu poddanych zjada
 Garnek kaszy za podatek;
 Więc go spotyka gromada,
 I przeprowadzać go rada,
 Krzyczy u każdych rogatek:
 — To król! to nasze kochanie!
 To co się zowie człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwiczek!

A dziewczętom tak się gładko
 Przypodoba i zaleci,

Że królował nad gromadką,
Jako ojciec pośród dzieci.
Wojny nie miał i w zamiarze;
Tylko gdy się podweseli.
Przy rozwiniętym sztandarze,
Cztery razy na rok każe
Strzelać tak sobie... do celi...
I daje sute śniadanie...
— Ot to honestus człowieczek!
 Wiwat mospanie,
 Wiwat król Ćwieczek!

Chęć zaborów go nie mami,
Po bratersku żył z sąsiady;
Pohulanki i biesiady
Zawarował statutami.
Król i lud żyli bez kłótnie;
Tylko na jego mogile,
Kraj, wesoły przez lat tyle,
Po raz pierwszy płakał smutnie:
— Oj, wieczne odpoczywanie!
Dobry był, dobry człowieczek!
 Niemasz mospanie,
 Jak był król Ćwieczek!

Jego obraz i dziś jeszcze
Ze czcią chowa się w narodzie:
Jest to na starej gospodzie
Szyld wypłowiąły przez deszczę.
Tam, gdzie się zbierze gromada,
Niejeden do łez się wzruszy:
— To był król Ćwieczek nielada!
Bawi się, pije, zajada...
Wieczny odpoczynek duszy!
Bo co to? próżne gadanie!
Rzadkiej był cnoty człowieczek!
 Niemasz mospanie,
 Jak był król Ćwieczek!

PAN SZCZĘSNY HULAKIEWICZ.

(ROGER BONTEMPS).

Pod złe czasy urodzony,
A wesół zawsze i wszędzie,
Dla męczenników śledziony
Pan Szczęsny wzorem niech będzie.
Aby swobodnie się wiodło,
Stronić od głupców oblicza:
Oto dewiza i godło
Szczęsnego Hulakiewicza.

On zwykł przywdziewać od święta
Ojcowski kapelusz duży;
Zawsze go zdobić pamięta
Gałązką bluszczu lub róży;
Jeden płaszcz od lat dwudziestu
Zawsze mu ciepła użycza:
Oto jest ubiór od festu
Szczęsnego Hulakiewicza.

W jego mieszkaniu stół, łoże,
Flecik ze wstęgi przepaską,
I puchar kwartowy może,
Co Bóg napełnia swą łaską;
Pusta skrzynka, a w portrecie
Postać kochanki dziewicza:
O! wszystkie skarby na świecie
Szczęsnego Hulakiewicza.

Dla dzieci zręcznie i prędko
Wymyślić sztukę i cacko,
Starszych zabawić gawędką,
Spleść jaką powieść cudacką,
Tańczyć, zaśpiewać wśród gości,
Gdy ochota biesiadnicza:
Oto treść całej mądrości
Szczęsnego Hulakiewicza:

Przestawać na swoim losie,
 Pić wino, jakie się zdarzy,
 Przenosić wierną Małgosię
 Nad wdzięki pieszczonych twarzy,
 Ze każdy dzionek, co mija,
 Miłość i radość policza:
 To cała filozofia
 Szczęsnego Hulakiewicza.

— Boże, Tyś Ojciec jedyny,
 Ja ufam Tobie jak dziecię!
 Nie racz poczytać za winy,
 Że wesół żyję na świecie;
 Niech póki życia domierzę,
 Nie mam chmurnego oblicza!
 Oto są całe pacierze
 Szczęsnego Hulakiewicza.

Ludzie, co zawiść was miota,
 Nędzni w bogactwa ogromie,
 A których rydwan żywota
 U kresu zbacza i chromie,
 Wy, których potęga mami,
 Lub godność jaka zwodnicza,
 Sprostujcie życie wzorami
 Szczęsnego Hulakiewicza!

WIOSNA I JESIEŃ.

Dwie pory roku każdemu służą,
 Kto się żyć błogo nie leni:
 Na wiosnę radzi pieścim się z różą,
 A z winnem gronem w jesieni.
 Z rana miłością serce rozżarzę,
 Winem, gdy słońce się chowa;
 Wiosną mówimy: — Bądź zdrów, puharzel!
 W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Trzeba skojarzyć i to, i owo,
A życie raźniej popłynie;
Jednak przebierać miarkę niezdrowo
Ani w miłości, ni w winie.
Tutaj koniecznie roztropność każe,
By mądra była umowa;
Na każdą wiosnę: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Z piękną się w maju spotkałem różą,
Podbiła serce ochocze;
Och, bałamutka! och, dziwactw dużo
Zniosłem przez całe półrocze!
Figiel za figiel, wiem, jak ukarzę!
Jesień mój spokój uchowa;
Mówiłem wiosną: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Kocham, to rzucam piękną Adełę,
I żal niewielki, i praca;
I pożegnała, i za dni wiele
Znowu mi serce powraca.
Ale już wtedy po letnim skwarze
Piosnką płonęła mi głowa:
Rzekłem na wiosnę: — Bądź zdrów, puharze!
W jesień: — Miłości, bądź zdrowa!

Lecz czarodziejka wszystko przemienia,
Plan się mój cały nie ziści:
Winu dodała moc upojenia,
Serce zawrzało ogniściej.
Dla niej nie trudno mieszać w zamiarze
Najrozsądniejsze me słowa:
Na wiosnę — przyszła myśl o puharze;
W jesieni — miłość gotowa!

TRUP ŻYJĄCY.

Kiedy się nudzę, gdy świat z daleka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Nie zliczę dwóch;
Lecz kiedy strącę nudów okowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Gdy dzwonią głupcy w szkatuły wieka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Zamarł mój duch;
Gdzie wina ze mną wiek jednakowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Gdzie roztrząsają, co możnych czeka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Zdrętwiał mój ruch;
Ale gdzie słabi podnoszą głowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Kiedy na wojnę naród się zwleka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
Pierzcham jak puch;
Gdzie palnie z flaszki ogień korkowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Gdzie mądrość wielkich rzeczy docieka,
Módlcie się za mnie, jam trup człowieka
Wśród brzęku much;
Lecz w gwarze piosnek, bratniej rozmowy,
Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
Jam jeszcze zuch.

Gdzie się kazanie długo przewleka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Tępy mój słuch;
 Gdzie woła przyjaźń, nie znam odmowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Jasny pan wchodzi, radość ucieka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Nie pański druh;
 Gdy wchodzi dziewczę pięknej budowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Trzeźwą łódź życia gdy popchnie rzeka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 W morze mię pluch!
 Lecz ze szklanicą pod wiatr żaglowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch!

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC.

(Voyage au Pays de Cocagne).

W kraj szczęśliwy, kraj Boski,
 Gdzie się żyje bez troski,
 Podróżujmy wesoło, jak dzieci!
 Rozegrzanym po winie
 Niech się skrzydło rozwinie, —
 Hej! na księżyc wyprawa polec!

W kraju pięknej nadzieje
 Niech się z losów pośmieję,
 Niech zbuduję rozkoszne pałace.
 Co za ziemia szczęśliwa!
 Mlekiem, miodem opływa,
 I używam, i grosza nie płacę.

Po podróźnej fatydze
Gmachy z tortów już widzę,
Jak Luwr pyszny podnoszą swą głowę;
A przy każdym filarze
Zbrojne warty i straże,
W ich rękę halabardy cukrowe.

Co za słodka systema!
Tu z żelaza nic niema,
Z cukrów nawet armaty i działa;
Z jagód, fruktów i kwieci
Małowidło się świeci,
Mozaika, rzeźba wspaniała.

Stańmy nieco przed placem:
Tu arlekin z pajacem
Wyprawiają ludowi igrzyska;
W środku bije fontanna,
To nie woda źródłana,
Ale wino pienne wytryska.

Długi szereg kucharzy
Mięso piecze i warzy,
Prawa uczytę pogwałcać nie można;
Bo kto jeno przekroczy,
Stawia kodeks przed oczy,
Każą kręcić pieczone u różna.

Tam w pałacu zasiada
Tucznych mężów obrada,
Składa hold wesołości, swej pani.
Rzeczy dobrze snadź idą:
Wenus, bożek Kupido,
Słowem, wszyscy okrągłi, rumiani.

Wszystko szczęściem oddycha,
Twarzy nie dmie im pycha,
Niema spojrzeń ukośnych, poswarek:

Wszyscy prości a szczerzy,
 Równi wobec wieczerzy:
 Warto z nimi wychylić puharek!

Pięknych niewiast rój hoży,
 A żadna się nie sroży,
 Postać uczyt zaprawdę godowa;
 Szklanka o szklanę brzęka,
 Szumi rzeźwa piosenka
 Lub figlarna a pusta rozmowa.

Mąż po sutej biesiadzie
 Na stół głowę swą kładzie,
 I zasypia, nie marząc zawistnie;
 Choć wzrok matek ponury
 Wciąż wlepiony na córy,
 Lecz pod stołem się rączka uściśnie.

Wszyscy życiem natchnieni,
 Każda twarz się rumieni,
 Tu nie ujdzie twarz chmurna i blada;
 Gdy godzina uderzy,
 Każdy, kontent z wieczerzy,
 Spokojniutko do snu się układa.

Jaka tam miłość braci!
 A nikt długów nie płaci,
 A w miłostkach o stałość nie pyta!
 A gdzie dusza szczęśliwa,
 Wiek powoli upływa, —
 Sto lat żyją szczęśliwi do syta.

Na księżycu w tej sferze
 Człowiek życia nabierze...
 Ale cóż to?... znów żywot powszedni!
 Kto z marzenia mię budzi?
 My w gospodzie... wśród ludzi...
 Płaćmy z karty rachunek obiedni!

DZIEŃ ZADUSZNY.

Czy słyszycie?... z kościoła
 Mruczy głucho dzwon stary:
 Do modlitwy nas woła,
 Karci nasze rozgwały.
 Tam ksiądz głosi przemowę:
 Rzućcie pieniądz na tacę!
 To za dusze czyścowe,
 Requiescant in pace!

Płaćmy grobom dań pieśni,
 Rzućmy kwiaty koleją;
 Kłamcy niby boleśni
 Niech je łzami obleją.
 Ja myślom zmarłym z czoła,
 Ja hołd przeszłości płacę,
 W zaduszny dzień kościoła,
 Requiescant in pace!

.

Grób od ojców nas dzieli, —
 Czyż nas pamięć ich straszy?
 Oni z nędzy się śmieli,
 A my śmiejmy się z naszej!
 Ze mną miłość wesola,
 Kielicha z rąk nie tracę:
 W zaduszny dzień kościoła,
 Requiescant in pace!

Precz wszelki żal kobieci,
 Gdy legnę do mogiły!
 Bogdajby nasze dzieci
 Weselsze od nas były!
 Ścieląc całunów sukno,
 Niech wspomną nasze prace,
 Niech głośnym chórem hukną:
 Requiescant in pace!

S T A R O Ś Ć.

Dzień po dzionku marnie schodzi,
Czas na czole zmarszczki pisze;
Chociaż jeszcze dosyć młodzi,
My starzejem, towarzysze!
Lecz kto lubi kwiatów sploty,
Kto w młódzieńcze wierzy mary,
Kto ma czucie swej istoty,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Próżno winem człek się świeży
I piosenką bezprzytomną:
Krasawice przy wieczerzy
Smutną starość nam przypomną:
Lecz do świtu kto w humorze
Bez ustanku chyli czary,
Kto choć drżący śpiewać może,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Zwolennicy ideałów,
Dziś nie spełnim, co się marzy.
Towarzyszki naszych szalów
Przymawiają, żeśmy starzy.
Lecz kto skromnie się udziela,
Kto się słusznej dierząc miary,
Ma w kochance przyjaciela,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Dzisiaj młodzież choć nam wróży
Naszą starość niezawodną,
Że natchnienie nam nie służy,
Że piosenki nasze chłodną; —
Lecz kto czuje duch śpiewaczy,
Zdoła jać się strun cytary,
Zebrać w kółko swych słuchaczy,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

Chwilkę, chwilkę, towarzysze,
Wiosny pieścimy się obrazem.
A gdy młodość nie dopisze,
Postarzejem wszyscy razem.
Lecz kto głowy nie kłopotą,
Choć ma ciężkich trosk bez miary,
Kto doścignął cel żywota,
Ten nie bardzo jeszcze stary.

P T A S T W O.

Srogiej zimy pęd szalony
Chaty, pola nam pustoszy.
Ptastwo leci w obce strony
Z pieśnią szczęścia i rozkoszy.
Lecz nad powab cudzej strony
Kraj rodzinny żywiej świeci:
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znów na wiosnę tu przyleci.

On nie tyle po swej stracie,
Ile po nim my boleśni,
Że w pałacu ani w chacie
Nie usłyszym jego pieśni.
On tam będzie rzewne tony
Dla szczęśliwych nucił dzieci.
Ptaszek zimą popędzony
Znów na wiosnę tu przyleci.

My-ć zazdrościm, ptaszku chyży!
Tobie lepiej i swobodniej.
Wnet się do nas chmura zbliży,
Już wiatr mroźny wieje od niej.
Kto na skrzydłach jest niesiony,
Szczęsny! ujdzie od zamieci!
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znów na wiosnę tu przyleci.

Kiedy burzy prąd przeminie,
 Gdy odetchną pól obszary,
 On zateśni po rodzinie
 I powróci pod dąb stary.
 Wróżyć pieśnią letnie plony,
 Wróżyć wiosną pełną kwieci,
 Ptaszek, zimą odpędzony,
 Znów na wiosnę tu przyleci.

STARA KAPOTA.

Zostań mi wierną, stara odzieży!
 Wszakżeśmy z sobą starzeli w parze;
 Już rok dziewiąty wspólnie nam bieży,
 Niech takiej sztuki Sokrat dokaże!
 Bądźże wytrwałą, — choć czas i mole
 Grożą zniszczeniem, nie troszcz się o to;
 Filozoficznie znoś swoją dołę,
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Musisz pamiętać tę słodką chwilę,
 Gdym cię raz pierwszy przywdział wspaniale,
 Kiedy prawdziwych przyjaciół tyle
 Śpiewało pieśni ku twojej chwale.
 Dziś, choć straciłaś swą barwę czarną,
 Bracia nie wzgardzą naszą lichotą,
 Po staroświecku do serc przygarną.
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Wszak pomnisz wiosny naszej poranki?
 Wszak cenisz wspólne wspomnienia nasze?
 Gdym się wrywał z objęć kochanki,
 Ona-ć oddarła sute karwasze.
 Musisz pamiętać to dziewczę młode,
 Jak się rumieniąc z miłą prostotą,
 Drobnemi ściegi naprawia szkodę...
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Czyż drogiej ambry zbytówną wonią
 Splamiłem ciebie przez mnogie lata?
 Czy tam, gdzie trzosem na ciżbę dzwonią,
 Sponiewierałem u ścian magnata?
 Nie chciałem ciebie, Pan Bóg mi świadkiem,
 Zdobić we wstęgi albo we złoto;
 Ty byłaś dumna polowym kwiatkiem,
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!
 Przebywszy razem słoty, pogody,
 Takie boleści, takie rozkosze,
 Nie dziw, że zginął nasz połysk młody,
 Ze przyszło wkońcu spłowieć po trosze.
 Dziś przysypanych zimy szarugą
 Smutne przecucia wspólnie nas gniołą.
 Służ mi do trumny — czekać nie długo.
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

 TRZYNASTU U STOŁU.

Myśmy w trzynastu do stołu zasiedli,
 A jam niechący rozsypał garść soli.
 Co tam złe wróżby? czegoście pobledli?
 Oto śmierć ku mnie zbliża się powoli!
 Ona się zbliża uśmiechnięta, młoda;
 Na jej przyjęcie w puhar się uzbroję.
 Począłem pieśnię, porzucać jej szkoda.
 Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Jak gdyby gościa, gdy na ucztę zową,
 Równianką kwiatów swe czoło uwieńczya.
 Ja tylko jeden widzę ją nad głową,
 Nad nią promienna połyska się tęcza.
 Uspione dziecię na swych ręku trzyma
 I ciężki łańcuch, stargany na dwoje.
 Dajcie mi puhar! choć mam przed oczyma,
 Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

— Nie bój się — mówi — jam życia narzędzie,
Ja córka Niebios, ja siostra Otuchy.
Biedny niewolnik czyż złorzeczyć będzie,
Gdy z niego ciężkie opadną łańcuchy?
Gdy los cię odarł, aniele skrzydlaty,
Ja ci przywrócę piękne skrzydła twoje!
Witajcie gościu, a sypcie jej kwiaty!
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Dotknę się czoła — a po latach próby,
Duch twój uleci, odrodzony zda się,
Gdzie na lazurze promieniste globy
Bóg porozsiewał w przestrzeni i czasie.
Czyż ciebie taka swoboda nie mami?
Porzuć zgryzoty, porzuć niepokoje,
Używaj szczęścia pełnemi piersiami!
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Zniknęła postać, a nikt jej nie baczy,
Pies tylko warknął na widmo grobowe.
Pocóż się człowiek do życia junaczy,
Gdy chłód trumienny odrętwia mu głowę?
Wesoło kończmy nasz żywot zwodniczy;
Porzućmy strachów niedołącznych roje;
Bądźmy w trzynastu — Pan Bóg nas policzy.
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

K O M E T A.

Oto Bóg na nas kometę przysłał;
Nieunikniona zbliża się zagłada.
Czuję już, czuję, jak niszcząca siła
Uderza w ziemię i w gruzy ją składa.
Żegnajcie, uczyty, żywota sąsiedzi!
Zostawcie wasze zatrute puhary!
Dusze lękliwe, idźcie do spowiedzi!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

I dnia, i nocy kolejne przemiany
Zginą na wieki — o biada nam, biada!
Jako latawiec ze sznurka zerwany,
Biedna planeta kręci się i spada,
Spadnie na słońce — choć je w gruz zamieni,
Choć zgasi jego odwieczne pożary,
Tyle słońc jeszcze zostanie w przestrzeni!
Nam trzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Już nas znudziła nasza gminna pycha,
Już droga błędu nie tyle nas wabi;
Nużą nas wojny, któremi oddycha
Służebna zgraja, i silni, i słabi.
Znużone oko przyszłości nie szuka;
Zostawmy górne postępu zamiary:
Na mały teatr to za wielka sztuka.
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Młodzież powiada: — Poczekajcie nieco,
Zaraz blask nowy tę ziemię opasze,
Gazem i drukiem zaraz się oświecą
I nasze głowy, i ulice nasze;
Za lat dziesiątek rozproszy się ciemno,
Kiełek postępu urośnie do miary.
Jam lat trzydzieści czekał nadaremno!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Jam nie tak wierzył, gdy w młodości płoczej
Miłość i radość ożywiały łono:
— Ziemio! — mówiłem — nie zbaczaj ni trochy
Z błęgiego kręgu, gdzie cię umieszczono!
Dziś postarzałem — moje lica blade —
Znam nicość pieśni, marzenia, ofiary...
Straszna kometo, dopełnij zagładę!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

STARY KAPRAL.

Naprzód! naprzód! marsz, rębacze!
Broń na ramię! wszak nabita!
Dajcie fajkę! precz te płacze!
Pożegnajcie mię i kwita!
Osiwiłem w służbie włosy;
Czym źle zrobił, trudno dociec;
Lecz na musztrach, — ej, młokosy!
Byłem dla was jako ociec.

Naprzód, wiara,
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Obraziłem porucznika,
Bo młodziczek zbyt pozwala.
Ot i z rzeczy rzecz wynika,
Ostry nabój dla kaprała!
Tak potrzeba, na przestrozę...
Zawiniłem, prawda szczerą;
Lecz obelgi znieść nie mogę:
Jam był w służbie bohatera!

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Bądźcie mężni, o kamraci!
Nieście w służbie krew i zdrowie;
Choć się noga, ręka straci,
Krzyż ozdobi honorowie.
Jam go zyskał w dobrej sprawie...
Ej, bywało, bracia mili,
Ja wam stare boje prawię,
Wy gorzałkęście płacili.

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Robert! chłopcze z naszej wioski,
Wracaj do niej paść swe trzody.
Patrz, jak pięknie klony, brzoźki!
Teraz na wsi kwiecień młody!
Ja, bywało o tej porze
Wdziękiem sioła oczy pieszczę...
O mój Boże! o mój Boże!
Moja matka żyje jeszcze!

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Kto tam szlocha? znam po jęku:
Zona trębacza husarzy.
Niosłem syna jej na rękę,
Idąc z Moskwy w przedniej straży.
Jej by przyszło w dzikim stepie
Zginać w śnieżnej zawierusze.
Dziś niewiasta pacierz trzepie, —
Niech się modli za mą duszę!

Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Tam do licha! fajka zgasła...
O nie! jeszcze... Już my w kole.
Do szeregu! czekać hasła!
Oczu wiązać nie pozwolę!
Ej kamraci! ej najszczerzi!
Wara płakać!... Broń gotowa;

Strzelać celno, w same piersi...
 I niech Pan Bóg was zachowa!
 Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

ALCHEMISTA.

Mówisz przede mną, alchemisto stary,
 Że z podłych kruszców wydobywasz złoto,
 A jeszcze bardziej, że swojemi czary
 Możesz mi młodość przywrócić z ochotą.
 Mówię ci z wiara: Czyż, co się podoba,
 Pełnym ci trzosem wdzięczności dowiodę.
 Zostańmy przy tem, co lubimy oba:
 Ty weźmiesz złoto — daj mi lata młode.

Przewracaj karty starego Hermesa,
 Zgłębiaj Paktolu źródła młodociane:
 Niechaj ci złotem napełnia się kiesa,
 Ja sobie chętnie ubogim zostanę.
 Dla ciebie możni otworzą podwoje,
 Mieć będziesz laury, oklaski, wygodę,
 Ja się skromnemi różami przystroję;
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Widzę, jak próżność po sercu ci łechce,
 Słyszę, jak wołasz upojony szalem:
 „Kłęczcie przede mną, zakupię co zechcę,
 Kopalnię złota w nauce zyskałem!”
 Patrzcie, jak skarbów spodziewane plony
 Zmieniły twoją żebraczą przyrodę!...
 Choćbyś mógł kupić berła i korony,
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

O! daj mi młodość taką, jak ja cenię,
 Z duszą potężną, ognistą, namiętną;

Odbierz ode mnie mądre doświadczenie,
 Wlej krew gorętszą w słabe pulsów tętno.
 Obaczysz z okna twych jasnych pałacy,
 Jak ja wesoło piosenkę wywiode,
 Pod cieniem drzewa jak usnę po pracy!
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Wiem, na czem bogactw zasada się chluba,
 Lecz czuję powab młodzieńczych słodyczy.
 Smutno mi widzieć, kiedy moja luba
 Na drobnych palcach me lata policzy.
 Gdy smutna jesień moją głowę śnieży,
 Błagam cię, mędrco, o letnią pogodę.
 Ta, którą kocham, w bogactwa nie wierzy.
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Lecz próżna, widzę, twoja obietnica:
 Tyś zawsze biedny, a ja zawsze stary.
 Poczekaj — mówisz — jutro nów księżycy.
 Poczniem na nowo zaklęcia i czary.
 Choć wiem, że twoja nauka kłamliwa,
 Lecz mi potrzeba wiary na osłodę:
 Patrz, jak mi zmarszczek po zmarszczku przybywa!
 Weź sobie złoto — daj mi lata młode!

NOSTALGIA

CZYLI TĘSKNOTA DO KRAJU.

Rzekliście: Pasterzu! idź z nami ochoczo;
 W Paryżu nauki i dziwy najrzadsze,
 Osypie cię złoto, starania otoczą,
 Zapomnisz swe niwy na świetnym teatrze.
 Poszedłem... i patrzcie! ów skwar, co tu płonie,
 Jak świeżość wiosenną z mej twarzy wypala!
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 A górom powróćcie górala!

Choć w piersiach tęsknota i lodem krew płynie,
 Ja idę, posłuszny, za waszym zwyczajem,
 Na uczty, gdzie krasne królują boginie,
 I ginę z tęsknoty, umieram za krajem.
 Napróżnom się uczył słów pięknych w tem gronie,
 Napróżno sztuk pięknych widziałem tak wiele!
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 I nasze wesołe Niedziele!

Wy słusznie gardzicie obyczaj nasz stary,
 Wieczory z powieściami i pieśnią ubogą:
 Na operach waszych złudzenia i czary,
 Że nasi wróżbici im zrównać nie mogą;
 Gdy święci czczą Pana na górnym Syonie,
 Od waszych koncertów pożyczają głos muszę;
 Lecz wróćcie mi, wróćcie rodzinne ustronie,
 Wieczory i piosnkę pastuszą!

Dom u nas, to chata pozioma i stara,
 Kościółek pobity deskami i z kłody;
 A tutaj pomników i wież co niemiara,
 Pałace i takie, jak w raj, ogrody, —
 A gmachy, jak chmury, gdy w białym ich łonie
 Odbije się promień zachodu iskrzaty;
 Lecz wróćcie mi, wróćcie wioskowe ustronie,
 Wioskowe dzwonnice i chaty!

Wszak dziki poganin wlecze się z daleka
 Umierać w świątyni, gdzie jego bożyszcze.
 Tam po mnie pies skomli — kiedyż się doczeka?
 I kiedyż mnie matka spłakana odzyszcze?
 Widziałem sto razy na naszym zagonie,
 Jak wicher szturmuję, wilk idzie na łowy...
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 Lepiankę i chleb mój razowy.

Co słyszę? spełniona modlitwa mej duszy!
 Wolno ci odjechać, odjeżdżaj, — mówicie; —

Powietrze rodzinne niech łyzy twe osuszy,
 A słońce domowe niech wskrzesi twe życie.
 Żegnaj cię, Paryżu! twych blasków nie gonię:
 Tu ręce jak skute przybyłcom z oddala.
 Obaczę, obaczę wioskowe ustronie
 I góry, ojczyznę górala!

 DO MOŻNYCH PRZYJACIÓŁ.

O przyjaciele! ja nic od was nie chcę,
 Zwróćcie gdzie indziej dobroczynne oko:
 Chciwość nie drażni, próżność mię nie łechce;
 Jak ptak lękliwy, nie wzleczę wysoko.
 Czegoż mi trzeba? Serca, co pokocha,
 Skromnej wieczerzy w kółku biesiadniczem;
 Bratniej rozmowy i współczucia trocha.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Świetniejsza dola byłaby nie w porę
 Dla rymoklety, co marnuje chwile.
 Czuję dotkliwie, gdy chleb w usta biore,
 Żem nie zasłużył posiadać go tyle.
 Do tego chleba, och! wyrobnik lichy
 Więcej ma prawa przed Niebios obliczem.
 Sakwa żebracza nie wstydzi mej pychy.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Raz, patrząc w niebo, myśl moja ulata
 I tam z wysoka ziemski padół mierzy;
 Przebiegam okiem cały obszar świata,
 Królów, poddanych, wodzów i żołnierzy.
 Okrzyk mię doszedł, — czy bitwę wygrali?
 Kogo to sławią w krzyku hołdowniczym?
 Cześć wam, potężni, których naród chwali!
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Ja wielbię cnotę bohaterских ludzi,
 Co, opuszczając domowe ognisko,
 Siadają w okręt, gdy się fala zbudzi,
 Aby sterować, kiedy burza blisko.
 Wołam z daleka: Niechaj Bóg was strzeże!
 Modłę się za nich losom tajemniczym;
 Sam się na słońcu kładnę na wybrzeże.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

Wasze grobowce patrzeć będą dumnie
 Na mój grobowiec wśród badyli zielnych;
 Naród przy waszej będzie płakał trumnice...
 Gdym skromnie wiezion na marach kościelnych,
 Co mi po waszych trumnach i żałobie?
 W nieśmiertelności kiedyś się obliczym;
 Cała różnica zespoli się w grobie.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

W pysznych pałacach nie zamieszkać z wami;
 Tylko dostojnej pokłonię się głowie.
 Odchodzę od was, bom w progu za drzwiami
 Zostawił lutnię i liche obuwie.
 Ludzkość do waszych podwojów kołace:
 Kojcie lzy nędzy z braterskiem obliczem;
 Ja wam z ulicy piosenką zapłacę.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczem.

STARY WŁÓCZĘGA.

Pora umierać; ot tutaj w rowie
 Złożę schorzałe i stare kości.
 Ktoś mię z przechodniów pijanym zowie,
 Tem lepiej dla mnie — nie chcę litości!
 Jeden odwraca i chmurzy czoło,
 Drugi po szeląg jałmużny sięga.
 Och, idźcie sobie gdzie wam wesoło!
 Umrze i bez was stary włóczęga.

Umrę, bom stary — to się rozumie,
Bo umrzeć z głodu świat nie pozwala.
Miałem nadzieję w żebraków tłumie,
Że się dostanę gdzie do szpitala;
Lecz nieszczęśliwych mnogość tak wielka,
W szpitalach z nimi taka mitręga!
Ulica dla mnie — to karmicielka!
Umrę gdzie żyłem, stary włóczęga.

W młodości mojej chciałem w rzemiosło,
Lecz zewsząd majstry mnie przepędzały:
Już wyrobników i tak urosło,
Niema roboty! idź żebrzeć, mały!
Bogacze mówią: Pracuj na świecie!
Gdy pod ich oknem człek się wylęga.
Och! gryzłem kości po ich bankiecie,
Więc nie przeklinam, stary włóczęga.

Mógłbym kradzieżą utrzymać życie,
Lecz wolę ginąć lub cierpieć srodze.
Raz głodny jabłko urwałem skrycie,
Do licha! jabłoń stała przy drodze.
Za to w więzieniu ledwo nie ginę,
Kiedy mię prawny wyrok dosięga;
Zabrali moje dobro jedyne,
Bo widok słońca stracił włóczęga.

Miłość ojczyzny nie dla nędzarza:
I cóż mnie, pytam, obchodzić może,
Jakiemi plony jesień obdarza
Wasze winnice i wasze zboże?
Co waszych mówców gadanie próżne?
Gdy kraj najedzie obca potęga,
A obcy żołdak da mi jałmużnę,
Płacę z radości, stary włóczęga.

Za cóż mię ludzie depcecie nogą,
Jako szkodliwy owad na roli?

Niech mię nauczą, niech mi pomogą
 Pracować dobru wspólnemu gwoli.
 Nie dziw, że w nędzy zmiana postaci —
 Z troskliwej mrówki gad się wylega.
 Ja chciałem ludzi kochać, jak braci,
 Umieram wrogiem — stary włóczęga.

POEZYE GOETHE'GO.

Z KANTATY „RYBACZKA.“

I.

KRÓL OLSZTYN.

BALLADA.

Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamieci?
 To ojciec z dziećciem, jak gdyby wiatr, leci;
 Chłopczynę na rękę piastując najczulej,
 Ogrzewa oddechem, do piersi go tuli.

— Mój synu, dlaczego twarz kryjesz we dłoni?
 — Czy widzisz, mój ojczy? król olszyn w tej stronie.
 Król olszyn w koronie, z ogonem jak żmija!
 — To tylko, mój synu, mgła nocna się zwija.

— Chodź do mnie, chłopczyno, zapraszam najmilej,
 Pięknemi zabawki będziem się bawili,
 Chodź na brzeg, tu kwiatki kraśnieją i płoną,
 A moja ci mama da suknię złoconą.

— Mój ojczy! mój ojczy! czy widzisz te dziwa?
 Król olszyn do siebie zaprasza i wzywa!
 — Nie bój się, mój synu! skąd tobie te dreszcze?
 To tylko wiatr cichy po liściach szeleszcze.

— Chodź do mnie, chłopczyno, poigrasz z rozkoszą,
 Mam córki, co ciebie czekają i proszą,

Czekają na ciebie z biesiady nocnemi,
Zaśpiewasz, potańczysz, zabawisz się z niemi.

— Mój ojczel! mój ojczel! ach, patrzaj... gdzie ciemno...

Król olszyn ma córki, chcą bawić się ze mną. —

— Nie bój się, mój synu, ja widzę to zdala,
To wierzba swe stare gałęzie rozwala. —

— Chodź do mnie, mój chłopcze, dopóki masz porę:
Gdy chętnie nie przyjdiesz, to-ć gwałtem zabiorę.

— Mój ojczel! mój ojczel! ratujcie dziecinę!
Król olszyn mię dusi... mnie słabo... ja ginę...

Ojcowi bolesno... on pędzi, jak strzała,
Na rękach mu jęczy dziecina omdlała.
Dolata na dworzec... lecz próżna otucha!
Na rękę ojcowskich już dziecię bez ducha.

II.

TOPIELEC.

BALLADA.

— Ja kocham dziewczynę, o matko! daj radę!
Ja chcę ją pozyskać, ja po nią pojedę!
Więc matka mu z wody wylepia konika,
A z piasku i trzęlę, i siodło wytyka.
Ubrany jak rycerz, od stóp aż do szyi,
On prędko pojechał na cmentarz Maryi,
Unosi go rumak pod wieżę kościoła,
On czterykroć kościół objechał dokoła.
I wchodzi topielec w świątynię na progi,
Otacza go naród ciekawy i mnogi.
Ksiądz stał przy ołtarzu: Co to snadź za dziwa?
Skąd rycerz tak lśniący w te strony przybywa?
Uśmiecha się dziewczę i okiem nań zmierza:
— O gdyby pozyskać lśniącego rycerza!
Już stoi u ławek ta postać pancerna:

— Kochaj mię, dziewczyno, daj słowo, bądź wierna.
I przyszedł powtóre, potrzecie, poczwarte:

— Jedź ze mną, dziewczyno, podwoje otwarte.

Dziewczyna mu daje i rękę, i obie:

— Masz moją przysięgę, zostanę przy tobie.

I wyszli z kościoła z weselną drużyną,

I w tańcu wesołym zabawy im płyną,

Aż tańcząc stanęli nad wody brzegami,

I ręka pod rękę zostali tam sami.

— Potrzymaj, dziewczyno, rumaka na stronie,

Ja ładne czólenko ku tobie przygonię.

Gdy weszli na zasep piaszczysty przy wodzie,

To wszystkie do lądu zwróciły się łodzie;

Gdy przyszli, stanęli nad morską zatoką,

Dziewczyna upadła — do morza głęboko.

I długo, i długo sąsiedzi słyszeli

Krzyk pięknej dziewczyny z wodnistej topieli!

Ja radzę, jak umiem, niech każda pamięta:

Tańcować z topielcem nie idźcie, dziewczęta!

III.

SPIEW WESELNY STARONIEMIECKI.

Był sobie rycerz za dawnych lat,

On szukać żony pojechał w świat.

Do jednej wdowy zapukał bram:

Trzy piękne córki mieszkały tam;

Trzy piękne córki zobaczył gość,

Aż serce jego poczęło rość.

— Ta będzie moja, co wszystko zna,

Na trzy pytania odpowiedź da.

— Zadaj, rycerzu, pytania trzy,

Obaczym, która odpowie ci.

— Co jest głośniejsze od dźwięku trąb?

Co jest głębszego, niż morska głąb?

Co rozciąglejsze, niż drogi szlak?
 Co jest zieleńsze, niż trawy krzak?
 Co ostrzej bodzie, niż ciernia ość?
 Co jest gorszego, niż kobiet złość?
 Dwie starsze myślą, dumają snadź;
 Młodsza pośpiesza odpowiedź dać:

— Piorun głośniejszy od dźwięku trąb,
 Piekło jest głębsze, niż morska głąb,
 Miłość trwa dłużej, niż drogi szlak,
 Grynszpan zieleńszy, niż trawy krzak,
 Grot ostrzej bodzie, niż ciernia ość,
 A szatan gorszy, niż niewiast złość.
 Słyszac odpowiedź dobitną wciąż,
 Najmłodszą z dziewic wybiera mąż;
 Nim starsze milczą, dumają snadź,
 Drużba pośpiesza obrączkę dać.
 Najmilsza z dziewic, najmilsza ta,
 Co prędką drużbom odpowiedź da.

ZUZANNA TOPIELICA.

WYPADEK Z 1809 ROKU.

BALLADA.

Zerwała groblę szalona fala,
 Szumi na błoniach, drzewa obala.

— O! jeszcze powódź łagodna dosyć,
 Ja brnąć potrafię, umiem przenosić;
 Matko, nim wzbiorą fale szalone,
 Ja cię przeniosę na drugą stronę.

— Och! Bóg nam przecię swą łaską świeci —
 Ja chora matka... i troje dzieci...
 Dzięki ci, dziewczę, dzięki losowi!
 Jużśmy zginąć byli gotowi!
 I młode dziewczę, ratując szczerze,
 Schorzałą matkę na barki bierze.

— Na suchym brzegu niech czeka dziatwa,
 Tak niedaleko, przeprawa łatwa;
 Czekajcie, dzieci, nim przyjdą fale,
 Ja wnet powrócę, ja was ocale!
 Grobla zerwana, szaleje fala,
 Wyrwa ziemię, drzewa obala;
 Zuzanna matkę przeniosła chorą,
 Ratować dzieci pośpiesza skoro.

— Ej, dokąd, dokąd? prózna odwaga!
 Fale wirują, powódź się wzmaga,
 Nurt cię pochwyci, młoda dziewczyno! —
 — Ja chcę ratować... oni nie zginą!

Grobla już tonie, szaleje fala,
 Szumi, jak morze, huczy z oddala;
 Zuzanna w wodę puszcza się śmieie,
 Przechodzi kładkę, brnie przez topiele,
 Już się zrównała z chatą sąsiada,
 Lecz unieść dzieci — daremna rada!

Powódź z łoskotem groblę obala,
 Ponad pagórkiem wiruje fala,
 Szumiąc i hucząc do morza leci,
 Unosi dziewczę i troje dzieci,
 Unosi wszystko — w mętnej topieli
 Oni już dawno zginąć musieli!

To się Zuzanna mignie nad wodą, —
 Któż uratuje dziewczynę młodą? —
 To w głąb wiruje, to się wyłoni,
 Lecz nikt z wioślarzy nie śpieszy do niej.
 Snadź jeszcze żyje — nim śmierć ją spotka,
 Gdyby choć czołno, gdyby choć łódka,
 Gdyby choć deska — prózna otucha!...
 Już leci w Niebo gwiazdka jej ducha!
 Groblę i pole powódź zalewa,
 Tylko gdzieś baszta, lub konar drzewa
 Wskazuje miejsce, gdzie ludzie żyli.

A nad topielą, z chwili do chwili,
Wznosi się widmo — czy wierzyć oku?
Postać Zuzanny jakby w obłoku.

Woda opada, kraj się zieleni;
Po topielicy ludzie strapieni...
I przepłakali, i zapomnieli,
I już jej pamięć jakby w topieli,
Szumiącą falą czasu przykryta...
Życia i śmierci nikt nie dopyta.

16 marca 1854. Borejkwoszczyzna.

PIEŚNIARZ.

— Kto tam do bramy kołace?
Kto tam zawodzi na moście?
Ja za piosenkę zapłacę,
Do sali pieśniarza proście!

Tak mówił król do swej świty;
Wybiegli paziowie młodzi,
I siwym włosem okryty
Harfista do sali wchodzi.

— Cześć pięknym damom i chwała!
Cześć wam, szlachetni panowie!
Co gwiazd w komnacie tej pała!
Któż ich imiona wypowie?
Widząc tę salę wspaniałą,
Aż moje oko się nuży;
Lecz teraz czasu za mało,
By rozpatrywać się dłużej.
I pieśniarz oko rozżarza,
I w struny harfy uderzy;
Damy słuchają pieśniarza,
Słucha go orszak rycerzy.
Królowi miła zaiste

Pieśń i postawa śpiewacza;
 Więc, aby uczyć harfistę,
 Złoty mu łańcuch przeznacza.
 Lecz starzec skromnie odpowie:

— Na co mi łańcuch w tej chwili?
 Niechaj go wezmą wodzowie,
 Co nieprzyjaciół pobili.

Niech kanclerz twojej pieczęci
 Złote ogniwa nabędzie;
 On się do służby zachęci,
 Przykuty na swym urzędzie.
 Ja śpiewam, jak ptaszek śpiewa,
 Co mieszka w gęstwi nad wodą;
 Pieśń, co się z piersi wylewa,
 Jest sama sobie nagrodą.

Ja się poprosić odważę
 O mą zapłatę jedyną:
 W czystym ze złota puharze
 Podajcie mi stare wino!
 Złocisty puhar nalany;
 Starzec wychylił go szczerze.
 Szczęśliwe gościnne ściany,
 Gdzie pieśniarz siły nabierze!
 I oddał pokłon królowi
 I panom skłonił się skromnie:

— Żegnajcie, bądźcie mi zdrowi,
 I czasem wspomnijcie o mnie!
 Królu, za łaski wylanie
 Niech ci Bóg hojnie zapłaci,
 I wam, panowie i panie,
 Coście szczęśliwi, bogaci!
 Za wszystko, co się korzysta,
 Dziękujcie Bogu co chwila,
 Jak wdzięczen stary harfista
 Za napój, co go posła.

PIEŚŃ
EMIGRANTÓW IRLANDZKICH.

Z angielskiego.

Łódź gotowa, trąbią na niej,
Ze odpływać czas!
Nikt nie idzie do przystani
Żegnać nas.
Śpiesz, wioślarzu, ku żegludze,
Prędeż, prędeż stąd!
By powitać morza cudze!
Obcy ład!
Obcy naród, gdy postrzeże,
Ze płyniemy doń,
Nie pośpieszy na wybrzeże,
By nam podać dłoń.
Gdy rzucamy ziemię własną,
Nikt nie roni łzy,
Bo za głodno i za ciasno
W naszej wsi.
W naszym kraju niwy żytnie,
Nie wystarczą nam:
Gdzie ryż rośnie, daktyl kwitnie,
Śpieszmy tam.
Ej, oddalmy się, oddalmy,
By ukoić głód,
Z cienia murów pod cień palmy
Zbierzmy cały ród.
Kraj daleki nas posiedzie,
Kędy lepszy plon;
Ale w piersi obraz będzie
Swoich stron.
Zapłaczymy, zatęsknimy,
Mimo lepszy świat,
Do surowej naszej zimy,
Biednych chat.

I nauczym nasze dzieci
 W wierze ojców rość;
 K'nam jaskółka gdy przyleci,
 Będzie miły gość.

1853. Wilno.

STARY ŻEGLARZ.

Z Coleridge'a.

I.

Na ucztę godową śpieszyli trzej goście,
 Gdzie czeka wesoła drużyna;
 Wtem żeglarz sędziwy spotkał ich na moście
 I długo coś gwarzyć poczyna.

I z gości jednego za rękę już bierze,
 By słuchał żeglarskiej przygody.
 — Puść, starcze... ja śpieszę, już dają wieczerzę,
 A moim jest krewnym pan młody.

Gość mówił, lecz ręki nie pozbył się starczej,
 Napróżno natręta odgania:
 — Idź precz, stary głupcze! mnie czas nie wystarczy,
 Bym słuchał twojego bajania!

Lecz żeglarz brzydkiemi nie zraził się słowy,
 Zmierzył go oczyma silnemi:
 Zmieszany, jak dziecko, biesiadnik godowy
 Pokorny wzrok spuścił ku ziemi.

Na ławie kamiennej, co stała w ustroniu,
 On usiadł, zajęty widocznie;
 A żeglarz sędziwy łzę gorzką uroni,
 I bając przygody swe pocznie.

*

*

*

— Podjęto kotwicę, fregata odpływa,
 Po sinej kołysze się fali,

Wybrzeże, i kościół, i wzgórek, i niwa
Maleją i nikną w oddali.

Dni płyną za dniami — od lewej wciąż strony
Żeglarze wschód słońca widzieli,
Co wieczór na prawo krąg jego czerwony
Zapadał w bezdennej topieli.

A codzien w południe rozpala się żarzy,
Goręcej od chwili do chwili;
Skwar wisi nad masztem, nad głową żeglarzy, —
Otośmy pod równik przybyli.

Zjawił się huragan i burza szalona,
Jak gdyby skończenie dni świata;
Ku stronie południa jej szturmem pędzona
Zbłąkała się nasza fregata.

W bok okręt odpływa pomimo sternika,
Po czarnej kołysze się toni,
I pędzi, jak strzała, jak gdyby umyka
Od jakiejś niewidnej pogoni.

Schyliwszy w bok maszty, wydawszy swe żagle,
Wśród ciemna, wśród burzy ze świstem,
Ku stronie południa pomyka się nagle,
Mocuje się z morzem pienistem.

Wtem ocean cały mgły gęste pokryły,
A fale mróz ścisnął przemocą;
I śniegów, i lodów kołysza się bryły,
Iskrami promienie migocą.

Jak oko obejmie, bez końca, bez granic
Zamarło oblicze przyrody;
Za nami, przed nami nie widać nic a nic,
Wciąż tylko śnieżyska i lody.

Okropny był widok... strach serca nam ściska,
A każdy się modli, ślub czyni,

Gdy tracę się i łamiąc, lodowe urwiska
Gruchocą, jak piorun w pustyni.

Lecz słuchaj... w mgle ciemnej, czy oko nie mam?
K'nam morski albotros przylata;
Jak zwiastun zbawienia okrążył nad nami;
Witaliśmy ptaszka, jak brata!

On zbratał się z nami, szedł prosto do ręki,
Usiadał na naszym pokładzie.
Wtem lody puściły, i Bogu już dzięki!
Nic tamy żegludze nie kładzie.

Przy wietrze z południa płyniemy na nowo,
A ptaszek nam w ślad towarzyszy,
Zwija się wśród żagłów, ulata nad głową,
Spuszcza się, gdy głosy posłyszysz.

Tak we dnie dodając otuchy, zabawy,
Nocował na masztach, nade mną;
Widzieliśmy ptaszka, gdy księżyc bladawy
Choć trochę rozwidni mgłę ciemną...

— Tyś zadrżał, żeglarzu? cóż dalej nie gwarzysz?
Co ci jest? — Ja zbrodnię zdziałalem:
Nasz wierny albatros, opiekun, towarzysz,
Legł, moim przeszyty wystrzałem.

II.

I smutno na morzu, jak gdyby w mogile, —
Twarz słońca posępna i blada
Z za kłębow mgły ciemnej zaświeci na chwilę,
I znowu w głąb morza zapada.

I wiatr południowy znów żagle rozdyma,
Znów płynie posępna fregata,
I wszystko tak samo; lecz stróża już niema,
Albatros nad masztem nie lata.

Po zbrodni zgyzotę Bóg zawsze przysyła:
Jam zbrodniarz — mówiło mi serce.

— Tyś szatan! piekielna niech skarże cię siła!
 Tyś zabił ptaszynę, co wiatr wywróżyła!
 Tak klęli żeglarze mordercę.

Lecz Bóg się zlitował — po długiej katuszy
 Zaświtał dzień dłuższy, jaśniejszy.
 U moich współbraci weselej na duszy,
 I moje przeklęstwo się zmniejszy.

Mówiono, gdym przyszedł do zgody powoli:
 — Ej, miałeś ty słuszość, nieboże!
 Albatros przeklęty był sprawcą niedoli,
 Sprowadził mgły gęste na morze!

A fala wiruje, a leci fregata,
 Szybuje pełnymi żaglami.
 Na morzu tamecznem, na końcu już świata,
 Nie pływał nikt pewno przed nami.

Wiatr ustał... fregaty już nic nie kołysz,
 I żagle na masztach powisły.
 Nastaly dni straszne spoczynku i ciszy,
 Najcichszy głos ludzki wyraźnie się słyszy,
 A trwoga przebiega umysły.

Na niebie lśni barwa ponura, miedziana,
 Przeraża widokiem zjawiska,
 A kula słoneczna krwią zda się nalana,
 Czerwone promyki wytryska.

W piekielnych męczarniach dzień po dniu nam świta
 Cisz martwa na całym przestworze,
 A nasza fregata stanęła jak wryta,
 Doczekać się wiatru nie może.

Nic wkoło nie widać... wciąż fala i fala;
 Nie wytrwać znojnego gorąca:
 Mordercze pragnienie wnętrzości rozpala,
 Choć woda fregatę potraça.

Porosty i zielska pływają po wodzie,
Pleśnieje mech jakiś zielony;
Na fali zgęstniałej i okręt, i łodzie
Obsiadły robactwa miliony.

Po nocy migają błędlive ogniki,
Jak gdyby mamidla szatana;
A połysk tych światel straszliwy i dziki
Swawoli po morzu do rana.

I śni się żeglarzom, upadłym na duchu,
Ze szatan igraszkę z nas czyni,
Ze naszą fregatę na krzepkim łańcuchu
Przykował do martwej głębin.

Pragnienie osusza i usta, i gardło,
Sprawuje męczarnię nieznana,
A w piersiach spalonych wołanie zamarło,
I usta zapiekły się pianą.

I starzy, i młodzi, i wszystko co żyje,
Przybiegli mi wyrok ogłosić:
Trup ptaszka, com zabił, czepiając na szyję,
Kazali na piersiach mi nosić.

III.

Dzień po dniu stoimy, czekając na zmianę,
A piersi osuszył skwar spiekły,
Głos w piersiach zaniemiał, a oczy jak szklane
Śmiertelnym się matem powlekły.

Dzień po dniu upływa... wtem zdala w błękicie,
Gdzie z niebem ocean się spływa,
Coś zdala mignęło... do serca jak życie
Wstąpiła otucha szczęśliwa.

Z początku jak plamka, jak chmurka biaława,
Przybliża się, rośnie i rośnie;
Już białym obłokiem wyraźnie się stawa,
I ku nam szybuje ukośnie.

Jak widma czyścowe, gromada żeglarzy
Snuje się nieczuła i głucha;
Ostatni rumieniec ucieknął nam z twarzy,
A z serca ostatnia otucha.

Zamarły mi piersi, gdym los nasz szczęśliwszy
Chciał biednej zwiastować drużynie.
Ugryzłem się w rękę... krwią usta zwilżywszy,
Krzyknąłem: że okręt k'nam płynie.

I wszyscy na pokład gromadzim się, kupim,
Z radości oszaleć się zdajem,
A z oczu, co blaskiem migają już trupim,
Łzy hojnym trysnęły ruczajem.

Patrzajcie! jak leci... jak pęd jego żywy!
Dziś nasze męczarnie się skończą!
Lecz oczy nie mylą... o cóż to za dziwy!
Bez wiatru żegluje tak rączo!

Lecz promyk nadziei, co błysnął nieśmiało,
Przyświecił — i zgasnął po chwili,
I zimnem grobowem znów serce zdrętwiało,
Głowiliśmy jak na śmierć spuścili.

Dni płyną powoli... co wieczór, co rana
Jutrzenka płomieni się złota,
A kula słoneczna krwią zda się nalana,
Czerwonym promieniem migota.

A nasza fregata wśród martwej przestrzeni
Bez ruchu, bez iskry nadzieje,
Wśród dziwnych igraszek promieni i cieni
Piętrzy się, wyrasta, czernieje.

A maszty olbrzymie wysterkły nad falą,
Jak gdyby rząd cieniów ponury,
Jaskrawym odbłaskiem czerwienia się, palą
I żagle, i liny, i sznury.

I znowu coś widzę... czy morskie to dziwa?
 Czy widmo z urojeń odmętu?
 Po fali drzemiącej coś ku nam podpływa —
 To szkielet jakiegoś okrętu.

A wszystkich w okręcie sen objął grobowy,
 Nikt żywy się na nim nie ruszy;
 Nie słychać ni szmeru, ni żadnej rozmowy —
 Czyż niema człowieczej tam duszy?

Lecz oto postrzegam: na pokład wypada
 Niewiasta w grobowej odzieży,
 Jak widmo ponura, i straszna, i blada,
 Na widok jej włos mi się jeży.

A przy niej ktoś drugi... spogląda jak żmija,
 Spojrzenie jak ogień mu pała.
 Aż duszę przytłacza, aż serce przebija
 Żrenica błyszcząca, skostniała.

Co znaczy ten szkielet bez ciała przykrycia,
 A przy nim ten drugi duch błady?
 Dwa duchy złośliwe, i śmierci, i życia,
 Płynęły do naszej osady.

Ich okręt k'naszemu przyplłynął w tej chwili,
 Pokłady zetknęły się z boku;
 Duchowie stanęli i losy rzucili,
 My drżący czekamy wyroku.

Los na mnie cisnęli. -- Duch życia kość miota,
 Wyciągnął kość z dobrą otuchą:
 — On do mnie należy -- nie straci żywota!
 I śmiał się szyderczo a głucho.

Zagasnął blask dzienny, noc smutna zapadła,
 Na niebie jutrzeńka ściemniała,
 A szkielet okrętu, niosący widziadła.
 Odplłynął pospiesznie jak strzała.

Zwątpienia rozpaczy nam serce obsiadły,
 Nastąpiły godziny męczarni,
 Nasz sternik u rudła znękany, wybladły,
 Siadł milcząc przy małej latarni.

I gwiazdy zabłysły, i księżyc z topieli
 Swą głowę czerwoną wychyla.
 Żeglarze gotowi już na śmierć stanęli,
 Bo straszna zbliżyła się chwila.

A cała załoga, żeglarzów ze dwieści,
 Na pokład wywlekła się tłumnie;
 A wszystkie spojrzenia z przeklęctwem boleści
 Straszliwie zwracały się ku mnie.

I jeden po drugim nieszczęśni skonali —
 Słyszałem ich jęki grobowe!
 Jam został przy życiu, by dręczyć się dalej,
 By przyjąć przeklęctwo na głowę.

IV.

Straszno mi z tobą, żeglarzu stary,
 Ognia twych źrenic nie mogę znościć:
 Masz dziką postać grobowej mary,
 Twojej powieści już mam zadosyć.
 Puszczaj mię, starcze!

Nie bój się, bracie!

Nie jestem trupem ni widmem sennem,
 Nie zatonałem w morzu bezdennem,
 Zostałem jeden w całej fregacie,
 Zostałem jeden na całe morze
 Czekać na słuszny zgon zbrodniarzowi,
 Gdzie nikt mi oczu zamknąć nie może,
 Gdzie nikt pacierza po mnie nie znowi.
 Wokoło życie: spojrzę w głębinie —
 Tysiącem istot aż kipi fala;
 Spojrzę na pokład — tu śmierć jedynie,
 Wszędy stos trupów drogę zawala.

Spojrzę ku górze, kędy maszł sterczy,
Kędy bez wiatru żagle powisły.
Chciałem się modlić, lecz duch bluźnierczy
Zmroził mi piersi, odurzył zmysły.
Znosić męczarni nie mogę dalej,
Gdy zamknę oczy, wciąż mi się marzy
Błękit niebieski, równina fali
I stopy trupów biednych żeglarzy.
A twarze trupów groźne, złowieszcze,
To posiniałe, to z barwą bledszą;
Straszne ich oczy, otwarte jeszcze,
Z groźnem przeklęctwem na mnie się patrzą.
Ciężki mieć musi kamień na duszy,
Kogo sieroca przeklnie drużyna;
Ale boleśniej wytrwać w katuszy,
Kiedy spojrzenie trupie przeklina.
Siedem dni trupy patrzyły we mnie,
Siedem dni śmierci-m błagał daremnie.
Lecz oto księżyc wschodzi z oddali,
Przy nim rój nocnych gwiazdek połyska;
Po modrem niebie, po modrej fali
Zamigotały drobne ogniska;
Ponad równiną jakby śnieg lata,
Srebrzą się, gorą żwawe promyki.
A tu, gdzie stoi martwa fregata,
Błyśnie, to zgaśnie meteor dziki;
Jakby się pastwiąc nad mą niedolą,
Krwawym połyskiem źrenice muska;
Dokoła węże morskie swawołą,
Mieni się, złoci srebrna ich łuska.
Szczęśliwe zmij! po tysiąc razy!
Czułem, że zazdrość serce mi bodzie:
Za cóż, mój Boże, te podle płazy
Mogą się pluskać w rodzinnej wodzie?
I w duszy mojej znów się ocknęła
Święta modlitwa i miłość Boża;
Wielbiłem Stwórcę, patrząc na dzieła,

Kląkłem u tronu Jego podnoża.
A gdy modlitwa, jak święta rosa,
Skalaną grzechem duszę obmyje,
Upadł do morza trup albatrosa,
Co uczepiono na moją szyję.

V.

I sen posilny ożywił w porę
Duszę znękaną i ciało chore,
Przecię poczułem, że żyję.
Modlitwą rzewną i Izą rześistą
Począłem wielbić Pannę przeczystą,
Matkę boleści, Maryę.

Spałem, a piersi tchnęły swobodą;
Śniłem, że widać brzeg ziemi:
Sterniki okręt bezpiecznie wiodą,
I stoją stągwie ze słodką wodą,
Ja piję pierśmi pełnemi.

Wtem się ocykam, patrząc: deszcz leje,
Poglądam wkoło ciekawie;
Do serca weszły słodsze nadzieje,
I piłem wodę na jawie.

Śmieję się, płaczę, sobie nie wierzę,
Czy jeszcze żyję... czy płynę...
Czy może dusza w nadziemskiej sferze
Ku swemu Stwórcy kierunek bierze
I leci w duchów krainę.

Zaszumił wietrzyk, morze oddycha,
Skończył się spokój ponury...
Zdaje się wieje z daleka, z cicha,
Jednak fregatą waha, kołycha,
Zadrgały liny i sznury.

Zagle powoli wzdymać się poczną,
Wieją z szelestem, ze świstem;

Księżyc się ukrył w chmurę obłoczną.
 A chmura w stronę okrętu boczną
 Lunęła deszczem rześistym.

I błyskawica jak wąż z oddali
 Mignęła z głębi przestworza,
 Zdaje się niebo i woda pali,
 Piorun przeleciał nad garbem fali
 I z gromem buchnął do morza.

Piorun po chmurze zygzaki pisze,
 Grzmoty łoskoczą w przestrzeni.
 Fregata leci, — cóż to ja słyszę?
 Stękają trupy!... czyż towarzysze
 Byliby ze snu zbudzeni?

Jakby poranna biła godzina,
 Powstali ze snu ocknięci,
 Każdy robotę swą przypomina,
 Jeden na maszcie żagle rozpina,
 Drugi powrozy rozkręci.

Snują się cicho, jak widma w bieli,
 Lecz cóż się dzieje z ich duszą?
 Wszyscy w milczeniu usta zacięli,
 Żaden na stronę okiem nie strzeli:
 Snadź to upiory być muszą!

Tu było jedno drogie oblicze,
 Syn mego brata jedyny:
 Próżno doń mówię, daremnie krzyczę, —
 On, milcząc, jakby widmo zwodnicze,
 Naciąga sznury i liny...

Straszno mi, starcze! nie mów mi więcej,
 Puszczaj mię, duchu z otchłani!
 Nie bój się, bracie! słuchaj gorącej:
 Bo to nie widma, nie potępieńcy,
 Lecz byli Pańscy wybrani.

Jutrznianym blaskiem opromienieni,
Wokoło masztu stanęli.
Słucham... z pośrodku skupionych cieni
Niebiańskie Hymny płyną w przestrzeni,
Jakby śpiewali anieli.

Hymn, który wtedy z ich ust słyszałem,
Wiecznie do Niebios przywabi.
Pomimo burzy kipiącej szalem,
Pieśń królowała nad morzem całym,
Płynęła głośniejsz, to słabiej.

To jakby z chmury na rozświt dzionka
Sto ptasząt wiedzie swe trele,
To jakby strumień w kamykach brząka,
To jakby rzeźwy szczebiot skowronka
Ponad falami się ściele.

To się rozplywa, to chórem splecie
Coraz donośniej i słodziej,
Jakby niewinne szczebioce dziecię,
Jakby na harfie albo na flecie
Ktoś dźwięcznej nuty dochodzi.

Ucichły śpiewy, pobiegły tony
K'dalekiej Niebios krawędzi.
Lecz siłą duchów okręt popchniony
Płynie pod wiatrem w dalekie strony,
Dalej a dalej wciąż pędzi.

Ale duch morski strony polarnej
Znowu za rudel pochwyta:
Pęd się zatrzymał wpośród mgły czarnej —
Chwytam się rudla... wysiłek marny...
Fregata stoi, jak wryta!

A ręka silna duchów --- mocarzy
Wstecz ją zawraca, popycha;
Płyniem pod równik, gdzie zgon żeglarzy,

Gdzie krwawe słońce ogniem się żarzy,
A niebo skwarem oddycha.

Znów stanął okręt — pali spiekota,
Znowuśmy w ciszy zagrzęźli;
Słońce, jak gdyby żywa istota,
Skacze po niebie, targa się, miota,
Jak gdyby rumak na trzęsli.

Krew mi gorąca zaląła skronie,
A pulsa biją, jak fale,
A biedna głowa pali się, płonie;
Czułem, że mdleję, że się pośloneję,
Że się na pomost powalę.

VI.

Nie wiem, czy długo tak bezprzytomnie
Leżałem, jakby umarły...

Wtem dziwne głosy słyszę koło mnie,
Co się do ucha przedarły.

Jeden głos mówił, dobrze słyszałem:
Przypatrz się, bracie, tej twarzy!
Czy to pod jego zabity strzałem
Albatros, ptaszek żeglarzy?

Silny duch morski polarnej strony
Tak lubił drobnego ptaszka!
Srogi morderca będzie zemszczony:
Bo straszna z duchem igraszka.

Duch jeszcze zemstę ku niemu chowa,
Drugi głos na to odrzecze:
Kara straszliwa, kara surowa
Cięży na tobie, człowiecze!

Powiedz mi, bracie, czemu śpi morze?
Kiedy dni ciszy się skończą?
Czemu fregata po fal przestworze
Śpieszy na północ tak rączo?

Jako niewolnik, co pana słuca,
 Pełni w milczeniu swe straże,
 Tak fala morska, nim się rozrucha,
 Czeką skinienia Wiecznego Ducha,
 Dokąd popłynąć jej każe.

Ale dlaczegoż, gdy fala cicha,
 Tak szybko płynie fregata?
 Bo siła duchów rudel popycha,
 I jej żaglami pomiata.

Lecz dajmy pokój błędnej fregacie,
 Nie budźmy ze snu tych ludzi.
 Lećmy ku gwiazdom, lećmy, mój bracie!
 Wkrótce się jutrznia obudzi.

*

*

*

I jam się ocknął — my wciąż płyniemy,
 Żeglarze znowu strupieli.
 Przy masztach orszak głuchy i niemy
 Legł na śmiertelnej pościeli...

Jedni u masztów, drudzy u rudli,
 Każdy zakostniał, jak skuty,
 Wszyscy zsiniali, bladzi, wychudli,
 W ich oczach ciężkie wyrzuty.

Wpółrodku trupów, jak duch sierocy,
 Snuję się jeden i trwożę,
 Jako wędrownik, kiedy wśród nocy
 Zabłądzi w leśne bezdroże,

Pędzi, gdzie wiedzie przecucie wieszce,
 A zbójcy lecą tuż za nim...
 Straszno iść naprzód, lecz straszniej jeszcze,
 Kiedy się cofniem lub staniem.

Lecz oto słońce nie tyle skwarzy,
 Wietrzyk zadmuchał dokoła;

Czułem, jak gdyby po mojej twarzy
Musnęło skrzydło anioła.

A bieg nasz równy i jednakowy
Ponad ciemnymi odmęty;
Jakby po gładkiej szybie lodowej
Ślizgał się okręt popchnięty.

A tu sny piękne, a tu sny świeże
Igrają z memi oczyma:
Widzę z daleka ziemne wybrzeże,
Latarnia morska przystani strzeże —
To moja ziemia rodzima!

Oto kościółka dzwonnica stara,
Tam moja chatka na smudze...
Boże mój, Boże! jeśli to mara,
Niechaj się nigdy nie zbudzę!

To nasza przystań — o jak tu pięknie!
Na brzegu bawią się dzieci.
Oto sie zaraz chmurka rozpęknie,
A księżyc widniej zaświeci.

Zaświecił księżyc — o góry moje!
Jak rozjaśniascie swe czoła!
Jak cudnie biją światelek roje
W wieże naszego kościoła!

W rodzinnym porcie, u krańca głębi
Sama stanęła fregata,
A z ciał nieżywych, jak rój gołębi
Duch ku Niebiosom ulata.

A każda dusza jasna, gwiazdzista,
Przy każdej Pańscy Anieli,
Ręce na piersiach, twarz uroczysta,
Znaczno, że w Panu posnęli.

O! nie wypowiem, jak było błogo!
Już mi sen powiek nie klei,

Piersi uczuły, że wytchnąć mogą,
 Dusza, zabójczą miotana trwogą,
 Znowu odżyła w nadziei.

Jenom się lękał, że mara słodka
 Znowu w kraj senny uciecze...
 Lecz oto widzę: podpływa łódka,
 Na niej postaci człowiecze.

Gdy dusza świętą radością pała,
 Drżąc, że się ze snu obudzi,
 Podpływa łódka — pędzi jak strzała,
 A na niej siedzi trzech ludzi.

Młody parobczak wiosłem zajęty,
 Przy nim dwaj siedzą starcowie:
 Rybak... a drugi Pustelnik święty,
 Bo naród świętym go zowie.

Znam jego postać, znają sąsiedzi:
 Mieszka w dolinie pod wioską,
 Naucza wiary, słucha spowiedzi,
 Wlewa pociechę ojcowską.

O! szczęście, szczęście Bóg mi nadarzał!
 Starzec odpuści me winy,
 On zdoła obmyć ręce zbrodniarza
 Ze krwi niewinnej ptaszyny.

VII.

Klecona z chróstu, samotna i dzika,
 Do skał przyparta chata pustelnika.
 On w dzień, pracując, Najwyższego chwali,
 W nocy mu dosyć kamyka pod głowę.

Lecz oto wiosła pluchocą w oddali,
 I słyhać cichą rybaków rozmowę:
 — Gdzie się podziały te świetlane smugi,
 Którymi była zatoka okryta?
 — To dziwne rzeczy! — odpowie głos drugi —
 Że z tej fregaty nikt nas nie powita!

— Patrzaj, jak żagiel na masztach opada.
 A liny glucho skrzypią na żelazie;
 Czyżby to cała wymarła osada,
 A okręt samych nieboszczyków wiezie?
 — Strach mi! aż włosy jeżą się na głowie!
 Drżącemi dłońmi nie utrzymam wiosła!
 — Bóg z tobą, starcze! — pustelnik odpowie —
 Opatrzność Pańska tutaj nas przyniosła.

*

*

Lódka podpływa... wtem — słyszę... o biada!
 Rozległ się łoskot i huk tak ponury,
 Jakby się piekiel zatrzęsa posada,
 Jakby sto gromów uderzyło z chmury,
 I... na dno morskie fregata się spuści,
 Pożarta wirum bezdennej czeluści.

VIII.

Zgłuszon łoskotem, nic nie wiem, nie pomnę,
 Jakem się ocknął na rybackiej łodzi;
 Wkoło spojrzenie rzucam nieprzytomne:
 Lódka wiruje po szumnej powodzi,
 Nad którą jeszcze świeża piana lata,
 Gdzie zatoneła nieszczęsna fregata!

Chwyciłem wiosło i całemi siły
 Grzmocę po fali — łódź żwawiej umyka.
 Oczy rybaków na mnie się zwróciły,
 Widziałem przestach w twarzy pustelnika.

— Kto to? mój ojczel! — spyta rybak młody —
 Czy trup? czy szatan, co w piekło zabierze?
 Nawet pustelnik struchlał siwobrody,
 Ruszał ustami, snadź mówił pacierze.
 A lódka żwawo płynie po zatoce,
 Ja silnem wiosłem po odmętach grzmocę.

Lódź przy płynęła, pierś wolniej oddycha
Powietrzem łądu, gdzie rzeźwo i chłodno.
— Poczekaj, ojcze! — jęknąłem do mnicha, —
Wysłuchaj spowiedź grzesznika niegodną.
Niechaj cię moja pokuta poruszy:
Daj rozgrzeszenie, daj spokój mej duszy!

— Powiedz, kto jesteś, o synu pokuty? —
Spytał mię starzec, pobłogosławiwszy.
Jam zbrodni mojej dał obraz najżywszy,
Skreśliłem wszystkie sumienia wyrzuty,
I otworzyłem duszę aż do głębi,
Wyznałem rozpacz, co mi serce gnębi.

A głos mój drżący, a mowa się miesza,
Coś tłoczy piersi z niepojętą siłą;
Gdym skończył mówić, kiedy mnich rozgrzesza,
Tchnąłem swobodniej, i lepiej mi było.
Odtąd mię krzepi modlitwa i praca,
Lecz znów do serca tęsknota powraca.

Gdy boleść serce naciśnie ołowiem,
Idę, zaczepiam przechodniów na drodze,
Wyrzuty serca po trochu łagodzę,
Gdy komukolwiek me dzieje opowiem.
Zgaduję z twarzy liściowych ludzi,
W kim moja spowiedź współczucie obudzi.

Czy słyszysz gościu, weselne rozgwary?
Ogród się pieśnią i tańcem ożywi,
I piją zdrowie zaślubionej pary, —
Jakże tam ludzie muszą być szczęśliwi!
Słyszysz jęk dzwonu? on mi przypomina,
Że już wieczornej modlitwy godzina.

Niechaj uczują weseli i zdrowi,
Dla mnie rzewniejsze i słodsze wesele,
Gdy się spowiadam dobremu człekowi,
Lub gdy się z ludźmi pomodłę w kościele.

Tu widzę Boga w litośnej postaci,
Tu jestem bratem chrześcijańskiej braci.

Rzewniej się modłę, goręcej zapłacę,
Współ z drugimi gdy w kościele klęczę,
Gdzie przy nędzarzach modlą się bogacze,
Gdzie orszak starców i roje młodzieńcze,
A wszyscy równi: bo równe ich prawa,
Gdy dziatwa ojca wspólnego wyznawa. —

Wstał, bo modlitwy nadeszła już chwila,
A w oczach jego świecił spokój ducha.
Gość się zadumał i głowę pochyła,
Tak go zajęła przygoda, co słucha.
Rozważył w duszy każde starca słowo
I już nie poszedł na ucztę godową.

Dziwna mu w myślach toczyła się wojna,
Jakby na głowę wziął ciężar nad siły.
Cała noc jego była niespokojna,
Bo się sny dziwne i straszne roiły;
Lecz gdy się głowa uspokaja chora,
Ocknął się lepszym i mędrszym niż wczora.

1855. Borejkowszczyzna.

PTAKI WĘDROWNE.

(Myśl ze Stagnellus'a).

Widzisz ten ptaków rój niezliczony,
Który porzuca północne strony.
Leci, gdzie wzywa nieznana sfera,
I smutnym krzykiem wiatry rozdziera:
Gdzie nas posyłasz o dobry Boże!
Na jakie brzegi, za jakie morze?

Kraj skandynawski rzucamy w dali,
Tuśmy zrodzeni, tu byli mali,

Mieliśmy gniazdka w kwitnącej lipie,
Wiatr nas bywało kwieciami osypie,
Huśta w gałązkach, — dzisiaj od zimy
W strony nieznane lecieć musimy.

W lasach północnych noc tak wspaniała,
Że do snu nawet chętką nie brała,
Że od zamierzchu aż do jutrzeńki
Drżały w powietrzu nasze piosenki,
Drżały piosenki naszych rozkoszy,
Póki ich ostre słońce nie spłoszy.

Bywało z bujnych konarów drzewa
Hojnie na trawę rosa się zlewa;
Dziś dąb bez liści, rosy zakrzepły,
Uciekł przed wiatrem nasz wietrzyk ciepły,
Złocisty kwiatek już nie wykwita,
Trawka zielona śniegiem pokryta.

Dziś nas północne lęka powietrze,
Niebo chmurniejsze, słońce tu bledsze;
Co mamy śpiewać? co tu wygwarzym,
Kędy po wiązach bujna a młoda
Bóg nam dał skrzydła, ulećmy w stronę...
Witajcie, morskie fale wzburzone!

Tak pożegnawszy północ zamarią,
Ptactwo do lepszych brzegów dotarło,
Kędy po wiązach bujna a młoda
Wije łodygę winna jagoda,
Gdzie w kwiatach strumyk brzeczy z kolei
Piosnkę radości, piosnkę nadziei.

Gdy radość ziemską w smutek się zmieni,
Gdy poczną jęczeć wichry jesieni,
Nie boleć, duszo! Tam za morzami
Piękniejsza strona ciebie przymami,
Tam poza grobem, wiośniana krasa,
Poranne słońce nigdy nie zgasa.

PIEŚŃ

RYCERZA NORWESKIEGO HAROLDA.

DO ELŻBIETY, CÓRKI JAROSŁAWA, KS. KIJOWSKIEGO.

Na lekkich łodziach, zakuci w zbroi,
Wzięli Sycylię bojacy moi.
Piękne wspomnienia dni pięknej chwały!
Czarny mój okręt biegł po topieli,
Silnie po falach wiosła grzmotały,
A mężni ludzie na nim siedzieli.
Gdzie kipią boje, gdzie szcęk oręża,
Tam szukam szczęścia, tam je znachodzę;
Ale nie zawsze chrobry zwycięża:
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Zwracałem niegdyś mój zapal młody
Na Drottenheimu bitne narody;
A liczni byli nieprzyjaciele,
A krew potokiem biegła po drodze, —
Młodego króla już trupem ściele...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Raz my w szesnastu płyniem na łodzi, —
Kiedy straszliwa burza nadchodzi —
Łódź nam zalała fala topieli,
Lecz służy szczęście naszej załodze:
Wodę wyleli i ocaleli...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Czegoż potrzeba do mojej chwały?
Jam w bitwie chrobry, jeździec wytrwały,
Ślizgawka w łyżwach moje rzemiosło,
Oszczepem trafnie do celu godzę,
Ja pływam lekko, znam jak brać wiosło...
Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Czy moje czyny nieznane od niej,
 Jakem bojował w stronie zachodniej,
 Jakiem tam bitwy wygrał niezłomnie,
 Z jakimi plony stamtąd odchodzę,
 Jakie pamiątki zostały po mnie? —
 Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Zrodzony w górnej norweskiej ziemi,
 Gdzie słyą z łuków strzały celnemi,
 Chciałem spróbować morskiej żeglugi,
 Strasznej dla synów skalnych wybrzeży, —
 Ocean wszystek szeroki, długi,
 Oto mój okręt krokami mierzy.
 Byłem, gdzie żaden dotrzeć nie może,
 Świat niemieszkalny przebiegłem w drodze;
 Lecz cóż mi chwała moja pomoże?
 Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

1855. Wilno.

B A B U N I A.

Z Andersen'a.

URYWEK.

Nasza babunia stara, pomarszczona, siwa,
 Ale oczy jej blaskiem migocą się jeszcze,
 I piękne historyjki z pamięci dobywa.
 Jej suknia w duże kwiaty jak nowa szeleszcze.
 Babunia wiele umie i wiele pamięta,
 Bo gdzie starsza od ojca i od naszej matki!
 U babuni jest książka do modlitwy święta,
 A w tej książce dębowe z klamrami okładki.
 Między kartami książki, zerwana za młodu,
 Spłaszczona, zeschła róża troskliwie się chowa,
 Nie tak piękna, nie świeża, jak róże z ogrodu,
 Lecz, widząc ją, babunia zapłakać gotowa.
 Pocóż nasza babunia tak starannie strzeże

W książce od nabożeństwa kwiat żółkły nieładnie?
 Czemu, gdy na tej książce odmawia pacierze,
 A na zawiędły kwiatek jej łezka upadnie,
 Kwiat odzyskuje barwę, nabiera swej woni,
 Twarz babuni młodnieje, rumieni się, biele,
 Słońce ją opromienia, uśmiecha się do niej,
 W domku poweselało i w sercu weselej?
 Ot... młodnieje, młodnieje, rzekłbyś dziewczę hoże,
 Ze świątłymi włoskami, krasnemi jagody,
 I kwiatek z sianożęci być świeższym nie może.
 Mniema, że przy niej siedzi narzeczony młody,
 On jej darował różę, ona się uśmiecha,
 Z tym niewinnym uśmiechem, jak dziecku, jej ładnie.
 Odjechał — tysiąc dumań przedumała z cicha.
 W książkę do nabożeństwa znów swą różę kładnie,
 Zasiada w staroświeckie krzesło na ostatek,
 Twarz jej się znów pomarszcza, oko już nie pała,
 Jeszcze raz popatrzała na zawiędły kwiatek,
 Książka jej z rąk wypadła — babunia skonała.

1860. Wilno.

GWARINOS.

STARA HISZPAŃSKA BALLADA.

I.

Ej, Francuzi, czyż nie boli
 Roncewalska was przegrana?
 Padli trupem lub w niewoli
 Bohatery Karlomana...

I Gwarinos stracił wieńce
 Dawnych zwycięstw skroni męskich,
 Dzień potyczki dał go w ręce
 Siedmiu królów saraceńskich.

Kość rzucili siedem razy,
 A los jedno wciąż stanowi:

I Gwarinos siedem razy
Przysądzony Marlotowi.

Król z radością jeńca bierze,
Bo on droższy mu od złota,
— Słuchaj — mówi — słów Marlota,
Chrześcijański bohaterze!

Zrzuć z twych piersi krzyż ten słaby,
Przyjmij świętą cześć proroka,
Będiesz wodzem nad Arabów
I żrenicą mego oka.

Dam ci skarby niezliczone,
Odziedziczysz tron mój w spadku,
Jedną córkę bierz za żonę,
Drugą oddam ci w dodatku.

— Cześć ci królu, za twe słowa,
Za twe łaski, za twe dary;
Lecz niech Chrystus mię uchowa
Od przyjęcia twojej wiary!

Nie chcę żony, łask. nadziei,
Nie chcę Maurów wieść na boje;
Z tamtej strony Pirenei
Król, kochanka, wszystko moje...

Złość okrutna wstrzęsła Maura...
— Gardzisz złotem, szczęściem, władzą!
Niech mi zaraz tego gjaura
Do więzienia zaprowadzą!

W najstraszniejszy loch pokuty
Niech zawiedzie go odźwierny!
W sześć łańcuchów mocno skuty,
Niechaj gnije pies niewierny.

A gdy święte dni nadbiegą,
Zwołać trąbą naród mnogi,
I gdzie ulic cztery drogi,
Smagać do krwi niegodnego!...

II.

Płyną lata!... on w ciemnicy.
Przyszedł dzień świętego Jana,
Dzień to święty bez różnicy
Dla Araba i Hiszpana.

Składa modły tłum narodu
I w meczecie, i w kościele,
Syn Zachodu i syn Wschodu
Po ulicach kwiaty ściele.

Król Marlotes siadł w purpurze
I przygląda się weselu;
Kazał tarczę przybić w górze,
Rzucać kopię do celu...

Kilka godzin już igrzyska,
Nikt nie trafił w celu oko;
Każdy Arab włócznię ciska,
Ale meta za wysoko.

Gniew na króla osiadł czole,
Ogień w oku, groźba w mowie,
I straszliwą jego wolę
Ogłaszają heroldowie:

— Ssać nie mogą niemowlęta,
Jeść ni pić usta niczyje,
Póki meta nie jest tknięta,
Póki tarczy kto nie zbije!

Powstał w mieście okrzyk dziki,
Aż pod ziemię jęki płyną.

— Ach! co znaczą te okrzyki? —
Sam do siebie rzekł Gwarino:

Czy to radość jakaś żywa?
Czy się żeni kto z królewną?
Albo trąba lud przyzywa
I mnie smagać będą pewno!

Maur, podziemnych stróż sklepieni,
Rzekł mu na to: — Jesteś w błędzie,
Nikt z królowną się nie żeni,
Ciebie smagać nikt nie będzie.

Dzisiaj wielkie Jana święto,
Ciska włócznie młodzież nasza;
Dotąd celu nie draśnięto,
A król gniewny tak ogłasza:

Niech nikt nie je, ani pije,
Ani starzy, ani mali,
Póki mety kto nie zbije,
Póki tarczy nie powali!

Więc Gwarinos drży tajemno:
— Ej, strażniku, gdyby zbroja!
Gdyby śnieżny koń mój ze mną
I stalowa włócznia moja!

Włócznia, co służyła godnie
W Karlomana świętej sprawie!...
W zakład głowę moją stawię —
Zbilbym tarczę niezawodnie!

— Jakto? ufasz twojej ręce?
Twojej sile? twemu oku?
W tej katuszy inni jeńce
Nie przeżyli ani roku...

Twoją szyję w ciężkiej sforze
Siedem lat już łańcuch mula...
Chcesz? pobiegnę wraz do króla
I żądanie tve przełożę.

Stróż zatrzasnął stalne wrota,
Aż zawyła podziem głucha,
I pośpiesza do Marlota,
I tak szepce mu do ucha:

— Ten Gwarinos, co w sklepisku
Siódmy rok w kajdany dzwoni,
Chce zbić tarczę na igrzysku,
Prosi swego konia, broni.

Król zakrzyknął: — On? w tej chwili?
Jeszcze w lochu nie zgnił marnie?
Chyba żeście mu szczędzili
Głodu, więzów i męczarnie?

Niech tu przyjdzie! hola strażel!
Dać mu jego strój orężny!
Gdy go dźwignie, cud pokaże
Jeden więzień niedołączny!

Zbroję więźnia rdza przejadła,
Koń lat siedem piasek woził;
On, podobny do widziadła,
Szedł przed króla... okiem groził...

I uzbroił się z pośpiechem,
Dosiadł konia... przejrzał broni...
A Marlotes parskął śmiechem:
— No! obaczym cud twej dłoni...

Twarz wybladła i znędzniała
Wnet się płoni i rozchmurza,
Więzień ożył... męstwem pała...
Ruszył w harce, jako burza...

Rumak zadrzał... bo widocznie
Wspomniał bitwy, poznał pana;
Więzień silnie cisnął włócznię, —
Spadła tarcza potrzaskana...

Powstał gwar zazdrosnej wrzawy,
W górę mieczów błysło wiele;
Ale miecz Gwarina rdzawy
Naokoło trupy ściele.

Silnie konia spał ostrogą...
 Stary koń w podkowę dzwoni,
 Maury w pogoń lecą drogą...
 Więzień umknął od pogoni.

Dobiegł Francyi, — tam go szczerze
 Spotkał wiernych tłum wasali,
 Tam go damy i rycerze
 Z uwielbieniem powitali.

1848. Załącze.

G R A C Z E.

FORMA I MYŚL Z PUSZKINA.

Zasiedli stołem:
 Każdy nad stołem
 Wsparty,
 A każdy w wiście
 Bił zamaszczyście
 Karty.

I tylko czasem
 Przerwą hałasem
 Ciszę:
 Każdy na desce.
 Kredą po kresce,
 Pisze.

I wiodą spory:
 Lewy! honory!
 Krzyczą;
 I znowu w szyki
 Trefy i piki
 Liczą.

Po każdym obrze
 Stuknęli dobrze
 Starki;

I znów nad stołem
Zwiesili społem
Karki.

1846. Załucze.

O R Z E Ł.

Z PUSZKINA.

Za kratą, za lochu grubymi murami,
Ja orzeł zamknięty, strzeżony, —
Mój smutny towarzysz, trzepocąc skrzydłami,
Pod oknem łup krwawy chciwemi rwie szpony.

Rozdziera, pożera i patrzy w loch dziki,
Jedną myśl, jedną chęć w naszych duszach niecim,
Przyzywa mnie głosem, przyzywa mnie krzyki,
I zdaje się mówić: Ulecim! ulecim!

My ptaki swobodne, już pora, jedyny!
Gdzie góry za chmury wierzchołkiem sięgają,
Gdzie obce za morzem sinieją krainy,
Gdzie wiatr tylko igra i orły bujają!

1847. Załucze.

LAIK KLASZTORNY.

Z LERMONTOWA.

Kosztując, skosztowałem . . . trochę miodu,
a oto ja umieram.

Księgi Król. I, r. XIV, w. 48.

I.

Kędy Aragwa i Kura, dwie rzeki,
Jakby dwie siostry, na gruzińskiej niwie
Łączą się z sobą i płyną burzliwie,
Był stary klasztor niedawnemi wieki.
I dotąd jeszcze wędrownik postrzeże
Jakieś zwałiska czerniejące zdala,

Cerkiewne ściany, i wysokie wieże,
 I szkieleł bramy, co w gruz się obala.
 Lecz pod sklepieniem cerkiewnej zaciszy
 Pieśni na jutrznię już nikt nie posłysz,
 Już dym kadzidła wśród Pańskiej ofiary
 Nie bucha wonnym kłębem z trybularzy;
 Jeno pustelnik, dziad siwy i stary,
 W pustem zwalisku pozostał na straży.
 Starzec już dawno zapomnian od świata,
 Śmierć zaponniała wziąć go do mogiły;
 A ów z nagrobków staroświeckie pyły
 I mech odwieczny otrząsa i zmiata.
 A na grobowcach przedstawia się oku
 Pamięć i napis chwały ominionej:
 Że jakiś mocarz, któregoś tam roku,
 Znużon ciężarem swej pańskiej korony,
 Oddał ją Rusi...

A Bóg od tej chwili
 Błogosławieństwo na Gruzińców spuszcza,
 W cieniu rozkosznych ogrodów odżyli,
 Nie straszna dla nich nieprzyjaciół tłuszcza,
 Bo żyją pewni, że ich zabezpieczy
 Niezłomna ściana przyjacielskich mieczy.

II.

Tędy na Tyflis jednego coś razu
 Jechał wódz ruski od gór Kaukazu,
 Z nim było dziecię zabrane w niewolę.
 W długiej podróży zasłabło pacholę.
 Chłopczyzna mały i wątłej natury
 Liczył sześć latek, gdy zapadł w niezdrowie.
 A był lękliwy, jako sarna z góry,
 Cienki i giętki, jak wodne sitowie.
 Lecz w piersiach dziecka w bolesnej chorobie
 Duch jego ojców rozwinął się pięknie:
 Nie budził skargą łitości ku sobie,

Ani się skrzywi, nie płacze, nie jęknie;
Przeczącym znakiem pokarmy odpycna,
I kona hardo, dogorywa z cicha.
Przez litość jeden z monasterynych braci
Przyjął chorego do zakonnej celi,
Leczył, doglądał, dni i noce traci;
Powstało dziecko z śmiertelnej pościeli.
Lecz w niem do zabaw chętką się nie budzi:
Z początku stroni, ucieka od ludzi,
Błąka się jeden, słowa nie przemówi,
I na wysokie pagórki się wspina,
Tęskni do kraju, gdzie jego rodzina;
Potem do swojej niewoli przywyka,
Uczy się dźwięków cudzego języka,
Chrzci się, powolny zakonniczym radom,
I tak się wgłębia w klasztorne zacisze,
Że w kwiecie wieku, burz ziemskich nieświadom,
Chciał już wykonać poświęcenie mnisze;
Gdy jednej nocy w jesiennym tumanie
Z murów klasztornych zniknął niespodzianie.
Wokoło były pagórki i skały,
Na górach puszcza ciągnęła się ciemna;
Trzy dni, trzy noce mnichy go szukały,
Ale ślad zginął i praca daremna.
Nareszcie w stepie, na bezludnej głuszy,
Znaleźli zbiega prawie już bez duszy.
Znów pod sklepienie ciemnych kurytarzy
Wnieśli młodzieńca miłosierni ludzie.
Trupią miał bladość na znędzniałej twarzy,
A tak był słaby, jak po ciężkim trudzie,
Jakby po głodzie lub długiej chorobie.
Codzień pierś słabsza i twarz bardziej blada.
Na zapytania nic nie odpowiada;
Snadź mu już rychło zasklepić się w grobie.
Wtedy mnich przyszedł nad holeści łożo
Spełnić nad chorem tajemnice Boże.
Chory wysłuchał modły i namowę.

A choć bezsilny, zaledwie oddycha,
 Podniósł z posłania swoją hardą głowę
 I słabym głosem tak mówił do mnicha:

III.

Mojej spowiedzi, posłanniku Boży,
 Przyszedłeś słuchać — dobra twoja rada:
 Jakoś złej sercu, kiedy się otworzy,
 Gdy przed kimkolwiek swą boleść wygada.
 Dziękuję... słuchaj... lecz żyjąc na świecie,
 Chodziłem z ludźmi drogą nieobłudną,
 Z życia nie wiele czego się dowiecie,
 A całej duszy wygadać za trudno.
 Ja krótko żyłem, w niewoli, w klasztorze,
 A takie życie to pożał się Boże!
 Dwa takie życia spokojne, za kratą,
 Dałbym za jedno życie pełne wrażeń.
 Nie miałem uczuć — oprócz sennych marzeń, —
 Jedną namiętność — lecz ognistą za to:
 Zawładła sercem — jej zabójcza siła
 Wgryzła się w piersi — i duszę spaliła.
 Ona, gdy w celi modłę się do Boga,
 W oczach i myślach stawi i promieni
 Zamglone góry, kędy rzeź i trwoga,
 Gdzie ludzie wolni, jak orły w przestrzeni.
 Jam tę namiętność, co dziś w sercu noszę,
 Karmił tęsknotą i łzami gorzkiemi;
 Mówię to wobec i Niebios, i ziemi,
 I przebaczenia za mój grzech nie proszę.

IV.

Starcze! słyszałem, żeś mi zbawił życie;
 Pocoś to czynił? — by trzymać w uwięzi?
 Liść z macierzystej oderwan gałęzi
 Dlaczego jeszcze do ziemi szczepicie?
 Co miało uschnąć, niech marnie usycha

Raczej, niż zwolna ma zawiednąć w głuszy!
 Ocalić dziecię i skazać na mnicha,
 Czyż to nie znaczy zabić je na duszy?
 Nikogo tutaj nie mogłem, nikogo
 Nazywać ojcem albo matką drogą,
 Sądziłeś, starcze, że wśród obcej strony
 I niedostępnej celi pustelnika
 Człowiek od świętych wyrazów odwyka,
 Zapomni uczuć, z którymi zrodzony...
 Próżno! bom widział, jako drudzy mieli
 Krewnych, ojczyznę, domowy zakątek;
 Jam nie miał nawet — grobowych pamiątek,
 Z którymi serce bliżej się podzieli!
 Więc zaniechawszy płakać bezkorzystnie,
 Przysiągłem sobie w głębi mego łona,
 Że pierś samotna, tęskna, rozogniona,
 Do bratniej piersi kiedyś się przyciśnie...
 Choćby do piersi nieznanego człeka,
 Byleby rodem z daleka... z daleka.
 Gdzie moja ziemia, rodzice i bliźnie...
 Biada mi! biada! — urojenie znika,
 Umrę, jak żyłem na cudzej ojczyźnie,
 Jako sierota — w pętach niewolnika.

V.

Myślisz, że może przez bojaźń niegodną
 Lękam się trumny — ej, baśnie to, baśnie!
 Tam uroczyście, spokojnie i chłodno,
 Tam — ludzie mówią, że cierpienie zaśnie.
 Lecz moje serce... lecz krew moja młoda —
 Nie chcę umierać — bo mi życia szkoda!
 Wir młodych marzeń szalony, skrzydlaty,
 Którymi dusza tak żywo przejęta...
 Możeś ich nie znał? lub zapomniał z laty,
 Co jest nienawiść? co jest miłość święta?
 Możeś z wysokiej monasterskiej wieży

Zadrzał, patrząc na słońca oblicze,
Na widok pola, kędy wietrzyk świeży
Orzeźwił twoje piersi zakonnice?
Widziałeś może w potraskanym murze,
Jak młody gołąb, cudzy i nieznany,
Z dalekiej strony zapędzon przez burze,
Trzepiąc w skrzydełka tuli się do ściany?
To cóż, że świata rozkoszne powaby
Dziś twego serca skrzepłego nie wzruszą?
Ty dzisiaj siwy, zgrzybiały i słaby
Odwykłeś pragnąć i pożądać duszą.
To cóż, żeś martwy? -- lecz żyłeś na świecie,
Masz coś pamiętać, coś zapomnieć przecię...
I ja żyć mogłem — a umieram w kwiecie.

VI.

Ty chciałbyś wiedzieć me wrażenia młode,
Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę:
Widziałem niwę szeroką, wesołą,
Widziałem góry, a na górach drzewa,
Co się zebrawszy w przyjacielskie koło,
Szumią pieśń bratnią, kiedy wiatr powiewa.
Widziałem czarną, chropowatą skałę,
Co wrzący potok rozerwał na dwoje —
Czy wierzysz, starcze, że marzenia moje
Odgadły smutki i myśli jej całe?
Bóg mi objawił ich tainię z wysoka,
Całą ich żądzę i modlitwę biedną:
Oto rozdarta na dwoje opoka
Złaćby się chciała i zespolić w jedno.
Tęskne kamienie na każdym urwisku
Podają sobie ręce do uścisku.
Płyną dni, lata, — lecz z dwojga wybrzeży.
Skała ze skałą nigdy się nie zbieży.
Widziałem głazy i pieczary górne,
Dymiące nakształt ofiarnych ołtarzy,

A pogarbione w kształty tak potworne,
Jak myśl człowieka, kiedy się rozmarzy.
A nad ich głową, w rozigranym biegu
Białe obłoki ciągną się uroczo,
Z tajemniczego powstawszy noclegu,
W długich się kłębach ku wschodowi toczą,
Na sinem niebie jakby biała ściana,
Jakby wędrownych ptasząt karawana.
Dalej widziałem przez zasłony mgliste
Gór kaukaskich osiwiiałe czoło.
Tam wpajam oczy... i czuję zaiste,
Ze sercu jakoś lekko i wesoło!...
Głos tajemniczy wciąż mi przypomina,
Ze to znajoma... znajoma kraina,
Ze ja tam żyłem w ominionej dobie.
Jak senne widmo, jako mglista baśnia,
Przeszłość się żywiej a żywiej wyjaśnia...
I tak począłem przypominać sobie.

VII.

I przypomniałem mego ojca chatę,
Rodzinny aul, rozrzucony w jarze.
Zdaje się, słyszę: wąwozy garbate
Zawrzały życiem w wieczornym rozgwarze;
W wiosce gromada psów znajomych szczeka,
Tabun powraca i tętni z daleka,
A pasterz stado do pośpiechu nagli.
Zdaje się, widzę naszej chaty wniście,
Kędy na dworze staruszkowie smagli
W noc księżycową gwarzą uroczyście;
Czytać odwagę na zgrzybiałym licu,
Pochwy kindżałów błyszczą przy księżycu.
Wszystko to, wszystko, jakby senne dziwy,
Snuje się w mojej wyobraźni świeżej...
I widzę ojca, bohater, jak żywy,
Zbliża się do mnie w bojowej odzieży;

Błyszczy wspaniale jego strzelba długa,
Brzęczy na piersiach druciana koleczuga,
A harde oko iskrami się żarzy.
Widzę drużynę, memu sercu blizką:
Siostry ze słodkim uśmiechem na twarzy
Śpiewają pieśni nad moją kołyską.
A tam się kręcił i spadał z opoki
Strumień gwałtowny, ale nie głęboki.
Tam z piaskiem żółtym i czystym, jak złoto,
Chodzę bywało bawić się w południe;
Śledzę, jak czarne jaskółki przed słońcą
Ponad strumykiem przelatują cudnie;
Jak się ptaszyna nad wodą kołysa,
Szybuje lotem — że aż piersi zmoczy...
I znowu widzę, nasza chatka cicha,
A w chacie ogień pali się uroczy.
A przy ognisku o wieczornej chwili
Słyszę rozhovor i piosenki wieszczę:
Co to bywało? jak to ludzie żyli?
Kiedy świat stary dzielniejszy był jeszcze.

VIII.

Ty chciałbyś wiedzieć, jako czas mój wiode,
Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę:
Ja trzy dni — żyłem... i trzech dni to dzieło,
Żem poznał świata pięknego powaby;
Bez nichby życie smutniej upłynęło,
Niż twoja starość, samotniku słaby!
Dawno już, dawno mój zamiar się tworzy
Wybiedz, obaczyć, czy piękny świat Boży?
W czas grzmiącej hurzy zręczność się nadarza:
Kiedy noc czarna zdawała się piekłem,
Gdyście leżeli w cerkwi u ołtarza,
Modląc się trwożnie, ja wtedy uciekłem.
Czułem, że żyję — na braterskie łono
Chciałbym przytulić chmurę rozognioną;

Sledziłem drogi tajemniczej chmury,
 By złowić piorun, wyciągałem pięście...
 Powiedz mi, starcze: wasz klasztor ponury
 Czemby mi takie wynagrodził szczęście,
 Gdy się zespoli przyjaznym łańcuchem
 Szalona burza z niespokojnym duchem?

IX.

I biegłem... biegłem... lecz dokąd, sam nie wiem;
 Ani mi gwiazdka życzliwem żarzewiem
 Dróg nie oświeca, nieba nie ozłoci.
 Byłem czemś lekkim, wesołem, skrzydlatem,
 Gdy pierś, schorzała w klasztornej wilgoci,
 Mogła się poić leśnym aromatem.
 Biegłem... czy długo? i dokąd? nie zgadnę.
 Ustałem — bieg mój obezsilniał rychły.
 Słucham, — i w trawę wysoką się kładnę,
 Nikt mnie nie goni — grzmoty już ucichły;
 Tylko jutrenka szeroko i długo
 Błądą na wschodzie rozciąga się smugą,
 Tylko przy brzasku świeżego poranka,
 Z pomiędzy ziemi i nieba sklepiska,
 Jak czarne zęby, jak wzorzysta tkanka,
 Widnieją góry z daleka i z bliska.
 Ja w trawie leżę — a rozkosz jedyna
 Słuchać, jak szakał odzywa się dziki,
 Patrząc, jak z zielska błyszcząca gadzina,
 Sycząc, przepelża pomiędzy kamyki.
 Patrzę i słucham — lecz strach mię nie bierze,
 Bo wiodę z niemi wspólne obyczaje:
 Sam jak gadzina, sam jak dzikie zwierzę,
 Obcy dla świata, czołgam się i czaję.

X.

Pode mną potok, wezbrany w ulewie,
 Szumiał, warkotał i bił się o skały,

Jakby sto głosów w nieprzyjaznym gniewie
Słowa złorzeczeń i groźby miotały.
Ja zrozumiałem te potoku świsty
I jego walkę ze stosem kamieni, —
Bój niedoleźny, a jednak wieczysty,
To srogo ryknie, to się w jęk zamieni;
Choć się rozpryska i ginie w swej pianie,
Tłuc i podmywać skały nie przestanie.
A już we mglistej nad mą głową chmurze
Chór rannych ptasząt szczebioce i śpiewa,
Błysnęła jutrznia w złocie i purpurze,
I wiatr w przemokłe zaszeleścił drzewa,
Jam witał dzionek wśród wysokiej trawy,
Podniosłem głowę, spojrzałem dokoła...
I poco taić? — zadrżałem z obawy.
Jam był nad brzegiem straszliwej czeluści,
W niej czarne fale szumiały okropnie,
Po skałach wejście; lecz któż się tam spuści?
Jeden snadź szatan przechodził te stopnie,
Gdy walczył z Bogiem, gdy go Boża siła
Z niebios w podziemne przepaści strąciła.

XI.

Wkoło zapuszczam wzrok cichy, młodzieńczy:
Kwitnie las, piękny jakby ogród Boży,
Liście migocą kolorami tęczy,
Którą na rosie blask słoneczny tworzy.
Owdzie latorośl kędzierzawa wina
Po blizkich drzewach wije się i wspina.
Gałąź, w zielone ustrojona liście
I winogronem soczystym bogata,
Ku samej ziemi zwisa uroczyście
I nęci ptastwo, co na żer przylata.
Czułem, że w raj, że w Niebiosach jestem;
Padłem na ziemię — słuch natężam cały
Ku drzewom, krzakom, co z cichym szelestem

Coś tajemniczo szeptać się zdawały,
 Jak gdyby gwarząc wyrazy dziwnemi
 O tajemnicach Niebiosów i ziemi.
 Wszystko się Panu na modlitwę sili,
 Gdzie jeno oko, gdzie ucho otworzę.
 Tylko, niestety! w uroczystej chwili
 Głosu człowieka nie stawało w chorze.
 Com jeno marzył, co czułem w tej dobie,
 Zbiegło z pamięci, jak woda ze strugi;
 A chciałbym wszystko wypowiedzieć tobie,
 Aby choć myślą odżyć po raz drugi.
 Niebiosa były tak czyste dokoła,
 Że mógłbyś na nich śledzić lot anioła.
 Któż tę pogodę lazuru określi?
 Ten blask, po ziemi roztoczony cudnie?
 Pasłem urokiem i oczy, i myśli,
 Aż nim nadeszło gorące południe.
 Wtedy, stracony z mych dumań obłoku,
 Czując pragnienie, biegłem do potoku.

XII.

Ze stromej góry, jako dziecię małe,
 Czepiac się krzaków, choć praca mozolna,
 Albo stąpając ze skały na skałę,
 Począłem w przepaść zapuszczać się zwolna.
 I czułem więcej rozkoszy, niż trwogi,
 Kiedy mi kamień wymknie się z pod nogi,
 I ryje ziemię, i kurzawę nieci,
 I warczy, skacze, nim się na dół spuści;
 Patrzę ciekawie, kiedy już doleci,
 Buchnie z łoskotem do wodnej czeluści.
 I ja swawolnie wisiałem nad wodą,
 Gdy giętkich krzewów czepiała się ręka:
 Lecz męstwo grzało moją duszę młodą,
 A młoda dusza śmierci się nie lęka.
 Ledwie się spuścił po urwistej ścianie,

Świeżość wód górnych orzeźwia mię żywo,
 Wiatr chłodny wionął na moje spotkanie,
 I piłem wodę piersią pożądlivą.
 Wtem głos... i szelest — w pustej rozpadlinie...
 Ja w mgnieniu oka skryłem się w gęstwinie.
 Dreszcz mię przebiegnął od stóp aż do głowy,
 Podniosłem w górę bojaźliwe oczy,
 I słucham pilno — to głos ludzkiej mowy...
 Zbliża się... zbliża... dźwięczny i uroczy.
 To głos Gruzinki, żywy, nieuczony,
 Co jeno w słodkie rozlewa się tony,
 Co jakby insze nieznanne mu dźwięki,
 Oprócz wyrazów miłości, przyjaźni.
 Był to głos prostej gruzińskiej piosenki. —
 Lecz tak się wpoił do mej wyobraźni,
 Że go aż dotąd, gdy szara godzina,
 Duch niewidomy wciąż mi przypomina.

XIII.

Z konwią na głowie, po wązkiej drożynie
 Gruzinka z góry szła nad brzeg potoku;
 Zbiegając na dół, gdy się krok powinie,
 Pustą wesołość czytałem w jej oku.
 Sute wyloty swej biednej czamary
 W tył odrzuciwszy, szła lekko i śmiało.
 Jej twarz, jej piersi barwą ogorzała
 Powlokły słońca upalnego skwary,
 A ogień życia promieni się w twarzy,
 Z jej ust oddycha, na oczach się żarzy;
 A w czarnych oczach taka głąb i siła,
 Tak wznieca miłość gorącą, tajemną,
 Że moje dumki dziecinne spłoszyła.
 Jam zadrzał, zdrętwił — i co było ze mną.
 Nie wiem... nie pomnę... tylko słuch pamięta,
 Jak brzękła woda konwią zaczerpnięta,
 I szelest kroków... Gdym ochłonał z szału,

Gdy krew ostygła, co mi serce pali,
Już jej nie było... widziałem z oddali,
Jak wraca w góry lekko, choć pomału,
I choć pod konwią schylona jej głowa,
Wzniosła jak topól, tych lasów królowa.
Widzę za mgłami dwie chatnie mieściny,
Jakby przyrosłe do skalistej bryły,
Jednym się dachem bratersko pokryły;
Z pod płaskiej strzechy dym sący się siny,
I w jednej chacie ponad skałą krętą
Drzwi się otwarły... znowu je zamknięto...
Lecz czego tęsknię i o czym ja roję,
Przed tobą, starcze, i mówić daremno;
Ty nie zrozumiesz... O, wspomnienia moje!
Niech one raczej umierają ze mną!

XIV.

Po nocnych trudach sen zamknął mi oczy,
I Bóg mi cudne marzenia przysyła:
Widziałem obraz Gruzinki uroczy;
Znowu pierś moja słodko zatęskniła.
Chciałem westchnieniem zwalić kamień z siebie,
Alem się ocknął, wyteżając płuca.
Noc była jasna, a gwiazdy na niebie,
Księżyc jużienne łożysko porzuca;
Za nim widziałem chmurkę tajemniczą,
Pędzi się, skrada... jakby za zdobyczą.
Ciemność i cisza władają na ziemi,
Tylko śnieg błyszczał, co na górach leży,
I tylko potok takty mierzonymi
Uderzał silnie o skałę wybrzeży;
Tylko w znajomej chacie ogień pała,
Iskrzy się... bucha... gaśnie przytajony...
Chciałbym wejść do niej — lecz dusza nieśmiała,
Mój cel — uciekać na rodzinne strony.
Cierpienia głodu przemagam, jak mogę,

I biegnę prosto, gdzie noga poniesie;
Ale, po górach miarkując mą drogę,
Gdym stracił góry, zabłądziłem w lesie.

XV.

Napróżno moja ręka rozpaczliwa
Rwie krzaki cierniów i splątanych bluszczy —
Nic się nie przedrze, nic się nie odkrywa,
Oprócz głębokiej, wiekuistej puszczy.
Za każdym krokiem ścieżka mi się wężi;
Ze strachu nogi chwieją się pode mną,
Milionem oczu z za każdej gałęzi
Pogląda na mnie nieprzedarte ciemno.
Chcę zbadać drogę, czepiam się na drzewa,
Patrzę daleko... aż do krańców świata:
Za mną, przede mną, na prawo, na lewo,
Leśnych wierzchołków powierzchnia zębata.
Więc krzycząc wściekle, zrozpaczonem czołem
Padłem na ziemię i gryźć ją począłem.
Lecz z moich oczu — nawet łzy się leją,
Spadają bujną i gorącą rosą.
Możem się krzepił tajemną nadzieją,
Że ludzie przyjdą, pomoc mi przyniosą?
O! nie... nie, starcze... ja nie chciałem ludzi,
Ja, obcy dla nich, jak stepowe zwierzę...
A gdybym wiedział, że to litość wzbudzi,
Anibym jęknął, — przysięgam ci szczerze;
A gdybym jęknął, to w tej samej dobie
Pieszczony język wyrwałbym sam sobie.

XVI.

Kiedym był dzieckiem, to mnie nic nie wzruszy, —
Wszak nie pamiętasz mych łez ni rozpaczy;
A teraz mogłem pofolgować duszy:
Płakałem rzewnie, bo któż mię obaczy?
Las ciemny świadkiem moim był jedynie,

I jasny księżyc, co po niebie płynie.
 Przede mną była polanka wśród dziczy,
 Drzew niebotycznych ogrodzona ścianą;
 Nieco oświecił księżyc tajemniczy
 Jej ziemię, piaskiem i mchem zasypaną.
 Ciebie po niej mignął... z daleka coś błyska,
 Jakby dwie iskry, jakby dwa ogniska:
 Straszny rosomak wyskoczył z gęstwini,
 Tarza się w piasku... niegłodzien już pono,
 Bo wesół mruczy i zabawkę czyni,
 Trzymając w paszczy kość niedogryzioną;
 To włos najeży, to znowu podskoczy,
 To wlepia w księżyc swoje krwawe oczy.
 Ja, kij sękaty ujawszy jak włócznię,
 Czekam, by mężnem postawić się czołem;
 Krew moich przodków zadrgała widocznie...
 Gorącej bitwy i krwi zapragnąłem!
 Choć życie moje niedołącznie płynie,
 Lecz się pasując ze zwierzęciem dzikiem,
 Poczulem, starcze, żem w ojców krainie
 Mógł nieostatnim zostać bojownikiem.

XVII.

. Czekam... rosomak zawietrzył po niwie,
 I odkrył wroga, i zawył płaczkliwie,
 I ryje piasek gniewnemi pazury,
 I krwawem okiem iskrzy nieprzytomnie;
 Przyległ do ziemi, podniósł się do góry,
 I znowu przyległ, i poskoczył do mnie.
 I jużbym zginął, lecz przytomność skora
 Uprowadza wroga: żwawe ręce moje.
 Mój kij sękaty, jak ostrze topora,
 Łeb napastniczy roztrzaskał na dwoje...
 Jęknął jak człowiek... i padł — lecz za chwilę,
 Choć zakrwawiony i z rozbitą głową,
 Zwierz powstał, skoczył, i wznosił się na sile,
 I bój śmiertelny zakipiął na nowo.

XVIII.

Padł mi na piersi, ale mu do pyska
 Wpycham mój oszczep i przebijam gardło.
 Rzucił się, zawył... i nigdy w uścisku
 Dwóch się przyjaciół tak szczerze nie zwarło,
 Jakaśmy z wrogiem, obadwaj, zajadli,
 Walcząc w ciemności, na ziemię upadli,
 Ja straszny byłem w morderczym zapasie,
 Jakby rosomak dziki i zawzięty,
 Gryzłem, piszczałem, jakby wilczę zda się,
 Wyhodowane z wilczemi szczeniętą.
 I głos zwierzęcy na puszczy jałowej
 Wstąpił w me piersi — tak straszliwie wrzeszczę,
 Zda się, że ludzkiej nie umiałem mowy,
 Żem jej nie słyszał od kolebki jeszcze.
 Lecz wróg mój słabnie, choć rzuca się do mnie...
 Oddycha wolniej... walczy nieprzytomnie...
 Zdławił mię jeszcze... przytoczył ogromem
 I raz się zachwiał i na nowo ożył...
 Groźnie zabłysnął okiem nieruchomem...
 Potem je zamknął i już nie otworzył...
 Lecz chrobrze walczył i mężnie umiera,
 Jako przystało na zgon bohatera.

XIX.

Czy widzisz ślady? patrz na piersi mojej!
 Ta rana świadczy o zwierzęcej sile:
 Szarpnięcie krwawe — ale to w mogile,
 W surowej ziemi, łąco się zagoi.
 Śmierć ranę sklepi, jak lekarz, jak matka, —
 O niej pamiętać nie było mi czasu;
 Ja wątłej siły dobywszy ostatka,
 Włókłem się w gęstwie niedostępne lasu.
 Daremnie z dolą walczyłem, daremnie!
 Zła moja dola urąga się ze mnie.

XX.

Wyszedłem z lasu — już dzionek zabłyska,
 Gwiazdy pogasły, wiatr jęknął po ziemi,

Góralskie chaty i noclegowiska
Już wybuchnęły dymy porannemi,
Puszcza szumiała swój rozhovor stary.
Usiadłem słuchać — i ścichły jej gwary.
Ciekawem okiem spojrzałem dokoła...
Strona znajoma, czy mi się wydaje?
Tutaj monaster... nie pojmuję zgoła,
Jakim sposobem wróciłem w te kraje?
Jakbym chciał uleść przed mej doli władzą,
Wrócić, gdzie znowu w ciemnicy osadzą.
Tylem dni sterał w pustyni i borze,
Tylem przecierpiał, przemarzył radośnie!
Poco to wszystko? aby w życia wiośnie
Wrócić w niewolę, gdzie głowę położę?
Pierś rozognioną złożyć w grób ponury,
Kiedy ku światu ledwie oczy wznoszę,
Kiedy na łonie swobodnej natury
Zdołałem poznać swobody rozkosze?
Czyż to na zawsze nadzieja mi zginie
I moja tęskna dumka po rodzinie...
Jeszcze nie wierzył, roilem z pociechą,
Że to nieprawda, że to sen mnie straszy,
Że się obudzę, — gdy śpiżowe echo,
Jak grom, z dzwonnicy ozwało się waszej.
Obrazy śmierci już mi w oczach stoją,
Ten dzwon już nieraz był torturą moją,
Ten dźwięk bywało, moje szczęście płoszy:
Oczy dziecinne gdy do snu zasklepię,
Marzę o braciach i w błogiej rozkoszy
Hasam w swobodnym macierzystym stepie,
Lub widzę piękne wśród skał bojowiska,
Gdziem ja zwycięzcą, gdzie mój miecz połyska
Nad wszystkie miecze... Do innego świata
Ten dzwon mię strącał, — i teraz w pomroce
Zda się z mej piersi to echo wylata,
Zda się żelazem ktoś mi w piersi grzmoce.

I jasno prawda stanęła złowroga,
Ze do rodziny — zamknięta już droga!

XXI.

Tak! jam zasłużył na cios, co mię boli:
Bo weź rumaka ze stepu, z daleka,
Zdaj go na ręce cudzego człowieka,
A zwierz potarga trenzle swej niewoli,
I zrzuci jeźdźca, otrząśnie się z siodła,
Puści się cwałem przez bionia, zagony,
I nie pytając, gdzie droga powiodła,
Trafi do swoich — na swój step rodzony.
Ja, niedołęzny, cóż ja przed nim znaczę?
W mem sercu żądze i tęskne rozpaczę,
Ogień bezsilny, zapach chorowity,
Igraszka marzeń i upadek duszy,
Stempel niewoli, na czole wybity,
Co myśli chrobre smutnemi zagłuszy.
Jak kwiat, co w murach, od światła z daleka,
Między kamieniami i cegły wyrośnie,
Nie puszcza liści, poblednie żałośnie,
I ciągle słońca, jak zbawienia, czeka;
Tymczasem długie, długie dni ubiegły,
A kwiatek wędnał od ciemna i chłodu,
Nim ktoś go wyjął z rumowiska cegły
I między róże zaniósł do ogrodu;
Zewsząd go życie owionęło nowe,
Ale na słońca południowym skwarze
Wkrótce opuścił i liście, i głowę, —
Spalił się kwiatek, chowany w pieczarze...

XXII.

I ja... gdym wybiegł za klasztorne wrota,
I mnie spaliła słoneczna spiekota.
Napróżno czoło tuliłem do trawy,
By mnie przytulić chciała miłośnierne.

Bo trawa zwiędła — liść szorstki, chropawy
Wpijał mi w głowę swe kolce i ciernie.
Nawet od ziemi, gdy do niej przypadnę,
Czuję gorąco i płomienie zdradne.
Skala wyziewy zabójczemi hucha,
Świat snem rozpaczy zasnął nieudolny;
Choćby dla ulgi, dla pociechy ducha,
Ozwał się chróściciel albo konik polny,
Choć gdyby rybka plusnęła w zatoce!
O, gdzie tam! straszno pośród skał urwiska,
Po suchym łomie żmija się szamoce,
Żółtemi pręgi zdradziecko połyska,
Jak gdyby na nich był napis złowrogi;
Pełźnie ukradkiem i straszy sykaniem,
I żółty piasek rozsypując z drogi,
Wije się w skręty, przewala się na nim.
Pieści się, igra... ale jednym razem,
Gdym ją chciał witać mową przyjacielską,
Jakby dotknięta gorącym żelazem,
Rzuca się ukryć w niedostępne zielsko.

XXIII.

Jasny i cichy był widnokrąg cały:
Z za mgły... daleko... dwie góry czerniały.
Jedna z nich dobrze znajoma mi góra:
Na niej nasz klasztor z basztami i wieże,
U dołu rzeki Aragwa i Kura,
Srebrzystem pasmem obwiwszy wybrzeże
I na swych wyspach podmywając krzaki,
Biegły wesole ku mecie jednakiej.
Daleko od nich — powstać niemasz mocy!
Wszystko się kręci przed memi oczyma.
Chciałem zakrzyczeć, zawołać pomocy,
Lecz w piersiach zaschło, i głosu już niema,
Język oniemiał, głowa mi opadła,
Czułem przedśmiertnej gorączki widziadła.

Zdaje się, leżę próżen opieki
Na dnie wilgotnem głębokiej rzeki.
A mgła tajemna krąży w oddali,
Me piersi wieczne pragnienie pali.
A jak lód zimna i czysta woda
Leje się z piersi, szeleści, syczy.
Nie chciałem zasnąć, bo była szkoda
Takiej rozkoszy, takiej słodyczy.
A nad mem czołem wśród błogiej ciszy
Fala po fali wciąż się kołyszy;
Przez kryształ wody, przez fali drganie
Widziałem słońca lube świtanie.
Z jego promieniami rybkom zabawa,
W świetle igraszkę mają przyjemną;
A jedna rybka, nad inne żwawa,
Jakże uprzejmie pieści się ze mną!
Na niej się błyszczy złocista łuska,
Ona me czoło z pieszczotą muska;
W zielonych oczkach widziałem pewno
Głęboki smutek i czułość rzewną.
A miała głosik słodki, człowieczy;
Dźwięczniej od srebra, dźwięczniej od złota,
Szeptala dziwne, dziwne mi rzeczy!
To się uciszy, to znów szczebiota:

Tu, dzieciно, zostań, młoda,
A zamieszkać głębię wodną,
Tutaj szczęście, tu swoboda,
Tak spokojnie, tak tu chłodno!

Zbioreę rybek wiele, wiele,
Płasać będziem na przemiany,
Ja twe oczy rozwesele,
Uspokoję duch znękany.

Zasnij! — miękkie twoje łoże,
Przezroczyte twe przykrycie,

Wpóśród marzeń śpij, niebożę,
Lata, wieki, całe życie.

Ty, mój luby, nie wiesz wcale,
Ze o tobie tylko roję:
Kocham, jak swobodną falę,
Jako własne życie moje.

Ja słucham, słucham, wciąż mi się marzy,
Ze do mnie mówi przyroda cała,
Ze dźwięczna fala to samo gwarzy,
Co mi złocista rybka szeptała.
Alem odrętwiał: jak pustka głucha,
Świat Boży ściemniał, urwał rozmowę,
I już w bezsilnem znużeniu ducha
Zamarły moje sny gorączkowe.

XXIV.

Jakeście zbiega z klasztoru szukali?
Jak mię znaleźli? i co było dalej?
Ty sam wiesz, starcze. Skończyłem me dzieje;
Wierz mi lub powiedz, że zmyślam widocznie,
Mało się troszczę. Nad jednym boleję,
Ze trup mój w ziemi rodzinnej nie spocznie,
Ze smutna powieść męczarni mej duszy
Tu od kamiennej odbija się ściany,
Żadnego serca współczuciem nie wzruszy,
Zginie nieznana — jak i ja nieznany.

XXV.

A teraz żegnaj! daj mi rękę, stary!
Czujesz, jak ogniem moja ręka pała?
Wiedz, że ten ogień, te straszne pożary
Ja w mojej piersi tałem od mała.
Teraz, gdy iskrze żywiołu nie dano,
Przepala swoją ciemnicę kościaną.

A wybuchnąwszy w ostatnim pożarze,
Kiedy śmiertelna pokrzepia go siła,
Wraca do Boga, co w słusznym wymiarze
Ludziom cierpienia i spokój przysyła.

XXVI.

Kiedy ja będę umierał zboląły,
(Niedługo, starcze, doczekasz tej chwili),
Niechby mię wtedy w ogrodzie złożyli,
Kędy dwa krzewy akacyi białej.
Jeszcze na gęstą popatrzałbym trawę,
Gdzie świeży wietrzyk, gdzie liście złotawe
Igra ze słońcem... Raz ostatni jeszcze
Niech mię tam niosą z twojego rozkazu,
Niechaj się dzionkiem słonecznym popieszczę,
A stamtąd widzę góry Kaukazu!
A może kraj mój z gór swoich wyżyni
Znak pożegnalny sierocie uczyni,
I ze swym wiatrem w tutejsze zacisze
Przyśle ostatnie pożegnalne słowo;
Rodzinne słowo przed śmiercią usłyszę,
I pełnem życiem odetchnę na nowo.
Pomyślę sobie, że to ludzie moi,
Że tu przyjaciel, że tu brat mój stoi,
Liczy ostatnie mego serca bicie,
Ściera pot zimny, co mi z czoła płynie,
I głosem cichym, że nie posłyszycie,
Śpiewa piosenkę o mojej rodzinie...
Wtedy ja umrę... ja usnę tak błogo,
Nie przeklinając nikogo... nikogo!...

Październik, 1852. Załącze.

PRZYJACIEL LUDZKOŚCI.

Myśl z Nekrasowa.

Świat coraz nowej nabiera zalety:
 Na przykład dzisiaj — już są komitety,
 Gdzie starzec, wdowa, sierota, kaleki
 Liczą na wsparcie, doznają opieki.
 Nawet magnaci już w dzisiejszej chwili
 Dobrą z Paryża modę sprowadzili,
 Bo nie przez druki, radą lub przestrogą,
 Lecz samym czynem wspierają, jak mogą.
 Czy wiesz, mospanie? to pocziwa moda!
 Ale co dawniej — to i mówić szkoda!
 Słuchajcie tylko, bo Pan Bóg mi świadek,
 Że dziwny w życiu raz miałem przypadek.

Niech mię Najwyższy od tego zachowa,
 Abym miał gadać samochwalcze słowa;
 Ale co prawda, to wyznać potrzeba!
 Byłem pocziwym... i nie miałem chleba.
 Mówili wszyscy, że jestem bogaty;
 Intratny urząd... ale bez intraty.
 Dać się przekupić, coś nie spełnić ściśle,
 Aż strach bywało, gdy o tem pomyśle.
 Była drożyzna — żyj tu groszem z miasta!
 Płaca nie wielka, a dziatwa podраста;
 Włęc się bez chleba obchodzim, jak możemy,
 Mając pod strażą magazyn ze zbożem.

Hardy z mej nędzy, prawilem z wysoka,
 Że własność kraju — to żrenica oka,
 Że zbrodniarz tylko z urzędu korzysta,
 Słowem: bluźniłem, jak liberalista.
 Teraz, jak slysze, szczerze czy nieszczerze,
 Taka zasada już cześć nawet bierze;
 Wtedy przekupstwo było wszystkich hasłem —

Polknąć kubana, to jak chleba z masłem.
 Ludzie mówili: Masz rodzinę przecię!
 Ej, będzie kręto! z torbami pójdziecie!
 Rzuć, panie bracie, te fochy złowieszcze!
 A jam nie słuchał, uragał się jeszcze!

Ludzie, zwyczajnie, mściwi i zawzięci,
 Z politowania przyszli do niechęci.
 Poczęto śledzić, a w moim wydziale
 Już się... to, owo, znalazło niedbale.
 Przyszła mi bura, potem druga taka,
 Nareszcie z kwitkiem puszczonego biedaka.
 Tak tedy w jednej ziściło się chwili
 Wszystko, co ludzie poczciwi wróżyli:
 Za jednym razem, jakby z deszczem spada
 I głód, i zimno, i przyjaciół zdrada.
 Myśmy zostali, jak żebracy szczerzy,
 Ja sam w rozpaczy, dziatwa bez wieczerzy,
 A żona, z nędzą dać nie mogąc rady,
 Klnie moją pychę i brzydkie zasady.
 A ja, bywało, wstaję... gdzie przede dniem!
 Troskam się pilno o życiu powszedniem,
 Jak wół pracuję, — wciąż nędza i nędza,
 Grosz, co zarobię, grosza nie dopędza,
 Zdaje się, pękne pod nieszczęścia siłą;
 Bóg mię strzegł tylko, że się nie rozpiło.

Alem na trzeźwo, a wiernie mej cześci,
 Do dna wychylał mój kielich boleści...
 Jak tam bez miejsca, bez chleba, w rozpaczy
 Dziesięć lat przeszło? Bóg to wiedzieć raczy!

Kiedy z dnia na dzień nasz byt taki samy,
 Niespodziewanie pismo odbieramy:
 Ze naszych nieszczęść skończyła się proba,
 Ze jest w stolicy szlachetna osoba,
 Mąż znakomity, jakby anioł nowy,
 Pięknego serca i potężnej głowy,

Co swoje pióro i umysł bogaty,
 Oddał na korzyść krajowej oświaty,
 Wydał pięć tomów prześlicznych powieści,
 Gdzie wykład nauk fizycznych się mieści,
 Dziełko dostępne, popularne, tanie,
 By elektryczność pojęli włościanie.

Więc ja to dzieło sprowadzam w zacisze:
 Jak tam moralnie, jak tam pięknie pisze!
 Samego siebie widzę jak na dłoni,
 Moje ubóstwo wstydem mię nie płoni,
 Moje łachmany — to obraz jaskrawy,
 Żem nieprzedajny, że byłem człek prawy;
 Więc chlubna radość w oczach mi jaśnieje,
 Wolnoż mi p^lzecie mieć dobrą nadzieję,
 Gdy ta osoba zacna, znakomita,
 W sercu biedaka tak wyraźnie czyta.

Mówię do żony z radosnemi łzami:
 Pan Bóg się wreszcie zlitował nad nami,
 Zesłał ochrońcę, człeka dobrej woli,
 Co nasze dzieci od nędzy wyzwoli.
 Pójdę do niego — tam nasza osłoda:
 On mię zrozumie, on mi rękę poda!

Słowom otuchy uwierzyła żona;
 Już nasza dola jakby polepszona,
 A człowiek, w przyszłość wierząc całą siłą,
 Zapomniał biedy, jakby jej nie było.
 Więc rada w radę... marzenia i plany —
 Ostatni zapas na drogę zebrany,
 Ze trzysta złotych — i otwarta ścieżka.
 Więc rozpytawszy: kto? gdzie i jak mieszka?
 Marsz do stolicy!

Tam mieliśmy krewną, —
 Ta w swoim domu przyjmie nas zapewno;
 Ale z krewnymi sam czart piwo warzy:
 Przyjęła zimno, wstydząc się nędzarzy,

Więc myślę w duchu: A Bógże tam z tobą!
Nie chcę się z moją nabijać chudobą;
A choć nam w serce boleśnie coś bodzie,
Nająłem numer w zajezdnej gospodzie.

Całą noc Bożą, nim słońce zaświeci,
Modlą się za mnie i żona, i dzieci,
A ja raniutko do zbawcy wychodzę,
A serce bije niespokojnie srodze.
Idę ulicą, i drżący jak listek,
Myślę, co powiem? jak żywot mój wszystek
Pokrótce skreślę?

Powiem mu najprościej:
Panie! ja ginę z głodu i starości!
Mogłem coś zebrać; ale cnotę cenię,
Bo wiem, co znaczy i Bóg, i sumienie.
Gdy tysiąc potrzeb na głowę się kupi,
Myślałem sobie: O głupi ja głupi!
Inaczej myśląc, dziś zebrałbym krocie,
I złorzeczyłem mojej własnej cnotcie!
Lecz twoje dzieło! twoje złote dzieło!
Czystą mi prawdę w oczach rozwinęło:
Jam chlubny z siebie... ale żyć nie łatwo,
Alem ja nędzarz i z żoną, i z dziatwą!
Ty, co pojmujesz, jak to serce boli,
Szlachetny mężu, ratuj mię w niedoli!

Rzecz ułożyłem i wchodzę do sali:
Uprzejmi słudzy już znać o mnie dali.
Wyszedł mąż zacny, — spojrzałem i drgnąłem,
Pot mi kroplami wystąpił nad czołem,
A mowa moja tak rzewna, tak czuła,
Całkiem się z biednej pamięci wysnuła.
Jąłem belkotać ogólniki, frazy,
Trę głupie czoło i raz, i dwa razy.
Nic nie przypomnę, Pan Bóg wie, co prawię,
A wszyscy na mnie patrzą ciekawie,

Czego pan żądasz? — spytano uprzejmie.
 Lecz znowu przestрах mowę mi odejmie:
 Ja żądam... żądam!... Tutaj myśli nawał,
 Co człowiek marzył, co w życiu doznawał,
 Wszystko, co cierpiał, co ma cierpieć jeszcze,
 Stało się widmem i szpony złowieszcze
 Wpiło do serca... a nogi się stonia...
 Ja, stary głupiec, czoło cisnąc dłonią,
 Ryknąłem płaczem, nie pomnąc, co robię.
 Przy znakomitej a ważnej osobie.

Ten płacz był śmieszny, — na moim mundurze
 Barwa spłowiała i dwie plamy duże;
 Więc dobroczyńca, opiekun ludzkości,
 Że jestem pijak wnioskował najprościej,
 A pokojowiec wziął burę od pana,
 Że tutaj weszła postać podejrzana.
 Chciałem coś mówić, lecz pan tupnął nogą:
 Czułem, że skargi, że łzy nie pomogą!
 Gdybyż przynajmniej użył ręki swojej.
 I raczył wypchnąć sam ze swych podwoi!
 Lecz nawet takiej nie udzielił cześci:
 Gdym się posłonił z wstydu i boleści,
 Przyszli hajducy, a szarpiąc mię srodze,
 Wzięli pod ręce, wlekli po podłodze;
 Gdy się szamocę, gdy wrywam ramię,
 Pchnęli ze schodów, żem upadł przy bramie.

Zlany jak wrzątkiem, shańbion tak dalece,
 Biegłem ulicą, nie pomnąc, gdzie lece,
 I nóg nie czując... Wkońcu wiatr zimowy
 Jakoś przytomność wrócił mi do głowy.
 Rzucam oczyma naokoło siebie:
 Tu niosą jakieś mary po pogrzebie,
 Tu na tablicy czytam piwowarnię,
 Tam lwa zobaczyć tłum ludu się garnie,
 Tam cerkiew, cmentarz, rajszuła i szkoła,
 Szpital, wekslarnia i mury kościoła,

Magazyn mody, drukarnia, a za nią:
Tu różne trunki sprzedają się tanio!

Zajdę... czy raczej wstrzymam się na wodzy?...
Wszedłem... Cóż dalej?... Bracia moi drodzy!
Już od gawędy zachrypło mi gardło...
Od lat trzydziestu uczucie zamarło...
Na co uczucie? dla kogo w tej chwili?...
Dzieci pijaka ojca opuścili,
Żona wróciła w swe rodzinne strony,
Na jej mogile tkwi krzyżyk omszony;
Choć całe życie nie było w niej złości,
Klęła przed zgonem świeczniki ludzkości.

Dziwniż to ludzie! o sto mil dokoła
Za dobroczyńców ludzkość ich obwoła,
Piszą, drukują, o postępie gwarzą;
Lecz zbliż się do nich, twarz zetknij z ich twarzą,
Och! jakże na nich zawiedziesz się srogo!
Pijaka z głodnym rozróżnić nie mogą!

1855. Borejkowszczyzna.

NA WOŁDZE.

(DZIECINNE LATA WALEŻNIKOWA).

Z Nekrasowa.

I.

Psie mój! co ciebie do pośpiechu skłania?
Skaczesz na piersi, a sierść ci się jeży;
Dość jeszcze będzie czasu do strzelania...
Dziwno-ć, żem przyrósł do Wołgi wybrzeży.
Już od godziny spoglądam na wodę,
Chmurny, bezwładny, jako głaz na grobie:
Przyszły mi na myśl moje lata młode,
Niechże tu w ciszy przypomnę je sobie.

Jestem jak żebrak, który idąc drogą,
Jeszcze się waha i sam siebie pyta:
Tu dom ubogi, tutaj grosz dać mogą,
Tu dom bogaty, jałmużna sowita.
Ale stróż domu bogatego czleka
Nie dał jałmużny, a więc poszedł dalej.
Jeszcze bogatszy dom widzi z daleka, —
Stamtąd go ledwie kijmi nie wygnali.
Gdy tak przechodził od chaty do chaty,
W całej go wiosce chybiła jałmużna;
Co miała przyjąć zasilek bogaty,
Wisi u boku jego sakwa prózna.
Wtedy do chaty ubogiej powraca,
Co pogardliwie minął w pierwszej chwili.
Tutaj przynajmniej nie zawiodła praca:
Skórkę mu chleba suchego rzucili.
Jak pies go schwycił lekliwą paszczką,
I poszedł gryźć go daleko od drogi.

Tak ja, wzgardziwszy, co było pod ręką,
Z młodu rzuciłem rodzicielskie progi,
I nadaremnie byłem wstrzymywany:
Za nic głos braci, łzy matki rześiste,
Daremnie szumiał mój las ukochany,
Ze niemasz niebios nad niebo ojczyste,
Nigdzie nie gości taki spokój błogi,
Jak na rodzinnym zagonie lub łące!
Też same słowa przyjaznej przestrogi
Mówiły fale tutejsze, szumiące;
Lecz nie wierzyłem głosom tajemniczym,
Bo mię znudziła rodzicielska strzecha,
Tutejszy spokój, niekupiony niczem,
Wcale się sercu memu nie uśmiecha.

Czy niepotrzebny, z mą chęcią usłużną,
Steralem siły w daremnej fatydze?
Lecz wiem, że życie zabiłem naprózno,
Sam dawnych marzeń przed sobą się watydzę.

Gorące serce poraniłem srodze,
Straciłem siły w rozprawie najżywszej;
Dziś z pola życia zawstydzony schodzę,
Sobie i bliźnim nic nie uczyniwszy.
Powracam nazad i kołacę z trwogą
Do drzwi, gdzie młodość przepędził ubogą.
Nie wspominajcie nitki marzeń złotej,
Co duch zuchwały wysnuł pokryjomu;
Nie wspominajcie łez głupiej tęsknoty,
Które wylałem, że mi nudno w domu.
Może znajdziecie jakie szczęście stare,
Niechaj wspomnienia czemkolwiek umilę;
W samego siebie gdym utracił wiarę,
Tylko dziecinne nie przykre mi chwile.

II.

Żyłem, jak wielu, wpośród głuchej dziczy,
A wielka rzeka była od nas blisko,
Gdzie czasem kulik na błocie zakrzyczy,
Lub oczeretem zaszumi bagnisko.
Sznurem, łańcuchem, jakieś ptactwo białe
Poważnie sobie siedziało nad rzeką,
Poza wodami spojrzenie wytrwałe
Dostrzegło góry, co gdzieś tam daleko...
Las nieskończony, ciągnął się las siny,
Zasłaniał zachód, gdzie jutrenka błada,
Gdzie słońce, ziemskie obiegłszy krainy,
Na wypoczynek do snu się układa.

Bojaźń mi była od dziecka nieznana,
Bom wszystkich ludzi uważał za braci,
I nie wierzyłem w obecność szatana,
Który się snuje w widomej postaci.
Raz mi troskliwa piastunka powiada:

— Nie biegaj w nocy... bo wilków bez liku;
Nie chodź do sadu, tam czartów gromada
Po całych nocach hula przy strumyku!

Tego mi potrzeba: ledwie noc nastanie,
Już ja do sadu pobiegłem ochoczy,
Nie iżbym wielce smakował w szatanie,
Ale mi pilno oglądać go w oczy.
Idę odważnie... lecz noc coś się sroży,
Coś mi z pomroki groziło widocznie,
Coś mi się zdało, że cały świat Boży
Patrzy, co dziecię bezrozumne pocznie?
Ale też była wyprawa nieskora,
I stygła w sercu żarliwa ochota.
Wróć do domu, póki jeszcze pora,
Bo szatan może zaciągnąć do błota,
I każe mieszkać na głębinach wody.
Lecz nie zraziły strachy tajemnicze:
Po nad strumieniem igra księżyc młody
I w jego nurtach przegląda oblicze;
W odbiciu wody powisłe nad darnią
Czernieją drzewa w posępnej pomroce;
Ale szatanów, choć szukaj z latarnią,
Żaden nie piśnie, ani zachichoce.
Obszedłem strumień raz, drugi i trzeci,
Ale szatana jak niema, tak niema;
Patrzę, w gałęziach może okiem świeci,
Albo się w zielsku wybujałem trzyma?
Gdyby się ukrył z jakiegokolwiek strony,
Czyżbym po rogach nie poznał go właśnie?
Niemasz nikogo... odszedłem zgryziony,
Słuchając jeszcze, że może gdzie szasnie.
Gdym się tak pilnie przypatrywał czartu,
Cała noc Boża przeszła nadaremnie.
Lecz gdyby wtedy dla płóchego żartu
Wróg, czy przyjaciel, zakrzyknął nade mną,
Lub gdyby puszczyk, czy sowa obrzydła,
Którą spłoszyłem krokami mojemu,
Nad moją głową zaszumiała w skrzydła; —
Trupaby mego znaleźli na ziemi.
Tak przez gorącą ciekawość dziecinną

Próżne obawy we mnie się tłumily.
Takich walk serce staczać nie powinno,
Bo nazbyt wiele wydzierają siły.
Tak zmarnowawszy cały wiek mój młody,
Czułem, jak we mnie natura się zmienia:
Już nie szukając zawad i przeszkody,
Szedłem spokojnie drogą nawyknięcia.
Ta mię na wszystkie prowadziła strony,
I nieraz szedłem po bezdrożu dzikiem,
Aż niewolnikiem człowiek urodzony,
Znowu na starość został niewolnikiem.

III.

O matko Wołgo! teraz mi wypadło
Po tylu leciech powitać twe fale.
Jam się odmienił, a ty jak zwierciadło
Po dawniejszemu wyglądasz wspaniale,
Po dawniejszemu długa i szeroka.
Klasztor na wyspie przechował się jeszcze...
Łzy młodociane płyną mi do oka,
I w sercu czuję młodociane dreszcze...
Po dawniejszemu stary dzwon kołata,
Wszystko tak samo... a gdzie tamte lata?
Blizko południe... a słońce tak pała,
Że stopą w piasku wytrwać niepodobna.
Zdjęła rybitwów drzemka ociążała,
Na brzeg się skupia ich drużyna drobna.
Polne koniki strzekocą na trawie,
Przepiórka czasem wyszczebioce słowo,
Ale tak cicho, jak gdyby w obawie,
Że przerwą Wołgi dumkę południową.
Bajdak z towarem pomalutku płynie,
Tam młody flisak szczerze a po prostu
Stroi zaloty ku pięknej dziewczynie,
Uciekającą goni wzdłuż pomostu,
I z całej siły pędzi za dziewczicą,
I głośno krzyczy, poklaskując w dłonie:

— Poczekaj tylko!... czekaj swawolnico!
Otóż dogonię... dogonię... dogonię!
Ot i dogonił... ujął postać drogą,
Dźwięknął ognisty całusek nad wodą.
Nie całowałem tak w życiu nikogo,
Choć i ja miałem swoją przeszłość młodą.
Miejskich piękności całunki pieszczone
Nigdy tak duszy nie upoją błogo.
Usta rumieńcem krasnym namaszczone
I dźwięków takich wydobyć nie mogą!
Wśród takich marzeń, czując życie nowe,
Jam się zaponniał, uniesiony szalem,
Sen i znużenie obciążęły głowę,
Wtem koło siebie jęki usłyszałem:
Orszak bajdacznej czeladzi ponury
Ciągnie, ku ziemi pochyliwszy głowę;
Nogi ich grube opasują sznury,
Zamiast obuwia sandały lipowe.
Ponuro w uszach jęczały ich słowa,
Gdy się do pracy naglili wzajemnie;
Była to, zda się, pieśń pogrzebowa...
Młode wspomnienia znów zagrały we mnie.

O Wołgo moja! moja ty kołysko!
Jak ja cię kocham, jak myślami pieszczę!
Zaledwo jutrzni zapłonie ognisko,
Ja się ocykam, gdy wszyscy śpią jeszcze.
Ledwie bywało na błękitnej fali
Złotem i różą światelko zaświeci,
Już mię nad rzeką rodzinną zastali.
Pomagam ciągnąć rybakom ich sieci,
Lub z rybakami hulam na czółenku,
Lub na ostrowach z karabina pałę.
Pnać się po krzakach, sił nie mając w rękę,
Nieraz na żółty piasek się powalę,
A podrzucając kamyki po wodzie,
Śpiewałem piosnkę całą piersi siłą.

Rzucać tej strony ani mi się śniło:
Tutaj sądziłem że wiek mój ubieży
Na żółtym piasku, albo na czółenku.
Ale uciekłem od Wołgi wybrzeży,
Od biednych flisów nędzarskiego jęku.
Dawno go moje nie słyszały uszy,
Jakby wołania przeszłości dalekiej...
Och! raz, pamiętam! tak straszy, tak głuszy,
Żem chciał go zbadać i szedłem wzdłuż rzeki.
Znużeni flisi w południowej chwili
Przynieśli kociel, by zgotować strawę;
Na stosie łomu ogień naniecili
I taką z sobą prowadzą rozprawę.
Jeden z nich mówi: Ej, doloż ty nasza!
Prędkoż my w Niższym staniem Nowogrodzie?
Daj Boże dobrnąć na dzień Eliasza,
A może zresztą i dopchniemy łodzie.
Drugi odpowie: Och, jak to niemiło,
Gdy w drodze rany rozjątrzać się zaczną!
Gdyby mi tylko ramię się zgoiło,
Jak niedźwiedź szlejkę ciągnąłbym bajdaczną!
A gdyby jutro umrzeć sobie ładnie,
To jeszcze lepiej byłoby dla człeka...

Tak mówiąc, na wznak na ziemi się kładnie.
A jam nie pojął, na co on narzeka.
Ale ów nędzarz, co jęczał daremnie,
Znekany pracą, złamany chorobą,
Już nie odstąpił swem widmem ode mnie:
Oto i teraz widzę go przed sobą.
Na nim świeciły ubogie łachmany.
Od wszystkich ludzi wyglądał inaczej,
Na twarzy widać ból niepokonany.
A w oczach skarga spokojnej rozpaczy.

Późnym wieczorem do domu przychodzę,
Czapkę gdzieś w piasku zostawiwszy z głowy,

A kogom spotkał w domu, czy na drodze,
Pytam, co znaczą te flisów rozmowy?
Przez sen bredziłem ranniejsze widziadła...
Niechaj cię Pan Bóg trzyma w swej opiece,
Zostań! — mówiła piastunka wybladła,
Lecz ja nazajutrz już byłem na rzece.
I Bóg wie wtedy, co się ze mną stało:
Rodzinnej rzeki nie poznałem zgoła,
Szedłem po piasku stopą ociężałą,
I moja wyspa nie była wesola.
Nadbrzeżne śpiewy znajomego ptaszka
Brzmia, jakby nuta ostra i fałszywa,
A ulubiona fal cichych igraszka
Muzyką wdzięczną już się nie odzywa.
I ciężki kamień zawalił mi łono,
I lzy do oczu lunęły nawałem,
I po raz pierwszy mą rzekę rodzoną
Rzeką boleści i smutku nazwałem.

Co ja marzyłem wpośród nocnej głuszy,
Com ja przysięgał w tajemniczej chwili,
Niechaj na wieki zamiera w mej duszy,
Bo jeszcze ludzie śmiechemby okryli.
Myśli dziecinne!... gdyście próżna mara,
Czemu was ludzie zapomnieć nie mogą?
Czemu wasz wyrzut, jakby zbrodnia stara,
Nad sercem naszym pastwi się tak srogo?

IV.

Pochmurny flisie, z pochyloną głową!
Jak niegdyś dzieckiem marzyłem cię we śnie,
Tak samo teraz widzę cię na nowo:
Zawsze mi śpiewasz jednostajną pieśnię,
Zawsześ zaprzężon do swej ciężkiej szlei,
Zawsze na twarzy jakaś bladość chora,

Zawsze ten samy uśmiech bez nadziei,
Zawsze... bez końca ta sama pokora.

.

Przez lat czterdzieści w pocie swego czoła
Snuł się nad Wołgą po piasków obszarze,
A umierając, sam nie wiedział zgoła,
Co swojej dziatwie w spuściźnie przekaże...
Ani twój ojciec, ni ty, nie myślicie,
Bajdacznej szlei gdy naciska pęto,
Czemby na świecie gorsze było życie,
Gdyby twych cierpień trochę ci ujęto?
Jako twój ojciec, tą samą koleją
Bez żadnej wieści ty zejdziesz ze świata,
I pamięć twoją złe wiatry zawieją,
Jako na piasku twój ślad się zamiata.
Dokąd ty dążysz, nieszczęsny człowieku,
Zakuty w jarzmo, jak więzień w kajdany?
Też same słowa powtarzając z wieku:
Raz!... dwa!... — posuwasz krok niezmordowany,
Jęcząc boleśnie: — Ej biada mi, biada!
A głowa twoja w smutny takt opada.

1860. Wilno.

C M E N T A R Z.

Z Nikitina.

Zgasły promienie jasnego dzionka,
Po sinem niebie księżyc się błąka,
Wiejski kościółek widać z pomroki,
A na cmentarzu spokój głęboki.

Żadnego gwaru nie słyhać z dali,
Żaden się ogień we wsi nie pali,
A matka ziemia do siebie garnie
Wszystkie tęsknoty, wszystkie męczarnie,

Snem wiekuistym śpią w ziemi starzy,
Dawna gromada wiejskich nędzarzy;
Śpi wasza dola, dziady, naddziady!
Pokój wam, kości sielskiej gromady!

Wiatr śmierci zawiął nad waszą głową
Ciszej, niż gasi świeczkę woskową;
A krzyż swój krwawy dzielnymi siły
Wyście donieśli aż do mogiły.

Pokój wam, pokój, stare niezgody!
Wieczna łzom pamięć! — wiek idzie młody,
Nową swobodą, nową nadzieją
Pola i lasy niech nam zawieją!

Płonie iskrami jutrzeńka blada,
Już się w dziczyznę głuchą przekrada,
Wesoło pieją na polnym łanie,
Słyszać na stepie jej powitanie.

1860. Borejkowszczyzna.

PRZEKŁADY Z ROZMAITYCH JĘZYKÓW.*)

*) Od strony 236—358, a więc począwszy z „Fragmentami z ksiąg Hioba“ do „Cmentarza“, zamieszczono mylnie pod rubryką „Utwory liryczne“, cały szereg „Przekładów z rozmaitych języków“, co niniejszem prostujemy.

PRZEKŁADY Z MAŁORUSKIEGO.

(Z SZEWCZENKI).

P E R E B E N D A.

Perebenda stary, ślepy,
Jego dobrze znają stopy,
Bo się dziad ten wszędzie włóczy
I przy kobzie pieśni mruczy.
Naród Boży słucha dziada
I za pieśni dzięki składa;
On im pieśnią wzmacnia siły,
Choć samemu świat niemiły.
Pod czeremchą lub kaliną
Dni i noce jego płyną,
Bo zła dola tak go trzyma,
Że i własnej chaty niema.
Choć nad starą dziada głową
Pożartował los surowo,
On nie zważa, siedzi, śpiewa:
Ej, nie szumcie w lesie, drzewa!
Gdy mu piosnka sercem miota,
Kiedy wspomni, że sierota,
To potęskni i znów śpiewa
Pod cienistym dachem drzewa.

Tak na świecie żył nasz stary,
A piosenek miał bez miary,

To o Czałym dumkę gramoce,
 To Turkawkę zaturkoce,
 Wśród dziewczęcej pohulanki —
 Śpiewa Hrycia lub Wiośnianki,
 A młodzieży przy kwaterce
 Szynkareczką zrywa serce,
 A mężatkom śpiewać woli
 O zlej teści i topoli,
 A na rynek kiedy zbacza,
 Gra Łazarza i bogacza,
 Lub z westchnieniem i goryczą
 Nad kozacką płacze Siczą,
 By wiedzieli ludzie młodzi,
 Skąd upadek jej pochodzi.
 Taki duch był w Perebendzie,
 Pieśń i kobzę włóczył wszędzie,
 A jak pieśnię przysposobi,
 To co zechce z sercem zrobi,
 Pożartuje, jak umyślnie,
 Potem krwawą łzę wyciśnie.

Przez szerokie polne łąny
 Wieje wicher rozhułany,
 Kobzarz siedzi na kurhanie,
 I gra piosnkę nieprzerwanie.
 Step, jak dojrzy ludzkie oko,
 Legł błękitno a szeroko,
 A mogiła przy mogile,
 A w mogiłach zmarłych tyle!
 Wicher głąska starowinę
 W siwe wąsy i czuprynę,
 To do ziemi aż przypada,
 By posłuchać pieśni dziada:

Jak nuta grzmi radością, lub czarną rozpaczą,
 Jak mu się serce śmieje, ślepe oczy płaczą...
 Posłuchał i poleciał...

Bo z pieśnią proroka
Dziad ukrył się na stepie od ludzkiego oka,
Aby wiatr dumkę rozwiął na przestrzeń stepową,
Aby nikt jej nie słyszał, bo to Boże słowo.
Już to mówi modlitwę Bogu i naturze,
Już to dumka w kraj świata żegluje na chmurze,
Albo, jak orzeł, piersią uderza w pierś słońca
I silnemi skrzydłami w błękit niebios trąca.
I zapyta się słońca: jakie zbiegło kraje?
Gdzie swoją noc przepędza, a gdzie ze snu wstaje?
Zapyta fali morskiej, o czym ona gwarzy?
Zapyta cichej góry, o czym dumki marzy?
Pogada i znów leci w nadobłoczne kraje,
Bo ziemia, choć szeroka, przytułku nie daje.
Och! bo ten, co przeczuje, ten, co wszystko zbada,
Gdzie się słońce niebieskie na nocleg układa,
Co gwarzy fala morska z towarzyszki swemi, —
Ten już nigdzie przytułku nie znajdzie na ziemi.
On, jak słońce, sam jeden krąży na swej osi;
Ludzie niby go znają, bo go ziemia nosi,
Lecz gdyby się dowiedział sąsiad od sąsiada,
Że on śpi na mogile, że z falami gada,
Wyśmianoby dar Boży, co mu zaległ łono,
Głupcemby go nazwano i precz odpędzono.

Dobrze czynisz, ojcze siwy,
Że od świata skrywasz dziwy,
Że natchnione twoje chwile
Odprawujesz na mogile.

Ej, gołąbku! czyń swe dzieło,
Póki-ć serce nie zasnęło,
Czyń swe dzieło w mogił ciszy,
Niech go człowiek nie posłysz;

By nie śmiała się gromada,
Potakiwać jej wypada:

Skacz, jak każą, pan zapłaci,
Wszak panowie są bogaci...

Tak na świecie żył nasz stary,
A piosenek miał bez miary;
Pożartuje, jak umyślnie,
Potem krwawą łzę wyciśnie.

D U M K A.

Rzeka ciągle, choć powoli,
Wpada w sine morze;
Szuka Kozak swojej doli,
A znaleźć nie może.
Szedł, gdzie wicher go powionie,
Gdzie poniosą oczy,
Rozgrało się serce w łonie,
Szeptął duch proroczy:

Poco gonisz się za marą,
Gdzie cię oczy wiodą?
Rzucasz ojca, matkę starą
I dziewczynę młodą.
W cudzej stronie — cudzy wszędzie
Wiarą i językiem;
Tam zapłakać z kim nie będzie
I pogwarzyć z nikim. —

Fale morskie! płyńcie w pole
I brzegami trzęście:
Kozak marzył spotkać dołę,
A spotkał nieszczęście.
Już zórawie powracały,
W domu wytchnąć mogą;

Kozak, płacząc, poszedł dalej
Swą ciernistą drogą.

D U M K A.

Poco u mnie czarne brewki?
Poco oczy gdyby żar?
Poco w sercu grają śpiewki?
Poco w głowie tyle mar?
Moje lata, moje młode
Giną marnie z dnia do dnia;
A oczyma gdzie powiodę,
Zawsze z oczu lunie łza.
Dusza boli, nudzę światem,
Jak zamknięty w klatce ptak.
Poco ludzie zwiąż mnie kwiatem,
Dobrej doli gdy mi brak?
Świat obmierzle w oczach stoi,
Nie ma nawet pięknych snów;
Ludzie swoi, jak nie swoi,
By przemówić kilka słów.
Nikt nie spyta w całym domu,
Czemu oko w ciągłej łzie?
Rozpowiedzieć niema komu.
Czego biedne serce chce.
Jak gołabek ciągle grucha,
Ciągle grucha w noc i w dzień;
Ale jęku nikt nie słucha,
Nie uważa serca drgnięń.
Nieciekawe obcych grono,
Bo i na cóż obcym znać?
Cierp, sieroto! bo-ć sądzono,
Młode lata marnie trać.
Płaczcie, serce — płaczcie, oczy,
Nim zamkniecie się do snu.

Niech się w stepie jęk roztoczy,
Niech przyleci wichur tu,
Niech zanieśie te napiewy,
Aż gdzie morze brzegi rwie,
Niech zdradliwy czarnobrewy
Ma pochybel w mojej łzie.

K A T A R Z Y N A .

I.

Ej! kochajcie, czarnobrewki,
Ale nie Moskala:
Moskal tylko serca zrani,
Dusze porozżala.
Swem kochaniem, czy udaniem,
Pożartuje srogo,
Pójdzie w swoją Moskiewszczyznę,
A ty giń, niebogo!
Nieby jeszcze, gdyby sama
Skamieniała głazem,
A to nieraz stara matka
Musi ginąć razem.
Nieraz, nieraz serce pęka,
Choć się pieśni nuca:
Ludzie serca nie spytają,
A kamieniem rzuca.
Więc kochajcie, czarnobrewki,
Tylko nie Moskala:
Moskal tylko serce zrani,
Potem się przechwala.
Katarzyna ojca, matki
Głosu nie rozumie,
A Moskala pokochała,
Jak tam serce umie.

I do sadu z młodym chodzi,
I na pierś się garnie,
Póki swojej biednej doli
Nie zgubiła marnie.
Ot, bywało, matka woła:
Córko! na wieczerzę!
Ona syta ze swym lubym,
Ani sen jej bierze.
I ta miłość jawna była
W oczach całej wioski,
I poczęli już źli ludzie
Puszcząć złe pogłoski.
A niech sobie źli tam ludzie
Co ich wola plotą:
Ona kocha — serce pełne,
To i mniejsza o to!
Zabębnili, zatrąbili
W wojskowej komendzie:
Moskał poszedł w Turecczyznę, —
Cóż z dziewczyną będzie?
A choć serce się pokryło
Jakby kirem grubym,
Miło czasem i zaśpiewać,
I tęsknić po lubym.
On się zaklął, zaprzysięgał
Swojej Katarzynie,
Że powróci, jeśli w bitwie
Kula go ominie.
On tak kocha! onby nie chciał
Zwodzić mię w obłudzie;
A tymczasem, co ich wola,
Niech gadają ludzie.
Katarzyna łązy ociera,
W sercu jej swobodniej,
Choć dziewczęta na ulicy
Coś tam stronią od niej.

Katarzyna myśli sobie:
 Bóg wie, co im chce się?
 O północy wiadra bierze
 I wody przyniesie.
 Niech wrogowie nie zobaczą,
 Wszak blisko krynica.
 Stanie sobie pod kaliną,
 I zaśpiewa H r y c a.
 Aż kalina się rozplącze,
 Kiedy ją wysłucha.
 Ona wraca, niewidziana
 Od żywego ducha.
 Katarzyna błogo marzy,
 Do snu się układłszy,
 Lub ubrana w białą odzież
 Przez okienko patrzy.
 Minał miesiąc, minął drugi,
 Minęło półrocze,
 I krwią czarną okipiało
 Jej serce ochocze.
 Przyszła boleść... ciężka boleść,
 I po krótkiej chwili
 Takie piękne, jak aniołek,
 Już dzieciątko kwili.
 Już sąsiadka jedna, druga,
 I matce docina:
 Wy za piecem hodujecie
 Moskiewskiego syna.

.
 Katarzyno! Katarzyno!
 Nieba cię skarały:
 Co ty biedna poczniesz w świecie
 I sierotka mały!
 Ty bez męża... on bez ojca,
 Co wy uczynicie?
 Ojciec... matka... cudzy ludzie,
 Ej! niedobre życie!

Wyzdrowiała Katarzyna,
Przejrzała po świecie;
Patrzy w okno na ulicę,
I kołysze dziecię.
Wyjdzie w ogród, by popłakać,
Do ziemi przypadłszy;
A zły człowiek przez częstokół
Z urąganiem patrzy.

Tam w ogródku zielenieją
Czereśnie i wiśnie;
Wyszła biedna i niemowlę
Do swych piersi ciśnie.
A w ogródku już nie śpiewa
Piosenek swobody,
Jako wtenczas, gdy przychodził
Jej kochanek młody.

Już nie śpiewa w cieniu wiśni
I ciemnej kaliny,
A tymczasem źli wrogowie
Szarpia cześć dziewczyny.
Co ma począć nieszczęśliwa,
Że jej serce rania?
Gdyby miły wrócił z drogi,
Ująłby się za nią.

On daleko za górami
Gdzieś się w boju trudzi,
Ani też jej nie zobaczy,
Ni śmiechu złych ludzi.
Może leży za Dunajem
Między zabitemi,
Albo może kocha inną
Na moskiewskiej ziemi.

Nie... jej luby nie zabity
Na żadnej wojence...

Gdzie on znajdzie takie oczy,
Takie brwi dziewczęce?
Choćby schodził na kraj świata,
Opłynął kraj morza,
Jedna tylko jest na świecie
Katarzyna hoża.

Dała matka czarne brewki
I czarne oczęta;
Lecz przy brewkach — jasnej doli
Dać jej nie pamięta.
A bez doli, piękne lice,
Jak piękny kwiat bywa:
Przyjdzie słońce i zapali,
Wicher poobrywa.

Myjże łzami białe lice
I jęcz pokryjomu,
Bo Moskale inną drogą
Wrócili do domu!

II.

Siedzi ojciec w końcu stołu,
Na rękach pochyły,
Ciężko duma, bo staremu
Boży świat nie miły.
A opodal siedzi matka
Na dębowej skrzyni,
Cichym głosem gromi córkę
I wyrzuty czyni:
Kiedyż przyjdzie, moja córko,
Wesele do chaty?
Gdzie są družki, starostowie?
Gdzie weselne swaty?
Idź na Moskwę, tam cię czeka
Godowa gromadka;
Ale nie mów dobrym ludziom,
Żem ja twoja matka.

O! przekłeta ta godzina,
Co cię na świat zsyła!
Czemum ciebie z jasnym wschodem
W rzece nie topiła?
Nie przyszłoby na niestawę
I na hańbę w świecie...
Moja córko! moja córko!
Mój różany kwiecie!
Hodowałam, jak ptaszynę,
Jak krasną jagodę;
Na cóż teraz, na cóż przyszły
Twoje lata młode?
Idź na Moskwę szukać teści,
Idź sobie za morze!
Nie słuchałaś mojej rady,
Jej posłuchasz może.
Idź, przywitaj, — oni ciebie
Przyjmą najgoręcej;
Idź na Moskwę, bądź szczęśliwa,
Lecz nie wracaj więcej.
Ruszaj sobie w cudzą stronę,
Na kraj świata Boży...
Lecz któż tutaj moją głowę
Do trumny położy?
Kto zapłacze łzami dziecka
Nad matką rodzoną?
Kto posadzi na mogile
Kalinę czerwoną?
Kto choć jeden pacierz zmówi
Za mą grzeszną duszę?...
Och!... idź, córko nieszczęśliwa;
Ja wyrzec się muszę!
Kończy mówić, lzy ociera,
Coraz bardziej blada,
Błogosławi... i na skrzynię
Bezprzytomnie pada.

No — powiada ojciec stary, —
Gotuj się do drogi!
Katarzyna, rycząc, padła
Pod ojcowskie nogi:
Och, przebaczcie nierozumnej
Młode jej swawole!
Przebacz, ojcze, mój gołąbku,
Mój jasny sokole!
Niech twa dola dobrych ludzi
Do litości wzruszy!
Módl się, córko, i idź z Bogiem,
Będzie lżej na duszy!
Córka wstała, pokłon dała,
Wyszła milcząc z chaty;
Już sierotą stara matka
I ojciec brodaty.
Wyszła z chaty i do Boga
Modlitwę posyła,
I rodzinnej szczyptę ziemi
W szkaplerzu zaszyła.
Och, nie wrócę... och, nie wrócę
Ani tutaj blisko!
W cudzej stronie cudzy ludzie
Dadzą przytulisko.
Swojej ziemi choć garsteczkę
Ja zabiorę rada:
Niech o mojej gorzkiej doli
Ludziom rozpowiada.
Nie mów, synu, gdzie się zwrócę,
Szanuj me ukrycie...
Ot kto powie! — sad wiśniowy,
Żem ci dała życie.
Ja ucieknę, wpadnę w rzekę
Zalać piersi strute;
Ty sieroctwem za me grzechy
Odbędziesz pokutę!

Idzie wioską nieszczęśliwa
Szukać doli w świecie;
Na jej głowie biała chusta,
A na ręku dziecię.
Wyszła z wioski — iść potrzeba
O chlebie żebraczym...
Obróciła nazad oczy
I ryknęła płaczem.
Wyszła w pole — i stanęła,
Jak samotne drzewa,
I jak rosa przed jutrzeńką,
Łzami się zalewa.
A dziecina jak aniołek,
Nie zna swej niedoli,
Jedną rączką piersi szuka,
A drugą swawoli;
Słońce zaszło za dąbrowę,
Niebo pokraśniało, —
Ona z łez otarła oczy
I wędruje śmiało.
A na wiosce, jak na świecie,
Bajali co chcieli:
Ale ojciec, ale matka
Tych słów nie słyszeli.
Tak na świecie, na tym świecie
Bywa zawsze prawie:
Ludzie ludzi rzną i topią,
I gubią na sławie.
Za co? za co, miły Boże,
Te brzydkie obmowy?
Świat szeroki — ale niema
Gdzie przytulić głowy.
Jeden w świecie ma obszary
Szerokie i szumne;
Drugi miejsca tylko tyle,
Gdzie zakopać trumnę.

Gdzież ci ludzie, co to serce
 Dla nich się odsłania,
 Żyćby chciało, bić ogniście
 I topnieć z kochania?
 Jest na świecie wola,
 Ale któż ją zbada?
 Jest na świecie wola,
 Lecz któż ją posiada?
 Są na świecie ludzie,
 Którym świat się dziwi,
 Syci srebra, złota,
 Ale nieszczęśliwi.
 Żupan ich podszyty
 Ciernistemi igły,
 Szarpie ból ukryty,
 Ale łyzy zastygły,
 Bierzcie srebro, złoto,
 I bądźcie bogacze;
 Dla mnie żal z tęsknotą,
 Ja tylko zapłacę.
 Zatopię niedolę
 Moją łąz nieboga,
 Zadepcę niewolę
 Moją bosą nogą!
 Bogatszym od króla,
 Próżność mię nie łechce,
 Kiedy serce hula,
 Jako samo zechce.

III.

Krzyczy sowa nad lasami,
 Iskrzy niebo gwiazdeczkami.
 A gdzie droga, a gdzie niwa,
 Konik polny pobrzakiwa.
 A po chatach dobrzy ludzie
 Spoczywają po swym trudzie.

Czy kto płaczem piersi znużył,
 Czy kto szczęścia swego użył,
 Dla każdego jednakowa
 Ciemna nocka wszystko schowa.
 Gdzież ukryła Katarzynę?
 Czy w lesistą gdzie gęstwinę?
 Czy ją w chatę ludzie zową?
 Czy pod kopą śpi zbożową?
 Czy na kłodę gdzieś przypadłszy,
 Wilczych oczu pilnie patrzy?
 Oczki czarne z ognia siłą!
 Bogdaj nigdy was nie było,
 Jeśli przez was — dobre Nieba!
 Tyle klęski zażyć trzeba.
 A co potem jeszcze czeka?
 Będzie bieda niedaleka.
 Trzeba przebyć żółte piaski,
 Ludzkie łaski i niełaski,
 Trzeba przebyć białe śniegi,
 Na pustyni mieć noclegi,
 I to jeszcze zgadnąć sztuka,
 Czy się znajdzie kogo szuka?
 Czy on biedną pozna przecię?
 Czy przygarnie swoje dziecię?
 Przy nimby się zapomniały
 Piaski, śniegi i trud cały:
 Niech matczynem sercem wita,
 Po bratersku zdrowia spyta!
 Zobaczymy... daj to, Boże!
 Ja tymczasem kobzę złożę
 I rozpytam się po przedzie,
 Gdzie na Moskwę droga wiedzie?

.
 Tam za Dnieprem, za Kijowem,
 Tam za borem, za sosnowym,

Tam drużyna szła czumacza,
Wyśpiewując pieśń Puhacza.
Tamże młoda szła niewiasta,
Z kijowskiego pewnie miasta,
Gdzie do cerkwi i Pieczary
Szła odprawiać swe ofiary.
Lecz ma postać niewesołą,
Pochyliła smutnie czoło,
A jej odzież to lachmana,
A przez plecy torba lniana,
W jednej ręce kij pielgrzyma,
A na drugiej dziecię trzyma,
Gdy się zesła z karawaną,
Kryje dziecię w szmatkę lnianą!
Dobrzy ludzie, ej dla Boga!
W Moskiewszczyznę gdzie tu droga?
W Moskiewszczyznę?... tam do kata
Ej, to jeszcze kawał świata!
W samą Moskwę... wskażcie drogę
I obdarzcie czem niebogę!
Miedzianego dali szaha.
Brać, czy nie brać? dłoń się waha;
Snadź żebraczka jeszcze dzika
Do jałmużny nie przywyka.
Bo i na cóż grosz niebodze?
Ale dziecię karmić w drodze,
Trzeba kupić mu kołaczy,
Trzeba przenieść wstyd żebraczy.
Więc dziękuje za ich dary,
Śpieszy na noc na Browary,
A w Browarach, broniąc głodu,
Kupi dziecku kołacz z miodu.
Tak wędrując dni, tygodni,
Pyta drogi u przechodni;
A powolny chód jej pieszy, —
Gdy do wioski nie dośpieszy,

Często, gęsto pod jedliną
W polu nocleg ma z dzieciną.

Ot do czego czarne oczy!
Aby płakać na uboczy.
Ej! dziewczęta niebożęta,
Niechaj każda to pamięta,
A za przykład złej podróży
Katarzyna niech wam służy.
Nie pytajcie, czemu tłuszcza
I do chaty jej nie wpuszcza,
A nie skarżcie wyrzutami,
Bo nie wiedzą ludzie sami:
Oni tylko są szafarze,
Kiedy Pan Bóg kogo karze.
Bo to człowiek, jak wierzbina,
Gdzie wiatr wieje, tam się zgina;
A sieroce złe koleje,
Słońce świeci, lecz nie grzeje.
Gdyby mogli ludzie mili,
Toby słońce zasłonili,
Żeby promień jego złoty
Nie osuszał łez sieroty.
Jakaż wina tej niebogi?
Za co dla niej świat tak srogi?
Nienawiścią jakąś pała,
Chce koniecznie, by płakała.
Nie płacz... nie płacz, Katarzyno!
Niech przy ludziach łzy nie płyną;
A kiedy się płakać zdarzy,
Niech nie widzą twojej twarzy.
By ci lice nie zmarniało,
Zmywaj łzami twarz twą białą;
Ale idź, gdzie puszcza skryta,
Póki słońce nie wyświta:
To i ludzie nie zobaczą,
Nie poszydzą, nad rozpaczą;

A nim oczko się wyszlocha,
To odpocznie serce trocha.

Przenocuje przy jedlinie,
Trochę piersi da dziecinie,
I jak tylko siły wzmoga,
W kraj Moskiewski idzie drogą.
Idzie smutna — a wtem baczy,
Że z daleka coś majaczy.
Boże! wojska idą roty!...
Zamarł w piersiach duch sieroty...
Serce kipi... rwie się z łona!
Bieży naprzód, jak szalona,
I żołnierzom prawi dziwy:
— Gdzie mój Janko czarnobrewy?
Czy on tutaj służy z wami?
Czy nie zginął pod Turkami?

Powiadają jej Moskale:
— My nie znamy Janka wcale.
I zwyczajną drogą swoją
Gorzkie żarty z biednej stroją.
Zuchy nasze!... oto sztuka!
Kogoż żołnierz nie oszuka?
Której dziewczki, w jakim siole,
Nie wywiedzie żołnierz w pole?
Katarzyna z bolem rzecze:
— U was serca nie człowiecze!...
Cyt, mój synu! pójdziem dalej,
Będziem jeszcze go pytali,
Aż w moskiewskie pójdziem bramy,
Może jeszcze go spotkamy.
Oddam ciebie, dziecko łube,
Sama pójdę na zagubę.

Zamieć w polu kręci, miecie,
Nic nie widać w Bożym świecie.
Katarzyna, stojąc w polu,

Nie folguje serca bólu.
 Wzmógł się wicher tajemniczy,
 I gdziekolwiek tylko ryczy.
 Katarzynie dusza pała,
 Lecz już wszystkie łzy wylała;
 I na łzami zlane dziecię,
 Jak na zlane rosą kwiecie,
 Obróciła smutne oczy,
 A gadzina serce toczy.

Naokoło cisz cmentarna,
 A dokoła puszcza czarna,
 A przy drodze wedle boru
 Majaczeje dach futoru.
 — Chodźmy, synu, zmierzch na dworze,
 Do tej chaty wpuszczą może,
 A nie wpuszczą, Pan Bóg z niemi,
 Na wilgotnej zaśniem ziemi.
 Gdzież ty będziesz spał, Iwanie,
 Gdy na świecie mię nie stanie?
 Po igraszkach, po zabawie,
 Z psem przyłęczesz gdzieś na trawie!
 Z psami jednak lepsza rada:
 Choć pokąsa, nie ogada,
 Nie narazi na obmowę
 Nieszczęśliwą twoją głowę.

.

IV.

.

 Wicher jęczy w różne tony,
 Łamie drzewa w lesie,
 Jak po morzu sine fale,
 Śnieg po polu niesie.

Karbowniczy wyszedł z chaty,
Obejść swoje knieje:
— Ale gdzie tam!... ani rady,
Wicher gdzieś zawieje.
Niechaj puszcę lichu bierze,
Wrócę do komina.
Ale cóż tam? óma żołnierzy
Zbliżać się poczyňa.
Co za chmara!... co za chmara!
A jak broń ich błyska!
Niby pilno im doprawdy
Przysiąść do ogniska.
Niczyporze! rzekł do syna —
Patrz, Moskale jada,
A jak śnieg ich poubiełał...
Jak łabędzi stado!...
U nich w chacie Katarzyna
Nie śpi nieszczęśliwa,
Słyszy całą ich rozmowę
I szybko się zrywa.
— Co! Moskale? gdzie Moskale?
Przy okienku stanie,
Jak szalona, bezprzytomna,
Leci na spotkanie.
Snadź Moskale jej we znaki
Dali się nielada,
Bo i przez sen tylko wzdycha,
Tylko o nich gada.
I przez chwasty, przez zasypy
Zadyszana leci,
I stanęła na gościńcu
Wśród wichrów zamieci.
A żołnierze konno, rzędem,
Jadą według hasła:
Katarzyna ich ujrzała
I w ręce zakłasia.

- A po przedzie starszy jedzie.
Okryty szarugą:
— Iwan!... Iwan!... och, mój luby!
Gdzieś bawił tak długo!?
- I do strzemion mu przypada
Szalona dziewczyna.
Iwan spojrział — i konika
Ostrogami spina.
— Czy uciekasz?... cóż to znaczy,
Iwanie jedyny!
Czyż ci z głowy pamięć wyszła
Swojej Katarzyny!
Spojrzyj tylko... to ja... to ja,
Twoja ulubiona;
Poco gniewne marszczysz czoło
I targasz strzemiona?
On udaje, że nie zważa,
I chce pędzić dalej, —
I Marsz naprzód! groźnym głosem
Mówi do Moskali.
— Ej, Iwanie! ej, sokole!
Nie opuszczę ciebie!
Jestem twoja Katarzyna,
Tak jak Bóg na Niebie!
— Daj mi pokój, szalenico,
Hej, weźcie ją z drogi!
Jeszcze gniewniej zmarszczył czoło
I szarpnął ostrogi.
— Co Iwanie!... ty się rzucasz?
Węzeł się rozprzęga?
A gdzież twoje dobre słowo?
Gdzie twoja przysięga?
— Precz mi z drogi! Hej, żołnierze,
Zwleczcie ją do rowu!
Katarzyna, za strzemiona
Chwyliła go znowu;

— Ze mną czyń, jak twoja łaska,
Ja zniosę męczarnie;
Ale dziecię!... nasze dziecię...
Czyż zaginie marnie?
Nie gub, Janku, nas oboje,
Tak być nie powinno!
Ja ci będę najemnicą,
Kochaj sobie inną.
Kochaj sobie choć świat cały,
Niech się co chce stanie,
Ja zapomnę dawne lata
I nasze kochanie.
Tylko przykryj moją sławę
Imieniem twej żony:
Bo syn będzie nieszczęśliwy,
Świat Boży zgorszony.
Nie porzucisz syna, luby,
Nie porzucisz przecię...
Pozwól... ja ci go przyniosę...
Co za piękne dziecię!
I od kolan się odczepia,
I do chaty bieży,
Niesie dziecię, otulone
W podartej odzieży.
— Patrz, Iwanie!... patrz na syna!...
Iwan już z daleka!...
— Czyż doprawdy swej dzieciny
Ojciec się wyrzeka?
Poczekajcie... poczekajcie,
Sokoły-żołnierze!
Niech z was który mego syna
Do siebie zabierze!
Czy oddajcie go starszyźnie
Waszego szeregu,
Bo jak ojciec bezlitośny,
Rzucę go na śniegu!

I z rozpaczy wściekłym krzykiem
Przeklina Iwana:

Grzechem, synu twa godzina,
Grzechem była dana.

Rośnij, rośnij na śmiech ludzki,
Sierocino mała!

Zostań tutaj szukać ojca:
Jam długo szukała!

I przy drodze dziecię kładzie,

Sama w las ucieka,
A Moskali już za górą
Nie widać z daleka.

A niemowlę dogorywa,
W niebogłosy krzyczy...

Szczęściem, krzyki ze swej chaty
Postyszał leśniczy.

Katarzyna biega, wyje,
Klnie swego sokoła,

I wybiegłszy na pagórek,
Po imieniu woła:

— Wróc się, wróc się, drogi Janku,
Tak powinność każe!

Ale tylko leśne echo
Odzywa się w jarze.

Obląkana bieży jarem,
Łapać echo może,

I stanęła bez pamięci
Przy wielkiem jeziorze:

— Przyjmij, Boże, moją duszę, —
Ty, wodo, me ciało!

I na wodzie pod krą lodu
Coś zapluchotało.

Ot i kara, że nie słucha
Matczynej porady...

A wiatr dmuchnął po jeziorze
I zagładził ślady.

Mały wicher, co rwie dęby
I sośniny chyli;
Lżejsza boleść chować matkę,
W jej starości chwili;
Nie sieroty małe dzieci,
Co pogrzebły nianię:
Na mogiłach dobra pamięć,
Jeszcze pozostanie.
Lecz cóż temu pozostało
Do życia ostatka,
Kogo ojciec ani widział,
Wyrzekła się matka?
Ani chaty, ani rodu,
Ani dobrej sławy;
Nikt do niego nie zagada,
Nie dzieli zabawy.
Szloch, płacze całe życie,
Żal się Panie Boże!
Na co jemu twarz udatna
I spojrzenia hoże?
Aby ludzie powiedzieli,
Patrząc w jego lice:
— Lepiejby go od kolebki
Pogrzebli rodzice!

V.

Do Kijowa szedł ubogi,
Na spoczynek siadł u drogi;
A prowodyr z drugiej strony,
Torebkami oczepiony,
Na słoneczku małe chłopię
W żółtym piasku dołki kopie.
Stary kobzarz pieśnią pieje
O Jezusie z Galileje;
A kto idzie, ten nie zbacza,

Ten da grosza, ten kołacza,
A niewiasty kromkę sera
Dla młodego prowodyra.
Rozważają chłopca losy:
Chłopak piękny, nagi, bosy,
Wziął po matce wzrok sokoli,
Ale nie wziął dobrej doli.
Z szumem pańska grzmi kolaska,
A woźnica z bicza trzaska,
A w kolasce pan i pani,
A na drodze pył tumani.
Przy żebraku niespodzianie
Pozłocisty powóz stanie.
Dziecię bieży do kolaski,
Grosz dostało z pańskiej łaski.
Pan popatrzał na Iwanka...
Jakby jakaś niespodzianka,
Jakby coś mu myśli mroczy,
I odwraca w stronę oczy.
Piękna pani wzrok wyteża
Na Iwanka, to na męża.
Och! zły ojciec poznał syna,
Z oczu matkę przypomina;
Ale milczy, rusza głową.
Pani spyta: Jak cię zową?
Zwą mię Jankiem — Ładnyś mały!
I rumaki poleciały,
Piękny powóz w żwir się kopie
I kurzawą przykrył chłopię.
I włóczgi torby biorą,
Przeżegnali się z pokorą.
I kijowskim bitym szlakiem
Kobzarz powlókł się z chłopakiem.

N A J E M N I C A.

P R O L O G.

Chmurny ranek był w Niedzielę:
 Ponad polem mgła się ścięła;
 Na mogile wpośród pola
 Coś się chysta, jak topola.
 To niewiasty postać blada
 Coś do łona ciśnie rada,
 Coś z rannemi mgłami gada.

Mgły wy gęste, mgły jutrzniane,
 W srebrnych iskrach rozsypane!
 Czemużście mię życzliwie
 Nie pogrzebły na tej niwie?
 Czemu, widząc los nieczuły,
 Biednych piersi nie zatrwały?
 O! pogrzebcie mię w mogile!
 O nie!... jeszcze... jeszcze chwilę...
 Tylko skryjcie mię głęboko,
 Gdzie nie dojrzy ludzkie oko.
 Jam nie jedna na tym świecie,
 Ojca, matkę mamże przecię,
 Mam i braci... jest rodzina,
 Mam pieśczołkę... och! mam syna;
 Ale jego główkę młodą
 Nie polano chrzestną wodą.
 O mój synu!... o nadziejo!
 Niech ci główki nie poleją:
 Ja bez chrztu zostawić wolę,
 Niż cię ochrzcić na niedolę.
 Cudzy ochrzczą cię kumowie.
 Ale żaden się nie dowie,
 Kto ty jesteś... jak ci miano?
 Mnie bogatą nazywano...
 Nie przeklinaj mię, dziecino!

Moje modły w Niebo płyną,
Wysłuchają modłów w Niebie
I otoczą szczęściem ciebie.

I rwąc piersi w takie słowa,
Za najgęstszą mgłę się chowa,
I zachodzi się boleśnie,
I o wdowie śpiewa pieśnię:
Jak tam wdowa nad Dunajem,
Staroświeckim obyczajem,
Zwir na oczy synów sypie
I zawodzi pieśń na stypie:
Och! tam w polu mogiła.
Och! tam wdowa chodziła!
Zamiast polną rwać rutę,
Rwała zielska zatrute.
Nie skutkowały ziela,
Bóg dwóch synów udziela.
W kitajkę je obwiła
I za Dunaj posyła.
— Och, Dunaju! ty rzeko!
Nieś me dzieci daleko.
Niech pobawią się mali
Pięknem cackiem twej fali.
A ty, piasku i trawko,
Bądźcie dla nich zabawką.
Piasek bawi... pobawi...
I kołyskę im sprawi;
Nad kołyską — opona
Będzie trawa zielona.

I.

Przy jeziorze, na futorze,
Mieszkał sobie dziad z babulą:
W każdym miejscu w każdej porze,
Jakby dziatki, tak się czuła;

Jednym śladem i przykładem,
Dziadek z babką, babka z dziadem.

Od dziecinnej razem chwili
Paśli owce na ugorze,
A potem się pożenili,
Futor, stawek, młyn nabyli;
A w futorze, przy jeziorze,
Zasadzili ogród różą
I pasiekę mieli dużą.

Wszystko dobrze... tylko dziątek
Na pociechę im nie dano.
Któż przytuli na ostatek
Głowę, wiekiem skołataną?
Kto zapłacze? kto pochowa?
Kto rodziców spełni słowa?
Nie masz, nie masz na tym świecie,
Jak rodzone własne dziecię!
Ale gorzej w gmachu świetnym,
Jak sierota żyć bezdzietnym,
I zebrane mienie w trudzie
Między obce oddać ludzie,
Co za życia gonią za niem
I zmarnują z urąganiem.

II.

Dziadek i babka jednej Niedzieli
Na niskiej przyzbie sobie siedzieli,
Ubrani biało, aż patrzeć miło;
A na Niebiosach słońko świeciło,
Ani chmureczki, ani wietrzyka,
Rajska pogoda duszę przenika.
Bolesne dumki i smutek chory
Gdzieś się ukryły, jak zwierz do nory.

W tak pięknym życiu, w tak cudnym czasie,
Czegoby starzy tęsknili, zda się?

Czy dawne licho, czy myśl o śmierci
Jak gdyby robak po piersiach wierci?
Myśl jakaś tęskna, jakaś niemiła,
Jakaś wczorajsza rana odżyła.
Bóg raczy wiedzieć, co im nie płuży?
Może o wiecznej marzą podróży;
A do podróży na ten szlak Boży
Któż im w karawan konie założy?
— Nastko-gołąbko! — powiada stary —
Kto nas po śmierci włoży na mary?
— Ojczy serdeczny — babka odpowie —
To mi się dawno snuło po głowie,
I dawno sobie daję pytanie:
Komu chudoba nasza zostanie?

Cyt! ale słuchaj... słyszę w tej chwili,
Coś za wrotami, jak dziecko, kwili.
Pójdziem zobaczyć, co to za sztuka?
Bo coś niedarmo serce mi puka.

Więc kiedy starców ciekawość miota,
Wsparci na kijach śpieszą pod wrota,
Śpieszą pod wrota, i pod przełazem,
Milcząc, oboje stanęli razem,
Bo w lichą płachtę i w starą świtę
Leży pod płotem dziecię spowite; —
Snadź tylko matce szmaty dziurawe
Starczyło dziecku dać na wyprawę.
Uradowani starcowie szczerze,
Kiwali głową, mówiąc pacierze.
Drobna dziecina, lekko ściśnięta,
Jeszcze wyciąga ku nim rączęta,
A popłakawszy, po krótkiej chwili,
Już tylko niemem kwileniem kwili.

— A widzisz Nasto! dusza mówiła,
Że Bóg nam z Nieba pociechę zsyła.
Bierźże ją prędzej... zimno na dworze,

W miękkie pieluchy obwiń niebożę,
 Obwiń w pieluchy, zanieś do chaty,
 A ja... jak niegdyś dawnemi laty,
 Skoczę na konia, aż wiatr zaświszcze,
 Poprosić kumów na Horodyszczce.

Och! dziwno jakoś na świecie bywa:
 Jeden na syna przekleństw przyzywa,
 Wypędza z chaty, zębami zgrzyta;
 Drugi, gdy w chatę syn mu zawita,
 To krwawym potem, w kośbę czy żniwa,
 Woskową świeczkę zapracowywa,
 By ją z modlitwą nieść do ołtarza,
 Że Bóg go drogim skarbem obdarza.
 Zapala świeczkę, łyzy rzewne leje,
 Za swoje szczęście, za swe nadzieje.
 Cieszyć się Bóg wie, czy było poco,
 Ale bez dziatwy — jakoś sieroco.

III.

W Horodyszczce leciał stary,
 Zebrał kumów aż trzy pary,
 I pod wieczór chrzestną wodą
 Książdz dziecinę polał młodą.
 Dano dziecku imię Marka,
 A serdeczna dziadów parka,
 Na wzrost jego patrząc krzepki,
 Złotej chciała by kolebki.
 Już dla Marka, dla pieszczoty,
 Już kolebki mało złotej;
 Stary dziadek z babką chorą
 Już mu cacek nie dobiorą.
 I po drugiej, trzeciej wiośnie,
 Wypieszczony Marko rośnie,
 I wyrasta na młodziana,
 Jak jagódka, jak rumiana...
 Wtem jednego w polu żniwa

Nowa gościa im przybywa:
Czarnobrewka — dziewczę hoże,
Przyszła w najmy żać im zboże.

— A cóż, Nasto? — Cóż, Trochimie?
Trzeba żniejki, niech się przyjmie.
Z starej ręki babki, dziada
Sierp żniwiarski już wypada,
A i dziecku będzie słodziej,
Bo mu niańka nie zaszkodzi.

— Tak, tak, Nasto! — Trochim powie: —
Już nie służy wiek i zdrowie,
A pod starość wielka zmiana,
Zdarłem nogi po kolana,
Nam potrzebne ręce młode...
Co chcesz, dziewczę, za nagrodę?

— Ja chcę służyć w waszej chacie,
A przyjmuję co mi dacie, —
Rzecz dziewczka kłopotliwa.
A staruszek brodą kiwa:
— Krzywdzić ciebie? nam to na co?
Lecz ty waż się ze swą pracą,
Bo mówili ludzie starzy,
Że ten nie ma, kto nie waży.
Ty nas nie znasz, a my ciebie;
Żyj na naszym teraz chlebie;
A jak dobrze pójdzie proba,
Jedno drugich upodoba,
Jak pobędziesz w naszej chacie,
Pomówimy o zapłacie.

— Och! już wy mnie nie skrzywdzicie,
Ojczy-serce, matko-życie!
Mieszkać będę w waszej chacie,
Wezmę płacę, jaką dacie.

Weszli w chatę, i dziewczyna
Nową służbę rozpoczyna,
Tak szczęśliwa, taka rada,
Na sto koni jakby wsiada,
Jakby doła biednej dana
Wyjść za pana, za hetmana.
O poranku i wieczorze
Ona w chacie i na dworze,
I w oborze, i w stodole,
I na żniwo idzie w pole.
Lecz najmilej czas jej płynie
Nad kołyską przy dziecinie,
Że i matka i rodzona
Tyłu trudów nie dokona.
W dzień powszedni, czy w Niedzielę
I pościółkę mu uścielę,
I koszulkę włoży białą,
I rozczesze główkę małą,
I piosenki wyśpiewywa,
I wystruga wóz z łuczywa.
Cóż dopiero, gdy w dni święta
Inszą pracą niezajęta?
Przez dzień cały, przez dzień Boży,
Z rąk chłopięcia nie położy.
Aż się dziwią staruszkowie,
Nie pomieszczą tego w głowie,
Błogosławią jak rodzice
Swą pocziwą najemnicę.
Lecz gdy w nocy posną starzy,
I dziecina się rozmarzy,
Ona patrzy na pacholę
I przeklina swoją dolę.
A jej żalu i rozpaczy
Nikt na świecie nie zobaczy;
Jeden Marko — lecz, nieboże,
On zrozumieć jej nie może:
Czego płacze nieszczęśliwa?

Poco łzami go obmywa?
Czemu, zszedłszy gdzieś w oddali,
Całunkami aż go pali?
Nie dojada kęska chleba,
Byle Marko miał co trzeba?
Czasem ze snu coś wyszepce
Lub przewróci się w kolebce:
To już ona kłopotliwa
Z najtwardszego snu się zrywa,
I przeżegna w nocną ciszę,
I kolebkę zakolysze.
Ona czuje aż z za ściany
Oddech dziecka rozespany;
A gdy z rana oczki przetrze,
Rączką chwyta za powietrze
I rączkami opowije
Pochyloną niani szyję,
Czasem nie wie co wygada,
Imię matki niańce nada,
I jak dąbek rość poczyna,
I kraśnieje, jak kalina.

IV.

Ej! niemało, niemało
Wód się w rzece przelało,
I zła dola surowo
Puka w chatę dziadową.
Baba Nasta w mogile,
Dziadek upadł na sile,
Ani rady już niema
Uratować Trochima.
Wreszcie uratowali,
I bieda poszła dalej,
I na cichym futorze
Szczęście zakwitło Boże,
Z ciemnych gajów na nowo
Przyszło w chatę dziadową.

Już i Marko dziecina
 Wyrósł bujno, jak trzcina,
 Krzepki, nakształt jawora,
 Że i żenić już pora.
 Starzec w myślach się gubi,
 Kogo chłopak zaślubi?
 Słuchać ludzi nie wadzi,
 Najemnicy się radzi.
 Ta posłałaby swaty
 Do królewnej bogatej;
 Lecz królewna daleko,
 A tu lata ucieką.

— Niech sam radzi w tej mierze,
 Niech sam żonę wybierze.

— Dobrze, córko — rzekł stary, —
 Niech wyszuka już pary,
 A jak parę wyszuka,
 Posłać swatów nie sztuka.

Rozpytali, radzili,
 Panów swatów prosili.
 Przyszli swaty za wola,
 Przyszli z chlebem i solą,
 I ubrani sowito,
 I z rusznicą nabitą.
 Dobrze poszło swatanie:
 Piękna panna w żupanie,
 Taka hoża i młoda,
 Że i starań nie szkoda,
 Kwiatek, krasny i wonny, —
 Sam pan hetman koronny
 Takie dziecko pieszczone
 Chętnie wziąłby za żonę.

— Dzięki, dzięki, swatowie! —
 Rozczulony dziad powie —
 Lecz rozbierzmy w gawędzie,

Gdzie i kiedy ślub będzie?

Jak w weselu zaradzę?

Kogo matką posadzę?

Nastę wzięto na maryl... .

Ot i spłakał się stary.

Rozrzewniona najmita

Drzwi oburącz się chwyta,

I mdlejąca się tarza,

I coś mdlejąc powtarza,

Mówi cicho a z rzadka:

— Matka!... matka!... gdzie matka' . .

V.

Minał tydzień, družki młode

Korowaj miesiły;

Stary ojciec, jeżąc brodę,

Krzętał się co siły.

To podwórko swe przykrasza

Z pracą i zachodem,

To podróżnych wciąż zaprasza

Na gorzałkę z miodem.

Na wesele sprasza gości

W wesołym zapale;

Naturbował stare kości,

A nie czuje wcale.

Na co biednej stać chudoby,

Wskazał jak na dłoni;

Na dziedziniec wnieśli żłoby

Dla gościnnych koni.

Obcy czyszcą ściany chaty;

Gdzież się dziewczka chowa?

Ona wzięwszy kij sękaty,

Poszła do Kijowa.

Na modlitwę chęć ją bierze

Z pielgrzymów gromadką,

Choć jej starzec prosił szczerze

Być na ślubie matką.

Błaga Marko, aby przecię
Powstrzymała drogę.
— Przebacz, Marko! drogie dziecię,
Ja tu być nie mogę,
Oni ludzie hej! bogacze,
A ja sługa licha,
Między nimi, cóż ja znaczę?
Śmieliby się z cicha.
By was Pan Bóg miał w opiece,
Pójdę do Kijowa,
Wszystkim świętym was polecę
I powrócę zdrowa.
Służyć będę choć bez płaty
Całe moje życie.
Nie porzucę waszej chaty,
Chyba wypędzicie.
I dziadkowi pokłon dała,
I weselnej rzeszy,
Przeżegnała, zapłakała,
I w piegrzymkę śpieszy.
Rwą podkówki, grzmi muzyka
W gwarze weseliska;
Krażą czarki u stolika,
Miód, gorzałka tryska.
Dziewka idzie w czarnej szacie
Gdzie ją oczy wiodą,
Aż w Kijowie, w miejskiej chacie,
Stanął gospoda.
Najęła się wodę nosić
Wiadrem sporej miary,
Byle grosza stało dosyć
Na Mszę u Barbary.
I chodziła do Spowiedzi,
Czcila Świętych twarze,
I dla Marka obraz z miedzi
Kupiła w Pieczarze.

I czapeczkę poświęconą,
Świętego Iwana;
Biła pokłon przed ikoną,
Zginała kolana;
A dla młodej Marka żony,
Jak obyczaj stary,
Krzyż kupiła poświęcony
I pierścień Barbary.
Gdy w domowych stronach stanie,
Dopełniwszy wota,
Wybiegł Marko swoją nianię
Spotkać aż za wrota.
Wyszła żona Katarzyna,
Wiodą w chatnie progi,
Postawili miodu, wina,
By ugościć z drogi.
I pytają o Kijowie,
Cieszą się, weselą,
I troskliwi o jej zdrowie
Miękką pościel ścielą.
— Za co dla mnie to kochanie?
Tak mię czci to stadło?
Ot już może niespodzianie
Serce ich odgadło!
Ej! nie zgadli tajemnicy,
Ale dobre dzieci!
I w sierocej jej źrenicy
Jasna łza zaświeci.

VI.

Już trzy razy lody krzepły,
Topił lody wietrzyk ciepły;
Najemnica już trzy razy
Przed kijowskie szła obrazy.
Jakby z matką Katarzyna
Z nią pielgrzymkę rozpoczyna;
Przeprowadza na szlak znany,

Aż na pole za kurhany,
 I modlitwy swe zasyła,
 Aby prędzej powróciła,
 Bo tu bez niej dniem i nocą
 W chacie pusto i sieroco.

W dzień Najświętszej Panny Zielnej
 Przywdział Trochim strój niedzielny,
 Siadł na kłodzie wedle ula,
 Przy nim wnuczek z pieskiem hula.
 Wnuczka matki odzież wkłada,
 Niby w gości szła do dziada.
 Serce dziada się zaśmiało,
 I przywitał wnuczkę małą,
 Pyta jakby u dojrzałej:

— Gdzieś podziła kołacz biały?
 Czyś nie wzięła, śpiesząc rano?
 Czy ci w lesie odebrano?
 Albo zjadłaś, idąc drogą?
 Ejże wstyd ci, wstyd, niebogo!

Gdy tak stary wnuki cacka,
 Hanna zjawia się znienacka;
 Dobra Hanna, żywa, zdrowa
 Powróciła od Kijowa.
 Starzec zerwał się na nogi,
 Najemnicę witać z drogi;
 Ale ona idzie drogą,
 Nie uważa na nikogo,
 Pyta, robiąc piersią szparką:

— Gdzie jest Marko? gdzie jest Marko?...

— Gdzie jest Marko? Ha! w podróży...

— A mnie siła ledwie służy.
 Biegłam umrzeć w waszej chacie,
 Wy mię szczerze pochowacie.
 Tutaj umrzeć... by mię w dali

Cudzy ludzie nie chowali,
I nie poszła marnie praca...
Niechże Marko prędzej wraca!
Tak mi słabo do ostatka!...

I w swej sakwie szuka szmatka,
I dla wnuków różne dziwa
Na gościniec wydobywa:
I z mosiądzu krzyżyk gładki,
I medalik Bożej Matki,
I obrazki, co na ścianę,
Złotą folgą nabijane,
Świec jarzących pęk wyklada
Katarzynie i dla dziada.
Lecz dla Marka nic nie chowa,
Nie przyniosła nic z Kijowa,
Bo jej groszy już nie stało,
A zarobić sił za mało.

Ot pozostał u pazuchy,
Tylko jakiś kołacz suchy!
Więc go łamie po połowie:
Jedzcie, dzieci!... to na zdrowie...

VII.

Dziadek, wnuki, Katarzyna,
Wszystko krzątać się poczyną,
I do chaty gościę wiodą,
I omyli nogi wodą,
I na końcu stołu sadzą,
I połudeń wczesny dadzą;
Lecz zmęczona i wybladła,
Nic nie piła i nie jadła.

Katarzyno! Katarzyno!
Dwa, trzy dzionki gdy przeminą,
Wtedy cerkiew niech otworzą,
I zakupcie służbę Bożą,

A przed Spasem i Mikołą
 Ponastawiać świec wokoło,
 Bo coś Marko bawi dłużej,
 Zachorował gdzieś w podróży.

Gdy to mówi — traci zmysły,
 Jak z krynicy łyzy jej trysły.
 A gdy pierwsze łyzy przeminają:
 Katarzyno! Katarzyno!
 Już ja nie ta, co przed chwilą,
 Oczy mylą, nogi mylą.
 Trzeba umrzeć — och! nie znacie,
 Co to umrzeć w cudzej chacie!

Zaniemogła nieszczęśliwa,
 I kapłana już przyzywa,
 I odprawia spowiedź szczerze,
 I Oleje święte bierze.
 Stary Trochim w łez powodzi
 Po dziedzińcu smutnie chodzi.
 Katarzyna ani w stronę,
 Oczy w chorą ma wlepione.
 A tymczasem gospodyni
 W dzień i w nocy czuwa przy niej,
 I zapala świeczkę dużą,
 Ale świeczki źle coś wróżą:
 Ciemne światło białe z knota,
 A schorzała wciąż się miota.

Katarzyno! rzuć oczyma,
 Czy z powrotem Marka niema?
 Gdybym pewna była tyle,
 Że go ujrzę choć na chwilę,
 Toby jeszcze przyszła siła,
 Tobym śmierci przemodliła,
 Tobym jeszcze miała wolę
 Ucałować me pacholę...

VIII.

A w czumackiej Marko rzeszy
Powraca wesoły,
Do swej chaty ani śpieszy,
Bo popasa woły,
Wieżie kubrak dla swej żony,
Co oczy zachwyci,
A dla starca pas czerwony,
Wskroś z jedwabnych nici.
Najemnicy — dar sowity,
Żupan nad żupany,
Żupan krasny, złotem szyty,
Srebrem przetykany.
Dzieciom trzewiczki z podróży
Przywiózł w upominek,
I orzechów zapas duży,
I słodkich rozynek.
A dla wszystkich sporą miarę
Z Carogrodu wina.
Mniema zastać szczęście stare
W chacie u komina.
Jego sercem nic nie miota,
Nic nie trudzi głowy.
I otworzył rzeźwo wrota
W dziedziniec domowy.
Zobaczyły go obiedwie
W tejże samej porze:
Och, nakoniec! — Och, załedwie!
Dziękuj Tobie, Boże!
Stary poszedł wyprządz woły,
I uprężę składa;
Jak przed rojem w ulu pszczoły,
Krząta się gromada.
Słysząc krzyki uroczyste,
Radość nieustanną:
Ach, Ojczyzna!... Jezu Chryste!
Ach, Najświętsza Panno!

A gdzie Hanna, Katarzyno?
Gdzie się Hanna chowa?
Pokaż prędeej mą jedyną,
A czy żywa? zdrowa?
Jeszcze żyje... duszę chroni,
Ale bardzo chora;
Chodźmy, Marko! chodźmy do niej!
Oto jej komora!
Marko ledwie poznać zdoła,
Gdy ją ujrzał z progu.
Chodźże prędeej! — ona woła —
Dzięki-ż Panu Bogu!
Pochwalona Pani Nieba,
Przenajświętsza Matka!...
Katarzyno! mnie potrzeba
Mówić z nim bez świadka.
Wyjdź z komory choć na chwilę!...
Wyszła Katarzyna.
Widzisz, Marko! ledwiem w sile
Przemówić... do syna.
Oto, synu, spowiedź skryta
Moich dni ostatka:
Jam nie prosta tu najmita,
Ale twoja... matka...
I osłabła, i złamana
Padła na wezglowie.
Marko upadł na kolana,
A ona znów powie:
W cudzej chacie... tu, jak w grobie,
Zeszła młodość cała...
Byle tylko być przy tobie,
Jam pokutowała...
Marko zemdlał... zbladło lice,
Zbiegli się doń chatni...
Gdy się ocknął — pokutnicę
Ujął sen ostatni.

IWAN PODKOWA.

I.

W Zaporozżu grzmi armata,
Przed panem Iwanem.
Zaporoziec w dawne lata
Potrafił być panem.
Panowali, zdobywali
Swobodę i chwałę:
Ledwie świadczą ich z oddali
Kopce pozostałe.
Oj! wysoko się wznosiły
Na polu kurhany,
Gdzie legł Kozak do mogiły
W kitajkę przybrany.
A mogiła kształtem wzgórza
Aż obłoki bodzie,
Wiatrom żale swe wynurza,
Szepce o swobodzie.
Pradziadowskiej świadek sławy,
Powiadają młodzi;
A wnuk słucha jej ciekawy,
I piosnkę wywodzi.
Och! szalano w Ukrainie,
Licho daj go czartu!
A w gorzałce, w miodzie, w winie
Nabywano hartu.
Dobre niegdyś było życie
W ukraińskiej stronie.
Może sercu coś ulżycie,
Gdy je wam wydzwonię.

II.

Czarną chmurę wicher niesie
Z Limanu wybrzeży,

Sine morze, jak zwierz w lesie
Ryczy, to się jeży.
Gardziel Dniepru już rozlany, —
Chłopczy! hej! do wiosła!
Siądziem w czajki. pójdziem w tany,
Byle woda niosła!
Wypłynęło Zaporozże,
Aż Liman czernieje.
Grajże teraz, sine morze,
Niechaj wiatr zawieje!
Bije fala, pływicie zdrowi,
Ni ziemi, ni nieba,
Aż drży serce... Kozakowi
Tego tylko trzeba!
Wiosło taktem gra wesołym,
Wykrzykują radzi,
Pan ataman płynie czołem,
On wie, gdzie prowadzi.
Chodzi z lulką po swej łodzi
I rozmyśla bacznie:
Gdzie uderzyć mu przychodzi?
Skąd robotę zacznie?
Skręcił wąsy z gęstą miną,
Czajkom stanąć każe,
Podniósł kołpak, wstrząsł czupryną:
Zguba tobie, wraże!
Hej, młodocy! droga znana,
Ja Carogród minę;
Lecz w Carogród do sultana
Pójdziem w gościnę.
Dobrze, ojczy atamanie,
Zagramy w Bosforze!
Dzięki, chłopcy! niech się stanie!
I znów kipi morze.
Pan ataman lulkę kurzy,
Na brzegu usiadłszy.

Na niebiosach bada burzy
I na falę patrzy.

DUMKA.

Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!
Bo nie weźmie nikt w opiekę,
Chyba z góry wskoczyć w rzekę.
Jużbym skończył dni te moje,
Lecz się kary Boskiej boję;
Jużbym dawno zgnił w topieli,
Jużby ludzie zapomnieli.
U jednego dobra dola,
Bujne kłosa zbiera z pola:
Moja dola tylko mamie,
Gdzieś się błąka za morzami.
Dobrze temu bogaczowi,
Co go wszyscy znać gotowi:
Gdy kto spotka mnie nędzarza,
To i na twarz nie uważa.
Bogatego, choć szkarada,
Otacza pochlebstw gromada:
Ja choć wzdycham do dziewoi,
Ze mnie tylko żarty stroi.
Czyż ja, dziewczę! nie dość młody?
Czy mi pięknej brak urody?
Czy nie kocham cię z zapalem?
Czy ja z ciebie żartowałem?...
Kochaj sobie, kochaj śmiało,
Kogo serce twe wybrało;
Lecz poszanuj me kochanie,
Gdy ci kiedy w myślach stanie.
A ja pójdę w cudzą stronę
Jątrzyć serce rozżalone.

I tesknotą serce spalę,
Jako listek na upale.

Smutny Kozak poszedł drogą,
Nie zostawił tu nikogo;
Szukał doli, co popieści,
I zaginał gdzieś bez wieści.
Umierając ludzi pyta,
Gdzie tam Boże słońko świta?
Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!

1860—1861. Borejkowszczyzna.

SPIS RZECZY.

UTWORY LIRYCZNE.

	Str.
Do * * *	7
Do przyszłej żony	7
Wspomnienie Nieświeża.	
1. Wspomnienie	8
2. Miasto	8
3. Zamek	9
4. Groby Radziwiłłów	10
5. Alba	10
6. Święty Krzyż	11
7. Do Bogarodzicy	11
Nad Niemnem	12
Oda z Horacyusza	12
Słodycz marzeń	13
To i dosyć	15
Ruiny	16
Dumanie Poety	17
Co się przyśni	17
Nie ja śpiewam	18
Piosnki	20
Niewinnej duszyczce	22
Napoleonista	24
Spoczynek	25
Bywało	26
O moim starym domku	28
Westchnienie majowe	32
Waryant z pieśni gminnej	34
Do niemowlęcia	35
Na echo dzwonu	39
Do A. P.	40
Święta Chata	41
Do Boga	42
Do * * *	44

Do	45
Do J. I. Kraszewskiego	46
Natchnienie	48
Gawęda o bocianie	49
Skutki	50
Do A. E. Odyńca	51
Zawcześnie	54
W imionniku Stanisława Moniuszki	57
Szczęście	58
Kłótnia i zgoda	59
Homerowa dziatwa	60
Przedwiośnie	60
Oracz do skowronka	61
Pogrzeb młodego rolnika	62
Do fletni	64
Lirnik wioskowy	66
Pieśń żniwiarska	69
Dedykacya gawęd gminnych Litwinom	69
Drzemka i czyn	71
Pielgrzym	72
Do Feliksa Rumbowicza	73
Do Stanisława Szczepanowskiego	75
Niepiśmienny	76
Hymny do Mszy świętej	78
Do Wiktora Każyńskiego	81
Pieśni do muzyki W. Każyńskiego.	
1. Wlazł kotek na płotek	81
2. Krakowiak na Litwie	82
3. Pieśń myśliwska	83
4. Korale	84
5. Kruk	86
6. Dola	86
Do * *	87
Grajek wioskowy	88
Do Ignacego Chodźki	92
Do Aleksandra Żeleźniaka	94
Toast dla Teodora Narbutta	94
W imionniku Sydalii Świdowej	95
Do ks. Wacława Hundiusa	95
Hasło	96

	Str.
Czuli a cnotni, bądźmy ochotni	97
Głos ubogich do Obywateli Gubernii Wileńskiej	98
Waryanty starych tematów	100
Orszak pogrzebowy	101
Modlitwy na obrazkach.	
I. Hymn do Najśw. Maryi Panny Ostrobramskiej	102
II. Hymn do Pana Jezusa na Śnipiszkach w Wilnie	103
III. Hymn do Zbawiciela w kościele Katedralnym w Wilnie	103
IV. Hymn do świętej Weroniki	104
V. Hymn do świętego Kazimierza	105
VI. Hymn do świętej Filomeny	105
VII. Hymn do świętego Kajetana	106
VIII. Hymn do świętej Zofii	107
IX. Hymn do świętej Anieli	107
X. Hymn o chrzcie Chrystusa	107
XI. Hymn do świętego Tadeusza	108
XII. Hymn do świętej Heleny	109
Na uroczyste otwarcie muzeum starożytności w Wilnie	109
Archeologia	111
Zozuła	113
Do Wincentego Korotyńskiego	114
Szum brzożki	116
Złoto, kadzidło i myrra	117
Krzyże wioskowe	119
Stary zegar	121
Kwietniowy motyl	123
Procedencye szklanicy miodu	124
Do ks. Wacława Żylińskiego	132
W dzień imienin Ignacego Chodźki	133
Do Deotymy	134
Ostrokrzew	134
W imionniku Tytusa Maleszewskiego pastelisty	135
Maurycemu Krupowiczowi	136
Sosna	136
Pajęczyna	138
Powinszowanie afiszera Wileńskiego	139
Pierwsze myśli w dzień Zmartwychwstania	140
Hulaj dusza	142
Hymn do Najświętszej Panny w Ostrej Bramie	144

	Str.
Taniec Fortuny	146
Do Faustyna Łopatyńskiego	147
Ze wspomnień gór	148
Toast w Piotrkowie	150
Znicz	152
Do Niemna	153
Staropolskie Roraty	153
Wigilia sieroty	159
Do Bolesława Nowińskiego	161
Kamienne bożyszcze	162
Mysł	164
Święcone	166
Do luminarzów mojej parafii	167
Piosnka wieśniaczki litewskiej	168
Jeszcze lirnik	169
Śmierć słowika	171
Zwierzyna	173
Serce, rozum, świat i owsianka	175
W imionniku ***	177
Zamieć	177
Co jest poeta	179
Trzy piosnki	180
Czy jeszcze gawędy	181
Sen i kabała	183
Pod obrazem uzbrojonego rycerza	184
Święty Piotr	185
Piosnka ludowa	187
Co umiem nakreślić	188
Pamięci Fabiana Sebastjana Acerna	189
Niemen	192
Borejkowszczyzna	193
Fragment	193
Niedziela.	
I. Poranek	195
II. Powrót Janka z targowiska	197
III. Lament pana arendarza	199
IV. Wieczór	201
Niemasz niewiast nad Sarmatki	202
Nagrobek obywatelowi	204
Owidyusz na Polesiu	204

	Str.
Jutrzenka	207
Melodye z domu obłąkanych	209
Cupio Dissolvi	220
Do gości	222
Przebudzenie	223
Nowe abecadło	224
Wstęp do Kalendarza Wileńskiego	226
W imionniku Michaliny Szelutówny	227
Milczenie poety	228
Ostatnia myśl poety	231
Waryant zakończenia „Wyroku Jana Kazimierza“	232
Waryant z pieśni gminnej	235

PRZEKŁADY Z ROZMAITYCH JEZYKÓW.*)

Fragmenta z ksiąg Hioba	236
Urywki i parafrazy z Eklezjastyka	258
Z poezji Tychona Brahego	260
Adama Schrötera urywek z poematu	261
Piosenki J. P. Beranger'a.	
Król Świeczek	261
Pan Szczęsny Hulakiewicz	264
Wiosna i jesień	265
Trup żyjący	267
Podróż na księżyc	268
Dzień Zaduszny	271
Starość	272
Ptastwo	273
Stara kapota	274
Trzynastu u stołu	275
Kometa	276
Stary kapral	278
Alchemista	280
Nostalgia czyli tęsknota do kraju	281
Do możliwych przyjaciół	283
Stary włóczęga	284

*) Od strony 236—358, a więc począwszy z „Fragmentami z ksiąg Hioba“ do „Cmentarza“, zamieszczono mylnie pod rubryką „Utwory liryczne“, cały szereg „Przekładów z rozmaitych języków“, co niniejszem prostujemy.

Poezye Goethe'go.	
Z k a n t a t y „R y b a c z k a”	286
I. Król Olsztyn	286
II. Topielec	287
III. Śpiew weselny staroniemiecki	288
Zuzanna Topielica	289
Pieśniarz	291
Pieśń emigrantów irlandzkich	293
Stary żeglarz. (Z Coleridge'a)	294
Ptaki wędrowne. (Ze Stagnelius'a)	312
Pieśń rycerza norweskiego Harolda	314
Babunia. (Z Andersen'a)	315
Gwarinos	316
Gracze. (Z Puszkina)	321
Orzeł. (Z Puszkina)	322
Laik klasztorny. (Z Lermontowa)	322
Przyjaciół ludzkości. (Z Nekrasowa)	344
Na Włodze. (Z Nekrasowa)	349
Cmentarz. (Z Nikitina)	357
Przekłady z małoskiego. (Z Szewczenki).	
Perebenda	361
Dumka	364
Dumka	365
Katarzyna	366
Najemnica	386
Iwan Podkowa	403
Dumka	405

